



Ten dokument jest dostępny na licencji [Creative Commons: Attribution-NonCommercial-ShareAlike 3.0 Generic \(CC BY-NC-SA 3.0\)](https://creativecommons.org/licenses/by-nc-sa/3.0/). Może być kopiowany i rozpowszechniany na tej samej licencji z ograniczeniem: nie można tego robić w celach komercyjnych.

These document is available under a Creative Commons License. Basically, you can download, copy, and distribute, but not for commercial purposes.



DAVID LINDSAY

Podróż na Arktura

sf.giang.pl

David Lindsay

Podróż na Arktura

Przekład Ireneusz Dybczyński

Na okładce: Ogród Edenu, E.S. Field

sf.giang.pl

2015

Rozdział 1

Seans

Pewnego marcowego wieczoru o godzinie ósmej do gabinetu pana Montague Faulla w Prolands, jego hampsteadzkiej rezydencji, został wprowadzony pan Backhouse, medium – szybko wschodząca gwiazda świata pozazmysłowego. Pomieszczenie oświetlał jedynie blask jasno płonącego ognia. Gospodarz, przypatrując się mu bez specjalnego zainteresowania, wstał, po czym wymieniono zwyczajowe powitania. Wskazując swojemu gościowi wygodne krzesło obok ognia, południowoamerykański kupiec opadł z powrotem na swój fotel. Zapalono światło elektryczne. Wydatne, regularne rysy Faulla, metalicznie połyskująca skóra i ogólny nastrój znudzonej obojętności nie wydawały się robić specjalnego wrażenia na medium, który był przyzwyczajony do traktowania ludzi w specyficzny sposób. Backhouse, natomiast, był dla kupca czymś zupełnie nowym. Przyglądając mu się spokojnie przez dym cygara, zastanawiał się w jaki sposób – biorąc pod uwagę makabryczny charakter jego pracy – ten niski, przysadzisty mężczyzna z ostro zakończoną brodą zdołał zachować tak świeży i zdrowy wygląd.

— Pali pan? — wycedził Faull, żeby zacząć rozmowę. — Nie? To może się pan napije?

— Dziękuję, nie teraz.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Wszystko idzie dobrze? Dojdzie do materializacji?

— Nie widzę powodu, by w to wątpić.

— To dobrze, bo wolałbym nie zawieść moich gości. Wypisałem już czek dla pana.

— Po wszystkim będzie odpowiedni moment.

— Wyzaczyliśmy, zdaje się, czas na dziewiątą.

— Również tak mi się wydaje.

Rozmowa zamarła. Faull apatycznie wyciągnął się w fotelu.

— Może chciałby pan usłyszeć, jakie przygotowania poczyniłem?

— Nie wiedziałem, że jakieś są konieczne, poza krzesłami dla pańskich gości.

— Mam na myśli dekorację pomieszczenia, w którym odbędzie się seans, muzykę i tym podobne.

Backhouse spojrzał na gospodarza.

— Ależ to nie jest przedstawienie teatralne.

— Oczywiście. Ale widzę, że powinienem wyjaśnić... Tam będą panie, a panie, jak pan wie, mają inklinacje do estetyki.

— W takim razie nie mam nic przeciwko temu. Mam tylko nadzieję, że przedstawienie będzie ich bawić do samego końca — oświadczył raczej bez entuzjazmu Backhouse.

— No to wszystko w porządku — powiedział Faull. Wrzucił cygaro do ognia, wstał i nalał sobie whisky. — Pójdzie pan obejrzeć pomieszczenie?

— Dziękuję, ale nie. Wolę trzymać się od niego z dala, dopóki nie nadejdzie czas.

— To chodźmy do salonu zobaczyć się z panią Jameson, moją siostrą. Nie jestem żonaty i robi mi czasami uprzejmość, pełniąc honory gospodyni.

— Będzie mi miło — zgodził się chłodno Backhouse.

Panią zastali samotną, siedzącą w skupieniu przy fortepianie. Grała Skriabina i była tym całkowicie pochłonięta. Medium, przyglądając się jej wyrazistym, drobnym, patrycjuszowskim rysom i dłoniom jak z porcelany, zdziwił się, skąd u Faulla taka siostra. Pani przyjęła go odważnie, jedynie z drobną oznaką podniecenia. Przywykł do reakcji kobiet przy bliskim kontakcie i doskonale wiedział, jak się zachować.

— To, co mnie zadziwia, jeśli już musi pan wiedzieć — oznajmiła prawie szeptem po dziesięciu

minutach uprzejmej rozmowy o niczym — to nie sama manifestacja, chociaż będzie to z pewnością cudowne, ale pana przekonanie, że do niej dojdzie. Proszę mi powiedzieć, skąd pan bierze tę pewność.

— Śnię z otwartymi oczami — odpowiedział, oglądając się na wejście — a inni śnią moje sny. I to wszystko.

— Ależ to piękne — stwierdziła pani Jameson. Uśmiechnęła się trochę nieprzytomnie, gdyż właśnie pojawił się pierwszy gość.

Pan Kent-Smith, były sędzia pokoju, znany był ze swojego ciętego sędziowskiego humoru, posiadał jednak na tyle umiaru, że nie próbował przenosić tego do prywatnego życia. Chociaż już grubo po siedemdziesiątce, jego oczy były wciąż niepokojąco bystre. Z wyczuciem starca natychmiast usadowił się na najwygodniejszym ze wszystkich wygodnych foteli.

— Tak więc czekają nas tu cuda dziś wieczorem?

— Materiał z pierwszej ręki do pańskiej autobiografii — podkreślił Faull.

— Nie powinien pan wspominać o mojej niefortunnej książce. Panie Backhouse, stary funkcjonariusz publiczny chciałby jedynie zająć się czymś na emeryturze. Nie musi się pan niczego obawiać, studiowałem w szkole dyskrecji.

— Nie obawiam się niczego. Cokolwiek pan sobie zażyczy, w grę nie wchodzi żadne sprzeczki w stosunku do pana publikacji.

— To bardzo uprzejmie z pana strony — powiedział starzec, uśmiechając się chytrze.

— Pan Trent dzisiaj nie przyjdzie — oznajmiła pani Jameson, rzucając zaciekawione spojrzenie na swojego brata.

— Wcale na to nie liczyłem. Nie interesują go takie rzeczy.

— Musi pan wiedzieć — kontynuowała, zwracając się do eks-sędziego — że pani Trent ma u nas wielki dług wdzięczności. To ona tak pięknie udekorowała starą bawialnię na górze i załatwiła najśłodsza małą orkiestrę.

— Och, to rzymski przepych.

— Pan Backhouse uważa, że duchy powinny być traktowane z większym szacunkiem — roześmiał się Faull.

— Z pewnością, panie Backhouse. Poetyczne otoczenie...

— Proszę wybaczyć, ale jestem prostym człowiekiem i zawsze wolę, jak rzeczy są ograniczone do elementarnej prostoty. Nie mam nic przeciwko temu, ale taka jest moja opinia. Natura to jedno, a sztuka to co innego.

— A ja nie jestem pewien, czy się z panem nie zgodzę — powiedział eks-sędzia. — Proszę mi wybaczyć szczerłość, panie Backhouse, ale takie wydarzenia powinny być jak najprostsze, żeby się ustrzec przed możliwością oszustwa.

— Będziemy siedzieć w pełnym świetle — odpowiedział Backhouse — i każdy będzie miał zapewnioną możliwość sprawdzenia pomieszczenia.

Nastąpiła dość kłopotliwa cisza. Przerwało ją wejście dwóch kolejnych gości. Jednym z nich był pan Prior, dobrze prosperujący w mieście importer kawy i pan Lang, gracz giełdowy znany w swoich kręgach jako iluzjonista-amator. Tego ostatniego Backhouse już kiedyś poznał. Prior, wnosząc do pomieszczenia lekki zapach wina i dymu tytoniowego, próbował wprowadzić towarzystwo w jowialny nastrój. Zorientowawszy się, jednak, że nikt nie podtrzymuje jego wysiłków, szybko zrezygnował i oddał się studiowaniu pastelowych barw na ścianach. Lang, wysoki, chudy i łysiejący, mówił niewiele i tylko przez dobrą chwilę przypatrywał się Backhouse'owi.

Podano kawę, trunki i papierosy. Częstowali się wszyscy oprócz Langa i medium. W tym momencie zaanonsowano profesora Halberta. Był to wybitny psycholog, autor i wykładowca na tematy dotyczące przestępczości, chorób psychicznych, geniuszy i tym podobne, dotyczące problemów mentalnych. Jego obecność w takim zgromadzeniu trochę dziwiła pozostałych gości, niemniej wszyscy czuli, że przedmiot ich spotkania od razu uzyskał dodatkową powagę. Halbert był niski, szczupły i miał łagodny sposób bycia, ale prawdopodobnie był to najbardziej zatwardziały umysł z całego towarzystwa. Całkowicie

ignorując medium, siadł natychmiast obok Kent-Smitha i zaczął z nim wymieniać uwagi.

Kilka minut po ustalonej godzinie, bez zapowiedzenia, weszła pani Trent. Była to kobieta około dwudziestu ośmiu lat o bladej, poważnej, anielskiej twarzy, gładko zaczesanych czarnych włosach i wargach tak karmazynowych i pełnych, że wydawały się tryskać krwią. Jej wysoka, wdzięczna figura odziana była w najdroższą kreację. Wymieniła pocałunki z panią Jameson, ukloniła się reszcie towarzystwa i spojrzawszy ukradkiem na Faulla, uśmiechnęła się. Ten popatrzył na nią jakoś dziwnie, a Backhouse, którego uwadze nic nie uchodziło, dojrzał barbarzyńcę ukrytego w błysku satysfakcji w jego oczach. Pani Trent odmówiła zaoferowanego jej pokrzepienia, więc Faull zaproponował, żeby przenieść spotkanie do starej bawialni, skoro są już wszyscy.

Pani Trent uniosła smukłą dłoń.

— Montague, na pewno dajesz mi wolną rękę?

— Oczywiście — odrzekł, śmiejąc się, Faull. — A w czym problem?

— Być może jestem zbyt zuchwała. Nie wiem. Zaprosiłam dwóch przyjaciół, żeby się do nas przyłączyli. Nie, nikt z was ich nie zna... Dwóch najbardziej nadzwyczajnych osobników, jakich kiedykolwiek widziałam. I są mediami, jestem tego pewna.

— To brzmi bardzo tajemniczo. Kim są ci konspiratorzy?

— Przynajmniej powiedz nam, prowokatorko, jak się nazywają — wtrąciła pani Jameson.

— Jeden z nich ma przyjemność nazywać się Maskull, a drugi Nightspore. To prawie wszystko, co o nich wiem, więc nie zarzucajcie mnie dalszymi pytaniami.

— Ale skąd ich wzięłaś? Musiałaś ich gdzieś spotkać.

— Co za krzyżowy ogień pytań. Czyżbym złamała jakieś zasady? Przysięgam, nie powiem już więcej ani słowa na ich temat. Niebawem się tu pojawią, a wtedy oddam ich łasce waszego miłosierdzia.

— Nie znam ich — powiedział Faull — i wydaje się, że nikt z nas również ich nie zna, ale oczywiście będzie nam bardzo miło mieć ich... To co, czekamy?

— Powiedziałam im, że o dziewiątej, a teraz jest już po. Całkiem możliwe, że wcale nie przyjdą. W takim razie... nie czekajmy.

— Ja wolałbym zacząć natychmiast — powiedział Backhouse.

Bawialnię, wysokie pomieszczenie długości czterdziestu stóp i szerokości dwudziestu, podzielono z tej okazji ciężką brokatową kurtyną na dwie równe części. W ten sposób odległy koniec był zasłonięty. Bliższa połowa została półokręgiem krzeseł przekształcona w audytorium. Innych mebli nie było. Za krzesłami, bliżej wejścia, płonął w połowie ściany wielki ogień. Pomieszczenie było jasno oświetlone przy pomocy elektrycznych kinkietów. Podłogę pokrywał okazały dywan.

Usadziwszy wszystkich gości na swoich miejscach, Faull podszedł do kurtyny i zsunął ją na bok. Ukazała się replika – albo coś do niej bardzo podobnego – scenografii świątynnej z przedstawienia Czarodziejskiego Fletu w Drury Lane: mroczna, ciężka architektura wnętrza, u góry jarzące się niebo i z tyłu na jego tle gigantyczna sylwetka posagu siedzącego faraona. Przed piedestałem umieszczono fantastycznie rzeźbione drewniane łóżko. Bliżej kurtyny, skośnie do audytorium, stało proste dębowe krzesło przeznaczone dla medium.

Wielu z obecnych odniosło wrażenie, że dekoracja jest zupełnie nieodpowiednia na tę okazję i czuło się dość nieswojo z powodu tej ostentacji. Zwłaszcza Backhouse wydawał się być zdenerwowany. Niemniej panią Trent, jako autora tej spektakularnej scenografii, obsypano zwyczajowymi komplementami. Faull zaproponował przyjaciółom, żeby podeszli i sprawdzili pomieszczenie tak dokładnie, jak tylko mają ochotę. Jedynie Prior i Lang wyrazili na to chęć. Ten pierwszy, pogwizdując i od czasu do czasu obstukując dekoracje kostkami palców, obszedł całą tekturową scenerię. Lang, który znalazł się w swoim żywiole, zostawił go i zaczął na własny rachunek cierpliwe, systematyczne poszukiwania ukrytej aparatury. Faull i pani Trent stanęli w rogu świątyni po cichu rozmawiając. Pani Jameson, zajmując w tym czasie rozmową Backhouse'a, obserwowała ich w sposób, w jaki jedynie bardzo zainteresowana kobieta potrafi obserwować.

Lang, ku własnemu niezadowoleniu, nie znalazł nic podejrzanej natury. Medium zażądał z kolei

przeszukania swojego ubioru.

— Wszystkie te środki ostrożności są całkiem zbyteczne, a sprawa jest pod kontrolą, jak sami mogliście się, państwo, dopiero co przekonać. Niemniej moja reputacja wymaga, żeby inni ludzie, nieobecni tutaj, nie mogli potem powiedzieć, że uciekano się do trików.

Niewdzięczny obowiązek przeszukania kieszeni i rękawów znów przypadł Langowi, który po kilku minutach wyraził zadowolenie, że żadnych mechanizmów będących w posiadaniu Backhouse'a nie znaleziono. Goście powrócili na swoje miejsca. Faull polecił przynieść dwa dodatkowe krzesła dla przyjaciół pani Trent, chociaż wciąż ich nie było. Potem nacisnął na dzwonek elektryczny i usiadł na swoim miejscu.

Sygnał był przeznaczony dla ukrytej orkiestry, żeby zaczęła grać. Szmer zaskoczenia ogarnął widownię, gdy w pomieszczeniu, bez uprzedzenia, rozległy się piękne i uroczyste takty „świątynnej” muzyki Mozarta. Oczekiwania wszystkich wzrosły, a u pani Trent, pomimo jej bladości i opanowania, można było dostrzec, że jest głęboko poruszona. Było pewne, że to ona jest tu, pod względem estetyki, najbardziej znaczącą osobą. Faull, wyciągnąwszy się jak zwykle, obserwował ją z głową opuszczoną na piersi.

Backhouse wstał i oparłszy jedną rękę na oparciu swojego krzesła, zaczął mówić. Muzyka natychmiast przycichła do pianissimo i pozostała taka tak długo, dopóki był na nogach.

— Panie i panowie, będziecie świadkami materializacji. To znaczy, zobaczycie coś, co się pojawi w miejscu, gdzie wcześniej niczego nie było. Najpierw będzie to miało postać oparu, a potem stanie się ciałem stałym, którego każdy z obecnych będzie mógł dotknąć i poczuć; i na przykład ucisnąć mu dłoń. A to dlatego, że to ciało będzie miało formę człowieka. To będzie prawdziwy mężczyzna lub kobieta – które, tego nie wiem, ale będzie to mężczyzna lub kobieta bez znanych przodków. Jeśli jednak zażądacie ode mnie wyjaśnień na temat pochodzenia tego zmaterializowanego ciała – skąd się wzięło, skąd pochodzą atomy i cząsteczki składające się na jego tkanki – nie będę mógł was usatysfakcjonować. Ja tylko spowoduję powstanie tego zjawiska; jeśli ktoś potem będzie mógł mi to wyjaśnić, będę bardzo wdzięczny. To wszystko, co mam do powiedzenia.

Usiadł z powrotem na wpół tyłem obrócony do zebranych i odczekał małą chwilę, zanim przystąpił do wykonywania swojego zadania.

Dokładnie w tym momencie służący otworzył drzwi i zaanonsował stonowanym, lecz wyraźnym głosem:

— Pan Maskull, pan Nightspore.

Wszyscy się odwrócili. Faull wstał, by przywitać spóźnionych. Backhouse również wstał, spoglądając na nich z wyrzutem.

Dwaj przybysze wciąż stali przy drzwiach, które po cichu za nimi zamknięto. Wydawali się czekać z wejściem w głąb pomieszczenia, dopóki nie opadnie niewielkie poruszenie spowodowane ich pojawieniem się. Maskull reprezentował typ dryblasza, ale z budową ciała cięższą i bardziej krępką niż to się zdarza u większości takich wielkoludów. Nosił pełną brodę. Rysy twarzy miał wyraziste i grubo ciosane, jak u drewnianej rzeźby, ale oczy, małe i czarne, błyszczały ogniem inteligencji i zuchwałości. Włosy miał krótkie, czarne i najeżone. Nightspore był średniego wzrostu, ale tak mocno zbudowany, że wydawał się być pozbawiony wszelkich ludzkich słabości i wrażliwości. Oczy miał dzikie i nieobecne, a jego gładko wygolona twarz wydawała się być trawiona silnym duchowym głodem. Obaj nosili tweedowe ubrania.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, rozległ się głośny i przerażający łomot walących się murów i całe towarzystwo ze zgrozą poderwało się na nogi. Zabrzmiało to tak, jakby zawaliła się górna część budynku. Faull rzucił się do drzwi i zawołał służącego, pytając, co się stało. Mężczyzna dopiero za drugim razem zrozumiał pytanie. Oświadczył, że nic nie słyszał. Na rozkaz pana poszedł jednak na górę. Nic złego tam się nie działo, a pokojówki również nic nie słyszały.

Tymczasem Backhouse, jeden z niewielu wśród zebranych, który zachował zimną krew, podszedł wprost do Nightspore'a stojącego i nerwowo obgryzającego paznokcie.

— Być może pan to potrafi wyjaśnić?

— To było zjawisko nadprzyrodzone — odpowiedział Nightspore zachrypłym, zduszonym głosem

i odwrócił się od pytającego.

— Tak mi się wydawało. To znane zjawisko, ale nigdy nie słyszałem tak głośnego.

Backhouse wrócił pomiędzy gości, starając się ich uspokoić. Stopniowo wszyscy usiedli z powrotem, ale widać było, że ich poprzednie rozbawienie i pogodne zainteresowanie zmieniło się w pełną napięcia obserwację. Maskull i Nightspore zajęli wyznaczone im miejsca. Pani Trent rzucała im ukradkiem nerwowe spojrzenia. W czasie całego incydentu wciąż grano hymn Mozarta – orkiestra również nic nie słyszała.

Backhouse, nie zwlekając, przystąpił do swego zadania. To, co miał zrobić, było mu dobrze znane i nie obawiał się o wynik. Wykonanie materializacji wyłącznie siłą woli czy jakichkolwiek innych zdolności było niemożliwe, inaczej to, czego on się podejmował, mogłoby zrobić wielu ludzi. Jego psychika była rzadkim zjawiskiem – mur oddzielający go od świata pozazmysłowego był popękany w wielu miejscach. Przez te dziury w jego umyśle wzywani przez niego mieszkańcy niewidzialnego przechodzili na krótki czas nieśmiało i przerażająco do materialnego i kolorowego świata... W jaki sposób to się działo, nie wiedział. Doświadczenia tego typu dotkliwie obchodziły się z ciałem i wiele z tych zmagani prowadziło do obłędu i wczesnej śmierci. Dlatego też Backhouse miał taki surowy i opryskliwy sposób bycia. Grubiańskie, nietaktowne podejrzenia niektórych świadków czy frywolny estetyzm innych były jednakowo przykre dla jego ponurego, rozdartego serca; z czegoś jednak musiał żyć, więc zmuszony był znosić te impertynencje.

Usiadł twarzą do drewnianego łóża. Oczy miał otwarte, ale wydawał się patrzeć do wewnątrz. Policzki mu zbladły i stał się zauważalnie chudszy. Widzowie prawie przestali oddychać. Ci bardziej wrażliwi zaczęli odczuwać albo wyobrażać sobie dziwną obecność wokół siebie. Oczy Maskulla rozbłysły oczekiwaniem, a brwi poruszały się to w górę, to w dół; natomiast Nightspore wyglądał na znudzonego.

Po długich dziesięciu minutach piedestał posągu lekko się rozmazał, jak gdyby przed nim uniósł się z podłogi jakiś opar. Potem powoli przekształcił się w zauważalny obłok kłębiący się tu i tam i nieustannie zmieniający kształt. Profesor uniósł się z krzesła, dociskając ręką okulary bliżej nasady nosa.

Stopniowo obłok, chociaż wciąż niewyraźny i rozmyty, osiągnął rozmiary i kształt odpowiadający w przybliżeniu ciału dorosłego człowieka. Unosił się nieco w powietrzu, stopę czy dwie ponad łóżem. Backhouse był wyczerpany i wyglądał strasznie. Pani Jameson cicho zemdlala na swoim krześle, czego nikt nie zauważył i obecnie odzyskiwała przytomność. Zjawy opadła na łóżo, a w chwili, gdy to robiła, stała się jakby ciemniejsza, bardziej materialna i podobna do człowieka. Wielu z gości pobladło nie mniej niż medium i jedynie Faull zachował swoją stoicką obojętność, popatrując co i raz na panią Trent. Ta, z kolei, wpatrywała się w łóżo, okręcając niewielką koronkową chusteczką to ten, to tamten palec swojej dłoni. Muzyka cały czas grała.

W tym momencie nie było już wątpliwości, że kształt przedstawia leżącego człowieka. Twarz nabrała ostrości. Ciało było okryte czymś w rodzaju całunu, a rysy ukazywały młodego mężczyznę. Jedna ręka wysunęła się, blada i nieruchoma, prawie dotykając podłogi. Ci, z towarzystwa, o słabszych nerwach patrzyli na to zjawisko zszokowani z przerażenia, pozostali siedzieli bez ruchu, skonsternowani. Pozornie mężczyzna był martwy, ale w jakiś sposób nie wyglądało to na śmierć następującą po życiu, lecz na śmierć poprzedzającą życie. Wszyscy czuli, że w każdej chwili może usiąść.

— Niech przestaną grać — wymruczał Backhouse, unosząc się chwiejnie ze swojego krzesła i odwracając do zebranych. Faull przycisnął dzwonek. Kilka taktów później zapadła całkowita cisza.

— Kto chce, może zbliżyć się do łóża — powiedział Backhouse łamiącym się głosem.

Lang ruszył natychmiast i bojaźliwie oglądał nadnaturalnego młodzieńca.

— Może pan dotknąć — powiedział medium.

Ale ani Lang, ani nikt inny z tych, którzy skradali się do łóża, nie odważył się na to, dopóki nie nadeszła kolej Faulla. Ten popatrzył wprost na panią Trent, która wydawała się być wystraszona i zdeglustowana odbywającym się spektaklem i nie tylko że dotknął zjawy, ale chwyciwszy nagle opuszczoną rękę, mocno ją uściśnął. Pani Trent jęknęła cicho. Widmo otworzyło oczy, spojrzało dziwnie na Faulla i usiadło. Na jego ustach zagrał tajemniczy uśmiech. Faull spojrzał na swoją rękę; przez jego ciało przeszło uczucie intensywnej przyjemności.

Maskull chwycił w ramiona panią Jameson ponownie zaatakowaną przekleństwem omdleń. Podbiegła pani Trent i wyprowadziła ją z sali. Żadna z nich już nie powróciła.

Widmo stało teraz wyprostowane, rozglądając się wciąż z tym samym zagadkowym uśmiechem. Prior nagle poczuł się źle i wyszedł. Pozostali mniej lub bardziej skupili się razem, jak to członkowie ludzkiej społeczności i tylko Nightspore chodził w tę i z powrotem jak człowiek zmęczony i zniecierpliwiony, a Maskull próbował wypytywać młodziana. Zjawa obserwowała go w niepokojący sposób, ale nic nie mówiła. Backhouse siedział z boku, chowając twarz w dłoniach.

W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i jakiś obcy, nie zaanonsowany, ni to wskoczył, ni wbiegł kilka jardów wgląd sali, gdzie się zatrzymał. Nikt ze znajomych Faulla nigdy przedtem go nie widział. Był to tęgi, niewysoki i zdumiewająco muskularny człowiek z głową daleko zbyt dużą w stosunku do ciała. Gładka, poślizgła twarz wskazywała, przy pierwszym wrażeniu na mieszaninę przenikliwości, okrucieństwa i poczucia humoru.

— No, no, panowie! — wykrzyknął głośno. Głos miał przeszywający i dziwnie nieprzyjemny dla uszu. — Ktoś nas tutaj odwiedził.

Nightspore odwrócił się tyłem, ale wszyscy inni wpatrywali się w intruza ze zdumieniem. Przybysz postąpił kilka kroków do przodu i znalazł się na skraju dekoracji.

— Czy wolno mi zapytać, skąd przypadł mi honor goszczenia pana? — zapytał posępnie Faull. Pojawiła się u niego myśl, że ten wieczór nie przebiega tak gładko, jak tego oczekiwał.

Tamten popatrzył na niego przez chwilę, po czym wybuchnął gromkim, hałaśliwym śmiechem. Poklepał Faulla żartobliwie po plecach – żartobliwie, ale dość brutalnie, gdyż ofiara, utraciwszy równowagę, zatoczyła się i wpadła na ścianę.

— Dobry wieczór mój gospodarzu! — zawołał. — Ty również witaj młodzieńcze! — zwrócił się do zjawy, która ruszyła w wędrowkę po sali, wyraźnie nieświadoma swego otoczenia. — Chyba widziałem już kogoś bardzo podobnego do ciebie.

Odpowiedzi nie było.

Przybysz przysunął swoją głowę prawie do twarzy widma.

— Wiesz, że nie masz prawa tu być.

Zjawa odpowiedziała mu pełnym znaczenia uśmiechem, którego jednak nikt nie potrafił zrozumieć.

— Bądź ostrożny w tym, co robisz — wtrącił pospiesznie Backhouse.

— Co ty nie powiesz, odźwierny duchów?

— Nie wiem, kim jesteś, ale jeśli użyjesz przeciwko temu czemuś fizycznej przemocy, do czego wydajesz się zmierzać, konsekwencje mogą być bardzo nieprzyjemne.

— A bez przyjemności ten wieczór będzie zepsuty, nieprawdaż mój mały najemny przyjacielu?

Wesołość spłynęła z jego twarzy, jak blask słońca znika z krajobrazu, pozostawiając go surowym i skalistym. Zanim ktokolwiek zdołał się zorientować, przybysz objął owłosionymi rękami miękką, białą szyję zmaterializowanej postaci i przekręcając dwa razy, obrócił całkiem dookoła. Rozległ się słaby, nieziemski jęk i ciało osunęło się jak szmata na podłogę. Twarz widma znalazła się na wierzchu. Goście przeżyli szok, widząc, jak jej wyraz zmienia się i tajemniczy, lecz fascynujący uśmiech przeradza się w wulgarny, podły, bydlęcy grymas, rzucając zimny cień moralnej nikczemności w serca obecnych. Przemianie towarzyszył przyprawiający o mdłości cmentarny odór.

Rysy twarzy natychmiast rozpląnęły się, ciało straciło konsystencję, zmieniając swą postać z materialnej na widmową i zanim upłynęły dwie minuty, zjawa zniknęła całkowicie.

Niski przybysz odwrócił się i stojąc twarzą do zebranych, roześmiał się długim, gromkim i jakby nienaturalnym śmiechem.

Profesor w podnieceniu mówił coś cicho do Kent-Smitha. Faull skinął na Backhouse'a i za skrzydłem dekoracji bez słowa wręczył mu czek. Medium schował czek do kieszeni, zapiał marynarkę i wyszedł z sali. Lang pospieszył za nim, żeby wypić drinka.

Przybysz odwrócił się do Maskulla.

— A ty, dryblasie, co myślisz o tym wszystkim? Nie miałbyś ochoty zobaczyć krainy, gdzie tego typu frukta rosną sobie dziko?

— Jakie frukta?

— Okazy podobne do tego goblina.

— Kim ty jesteś, skąd się tu wzięłeś? — zapytał Maskull, wyciągnąwszy w jego kierunku swą ogromną dłoń.

— Zapytaj swego przyjaciela. Powinien mnie poznać.

Nightspore przysunął sobie krzesło bliżej ognia i wpatrzył się w żarzące się węgle z jakimś zawziętym, zastygłym wyrazem twarzy.

— Jak chcesz coś ode mnie, Krag, to sam podejdź — powiedział swoim dziwnym głosem.

— Widzisz, poznał mnie — wykrzyknął wesoło Krag. Podeszedł do Nightspore'a i położył rękę na oparciu krzesła. — Wciąż to samo dokuczliwe pragnienie? — zapytał.

— Coś się dzieje ostatnio? — zapytał lekceważąco Nightspore, nie zmieniając pozycji.

— Surtur nas opuścił, powinniśmy za nim podążyć.

— Skąd wy się znacie i o kim mówicie? — zapytał Maskull, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

— Krag ma dla nas pewną propozycję. Wyjdźmy stąd — odpowiedział Nightspore. Wstał i obejrzał się przez ramię. Maskull poszedł za jego wzrokiem i zobaczył, że kilku mężczyzn wciąż przebywających w sali przygląda się z uwagą ich małej grupce.

Rozdział 2

Na ulicy

Trzej mężczyźni zatrzymali się na ulicy przed domem. Noc było nieco mroźna, ale szczególnie pogodna; wiał wschodni wiatr. Bezmiar błyszczących gwiazd sprawiał, że niebo wyglądało jak szeroki zwój pokryty hieroglifami. Maskull poczuł się dziwnie podniecony; miał wrażenie, że zaraz wydarzy się coś nadzwyczajnego.

— Krag, co cię sprowadziło dziś wieczorem do tego domu i czemu zrobiłeś to, co zrobiłeś? O co chodzi z tą zjawą? — zapytał.

— Na jego twarzy... to musiał być grymas Crystalmana — mruknął Nightspore.

— Już o tym mówiliśmy, co nie, Maskull? On nie może się doczekać, kiedy zobaczy te rzadkie frukta w ich rodzimej dzicy.

Maskull przyjrzał się Kragowi dokładniej, próbując przeanalizować swój stosunek do niego. Osobowość tamtego wyraźnie go odrzucała, niemniej towarzysząca tej awersji jakaś dzika, żywa energia wydawała się budzić w jego sercu przekonanie, że jest w jakiś sposób związany z Kragiem.

— Czemu się upierasz przy tym porównaniu? — zapytał.

— Bo tak jest. Nightspore ma rację. Ta twarz należała do Crystalmana, a my wybieramy się do jego krainy.

— Cóż to za tajemnicza kraina?

— Tormance.

— To jakaś dziwna nazwa. Gdzie to jest?

Krag wyszczerzył się, pokazując w świetle ulicznych lamp swoje żółte zęby.

— To jest mieszkalne przedmieście Arktura.

— O czym on mówi, Nightspore? Masz na myśli tę gwiazdę? — zwrócił się do Kraga.

— Tę, która jest właśnie wprost przed tobą — powiedział Krag, wskazując grubym palcem najjaśniejszą gwiazdę na południowo-wschodnim niebie. — Widzisz, tam jest Arktur, a Tormance jest jego jedyną zamieszkałą planetą.

Maskull popatrzył na dużą, jasno świecącą gwiazdę, a potem na Kraga. Następnie wyciągnął fajkę i zaczął ją nabijać.

— Krag, ty musisz mieć całkiem nowy rodzaj poczucia humoru.

— Cieszę się, że mogę cię zabawiać, Maskull, nawet jeśli to tylko kilka dni.

— Przepraszam, że pytam, ale skąd znasz moje imię?

— Biorąc pod uwagę, że przyszedłem tu jedynie z twojego powodu, byłoby dziwne, gdybym nie znał. A poza tym jesteśmy z Nightsporem starymi przyjaciółmi.

Maskull znieruchomiał z zapalką w ręku.

— Przyszedłeś tu jedynie z mojego powodu?

— Jasne. Z twojego i Nightspore'a. Będziemy podróżować we trzech.

Maskull zapalił fajkę i spokojnie zaciągnął się kilka razy.

— Przykro mi Krag, ale muszę założyć, że zwariowałeś.

Krag odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się chrapliwie.

— Nightspore, czy ja zwariowałem? — zapytał.

— Surtur udał się na Tormance? — wyrzucił z siebie Nightspore zduszonym głosem, utkwivszy oczy w twarz Kraga.

— Tak! I żąda, abyśmy natychmiast podążyli za nim.

Serce Maskulla dziwnie zabiło. Cała ta rozmowa brzmiała dla niego jak we śnie.

— Krag, a od kiedy ja powinienem wykonywać polecenia zupełnie mi obcego... Kto to w ogóle jest?

— Szef Kraga — powiedział Nightspore, odwracając głowę.

— Jak dla mnie, ta zagadka jest zbyt trudna. Daję za wygraną.

— Szukasz tajemnic — powiedział Krag — nic więc dziwnego, że je znajdujesz. Spróbuj wszystko uprościć, przyjacielu. Sprawa jest prosta i poważna.

Maskull wpatrywał się w niego pykając z fajki.

— A skąd teraz przybywasz — zapytał nagle Nightspore.

— Ze starego obserwatorium w Starkness... Maskull, słyszałeś o sławnym Obserwatorium Starkness?

— Nie, gdzie to jest?

— Na południowo-wschodnim wybrzeżu Szkocji. Od czasu do czasu dokonują tam ciekawych odkryć.

— Jak na przykład podróże międzygwiazdne? Czyli ten Surtur jest astronomem. Ty pewnie tak samo?

Krag znów wyszczerzył zęby.

— Ile czasu potrzebujesz na zwinięcie swoich interesów? Kiedy możesz być gotowy, by wyruszyć?

— Jesteś bardzo troskliwy — powiedział Maskull, śmiejąc się szczerze. — Już się bałem, że od razu zostanę zaciągnięty... Z drugiej strony, nie mam żony, ziemi ani obowiązków zawodowych, więc nie ma na co czekać. Jaka jest trasa podróży?

— Maskull, ty szczęściarzu. Masz śmiałość, odważne serce i żadnych obciążeń. — Krag nagle spowaźniał i rysy mu stężały. — Nie bądź głupcem, nie odrzucaj daru szczęścia. Daru odrzuconego nigdy nie oferują po raz drugi.

— Krag, spróbuj wejść w moje położenie — odpowiedział prosto Maskull, chowając fajkę do kieszeni. — Nawet jeśli jestem człowiekiem żadnym przygód, to jak mam wziąć na serio taką szaloną propozycję jak twoja? Co ja wiem o tobie i o twoich czynach? Może jesteś jakimś żartownisiem, a może uciekłeś z domu wariatów; nic na ten temat nie wiem. Jeśli twierdzisz, że jesteś kimś nadzwyczajnym i chcesz, żebym z tobą współpracował, to musisz mi dostarczyć niezbite dowody.

— A jakie dowody byłyby dla ciebie przekonujące?

Mówiąc to, chwycił go za ramię. Ostry, przejmujący ból przeszedł przez ciało Maskulla i w tym samym momencie jego mózg ogarnął płomień. Błysk światła uderzył w niego jak wschodzące słońce. Po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy ta fantastyczna rozmowa mogłaby w jakiś sposób odnosić się do rzeczy realnych.

— Posłuchaj, Krag — powiedział cicho, gdy dziwne obrazy i pomysły zaczęły pojawiać się chaotycznie w jego umyśle. — Mówisz o jakiejś podróży. No cóż, gdyby taka podróż była możliwa, gdybym miał szansę wziąć w niej udział, to wołałbym tutaj nigdy nie wracać. Za dwadzieścia cztery godziny na planecie Arktura oddałbym życie. Taki jest mój stosunek do tej podróży. A teraz udowodnij mi, że nie gadasz głupot. Pokaż swoje listy uwierzytelniające.

Gdy Maskull mówił, Krag wpatrywał się przez cały czas w niego, stopniowo odzyskując na twarzy żartobliwy wyraz.

— Och, dostaniesz swoje dwadzieścia cztery godziny, a może i więcej, ale nie za dużo. Zuchwały z ciebie facet, Maskull, lecz ta podróż będzie nieco wyczerpująca, nawet dla ciebie. A więc, jak dawni niedowiarkowie, żadasz znaku z nieba?

— To wszystko jest śmieszne. — Maskull zmarszczył brwi. — Nasze mózgi są przeciążone ostatnim wydarzeniem. Chodźmy do domu i prześpijmy to.

Krag powstrzymał go jedną ręką, drugą szukając czegoś w kieszeni na piersi. Wyciągnął przedmiot przypominający małą składaną lupę. Średnica szkła nie przekraczała dwóch cali.

— Najpierw, Maskull, zerknij na Arktura przez to. Niech ci posłuży za prowizoryczny znak. Najlepszy, niestety, jaki mogę ci teraz zapewnić. Nie jestem wędrownym magikiem. Tylko bądź ostrożny, nie upuść.

To jest nieco ciężkie.

Maskull wziął szkło do ręki, zmagając się z nim przez chwilę, a potem spojrzał w zdumieniu na Kraga. Niewielki przedmiot ważył przynajmniej dwadzieścia funtów, chociaż nie był dużo większy od korony.

— Krag, z czego to jest zrobione?

— Popatrz przez to, mój dobry przyjacielu. Po to ci to dałem.

Trzymając przyrząd z pewną trudnością, Maskull skierował go na jasno świecącego Arktura i obserwował gwiazdę tak długo i tak stabilnie, jak długo pozwoliły mu na to mięśnie jego ręki. A oto, co zobaczył: gwiazda, która gołym okiem wydawała się być pojedynczym żółtawym punktem światła, rozszepiła się na dwa jasne, lecz niewielkie słońca, z których większe było wciąż żółte, podczas gdy jego mniejszy towarzysz miał odcień pięknego błękitu. Ale to nie wszystko. Wokół żółtego słońca wyraźnie krążył relatywnie mniejszy satelita, świecący, jak się wydawało, nie własnym, lecz odbitym światłem. Maskull kilka razy opuszczał i podnosił rękę. Za każdym razem ukazywał się ten sam widok, chociaż nic więcej nie dawało się dostrzec. Bez słowa oddał Kragowi szkło i stał, przygryzając dolną wargę.

— Ty również rzuć na to okiem — powiedział Krag, oferując przyrząd Nightspore'owi.

Nightspore odwrócił się tyłem i zaczął chodzić w tę i z powrotem. Krag roześmiał się sardonicznie i schował szkło do kieszeni.

— To jak, Maskull, jesteś usatysfakcjonowany?

— Czyli Arktur jest słońcem podwójnym. A ten trzeci punkt, to planeta Tormance?

— To nasz przyszły dom, Maskull.

Maskull wciąż się zastanawiał.

— Chcesz wiedzieć, czy jestem usatysfakcjonowany. Nie wiem, Krag. To jest cudowne i tyle mogę o tym powiedzieć. Ale jedno jest niewątpliwe. W Starkness muszą być wspaniali astronomowie i jeśli mnie zaprosisz do swego obserwatorium, to na pewno przyjdę.

— Zapraszam cię. Stamtąd wystartujemy.

— Nightspore, a ty? — zapytał Maskull.

— Ta podróż musi się odbyć — odpowiedział jego przyjaciel niewyraźnym tonem. — Chociaż nie widzę, co nam z tego przyjdzie.

Krag spojrzał na niego badawczo.

— Żeby podekscytować Nightspore'a, musielibyśmy zorganizować bardziej niebagatelne przygody — powiedział.

— Przecież jedzie.

— Ale nie *con amore*. Jedzie wyłącznie, by ci towarzyszyć.

Maskull znów spojrzał na dużą, mroczną gwiazdę, błyszczącą samotnie na południowo-wschodnim niebie, a gdy tak patrzył, jego serce wypełniło się wielką i bolesną tęsknotą, której jednak jego umysł nie był w stanie wyjaśnić nawet samemu sobie. Czuł, że jego los jest w jakiś sposób związany z tym olbrzymim, odległym słońcem. Wciąż jednak nie ośmielił się przyznać, że Krag może mówić poważnie.

Uwagi wymieniane przy rozstaniu docierały do niego jako głęboka abstrakcja i dopiero po upływie kilku minut, gdy zostali już sami z Nightsporem, uświadomił sobie, że odnoszą się one do takich przyziemnych spraw, jak trasa podróży i czasy odjazdu pociągów.

— Nightspore, czy Krag pojedzie z nami na północ? Nie załapałem tego?

— Nie. Pojedziemy przodem, a on pojutrze wieczorem dołączy do nas w Starkness.

— Nie wiem, co mam o nim sądzić? — wciąż zastanawiał się Maskull.

— Powiem ci coś — odpowiedział ze znużeniem Nightspore. — Nigdy nie słyszałem, żeby kłamał.

Rozdział 3

Starkness

Dwa dni później, o drugiej po południu, pokonawszy pieszo siedem mil od stacji kolejowej Haillar, Maskull i Nightspore przybyli do Obserwatorium Starkness. Droga, bardzo zaniedbana i opustoszała, biegła w większej swojej części skrajem dość wysokich wzgórz z widokiem na Morze Północne. Wiał rzeński wschodni wiatr i chociaż świeciło słońce, to powietrze było słone i zimne. Ciemnozielone fale splamione były bielą. Przez całą drogę towarzyszyło im płaczliwe, urokliwe pokrzykiwanie mew.

Osadzone na najdalej wysuniętym krańcu lądu, pozbawione sąsiedztwa obserwatorium ukazało się im jako niewielkie samodzielne osiedle. Były tam trzy budynki: mały, zbudowany z kamienia dom mieszkalny, niski warsztat oraz jakieś dwieście jardów dalej na północ kwadratowa wieża z granitu, wysoka na siedemdziesiąt stóp.

Dom i warsztat przedzielało zaśmieczone, otwarte podwórko. Oba budynki, z wyjątkiem strony zwróconej ku morzu, gdzie dom tworzył przedłużenie klifu, otaczał wspólny kamienny mur. Nikt się tam nie pojawił. Wszystkie okna były pozamykane. Maskull był gotów przysiąc, że całe osiedle jest zamknięte i opustoszałe.

Idąc za Nightsporem, przeszedł przez bramę i ostro zapukał do drzwi frontowych. Kołatka była grubo pokryta kurzem i było jasne, że nie używano jej od dłuższego czasu. Przyłożył ucho do drzwi, ale nie usłyszał wewnątrz żadnych oznak ruchu. Nacisnął klamkę – drzwi były zamknięte na klucz.

Obeszli dom dookoła w poszukiwaniu innych drzwi, ale drugiego wejścia nie było.

— Nie wygląda to obiecująco — warknął Maskull. — Nie ma nikogo. Spróbuj w tej szopie, a ja sprawdzę wieżę.

Nightspore, który od chwili, gdy wysiedli z pociągu, nie wypowiedział więcej jak pół tuzina słów, zgodził się w milczeniu i ruszył przez podwórko. Maskull wyszedł z powrotem przez bramę. Gdy dotarł do stóp wieży, która stała w pewnej odległości od klifu, zastał wejście zamknięte ciężką kłódką. Rozglądając się, zobaczył sześć okien, jedno nad drugim w równych odstępach, wszystkie po wschodniej stronie – czyli z widokiem na morze. Zorientowawszy się, że niczego tu nie osiągnie, wrócił z powrotem, jeszcze bardziej poirytowany. Gdy dołączył do przyjaciela, tamten oznajmił, że warsztat jest również zamknięty.

— Zostaliśmy więc zaproszeni czy nie? — zapytał Maskull nerwowo.

— Dom jest pusty — odpowiedział Nightspore z niecierpliwością. — Wybijmy lepiej szybę w oknie.

— Z pewnością nie mam zamiaru tu obozować, dopóki Krag nie raczy się zjawić.

Podniósł z ziemi stary żelazny pręt, odsunął się na bezpieczną odległość i rąbnął nim w ramę okienną na parterze. Dolny panel rozleciał się na kawałki. Starannie unikając odłamków szkła, Maskull wsunął rękę w otwór i odsunął zasuwkę. Chwilę później obaj wspięli się na okno i znaleźli w środku.

Pomieszczenie okazało się kuchnią, wprost nieprawdopodobnie brudną i zaniedbaną. Meble ledwie trzymały się w kupie; połamane sprzęty i śmieci zalegały na podłodze, zamiast znaleźć się na wysypisku; wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Powietrze tak było zatęchłe, że – jak sądził Maskull – musiało tu nie docierać od miesięcy. Po ścianach łążyły robaki.

Zajrzeli do dalszych pomieszczeń na parterze – zmywalni, skąpo umeblowanej jadalni i schowka na opał. Wszędzie był ten sam brud, stęchlizna i zaniedbanie. Przynajmniej od pół roku nikt tu niczego nie dotykał, a nawet tu nie wchodził.

— Wciąż pokładasz wiarę w tego Kraga? — zapytał Maskull. — Muszę wyznać, że moja jest w punkcie zaniku. Jeśli ta sprawa nie jest w całości jakimś żartem, to ma wszelkie oznaki bycia nim. Krag nigdy w życiu tu nie mieszkał.

— Chodźmy najpierw na górę — powiedział Nightspore.

Pomieszczenia na górze okazały się składać z biblioteki i trzech sypialni. Wszystkie okna były

szczelnie zamknięte, a powietrze odrażające. Łóżka były używane, ale najwyraźniej już bardzo dawno temu i nigdy nie zostały zaścienione. Zszarzała, skotłowana pościel wciąż nosiła ślady użytkowników. Nie było wątpliwości, że są to ślady pradawne, gdyż unoszący się wszelkiego rodzaju brud osadził się na prześcieradłach i narzutach.

— Kto mógł tu spać, jak myślisz? — chciał wiedzieć Maskull. — Pracownicy obserwatorium?

— Raczej podróżni, tacy jak my. Wyjechali nagle.

Maskull, wstrzymując oddech, rzucił się do otwierania na oścież okien we wszystkich pomieszczeniach. Dwie sypialnie miały widok na morze, a trzecia i biblioteka na wznoszący się stok wrzosowiska. Biblioteka była jedynym pomieszczeniem bez śladów pobytu kogokolwiek i Maskull doszedł do wniosku, że jeśli tu ostatnio nikogo nie było, to cała sprawa musi być wielkim oszustwem.

Podobnie, jak we wszystkich innych pomieszczeniach, w bibliotece również panował zaduch stęchłego powietrza i zalegającego kurzu. Pootwierawszy wszystkie okna, Maskull opadł ciężko na fotel i zde gustowany, spojrzał na przyjaciela.

— A teraz co sądzisz o Kragu?

Nightspore przysiadł na brzegu stołu stojącego pod oknem.

— Wciąż mógł tu zostawić dla nas jakąś wiadomość.

— Wiadomość? Po co? Chcesz powiedzieć, że tutaj? Nie widzę tu żadnej wiadomości.

Rozglądając się po pokoju, Nightspore zatrzymał w końcu wzrok na oszklonej szafie, całkiem pustej, jeśli nie liczyć kilku starych butelek na jednej z półek. Maskull spojrzał na niego, a potem na szafę, po czym wstał bez słowa i zaczął oglądać butelki.

Było ich razem cztery, jedna większa od pozostałych. Mniejsze miały jakieś osiem cali wysokości. Wszystkie miały obły kształt i płaskie dno, dzięki któremu mogły stać prosto. Dwie z mniejszych były puste i otwarte, pozostałe zawierały bezbarwny płyn i były zamknięte dziwnie wyglądającym korkiem zaopatrzonym w dyszę i połączonym metalowym prętem z zaczepem przymocowanym w połowie butelki. Obie miały etykiety, ale tak pożółkłe ze starości, że napisy stały się prawie nieczytelne. Maskull zabrał pełne butelki i przyniósł je na stół pod oknem, gdzie było widniej. Nightspore odsunął się, robiąc mu miejsce.

Na większej butelce udało mu się teraz odczytać słowa: „Słoneczne promienie wsteczne”, a na tej drugiej, nie był pewien, ale wydawało mu się, że może odcyfrować coś jakby „Arkturiańskie promienie wsteczne”.

— Byłeś tu już kiedyś, Nightspore? — zawołał, patrząc z ciekawością na przyjaciela.

— Tak myślałem, że Krag może tutaj zostawić jakąś wiadomość.

— No nie wiem, może to i jest wiadomość, ale dla nas ona nic nie znaczy, a przynajmniej dla mnie. Co to są „promienie wsteczne”?

— Światło, które wraca z powrotem do źródła — mruknął Nightspore.

— A cóż to za światło?

Nightspore wydawał się nie kwapić z odpowiedzią, ale widząc, że Maskull nie spuszcza z niego wzroku, oznajmił:

— Czy kwiaty wpadłyby same na to, żeby obracać swoje korony w ślad za słońcem, gdyby światło ich nie ciągnęło i nie popychało?

— Nie wiem. Ciekawe jednak po co tu te butelki?

Mówiąc to, trzymał w ręku mniejszą butelkę, podczas gdy ta druga, położona na stole, potoczyła się przypadkowo w taki sposób, że zaczepiła metalem o stół. Maskull wyciągnął rękę, by ją złapać, ale nie zdążył, gdyż butelka nagle zniknęła na jego oczach. Nie stoczyła się ze stołu, ale naprawdę zniknęła – nigdzie jej nie było.

Maskull przez chwilę wpatrywał się w stół, a potem uniósł brwi i z uśmiechem odwrócił się do Nightspore'a.

— Ta wiadomość robi się coraz bardziej interesująca — powiedział.

Nightspore sprawiał wrażenie znudzonego.

— Zawór się rozszczelnił — powiedział — i zawartość uciekła przez otwarte okno ku słońcu, zabierając ze sobą butelkę. Butelka jednak spłonie w ziemskiej atmosferze i zawartość rozproszy się, nigdy nie docierając do słońca.

Maskull wysłuchiwał z uwagą i uśmiech spelzł mu z twarzy.

— Czy są jakieś przeciwwskazania co do eksperymentów z tą drugą butelką?

— Włóż ją z powrotem do szafy — powiedział Nightspore. — Arktur jest wciąż za horyzontem i jedyne, co by ci się udało, to rozwalić dom.

Stojąc przy oknie, Maskull obserwował w zadumie rozświetlone słońcem wrzosowiska.

— Krag traktuje mnie jak dziecko — stwierdził po chwili. — I pewnie ma rację. Najbardziej, zdaje się, bawi go mój cynizm. Tylko czemu każe mi dochodzić do tego wszystkiego samemu. Bo ciebie nie liczę, Nightspore. Kiedy on tu się zjawia?

— Myślę, że nie przed zmrokiem — odparł jego przyjaciel.

Rozdział 4

Głos

W międzyczasie minęła trzecia. Czując głód, gdyż ostatni raz jedli wcześniej rano, Maskull, bez specjalnej nadziei na znalezienie czegoś jadalnego, zszedł na dół poszukać jakiegoś jedzenia. W kuchennej szafie odkrył torbę zapleśniałych, nienadających się do spożycia płatków owsianych, pewną ilość całkiem dobrej herbaty w szczelnym pudełku i nieotwieraną puszkę wołowych ozorów. Ale najlepsze było to, że przechodząc przez jadalnię, znalazł również nieotwieraną butelkę pierwszorzędnej szkockiej whisky. Natychmiast zabrał się do przygotowywania prowizorycznego posiłku.

Po dość wyczerpującym pompowaniu, z pompy na podwórku popłynęła czysta woda, w której umył i napełnił nią antyczny czajnik. Jedno z kuchennych krzeseł zostało porąbane tasakiem na opał. Lekkie, zakurzone drewno dało w kuchni dobry płomień, woda w czajniku zagotowała się, a filiżanki zostały odszukane i wymyte. Dziesięć minut później przyjaciele obiadowali w bibliotece.

Nightspore jadł i pił niewiele, natomiast Maskull zasiadł do stołu z dobrym apetytem. Nie było mleka, więc zamiast niego użyto whisky; prawie czarna herbata została zmieszana z równą ilością trunku. Maskull pił filiżankę za filiżanką tej mikstury; raczył się nią długo jeszcze po zniknięciu ozora.

Nightspore popatrzył na niego jakoś dziwnie.

— Masz zamiar skończyć tę butelkę, zanim przyjdzie Krag? — zapytał.

— Krag i tak nie będzie pił, a ja czuję się niespokojnie. Trzeba coś zrobić.

— To obejrzymy sobie okolicę.

Filiżanka, którą Maskull podnosił do ust, zawisł w powietrzu.

— Masz jakiś plan, Nightspore?

— Przejdźmy się do Przesmyku Sorgie.

— Co to takiego?

— Punkt widokowy — odpowiedział Nightspore, przygryzając wargę.

Maskull dopił filiżankę i wstał.

— Zawsze lepiej iść na spacer, niż upijać się. Zwłaszcza w taki dzień jak ten. Daleko to jest?

— Trzy, cztery mile w jedną stronę.

— Ty coś chyba kombinujesz — powiedział Maskull — bo zaczynasz mi wyglądać jak drugi Krag. Ale co tam, to nawet lepiej. A ja robię się nerwowy i brak mi zajęcia.

Wyszli z domu przez drzwi, pozostawiając je na wpółotwarte i chwilę potem znaleźli się z powrotem na drodze przez wrzosowiska, która doprowadziła ich tu z Haillar. Minęli wieżę i poszli dalej.

Przechodząc, Maskull spojrzał na budowlę z zaciekawieniem.

— Nightspore, do czego służy ta wieża?

— Pożeglujemy z platformy na jej szczycie.

— Dziś wieczorem? — zapytał Maskull, rzucając mu szybkie spojrzenie.

— Tak.

— Patrzymy więc na wrota Arktura, a Krag teraz zdąży na północ, by je otworzyć. — Maskull uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały poważne.

— Mam wrażenie, że nie uważasz już tego za niemożliwe — mruknął Nightspore.

Jakąś milę lub dwie dalej droga opuściła brzeg morza i skręciła gwałtownie w głąb lądu, między wzgórz. Z Nightsporem jako przewodnikami porzucili ją i poszli dalej po trawie. Ledwo widoczna owcza ścieżka prowadziła przez jakiś czas wzdłuż krawędzi klifu, ale później, po jakiejś mili, zniknęła.

Obu mężczyzn czekało teraz trochę trudniejszej drogi w górę i w dół zboczami wzgórz i w poprzek wąwozów. Słońce schowało się za wierzchołkami i niedostrzegalnie zaczęło zmierzchać. Wkrótce dotarli do miejsca, w którym dalsza droga wydawała się niemożliwa. Stok góry opadał pod ostrym kątem do samej krawędzi klifu, tworząc śliskie trawiaste zbocze nie do przejścia. Maskull zatrzymał się i poskrobał po brodzie, zastanawiając się, jak pójść dalej.

— Tu jest trochę wspinaczki — powiedział Nightspore. — Obaj mamy w tym trochę doświadczenia i nie będzie tego zbyt wiele.

Wskazał wąski występ wijący się wzdłuż ściany urwiska, kilka jardów poniżej miejsca, w którym stali. Średnio było to od piętnastu do trzydziestu cali szerokości. Nie czekając na zgodę Maskulla, zsunął się błyskawicznie w dół i szybkim krokiem ruszył wzdłuż półki. Maskull, nie mając wyboru, podążył za nim. Półka ciągnęła się nie dalej niż ćwierć mili, ale przejście nią było nieco denerwujące; urwisko opadało całkiem pionowo czterysta stóp do morza. W wielu miejscach musieli posuwać się bokiem, nie mogąc postawić jednej stopy przed drugą. Z dołu, jak niski, groźny łoskot, docierał do nich huk przyboju.

Za zakrętem występ poszerzył się i nagle skończył, przechodząc w sporą skalną platformę. Dalsza część klifu oddzielona była wąskim morskim przesmykiem.

— Skoro nie można iść dalej — powiedział Maskull — to przypuszczam, że jest to już ten twój Przesmyk Sorgie?

— Tak — potwierdził jego przyjaciel, rzucając się na kolana, a potem całkiem się kładąc twarzą w dół. Głowę i ramiona wysunął poza krawędź i zaczął patrzeć prosto w przepaść, na wodę.

— Nightspore, jest tam w dole coś interesującego?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, Maskull poszedł za przykładem przyjaciela i chwilę później on też wpatrywał się w dół. Nie było nic do oglądania; mrok pogłębił się, a morze było ledwo widoczne. Niemniej, gapiąc się tak bezowocnie, usłyszał coś, co brzmiało tak, jakby na wąskim pasku lądu poniżej bito w bębny. Dźwięki były bardzo słabe, ale całkiem wyraźne. Rytm był na cztery czwarte z lekkim akcentem na trzecie uderzenie. Leżąc, wciąż to słyszał. Bębnienie w żaden sposób nie zatracalo się w daleko głośniejszym hałasie przyboju, ale wydawało się w jakiś sposób przynależeć do innego świata.

— Przyszliśmy tu wyłącznie po to, żeby tego posłuchać? — zapytał Maskull, gdy już wstali.

Nightspore rzucił na niego jedno z tych swoich dziwnych spojrzeń.

— Miejscowi nazywają to „Bębnami Sorgie”. Tej nazwy już więcej nie usłyszysz, ale pewnie usłyszysz znów ten dźwięk.

— A jak usłyszę, to co? — zapytał zdumiony Maskull.

— W tym jest swoista wiadomość. Tylko zawsze się staraj usłyszeć jak najwyraźniej. No, robi się ciemno, musimy wracać.

Maskull wyciągnął odruchowo zegarek i sprawdził, która godzina. Minęła szósta. Nie myślał jednak o późnej porze, tylko o tym, co powiedział Nightspore.

Zanim wrócili do wieży, zapadła noc. Czarne niebo zaalała powódź gwiazd. Arktur wzniósł się trochę ponad powierzchnię morza, dokładnie na wprost nich, na wschodzie. Gdy mijali podstawę wieży, Maskull z nagłym zdziwieniem zobaczył, że brama jest otwarta. Chwycił Nightspore'a gwałtownie za ramię.

— Zobacz. Krag wrócił.

— Musimy iść szybko do domu.

— A dlaczego nie do wieży? On jest prawdopodobnie tam, bo brama jest otwarta. Chcę tam zajrzeć.

Nightspore chrząknął, ale nie sprzeciwił się.

Wewnątrz wieży było całkowicie ciemno. Maskull zapalił zapalniczkę. Migoczący płomień ukazał dolny stopień kamiennych kręconych schodów.

— Idziesz na górę? — zapytał.

— Nie, poczekam tutaj.

Nie zwlekając, Maskull zaczął wchodzić. Ledwo jednak pokonał pół tuzina stopni, a już był zmuszony

zatrzymać się dla złapania oddechu. Czuł się tak, jakby niósł na górę nie jednego, ale trzech Maskullów. W miarę jak wchodził, uczucie miazdzącego ciężaru wcale się nie zmniejszało, lecz rosło coraz bardziej. Kolejne stopnie stawały się fizycznie nie do pokonania; płuca nie mogły wciągnąć wystarczającej ilości tlenu, a serce waliło jak silnik okrętowy. Pot spływał mu po twarzy. Na dwudziestym stopniu zakończył pierwsze okrażenie wieży i znalazł się na wprost pierwszego okna umieszczonego w wysokiej ambrazurze.

Zdając sobie sprawę z tego, że wyżej nie wejdzie, zapalił następną zapalną i wspiał się na ambrazurę, licząc na to, że uda mu się tak czy owak coś z tej wieży zobaczyć. Płomyk zgasł i w oknie ujrzał gwiazdy. Ku swemu zdumieniu zorientował się nagle, że to wcale nie jest okno, ale soczewka. Niebo nie było rozległą przestrzenią z mnóstwem gwiazd, lecz niewyraźną ciemnością, ostrą jedynie w miejscu, gdzie w bliskiej koniunkcji widać było dwa bardzo jasne słońca rozmiaru małych księżyców, a w ich pobliżu nieco mniejszy obiekt planetarny jasny jak Wenus, ale z obserwowalnym dyskiem. Jedno z tych słońc świeciło oślepiającą bielą, a drugie dziwnym, budzącym grozę błękitem. Ich światło, chociaż prawie tak intensywne jak światło Słońca, nie oświetlało wnętrza wieży.

Maskull od razu zrozumiał, że widoczny układ ciał niebieskich jest znany w astronomii jako gwiazda Arktur. Widział go już wcześniej przez przyrząd Kraga, tylko wtedy skala była mniejsza, a kolory bliźniaczych słońc nie ukazały się w swej nagiej rzeczywistości. Te kolory wydały mu się wprost nieprawdopodobne, jak gdyby jego ziemskie oczy nie widziały ich poprawnie. Najdłużej i najbardziej pożądliwie spoglądał na Tormance, tajemniczy, straszny łąd, odległy o niezliczone miliony mil, na którym, jak mu obiecano, postawi stopę, nawet gdyby jego kości miały tam pozostać. Dziwne stworzenia, które miał ujrzeć i których miał dotknąć, już tam żyły – w chwili obecnej.

Szept, cichy jak westchnienie, dotarł do jego uszu z odległości nie dalszej niż jard.

— Maskull, czy ty nie rozumiesz, że jesteś tylko narzędziem, które zostanie użyte, a potem zniszczone? Nightspore teraz śpi, ale gdy się obudzi, ty będziesz musiał umrzeć. Odejdziesz, a on powróci.

Trzęsącymi się palcami zapalił pośpiesznie następną zapalną. W zasięgu wzroku nie było nikogo; dookoła panował spokój jak w grobie.

Głos już się nie pojawił. Maskull odczekał jeszcze kilka minut, po czym zszedł do podstawy wieży. Gdy wyszedł na otwartą przestrzeń, uczucie ciężkości natychmiast ustąpiło, wciąż jednak czuł się zadyszany i roztrzęsiony jak człowiek, który podniósł zbyt duży ciężar.

Z ciemności wyłoniła się postać Nightspore'a.

— I co, był tam Krag?

— Jeśli nawet, to go nie widziałem. Ale słyszałem czyjś głos.

— Kraga?

— Nie, to nie był Krag. Ten głos ostrzegał mnie przed tobą.

— No tak, będziesz również słyszał głosy — powiedział Nightspore zagadkowo.

Rozdział 5

Noc wyjazdu

Gdy dotarli do domu, okna były ciemne, a drzwi uchylone, tak jak je zostawili; Kraga prawdopodobnie tam nie było. Maskull obszedł cały dom, świecąc zapalniczkami w każdym pomieszczeniu – pod koniec był gotów przysiąc, że człowiek, na którego czekali, nie wsadził do żadnego z nich nawet swojego nosa. Błąkając się po ciemku, zaszli do biblioteki i czekając, usiedli w ciemnościach, jako że nic innego do zrobienia im nie pozostało. Maskull zapalił fajkę i zaczął dopijać resztę whisky. Przez otwarte okno słychać było dochodzący od podnóża klifu szum morza przypominający hałas pociągu.

— Koniec końców Krag musi być na wieży — stwierdził, przerywając ciszę.

— Jasne, on się przygotowuje — zgodził się Nightspore.

— Mam nadzieję, że nas tam nie oczekuje. To było ponad moje siły. Bóg wie dlaczego. Na tych schodach musi działać jakieś magnetyczne przyciąganie.

— To grawitacja Tormance — mruknął Nightspore.

— Rozumiem. A raczej nie rozumiem, chociaż to nie ma znaczenia.

Palił dalej w milczeniu, biorąc od czasu do czasu łyk świetnego trunku.

— Kto to jest Surtur? — zapytał nagle.

— My wszyscy to błądzący po omacku dyletanci, a Surtur jest mistrzem.

Maskull przez chwilę przetrawiał to.

— Przypuszczam, że masz rację — powiedział. — No bo przecież nic o nim nie wiem, a jednak samo jego imię działa na mnie ekscytująco. Znasz go osobiście?

— Pewnie... Nie pamiętam... — odpowiedział Nightspore zdławionym głosem.

Maskull spojrzał zdziwiony, ale w ciemnościach nic nie było widać.

— Znasz tylu niezwykłych ludzi, że niektórych zapominasz? To może powiedz mi... Tam, gdzie jedziemy... spotkamy go?

— Ty, Maskull, spotkasz śmierć... O nic już nie pytaj. Nie potrafię odpowiedzieć.

— No to poczekajmy na Krag — powiedział zimno Maskull.

Dziesięć minut później drzwi frontowe trzasnęły i na schodach rozległy się szybkie, lekkie kroki. Maskull wstał z bijącym sercem.

W drzwiach pojawił się Krag z niezbyt jasną latarnią w ręku. Na głowie miał kapelusz; wyglądał surowo i nieprzejednanie. Przez chwilę mierzył wzrokiem obu przyjaciół, po czym wszedł do pokoju i postawił latarnię na stole. Jej światła ledwo wystarczyło do rozjaśnienia ścian.

— Więc jesteś, Maskull.

— Na to wygląda. Ale nie dziękuję za twoją gościnność, bo wyraźnie takowej nie było.

— Jesteś gotowy do startu? — zapytał Krag, ignorując uwagę.

— Oczywiście, kiedy tylko zechcesz. Tutaj nie jest zbyt rozrywkowo.

Krag zmierzył go krytycznym spojrzeniem.

— Słyszałem, jak potykałeś się na schodach. Zdaje się, że nie dałeś rady wejść wyżej.

— To chyba będzie przeszkoda, bo start, jak mówił Nightspore, ma się odbyć ze szczytu.

— I pozbyłeś się już innych wątpliwości?

— O tyle, Krag, że teraz posiadam otwarty umysł. Bardzo chciałbym zobaczyć, co potrafisz.

— I żadnych innych pytań... Pozostaje tylko ten problem na wieży. Rozumiesz, że dopóki nie dasz rady wspiąć się na szczyt, nie będziesz mógł stawić czoła grawitacji Tormance?

— Powtarzam, to jest paskudna przeszkoda, bo ja na pewno na szczyt nie wejść.

Krag szukał chwilę po kieszeniach, po czym wyjął składany nóż.

— Zdejmij kurtkę i podwiń rękaw koszuli — zażądał.

— Chcesz mi zrobić nacięcie tym nożem?

— Tak, i nie rób trudności, bo efekt jest pewny, tyle że prawdopodobnie przedtem tego i tak nie zrozumiesz.

— Dobrze... ale nacięcie kieszonkowym nożem... — zaczął Maskull, śmiejąc się.

— Maskull, to się samo wyjaśni — wtrącił Nightspore.

— A ty też odsłoń ramię, arystokrato wszechświata — powiedział Krag. — Sprawdźmy, z czego jest twoja krew.

Nightspore posłuchał.

Krag otworzył nóż i dużym ostrzem ciął niedbale i niemal brutalnie górną część ramienia Maskulla. Rana była głęboka i krew popłynęła obficie.

— Mam to zabandażować? — zapytał Maskull, krzywiąc się z bólu.

Krag splunął na ranę.

— Opuść rękaw, już nie będzie krwawić — powiedział i odwrócił się do Nightspore'a, który zniósł operację z ponurą obojętnością.

Krag rzucił nóż na podłogę.

Emanujący z rany, straszliwy ból rozchodził się po całym ciele Maskulla, który zaczynał już wątpić, czy uda mu się nie zemdleć, gdy nagle katusze się skończyły i został tylko dokuczliwy ból w skaleczonym ramieniu, silny jednak na tyle, by zmienić życie w przewlekłą udrękę.

— No i to wszystko — powiedział Krag. — A teraz chodźcie ze mną.

Wziął latarnię i poszedł na dół. Pozostali pospieszyli za nim, korzystając ze światła i po chwili w opustoszałym domu rozległ tupot ich kroków na pozbawionych dywanu schodach. Krag zaczekał, dopóki nie wyjdą, po czym trzasnął frontowymi drzwiami z taką siłą, że zadrżały szyby w oknach.

Poszli szybko na przełaj w kierunku wieży.

— Słyszałem jakiś głos na tych schodach — powiedział Maskull, chwytając Kraga za ramię.

— I co powiedział?

— Że pójdę ja, ale wróci Nightspore.

Krag uśmiechnął się.

— O tej podróży zaczyna być głośno — stwierdził po chwili. — Ktoś musi nam źle życzyć. No cóż, chcesz wrócić?

— Sam nie wiem, czego chcę. Pomyślałem tylko, że to jest na tyle ciekawe, żeby o tym wspomnieć.

— Nie ma nic złego w słyszeniu głosów — powiedział Krag — ale nie wyobrażaj sobie, że wszystko, co dociera do ciebie ze świata nocy, ma sens.

Wejście do wieży było otwarte. Krag, nie zatrzymując się, wszedł na spiralne schody i pobiegł rażno na górę, niosąc latarnię. Maskull, pamiętając o poprzednich bolesnych doświadczeniach na tych schodach, ruszył za nim z pewną obawą, ale kiedy po kilku pierwszych krokach odkrył, że wciąż oddycha bez trudności, jego obawy zmieniły się w ulgę i podziw, i zaczął szczebiotać jak dziewczynka.

Chociaż Krag minął najniższe okno, nie zatrzymując się, Maskull wspiał się na ambrazurę, chcąc odnowić znajomość z cudownym widokiem układu Arktura. Soczewka straciła jednak swoje magiczne właściwości. Stała się zwykłym kawałkiem szkła, przez który widać było zwykłe niebo.

Wchodząc wyżej, przy drugim i trzecim oknie również wspiał się i wyglądał na zewnątrz. Ale tam również zastawał zwykły widok. Z wyższych okien więc zrezygnował i już więcej nie wyglądał.

Tymczasem Krag i Nightspore poszli do przodu ze światłem i musiał dalej iść w ciemności. Gdy był już blisko szczytu, zobaczył żółte światło w szparze uchylonych drzwi. Jego współtowarzysze znajdowali się wewnątrz niewielkiego pomieszczenia oddzielonego od schodów przepierzeniem z surowego drewna. Pomieszczenie było kiepsko umeblowane i nie zawierało nic interesującego z astronomicznego punktu widzenia. Latarnia spoczywała na stole.

Maskull wszedł do środka i rozejrzał się z ciekawością.

— Jesteśmy już na szczycie?

— Jest jeszcze platforma nad nami — odpowiedział Krag.

— Dlaczego to najniższe okno nie przybliży jak przedtem?

— Och, po prostu straciłeś okazję — odpowiedział Krag, szczerząc zęby. — Gdybyś wtedy się wspiał na samą górę, ujrzałbyś rzeczy zapierające dech w piersiach. Z piątego okna, na przykład byłoby widać Tormance jak na mapie plastycznej, a z szóstego krajobraz... Teraz już nie ma potrzeby.

— Dlaczego? I co ma do tego potrzeba?

— Po tym skaleczeniu, mój przyjacielu, wszystko się dla ciebie zmieniło. No i tym razem byłeś w stanie pokonać te schody i nie musiałeś się zatrzymywać i gapić po drodze na iluzje.

— W porządku — powiedział Maskull, nie całkiem rozumiejąc, co tamten ma na myśli. — A to jest kryjówka Surtura?

— Spędził tu trochę czasu.

— Dobrze by było, Krag, gdybyś mi opisał tego tajemniczego osobnika. Możemy nie mieć innej okazji.

— To, co powiedziałem o oknach, dotyczy również Surtura. Szkoda czasu na opisywanie go, skoro zaraz się udasz zobaczyć go w naturze.

— No to lećmy — powiedział Maskull, pocierając oczy ze znużeniem.

— Rozbieramy się? — zapytał Nightspore.

— Jasne — odpowiedział Krag i zaczął zdejmować z siebie ubranie powolnymi, niezgrabnymi ruchami.

— Dlaczego — zdziwił się Maskull, niemniej poszedł w ślady tamtych dwóch.

— Kto wie, jaka na Tormance panuje teraz moda? Może wyrosną nam jakieś kończyny? — Krag rąbnął się jak małpolud w szeroką, gęsto zarośniętą klatkę piersiową. — Chociaż wcale nie twierdzę, że wyrosną.

— Co takiego! — wykrzyknął Maskull, zastygając na wpół rozebrany.

— Nowe narzędzia dostarczające przyjemność. — Krag wałnął go po plecach. — Podobają ci się coś takiego, Maskull?

Wszyscy trzej stanęli nadzy, jak ich Pan Bóg stworzył. Chwila odlotu się zbliżała i nastrój Maskulla poprawiał się błyskawicznie.

— No to strzemienne! — krzyknął Krag, chwytając za butelkę i utracając szyjkę palcami. Nie było kieliszków, więc rozlał bursztynowe wino do poobtłukiwanych filiżanek.

Widząc, że tamci piją, Maskull wychylił swoją porcję. Miał wrażenie, że łyknął haust ciekłej elektryczności. Krag rzucił się na podłogę i obracając na grzbiecie, fikał nogami w powietrzu. Próbował wciągnąć na siebie Maskulla i przez chwilę hałaśliwie się barowali. Nightspore nie brał w tym udziału; chodził w tę i z powrotem jak głodne zwierzę w klatce.

Nagle z zewnątrz doszło ich pojedyncze, długie, świdrujące uszy zawrodożenie – ktoś mógłby tak sobie wyobrazić krzyk *banshee*. Urwało się nagle i już nie powtórzyło.

— Co to było? — zawołał Maskull, uwalniając się niecierpliwie od Kraga.

Krag tarzał się ze śmiechu.

— Szkocki duch próbujący odtworzyć dźwięk kobzy zasłyszany w ziemskim życiu. To dla uczczenia naszego odjazdu.

— Czy Maskull będzie spał w czasie podróży? — Nightspore zapytał Kraga.

— Ty również, jeśli sobie życzysz, mój altruistyczny przyjacielu. Ja jestem pilotem, ale wy, pasażerowie, możecie się zabawiać, jak wam się podoba.

— Wystartujemy w końcu czy nie? — zapytał Maskull.

— Już zaraz przekroczysz swój rubikon, Maskull. I to jaki! Wiesz, że światło potrzebuje stu lat, czy coś koło tego, żeby dotrzeć tutaj z Arktura? A my zrobimy to w dziewiętnaście godzin.

— Twierdzisz więc, że Surtur już tam jest?

— Surtur jest, tam gdzie jest. To wielki podróżnik.

— Nie zobaczę go?

Krag podszedł do niego i spojrzał mu w oczy.

— Nie zapominaj, że o to prosiłeś i że tego chciałeś. Niewiele osób na Tormance będzie wiedziało

o nim więcej niż ty, ale twoja pamięć będzie twoim najgorszym przyjacielem.

Poprowadził ich w kierunku krótkiej, żelaznej drabiny przymocowanej pod klapą w płaskim suficie. Gdy wyszli na górę, zapalił małą elektryczną latarkę.

Maskull spojrzał z podziwem na kryształową torpedę, która miała ich przewieźć przez całą otchłań widzialnego kosmosu. Miała czterdzieści stóp długości, osiem szerokości i osiem wysokości; zbiornik zawierający arkturiańskie promienie wsteczne był z przodu, a kabina z tyłu. Dziób torpedy wycelowany był ku południowo-wschodniemu niebu. Cała maszyna spoczywała na płaskim podeście podniesionym około cztery stopy powyżej powierzchni dachu, tak żeby nie było przeszkód przy starcie.

Krag oświetlił drzwi do kabiny, żeby mogli wsiąść. Maskull, zanim to zrobił, najpierw jeszcze raz popatrzył surowo na ogromną, odległą gwiazdę, która miała w najbliższej przyszłości stać się ich słońcem. Zmarszczył brwi, wzdrygnął się lekko i wszedł do pojazdu za Nightsporem. Krag przecisnął się obok nich na siedzenie pilota. Wyrzucił latarkę przez otwarte drzwi, które zaraz potem zostały dokładnie zamknięte, uszczelnione i zabezpieczone.

Krag nacisnął dźwignię startu. Torpeda ześlizgnęła się łagodnie z podestu i dość powoli oddaliła od wieży w kierunku morza. Jej prędkość zwiększała się wyczuwalnie, choć nie nadmiernie, dopóki nie osiągnęła przybliżonych granic ziemskiej atmosfery. Wówczas Krag przesunął dźwignię gazu i pojazd runął do przodu z prędkością bliższą raczej tej, jaką osiąga myśl, niż prędkości światła.

Maskull nie miał okazji przyjrzeć się przez krystaliczne ściany szybko zmieniającej się panoramie niebios. Ogarnęła go straszliwa senność. Tuzin razy otwierał oczy siłą, ale przy trzynastym nie dał rady i od tej chwili spał głębokim snem.

Znudzona, wygłodniała mina nawet na chwilę nie zniknęła z twarzy Nightspore'a. Zmiany zachodzące na niebiosach wydawały się nie budzić u niego żadnego zainteresowania.

Krag, z ręką na manetce, wpatrywał się z dziką intensywnością w swoje fosforyzujące tablice i wskaźniki.

Rozdział 6

Joiwind

Gdy Maskull obudził się z tego głębokiego snu, była ciemna noc. Wiał wiatr, napierając delikatnie, ale jak ściana – na Ziemi nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Leżał rozciągnięty, niezdolny do uniesienia się z uwagi na duży ciężar swojego ciała. Wszelkim innym wrażeniom współtowarzyszył porażający ból, którego nie był w stanie nigdzie umiejscowić. Udręka przeciągała się, chwilami wywołując gorycz i irytację, a chwilami pozwalając o sobie zapomnieć.

Na czole poczuł coś twardego. Sięgnął ręką i odkrył mięsistą wypukłość rozmiaru małej śliwki z wgłębieniem, którego dna nie potrafił wyczuć. Potem zauważył również duże guzy po obu stronach szyi, mniej więcej cał poniżej uszu.

W okolicy serca wypęczkowała mu jakaś macka. Była długa, co najmniej jak ręka, ale cienka jak bicz, miękka i elastyczna.

Gdy tylko zrozumiał znaczenie tych nowych organów, serce забиło mu mocno. Jakakolwiek miałyby – lub nie miałyby – być ich funkcja, dowodziły jednego, że znalazł się w nowym świecie.

Część nieba zrobiła się jaśniejsza niż reszta. Zaczął krzyczeć, nawołując swoich współtowarzyszy, ale nikt nie odpowiadał. Wystraszył się. Kontynuował nawoływania w nieregularnych odstępach – równie zaniepokojony ciszą, co brzmieniem swego głosu. W końcu, gdy żaden odzew nie nadszedł, pomyślał, że mądrzej będzie nie robić za dużo hałasu i od tej pory leżał cicho, czekając z zimną krwią na to, co się może wydarzyć.

Jakiś czas później zauważył wokół siebie niewyraźne cienie, nie byli to jednak jego przyjaciele.

Ciemną noc zaczął zastępować unoszący się nad ziemią rzadki, mleczny opar, a w górnych partiach nieba pojawiły się odcienie różu. Na Ziemi powiedziano by, że wstaje dzień. Niezauważalnie pojawiła się powoli narastająca jasność.

Wtedy Maskull odkrył, że leży na piasku. Piasek był w kolorze szkarłatu. Niewyraźne cienie, które zauważył wcześniej, okazały się być krzakami o czarnych łodygach i fioletowych liściach. Jak dotąd nic więcej nie było widać.

Wstawał dzień. Było zbyt mgliście na bezpośredni blask słońca, niemniej już wkrótce intensywność światła stała się większa niż na Ziemi w słoneczne południe. Równie szybko robiło się gorąco, co Maskull przywitał z zadowoleniem, gdyż złagodziło jego ból i zmniejszyło uczucie miazdzącego ciężaru. Wraz ze wschodem słońca ustał wiatr.

Spróbował podnieść się na nogi, ale udało mu się jedynie uklęknąć. Nie był w stanie zobaczyć niczego odleglejszego. Mgły rozproszyły się tylko częściowo i jedyne, co zdołał dostrzec, to wąski krąg czerwonego piasku i dziesięć czy dwadzieścia krzaków.

Z tyłu, na szyi, poczuł zimne dotknięcie. Przestraszony, rzucił się do przodu i nerwowo poczołgał po piasku. Spojrzał szybko przez ramię i zdumiał się, widząc stojącą za nim kobietę.

Ubrana była w powłóczystą, jasnozieloną szatę udrapowaną w sposób raczej klasyczny. Według ziemskich standardów nie była zbyt piękna, gdyż jej twarz, skądinąd ludzka, obdarzona była – a właściwie zeszpecona – dodatkowymi zniekształcającymi narządami, takimi samymi jakie Maskull odkrył u siebie, wliczając w to mackę w okolicy serca. Gdy usiadł, ich oczy spotkały się i pozostały w duchowym kontakcie; wydało mu się, że zagląda prosto do jej duszy – siedliska miłości, ciepła, uprzejmości, łagodności i przyjaźni. Z jej oczu biła taka szlachetna zażyłość, jakby się dobrze znali. Natychmiast zaakceptował wszelkie cechy jej osobowości. Była smukła i wysoka. Poruszała się wdzięcznie, jak w tańcu. Jej skóra, niepodobna do matowej bieli ziemskich piękności, opalizowała – z każdą myślą i uczuciem nieustannie zmieniała odcień, który jednak nigdy nie był jaskrawy, lecz zawsze stonowany, delikatny i poetyczny. Włosy miała w kolorze lnu, bardzo długie i luźno splecione. Nowe narządy, do których Maskull zdążył już przywyknąć, nadawały jej twarzy niepowtarzalny i imponujący charakter. Nie był w stanie w pełni tego zdefiniować, ale uważał, że dodają jej subtelności

i duchowości. Narządy te nie kolidowały z urokiem jej oczu ani z anielską nieskazitelną rysów, nadając jej wyglądowi głębszą nutę – coś, co oszczędzało jej bycia wyłącznie dziewczęcą.

Jej spojrzenie było tak przyjazne i nieonieśmielające, że Maskull, siedząc u jej stóp nagi i bezsilny, prawie nie odczuwał upokorzenia. Kobieta, zdając sobie sprawę z jego położenia, podała mu ubranie, które trzymała pod pachą. Było podobne do tego, które sama miała na sobie, tyle że w ciemniejszym, bardziej męskim kolorze.

— Dasz radę sam się ubrać?

Słowa zrozumiał wyraźnie, chociaż głosu nie było słychać.

Z trudem wstał, a ona pomogła mu poradzić sobie ze skomplikowanym udrapowaniem.

— Biedaku, jak ty cierpisz! — powiedziała w tym samym niesłyszalnym języku. Tym razem Maskull odkrył, że znaczenie tych słów jego mózg odbiera za pomocą narządu na czole.

— Gdzie ja jestem? Czy to jest Tormance? — Mówiąc, zatoczył się. Podtrzymała go i pomogła usiąść.

— Tak. Jesteś wśród przyjaciół.

Obdarzyła go uśmiechem, po czym zaczęła mówić głośno i po angielsku. Jej głos w jakiś sposób kojarzył mu się z wiosną, taki był świeży, żywiołowy i dziewczęcy.

— Teraz już rozumiem twój język — powiedziała. — Z początku był mi obcy. W przyszłości będę mówiła do ciebie ustami.

— To nadzwyczajne! A co to jest ten organ? — zapytał, dotykając czoła.

— To się nazywa *breviis*. Przy jego pomocy odczytujemy czyjeś myśli. Jednak mowa jest lepsza, gdyż można czytać również w sercu.

Maskull uśmiechnął się.

— Mówią, że mowę dostaliśmy po to, żeby oszukiwać innych.

— Myślami również można oszukać. Ale ja myślę o dobrych rzeczach, nie o złych.

— Widziałaś może moich przyjaciół?

Mierzyła go przez chwilę wzrokiem, zanim odpowiedziała.

— Nie przybyłeś tu sam?

— Przybyłem tu w maszynie wraz z dwoma innymi mężczyznami. Musiałem stracić przytomność po przylocie i od tej pory ich nie widziałem.

— Bardzo dziwne. Nie, nie widziałam ich. Tu ich nie ma, inaczej byśmy o tym wiedzieli. Mój mąż i ja...

— Jak się nazywasz, jak się nazywa twój mąż?

— Ja nazywam się Joiwind, a mój mąż Panawe. Mieszkamy bardzo daleko stąd; niemniej w nocy dotarło do nas, że leżysz tu bez zmysłów. Prawie się pokłóciliśmy o to, kto ma do ciebie pójść, ale w końcu ja wygrałam. — Roześmiała się. — Wygrałam, bo z nas dwojga to ja mam większe serce. On jest bardziej obiektywny.

— Dzięki, Joiwind — powiedział po prostu Maskull.

Kolory na jej skórze pogoniły za sobą.

— Och, nie ma za co. Nie ma większej przyjemności niż dobry uczynek. Ucieszyła mnie ta sposobność... Ale teraz musimy wymienić się krwią.

— Co takiego? — zapytał zaintrygowany.

— Tak trzeba. Twoja krew jest zbyt gęsta i zbyt ciężka dla naszego świata. Bez infuzji mojej krwi, nigdy nie wstaniesz.

Maskull poczerwieniał.

— Czuję się tutaj, jak kompletny ignorant... A tobie to nie zaszkodzi?

— Skoro twoja krew przyprawia cię o ból, to przypuszczam, że mnie również zaboli. Ale tym bólem

się podzielimy.

— Jak dla mnie, to zupełnie nowy typ gościnności — mruknął.

— Ty nie zrobiłbyś tego dla mnie? — zapytała Joiwind z półuśmiechem, nieco poruszona.

— Nie wiem, co mógłbym zrobić w tym świecie. Ledwo się orientuję, gdzie jestem... No cóż, Joiwind, oczywiście, że bym to zrobił.

Podczas ich rozmowy nastał pełny dzień. Mgły podniosły się z ziemi i tylko górne warstwy atmosfery pozostały zamglone. Dookoła rozpościerała się szkarłatna pustynia i tylko w jednym kierunku było coś w rodzaju małej oazy – kilka niskich wzgórz od podstawy do szczytu pokrytych z rzadka fioletowymi drzewami. Nie było do nich dalej niż ćwierć mili.

Joiwind miała ze sobą mały krzemienny nóż. Bez śladu niepokoju zrobiła sobie ostrożnie głębokie nacięcie na ramieniu. Maskull zaprotestował.

— Wierz mi, ten etap jest niczym — roześmiała się Joiwind. — A gdyby nawet był, to co z tego? Poświęcenie, które nie jest żadnym poświęceniem? Teraz ty! Daj rękę!

Po jej ręce strumieniem spływała krew. Nie była to jednak czerwona krew, tylko mleczny, opalizujący płyn.

— Nie tę — powiedział Maskull, kuląc się. — Na tej mam już nacięcie.

Nadstawił drugie ramię, które spłynęło krwią. Joiwind delikatnie i umiejętnie zetknęła rozwarte nacięcia obu ran ze sobą i na dłuższy czas docisnęła mocno swoje ramię do jego. Maskull poczuł strumień rozkoszy wpływający w jego ciało przez nacięcie. Wracała mu dawna lekkość i wigor. Po około pięciu minutach zaczęli się prześcigać w uprzejmościach; on chciał już zabrać ramię, a ona wciąż kontynuować. W końcu dopiął swego, ale czas na to był już najwyższy – Joiwind stała biała i pozbawiona ducha.

Spojrzała na niego dużo poważniej niż przed chwilą, jak gdyby przed jej oczami otwarły się dziwne głębie.

— Jak się nazywasz?

— Maskull.

— Skąd ty się wziąłeś z taką paskudną krwią?

— Ze świata zwanego Ziemią. Joiwind, to jasne, że ta krew nie pasuje do tego świata, ale koniec końców należało tego oczekiwać. Przykro mi, że pozwoliłem ci to zrobić po twojemu.

— Och, nie mów tak! Nic innego nie można było zrobić. Musimy sobie pomagać. Niemniej, wybaczyć, ale czuję się jakoś zbrukana.

— No i masz prawo, bo przecież straszną rzeczą dla dziewczyny musi być akceptacja we własnych żyłach krwi obcego faceta z obcej planety. Gdybym nie był tak oszołomiony i słaby, nigdy bym ci na to nie pozwolił.

— Nalegałabym. Czyż nie jesteśmy wszyscy braćmi i siostrami? Maskull, po co tu przyleciałeś?

— Może pomyślisz, że to głupie — poczuł się nieco zakłopotany — jeśli powiem, że nie bardzo wiem. Przybyłem tutaj z dwoma mężczyznami... Chyba przyciągnęła mnie ciekawość... a może żądzą przygód.

— Bardzo możliwe — zgodziła się Joiwind. — Zastanawiam się... Ci twoi przyjaciele muszą być paskudni. A po co oni tu przybyli?

— To mogę ci powiedzieć. Podążali za Surturem.

Na jej twarzy pojawiło się zakłopotanie.

— Nie rozumiem tego. Przynajmniej jeden z nich musi być złym człowiekiem, a przecież jeżeli podąża śladem Surtura – czyli Shapinga, jak go tutaj nazywają – nie może być naprawdę zły.

— A co wiesz o Surturze? — spytał zdumiony Maskull.

Joiwind milczała przez jakiś czas, przyglądając się jego twarzy. Jego mózg pracował nieustannie, jakby był sondowany z zewnątrz.

— Rozumiem... a przecież nie rozumiem — powiedziała w końcu. — To jest bardzo trudne... Twój Bóg to straszna Istota – bezcielesna, nieprzyjazna, niewidzialna. My tutaj nie modlimy się do takich Bogów. Powiedz mi, widział ktoś kiedyś twojego Boga?

— O co ci chodzi, Joiwind? Dlaczego rozmawiamy o Bogu?

— Odpowiedz mi najpierw.

— Uznaje się, że dawno temu, kiedy Ziemia była młoda i doskonała, niektórzy święci ludzie odbywali rozmowy z Bogiem, ale te czasy już minęły.

— Nasz świat jest wciąż młody — powiedziała Joiwind. — Shaping bywa między nami i zdarza mu się rozmawiać. Jest prawdziwy i aktywny – przyjaciel i ukochany. Stworzył nas i kocha swoje dzieło.

— Spotkałaś go? — zapytał Maskull, nie wierząc własnym uszom.

— Nie. Nie zrobiłam jeszcze nic, żeby na to zasłużyć. Któregoś dnia będzie mi dana sposobność, by się poświęcić, a wtedy może zostanę nagrodzona spotkaniem i rozmową z Shapingiem.

— Bez wątpliwości jestem w innym świecie. Ale dlaczego mówisz, że Shaping to Surtur?

— Bo tak jest. My kobiety nazywamy go Shapingiem, tak samo również większość mężczyzn, ale niektórzy nazywają go Surturem.

Maskull przygryzł paznokieć.

— A słyszałaś kiedykolwiek o Crystalmanie?

— To też jest Shaping. Widzisz, on ma wiele imion. To jest dowód na to, ile miejsca zajmuje w naszych umysłach. Crystalman to imię pieszczotliwe.

— Dziwne — powiedział Maskull — bo ja przybyłem tutaj z całkowicie odmiennym wyobrażeniem Crystalmana.

Joiwind potrząsnęła włosami.

— W tamtej kępie drzew jest jego pustynny chram. Chodźmy tam i pomódlmy się, a potem pójdziemy do Poolingdred. To mój dom. Jest dość daleko, a musimy zdążyć przed *blodsombre*.

— Zaraz, a co to jest *blodsombre*?

— W środku dnia, mniej więcej przez cztery godziny, promienie Branchspella są tak gorące, że nikt nie jest w stanie tego przetrwać. Nazywamy to *blodsombre*.

— Czy Branchspell, to inna nazwa Arktura?

Joiwind zrzuciła maskę powagi i roześmiała się.

— Maskull, to chyba oczywiste, że nie korzystamy z twoich nazw. Nie uważam naszych nazw za zbyt poetyczne, ale odzwierciedlają rzeczywistość.

Wzięła go czule pod ramię i poprowadziła w kierunku zadrzewionych wzgórz. Zanim tam doszli, słońce przebiło się przez górne mgły i straszliwe uderzenie piekącego żaru spadło na głowę Maskulla jak podmuch z paleniska. Spojrzał automatycznie do góry, ale jeszcze szybciej opuścił oczy z powrotem. Jedyne, co ujrzał podczas tego krótkiego spojrzenia, to oślepiająca kula elektrycznej bieli, trzy razy większa od pozornej średnicy Słońca. Przez kilka minut był całkowicie oślepiony.

— O Boże! — krzyknął. — Jeśli tak jest wcześniej rano, to musisz mieć rację mówiąc o *blodsombre*. — A gdy już trochę doszedł do siebie, zapytał: — Joiwind, jak długo trwa tutejszy dzień?

Znów poczuł sondowanie w mózgu.

— O tej porze roku, na każdą godzinę waszego dnia w lecie, my mamy dwie.

— Ten upał jest okropny, niemniej jakoś nie doskwiera mi tak bardzo, jak bym się spodziewał.

— A ja czuję się gorzej. Lecz to nietrudno wyjaśnić. Masz trochę mojej krwi, a ja mam trochę twojej.

— Tak. Za każdym razem, gdy sobie to uświadamiam... Powiedz mi, Joiwind, czy moja krew się zmieni, jeśli pobędę tu dłużej? To znaczy, czy przestanie być czerwona i gęsta, a stanie się czysta, rzadka i blada, jak twoja?

- Czemu nie? Jeśli będziesz żył jak my, to z pewnością staniesz się taki jak my.
- Masz na myśli jedzenie i picie?
- My nie jemy jedzenia i pijemy tylko wodę.
- I jesteście w stanie na tym wyżyć?
- No wiesz, Maskull, nasza woda to dobra woda — odpowiedziała Joiwind z uśmiechem.

Gdy tylko odzyskał wzrok, rozejrzał się po okolicy. Ogromna szkarłatna pustynia rozciągała się po horyzont, z wyjątkiem miejsca, gdzie przerywała ją oaza. Nakrywało ją bezchmurne, głęboko niebieskie, prawie fioletowe niebo. Okrąg horyzontu był znacznie większy niż na Ziemi. Na jego linii, pod kątem prostym do ich trasy, pojawił się łańcuch gór, odległych o jakieś czterdzieści mil. Jedna z nich, wyższa niż pozostałe, miała kształt filiżanki. Gdyby nie intensywne światło, które czyniło wszystko żywo rzeczywistym, Maskull byłby skłonny uwierzyć, że wędruje przez krainę marzeń sennych.

Joiwind wskazała palcem górę o kształcie filiżanki.

- To jest Poolingdred.
- Chyba nie przywędrowałaś stamtąd? — wykrzyknął Maskull do głębi zdumiony.
- Tak, przyszedłam właśnie stamtąd. I tam właśnie musimy pójść.
- I tylko z mojego powodu?
- A dlaczego nie?

Maskull zaczerwienił się.

— Jesteś w takim razie najdzielniejszą i najszlachetniejszą ze wszystkich kobiet — powiedział cicho po krótkim milczeniu. — Bez wyjątku. Bo to jest podróż dla wycyznowca.

Ścisnęła go za ramię, a jej policzki pokryły szybko zmieniające się i nie nadające się do odtworzenia kolory.

- Maskull, nie mów już więcej o tym. Robi mi się nieprzyjemnie.
- Dobrze. Mamy szansę tam dojść przed południem?
- O tak! I nie powinieneś bać się odległości. Tutaj się nie przejmujemy odległością. Tyle musimy przemyśleć i czuć. Czas biegnie zbyt szybko.

W trakcie rozmowy zbliżyli się znacznie do podnóża wznoszących się łagodnie wzgórz, nie wyższych niż pięćdziesiąt stóp. Maskull zaczął teraz dostrzegać dziwne okazy życia roślinnego. To, co wyglądało na niewielki splachetek purpurowej trawy, około pięciu stóp kwadratowych, przemieszczało się po piasku w ich kierunku. Gdy podeszli wystarczająco blisko, zorientował się, że to nie jest trawa; brakowało źdźbeł, a były jedynie purpurowe korzenie. Te korzenie obracały się jak szprychy w kole bez obręczy – w każdej pojedynczej roślinie całego zagonu. Na zmianę zanurzały się w piasku i wynurzały z niego, dzięki czemu roślina posuwała się do przodu. Jakiś niesamowity, półinteligentny instynkt trzymał wszystkie rośliny razem, poruszające się jednocześnie w tym samym kierunku jak stado ptaków wędrownych w locie.

Inną wartą uwagi rośliną, którą zobaczyli lecącą w powietrzu, była wielka, pierzasta kula przypominająca owoc dmuchawca. Joiwind chwyciła ją w rękę niesamowicie wdzięcznym ruchem i pokazała Maskullowi. Roślina miała korzenie i prawdopodobnie żyła w powietrzu, żywiąc się chemicznymi składnikami atmosfery. Ale to, co było w niej najciekawsze, to jej kolor. Był to całkowicie nowy kolor – nie nowy odcień lub ich mieszanina, ale nowy kolor podstawowy, równie żywy jak błękit, czerwień czy żółć, choć całkiem inny. Joiwind, gdy zapytał, powiedziała, że ten kolor znany jest jako *ulfire*. Wkrótce potem Maskull ujrzał następny nowy kolor. Ten Joiwind nazwała *jale*. Wrażenia zmysłowe, jakie u Maskulla wywoływały te dwa dodatkowe kolory podstawowe, jedynie mętnie można by opisać przez analogię. Tak jak błękit jest delikatny i tajemniczy, żółty jasny i mało subtelny, a czerwony optymistyczny i namiętny, w taki sam sposób *ulfire* odczuwał jako dziki i bolesny, a *jale* – marzycielski i zmysłowy, pełen emocji.

Wzgórza zbudowane były z żyznej, czarnej gleby. Ich zbocza i szczyty porastały niewielkie drzewa o dziwnych kształtach – każde inne. Maskull i Joiwind wspięli się na górę i zeszli z drugiej strony. Jakies

twarde owoce rozmiaru dużego jabłka, jasno niebieskie w kolorze, a w kształcie podobne do jajka, leżały pod drzewami w wielkiej obfitości.

— Czy owoce tutaj są trujące i dlatego ich nie jecie? — zapytał Maskull.

Popatrzyła na niego ze spokojem.

— My nie jemy żywych rzeczy. Sama myśl o tym jest dla nas potworna.

— Teoretycznie nic przeciwko temu nie mam. Ale naprawdę jesteście w stanie wyżyć na wodzie?

— Maskull, przypuśćmy, że nie możesz znaleźć niczego innego do jedzenia, zjadłbyś drugiego człowieka?

— Nie zjadłbym.

— No a my nie jemy roślin ani zwierząt, które są naszymi żywymi towarzyszami. Nie pozostaje więc nam nic innego oprócz wody, a skoro można wyżyć na czymkolwiek, to woda jest do tego równie dobra.

Maskull podniósł jeden z owoców i obejrzał z ciekawością. Gdy to robił, do akcji wszedł inny z jego nowo nabytych organów. Okazało się, że mięsiste wyrostki poniżej uszu były w stanie w jakiś nowy sposób zaznajomić go z wewnętrznymi właściwościami owocu. Mógł nie tylko zobaczyć, poczuć smak i zapach, ale również określić jego wewnętrzną naturę. Ta natura okazała się twarda, nieprzejeżdżalna i melancholijna.

— Te organy nazywają się *poign* — Joiwind odpowiedziała na jego nie zadane pytanie. — Ich zadaniem jest umożliwić nam rozumienie i współczucie dla wszystkich żywych stworzeń.

— I jaką ci to daje przewagę?

— Taką, że nie należy być okrutnym i samolubnym, drogi Maskullu.

Maskull wyrzucił owoc i znów się zaczerwienił. Joiwind bez zakłopotania spojrzała mu w twarz, smagłą i brodatą, po czym lekko się uśmiechnęła.

— Powiedziałaś coś za dużo? Byłam zbyt poufała? Wiesz czemu tak sądzisz? Bo wciąż jesteś nieczysty. Ale niebawem będziesz mógł wysłuchać wszystkiego bez wstydu.

Zanim się zorientował, co ma zamiar zrobić, owinęła mu swoją mackę wokół szyi jak jeszcze jedno ramię. Nie opierał się temu chłodnemu dotykowi. Kontakt z jej miękkim ciałem był tak wilgotny i czuły, że robił wrażenie swego rodzaju pocałunku. Był całkiem świadomy tego, że obejmuje go błada piękność, niemniej, co dość dziwne, nie odczuwał ani lubieżności, ani seksualnej satysfakcji. Miłość wyrażana tą pieśczęcią była pełna, gorąca i intymna, choć nie było w niej ani śladu seksu – tak to odbierał.

Zabrała mackę, położyła mu ręce na ramionach i zajrzała oczami prosto w głąb jego duszy.

— Tak, chciałbym być czysty — mruknął. — Czym mógłbym się bez tego kiedykolwiek stać, jak nie słabym, szamoczącym się łotrem?

Joiwind puściła go.

— To nazywamy *magn* — powiedziała, wskazując mackę. — Dzięki niemu, to co już kochamy, kochamy jeszcze mocniej, a to czego wcale nie kochamy, zaczynamy kochać.

— Boski organ!

— Jest to coś, czego strzeżemy najbardziej zazdrośnie — powiedziała Joiwind.

Cień drzew w samą porę zdołał dać im pożądaną zasłonę przed prawie nieznośnymi obecnie promieniami Branchspella nieustannie wspinającego się ku zenitowi. Na opadającym stoku, po drugiej stronie pasma wzgórz, Maskull z niepokojem poszukiwał śladów Nightspore'a i Kraga – bez rezultatów. Po kilku minutach rozglądania się wzruszył ramionami; w jego umyśle zaczęła się już jednak gromadzić podejrzliwość.

U ich stóp leżał mały, naturalny amfiteatr otoczony całkowicie zadrzewionymi zboczami. Jego środek pokryty był czerwonym piaskiem. W samym środku rosło wysokie, wspaniałe drzewo z czarnym pniem i gałęziami oraz przezroczystymi, krystalicznymi liśćmi. U stóp drzewa znajdowała się naturalna, okrągła studnia wypełniona ciemnozieloną wodą.

Gdy zeszli na sam dół, Joiwind poprowadziła go prosto do studni.

— To ma być ten chram, o którym mówiłaś? — zapytał Maskull, rozglądając się uważnie.

— Tak. Nazywa się „Studnia Shapinga”. Mężczyźni lub kobiety pragnący wezwać Shapinga muszą nabrać garść gnołowej wody i wypić.

— Pomódl się za mnie — powiedział Maskull. — Twoja niesplamiona modlitwa będzie miała większą wagę.

— A o co byś chciał?

— O czystość — odpowiedział Maskull z zakłopotaniem.

Joiwind nabrała wody w złożone dłonie i napiła się.

— Ty też musisz się napić — powiedziała, podsuwając Maskullowi dłonie do ust.

Maskull zrobił to, a potem ze łzami w sercu słuchał, jak stojąc wyprostowana, z zamkniętymi oczami, modli się głośno – głosem miękkim jak szemranie źródła.

— Shapingu, mój ojcie, wierzę, że mnie słyszysz. Obcy człowiek przybył do nas obciążony ciężką krwią. Chciałby się oczyścić. Spraw, by poznał znaczenie miłości, spraw, by żył dla innych. Nie szczędź mu bólu, drogi Shapingu, pozwól odszukać własny ból. Technij w niego szlachetną duszę.

Gdy Joiwind skończyła mówić, powietrze zamgliło się i przed nimi pojawił się wielki krąg oślepiająco białych kolumn na wpół zagrzebanych w szkarłatnym piasku. Przez kilka minut migotały, to rozmazując się to znów wyostając – jak przedmiot przy nastawianiu ostrości – po czym zbladły i zniknęły całkowicie.

— To był znak od Shapinga? — zapytał cicho Maskull wystraszonym głosem.

— Być może. To był miraż czasowy.

— Co takiego?

— Widzisz, mój drogi Maskullu, świątyni tu jeszcze nie ma, ale będzie, ponieważ musi być. To co ty i ja teraz tu robimy w tak prymitywny sposób, mądrzy ludzie będą robić w przyszłości w pełnej chwale.

— Człowiek ma prawo się modlić — powiedział Maskull. — Dobro i zło na świecie nie bierze się z niczego. Bóg i Diabeł muszą istnieć. Powinniśmy się modlić do jednego i zwalczać drugiego.

— Oczywiście, musimy zwalczać Kraga.

— Kogo? — zapytał Maskull w zdumieniu.

— Kraga. To on jest autorem zła i nieszczęść. To ten, którego ty nazywasz Diabłem.

Natychmiast ukrył przed nią swoje myśli. Opróżnił umysł, żeby Joiwind nie mogła się dowiedzieć o jego znajomości z tą istotą.

— Czemu ukryłeś swój umysł przede mną? — zapytała, zmieniając kolor i spoglądając dziwnie w jego kierunku.

— W tym jasnym, czystym i promiennym świecie zło wydaje się czymś tak odległym, że aż trudno uchwycić jego znaczenie — oznajmił. Ale kłamał.

Joiwind wciąż patrzyła na niego, wprost z głębi swej czystej duszy.

— Świat jest dobry i czysty, ale wielu ludzi jest zepsutych. Panawe, mój mąż, który podróżował, opowiadał mi takie rzeczy, jakich w innym przypadku raczej bym nie usłyszała. Ktoś, kogo spotkał, wierzył, że wszechświat, od samego dna po szczyt, jest jaskinią czarnoksiężnika.

— Powinienem się spotkać z twoim mężem.

— Oczywiście. Idziemy teraz do domu.

Maskull miał zamiar zapytać ją o dzieci, ale powstrzymał się z obawy, że ją urazi. Joiwind jednak odczytała pytanie w jego myślach.

— Po co mi dzieci? Czy ten świat nie jest pełen ślicznych dzieci? Dlaczego miałabym egoistycznie chcieć je posiadać?

Obok nich przeleciało jakieś niezwykle stworzenie, wydając płaczliwy krzyk składający się z pięciu

odrębnych nut. Nie był to ptak, tylko coś na kształt balonu wymachującego pięcioma błoniastymi stopami. Zniknęło pomiędzy drzewami.

— Kocham te stworzenia — Joiwind wskazała ręką przelatującego stwora — są takie groteskowe. Chyba przede wszystkim za ich groteskowość. A kochałabym je wciąż, gdybym miała własne dzieci? Co jest lepsze, kochać dwoje lub troje czy kochać wszystkich?

— Nie każda kobieta może być taka jak ty, Joiwind, ale dobrze jest mieć kilka takich. Słuchaj — mówił dalej — skoro już musimy wędrować w tej palonej słońcem głuszy, to czy nie byłoby lepiej, zrobić sobie coś na głowę, jakieś turbany z tych długich liści?

Uśmiechnęła się dość żałośnie.

— Pewnie uznasz mnie za głupią, ale urwanie każdego liścia z drzewa zrani mnie głęboko. Możemy jedynie zarzucić na głowę nasze togi.

— Nie wątpię, że to również wystarczy, ale powiedz mi, czy te togi nie były kiedyś częścią żywych stworzeń?

— A skąd. To są pajęczyny pewnych zwierząt, ale same w sobie nigdy nie były żywe.

— Redukujecie życie do skrajnej prostoty — stwierdził Maskull filozoficznie. — I to jest piękne.

Wspięli się z powrotem na wzgórze i już bez dalszych ceremonii ruszyli przez pustynię.

Wędrowali ramię w ramię. Joiwind prowadziła prosto ku Poolingdredowi. Z pozycji słońca Maskull wywnioskował, że ich droga prowadzi na północ. Piasek był lekki i sypki, bardzo męczący dla gołych stóp. Czerwony blask raził go w oczy i na wpół oślepiał. Był zgrzany, wysuszony i dręczony pragnieniem; stłumiony ból wypełził całkowicie na wierzch.

— Nigdzie nie było moich przyjaciół i to jest bardzo podejrzane.

— Tak, to jest podejrzane, o ile jest przypadkowe — powiedziała Joiwind dziwnym tonem.

— No właśnie — zgodził się z nią Maskull. — Jeśli przydarzył się im jakiś wypadek, to wciąż powinny być gdzieś ich ciała. Dla mnie to wygląda na jakieś wrogie działanie. Musieli gdzieś pójść i zostawili mnie... No dobrze, jestem tutaj i nic na to nie poradzę. Więcej się o nich martwić nie będę.

— Nie chciałabym wyrażać się źle o kimkolwiek — powiedziała Joiwind — ale mój instynkt mówi mi, że lepiej będzie, jak się będziesz trzymał z dala od tych mężczyzn. Nie przybyli tu z twojego powodu, ale dla własnych celów.

Wędrowali przez dłuższy czas. Maskull zaczął się czuć zmęczony. Joiwind z czułością owinęła go w pasie swoim *magnem*, z którego popłynął w jego żyły silny strumień zaufania i dobrego samopoczucia.

— Dziękuję, Joiwind! Tylko czy ja cię w ten sposób nie osłabiam?

— Trochę — odpowiedziała, rzucając mu szybkie, ekscytujące spojrzenie — ale tylko trochę, za to daje mi to dużo szczęścia.

W pewnym momencie natknęli się na małe fantastyczne stworzenie rozmiaru nowo narodzonego jagnięcia poruszające się na trzech nogach, jakby tańczyło walca. Nogi wysuwały się kolejno do przodu i w ten sposób mały potworek wędrował wykonując serię obrotów. Stworzenie było żywo ubarwione, jak gdyby wykąpane w kadziach z jasnoniebieską i żółtą farbą. Mijając ich, spojrzało w górę małymi, błyszczącymi ślepkami.

Joiwind skinęła głową i uśmiechnęła się do stworzenia.

— Maskull, to jest mój osobisty przyjaciel. Zawsze, gdy tędy przechodzę, spotykam go. Zawsze tak się porusza i zawsze spieszy się bardzo, ale wydaje mi się, że nigdy nigdzie nie dociera.

— Mam wrażenie, że życie tutaj jest tak bardzo samowystarczalne, że nikt nie ma potrzeby, żeby gdziekolwiek docierać. To, czego jednak całkiem nie rozumiem, to jak możecie tutaj żyć, nie nudząc się.

— Och, to jakieś dziwne słowo. Czy ono nie oznacza, przypadkiem, łaknienia podniet?

— Coś w tym rodzaju — powiedział Maskull.

— To musi być choroba spowodowana obfitym jedzeniem.

— I nigdy się wam nie wydaje, że życie jest jednostajne?

— A dlaczego? Nasza krew jest szybka, lekka i swobodna, nasze ciała są czyste, sprawne, zarówno wewnątrz jak i na zewnątrz... Mam nadzieję, że niedługo zrozumiesz, o co pytasz.

Idąc dalej, napotkali dziwne zjawisko. W sercu pustyni, kojąco i przyjemnie szmerząc, na pięćdziesiąt stóp w górę biła pionowa fontanna. Od przeciętnej fontanny różniła się jednak tym, że jej woda nie spadała z powrotem na ziemię, lecz na samej górze wchłaniało ją powietrze. W rzeczy samej była to wysoka, pełna wdzięku kolumna z ciemnozielonego płynu, zwieńczona poskręcanyimi, wirującymi oparami.

Gdy zbliżyli się, Maskull spostrzegł, że woda w kolumnie jest przedłużeniem i zakończeniem strumienia, który płynął od strony gór. Wyjaśnieniem fenomenu był ewidentny fakt, że woda w tym miejscu wykazywała chemiczne powinowactwo do wyższych warstw powietrza i w konsekwencji tego porzucała grunt.

— Napijmy się — zaproponowała Joiwind.

Rzuciła się po prostu jak długa, twarzą w dół, na piasek u brzegu strumienia, a Maskull, nie czekając, poszedł w jej ślady. Nie chciała ugasić pragnienia, dopóki nie ujrzała go pijącego. Woda była ciężka, ale pełna bąbelków gazu. Maskull napił się obficie. Podziało to na jego podniebienie w całkiem nowy sposób – z czystością i świeżością wody łączył się, podnosząc go na duchu, ożywczy smak musującego wina. W jakiś sposób odurzenie ujawniało jednak lepszą stronę jego natury zamiast tej gorszej.

— Nazywamy to wodą gnolową — powiedziała Joiwind. — Po kolorze widać, że ta nie jest całkowicie czysta. Na Poolingdred mamy krystalicznie czystą. Ale niewdzięcznością byłoby narzekać. Zobaczysz, teraz będzie nam się szło znacznie lepiej.

Maskull spojrzał na otoczenie jakby innymi oczami. Wszystkie jego zmysły zaczęły mu ukazywać uroki i cuda, jakich dotychczas nawet nie podejrzewał. Jednobarwny, rozżarzony szkarłat piasku podzielił się na zestaw całkowicie różnych odcieni czerwonego. W podobny sposób niebo rozszczepiło się na różne błękity. Promieniowanie cieplne Branchspella odczuwał teraz z różną intensywnością przez różne części swojego ciała. Uszy ocknęły się. Powietrze było pełne pomrukiwań, szumu piasków, a nawet promienie słońca wydawały własny dźwięk – coś w rodzaju niewyraźnej harfy eolskiej. Jego nozdrza zaatakowały subtelne, zagadkowe zapachy. Wciąż czuł na podniebieniu smak gnolowej wody. Wszystkie pory jego skóry były łaskotane i kojone wcześniej niewyczuwalnymi podmuchami powietrza. Jego *poigny* aktywnie eksplorowały wewnętrzną naturę wszystkiego, co było w jego bezpośredniej bliskości. *Magnem* dotknął Joiwind i zaczerpnął od niej strumień miłości i radości. A w końcu, w całkowitej ciszy, wymienił z nią swoje myśli za pomocą *brevisa*. Ta potężna zmysłowa symfonia podekscytowała go tak bardzo, że podczas dalszej wędrówki tego niekończącego się poranka nie czuł się już więcej zmęczony.

Gdy dotarli do porośniętego turzycą brzegu ciemnozielonego jeziora u stóp Poolingdredu, zbliżało się już *blodsombre*.

Panawe siedział na ciemnej skale i czekał na nich.

Rozdział 7

Panawe

Mąż wstał, by powitać żonę i ich gości. Ubrany był na biał. Twarz miał bez zarostu – z *brevisem* i *poignami*. Skóra, zarówno na twarzy jak i na ciele, była tak biała, świeża i miękka, że prawie nie przypominała skóry; wyglądała na nowy rodzaj czystego, śnieżnego ciała pokrywającego kości. Nie miała nic wspólnego ze sztucznie wybielaną skórą przesadnie dbających o siebie kobiet. Jej biel i subtelność nie budziła lubieżnych myśli; była to z pewnością manifestacja zimnej i niemal okrutnej niewinności przyrody. Jego opadające na kark włosy również były białe, ale również nie ze starości, lecz ze zdrowia. Oczy miał czarne, spokojne i bezdenne. Wciąż był młodym człowiekiem, lecz jego rysy były tak surowe, że nadawały mu wygląd prawodawcy – i to pomimo wielkiej urody i harmonijnej budowy.

Magny małżonków splotły się na chwilę i Maskull ujrzał, jak miłość łagodzi rysy twarzy Panawe, podczas gdy Joiwind wygląda na rozradowaną. Popchnąwszy lekko Maskulla w ramiona swego męża, Joiwind stanęła z tyłu przyglądając się im z uśmiechem. Maskull poddał się temu, choć czuł się raczej zaambarasowany tym, że jest obejmowany przez mężczyznę. Poczuł ogarniające go uczucie chłodnego, miłego omdlenia.

— Nasz przybysz jest więc czerwono krwisty?

Maskulla zdumiało, że Panawe mówi po angielsku. Jego głos również był nadzwyczajny – absolutnie spokojny, lecz ten spokój w osobliwy sposób wydawał się być złudzeniem, wynikającym z bystrości myśli i uczuć tak wielkiej, że ich przebiegu nie dało się wykryć. Jak to było możliwe, nie miał pojęcia.

— Jak ty to robisz, że mówisz językiem, którego nigdy wcześniej nie słyszałeś? — chciał wiedzieć Maskull.

— Myśl to obszerna i złożona rzecz. Nie potrafię powiedzieć, czy naprawdę mówię instynktownie twoim językiem, czy może ty sam tłumaczysz moje myśli w chwili, gdy je wyrażam.

— No widzisz, Panawe jest mądrzejszy ode mnie — powiedziała radośnie Joiwind.

— Jak się nazywasz? — zapytał jej mąż.

— Maskull.

— Takie imię musi coś znaczyć... No i popatrz, jaką dziwną rzeczą jest myśl. Z czymś mi się kojarzy... ale z czym?

— Spróbuj to odkryć — powiedziała Joiwind.

— Był w twoim świecie człowiek, który ukradł Stwórcy wszechświata coś, co miało uszlachetnić jego bliźnich.

— Tak, jest taki mit. Ten bohater nazywał się Prometeusz.

— No cóż, Maskull, mój umysł wydaje się kojarzyć z tą akcją ciebie, ale co to wszystko ma znaczyć, nie wiem.

— Przyjmij to, Maskull, za dobry omen, gdyż Panawe nigdy nie kłamie ani nie mówi bezmyślnie.

— To chyba jakieś nieporozumienie. Nic z tego nie rozumiem — powiedział Maskull spokojnie, ale wyglądał na poruszonego.

— Skąd do nas przybyłeś?

— Z planety odległego słońca, zwanej Ziemią.

— A po co?

— Miałem już dość tamtejszej wulgarności — odpowiedział lakonicznie Maskull. Z rozmysłem nie chciał wspominać o swoich towarzyszach, by nie ujawniać imienia Kraga.

— Bardzo chwalebna motywacja — przyznał Panawe. — A co więcej, może być prawdą, chociaż ty traktujesz to jako wykręt.

— W pewnym sensie jest prawdą — powiedział Maskull, patrząc na niego z niepokojem i zdziwieniem.

Przed nimi, aż do podnóża góry odległego około pół mili, rozciągało się bagniste jezioro. Purpurowe, pierzaste trzciny wyrastały na płycznach to tu to tam. Woda była ciemnozielona. Maskull nie miał pojęcia, w jaki sposób przedostaną się na drugą stronę.

— Pewnie nie wiesz, że to jezioro nas uniesie? — powiedziała Joiwind, biorąc go za rękę.

Panawe wszedł na powierzchnię wody, która okazała się tak gęsta, że utrzymywała jego ciężar. Joiwind i Maskull podążyli za nim. On natychmiast się poślizgnął – niemniej poruszanie się po tym było zajmujące. Obserwując i naśladując Panawe, szybko się nauczył i wkrótce był w stanie utrzymać równowagę bez pomocy. Potem już uważał to za wspaniałą zabawę.

Z tego samego powodu, dla którego kobiety przodują w tańcu, Joiwind traciła i odzyskiwała równowagę z dużo większym wdziękiem i pewnością siebie niż którykolwiek z mężczyzn. Maskull nie był w stanie oderwać wzroku od jej drobnej, odzianej w draperie figury, zagłębiającej się, wyginającej, prostującej, chwiejącej i zataczającej się na powierzchni ciemnej wody.

Jezioro zrobiło się głębsze. Woda gnolowa stała się czarno-zielona. Granie, wąwozy i urwiska na brzegu można było już rozróżnić w szczegółach. Widać było również opadający z wysokości kilkuset stóp wodospad. Powierzchnia jeziora wzburzyła się tak bardzo, że Maskull miał trudności z utrzymaniem równowagi. Rzucił się więc na wodę i zaczął płynąć po powierzchni. Joiwind odwróciła się w jego kierunku i roześmiała tak radośnie, że wszystkie jej zęby rozbłysły w słońcu.

Kilka minut później wylądowali na czarnym, skalistym cyplu. Woda wyparowała błyskawicznie z ubioru Maskulla. Spojrzał na górujący nad nimi szczyt i w tym momencie jakiś dziwny ruch z udziałem Panawe zwrócił jego uwagę. Twarz tamtego konwulsyjnie się zwijała, a on sam zaczął się zataczać. Potem sięgnął ręką do ust i wyjął coś, co wyglądało jak jaskrawo pokolorowany kamyk. Oglądał go dokładnie przez chwilę. Joiwind również spojrzała mu przez ramię, mieniać się kolorami. Po oględzinach – czymkolwiek by to nie było – Panawe upuścił przedmiot na ziemię i więcej się nim nie interesował.

— Mogę zobaczyć? — zapytał Maskull i nie czekając na pozwolenie, podniósł przedmiot. Był to delikatny, jasnozielony, pięknie ukształtowany kryształ w formie jajka.

— Skąd to się wzięło? — zapytał z ciekawością.

Panawe odwrócił się tyłem.

— Z mojego męża — odpowiedziała Joiwind.

— Tak myślałem, ale nie mogłem uwierzyć. Co to jest?

— Nie wiem, czy to się jakoś nazywa ani czy ma zastosowanie. To jest wyłącznie nadwyzka piękna.

— Piękna?

Joiwind uśmiechnęła się.

— Maskull, jeślibyś potraktował przyrodę jako męża, a Panawe jako żonę, to pewnie wszystko można by w ten sposób wyjaśnić.

Maskull zadumał się.

— Na Ziemi — powiedział po jakiejś minucie — ludzi typu Panawe nazywamy artystami, poetami i muzykami. Ich również przepelnia piękno i również z nich wypływa. Jediną różnicą jest to, że ich wytwory są bardziej ludzkie i zrozumiałe.

— Nic z tego nie wynika oprócz próżności — powiedział Panawe. Wziął kryształ z rąk Maskulla i wrzucił do jeziora.

Urwisko, na które mieli się teraz wspiąć, miało kilkaset stóp wysokości. Maskull niepokoił się bardziej o Joiwind niż o siebie. Kobieta była ewidentnie zmęczona, niemniej odmówiła wszelkiej pomocy i w rzeczywistości okazała się zwinniejsza od niego. Pokazała mu język. Panawe wydawał się być całkowicie zatopiony w myślach. Skała była gładka i nic nie chrzęściło im pod nogami. Branchspell w tym czasie grzał już zabójczo. Jego promieniowanie szokowało swoją intensywnością i ból Maskulla powoli stawał się coraz dokuczliwszy.

Gdy znaleźli się na samej górze, ukazał się ciemny, pozbawiony roślinności, skalisty płaskowyż rozciągający się w obu kierunkach daleko jak okiem sięgnąć. Od krawędzi klifu do podnóża ciągnących się w głąbi wzgórz miał prawie równą szerokość około pięciuset jardów. Wzgórza różniły się wysokością. Podobny do filiżanki Poolingdred przewyższał je w przybliżeniu o tysiąc stóp. Jego górne partie pokryte były jakimiś połyskliwymi zaroślami nie kojarzącymi mu się z niczym.

Joiwind położyła Maskullowi rękę na ramieniu i wskazała w górę.

— To jest najwyższy szczyt w całej krainie, to znaczy, aż do Ifdawn Marest.

Słyszac tę dziwną nazwę, Maskull doświadczył nagłego nie dającego się niczym wytłumaczyć przypływu dzikiej energii i niepokoju. Zaraz jednak mu przeszło.

Nie tracąc czasu, Panawe poprowadził ich w górę zbocza. Z początku stok był gołą skałą, niezbyt trudną do wspinaczki. W połowie jednak zrobił się bardziej stromy i pojawiły się krzaki oraz małe drzewa. W miarę wchodzenia stawały się coraz wyższe i w pobliżu szczytu był to już wysoki las.

Pnie oraz grubsze gałęzie drzew i krzaków były blade i szkliste, a drobne gałązki i liście przezroczyste jak kryształ. Nie rzucały cienia, niemniej pod nimi panował chłód. Zarówno liście jak i gałęzie miały fantastyczne kształty. Ale to, co zadziwiło Maskulla najbardziej, to fakt, że jak sięgnąć wzrokiem nie było widać dwóch roślin należących do tego samego gatunku.

— Możesz wyjaśnić Maskullowi ten problem? — zapytała Joiwind, ciągnąc męża za ramię.

— Jeśli jeszcze raz mi wybaczy, że zaglądam do jego mózgu — powiedział Panawe, uśmiechając się. — Problem jest niewielki. Życie na młodych planetach, Maskull, jest z konieczności prężne i niczym nieskrępowane, a także burzliwe i naśladowcze. Przyroda jest wciąż płynna, wciąż elastyczna, a materiał plastyczny. Jej wola rozwidła się, swawoli nieustannie, i w ten sposób każde stworzenie jest inne.

— No dobrze, ja to wszystko rozumiem — odpowiedział Maskull, wysłuchawszy z uwagą — ale jednego nie chwytam, jeśli żywe stworzenia swawolą tu tak energicznie, jak to się dzieje, że ludzkie istoty mają tu takie same kształty jak w moim świecie?

— To też ci mogę wyjaśnić — powiedział Panawe. — Wszystkie stworzenia przypominające Shapinga muszą, siłą rzeczy, być podobne do siebie.

— Czyli ta swawola jest ślepą wolą upodobnienia się do Shapinga?

— Dokładnie.

— Cudownie — powiedział Maskull — braterstwo człowieka nie jest jedynie bajką wymyśloną przez idealistów, ale twardym faktem.

Joiwind spojrzała na niego i zmieniła kolor. Panawe powrócił do swych rozmyślań.

Uwagę Maskulla zwróciło nowe zjawisko. Kwitnący w kolorze *jale* kryształowy krzak wysyłał fale mentalne dające się wyraźnie odróżnić z pomocą *brevisa*. Do mnie, do mnie – nawoływał bezgłośnie. Maskull przyglądał się roślinie, gdy jakiś latający robak skierował się w powietrzu ku jednemu z kwiatów i zaczął wysysać nektar. Krzyk rośliny natychmiast ucichł.

Dotarli na grzbiet i popatrzyli w dół. Nieckę w kształcie krateru wypełniała woda. Obramowanie z drzew zasłaniało częściowo widok, niemniej można było zobaczyć, że szerokie na niemal ćwierć mili jezioro jest prawie okrągłe. Brzeg jeziora znajdował się jakieś sto stóp pod nimi.

Widząc, że jego gospodarze nie kwapią się do schodzenia na dół, Maskull poprosił ich, by poczekali, a sam zsunął się na brzeg jeziora. Będąc już na dole, stwierdził, że woda jest absolutnie nieruchoma i przezroczysta. Wszedł na nią, położył się i spojrzał w głąb. Woda była dziwnie czysta. Widoczność w dół nie miała ograniczeń, ale dna nie zobaczył. Niemal poza zasięgiem wzroku poruszały się jakieś ciemne, niewyraźne obiekty. Nagle wydało mu się, że z ogromnej głębi przez gnołową wodę dociera na górę jakiś bardzo słaby i tajemniczy dźwięk. Było to jakby bicie w bębny: cztery uderzenia równej długości z akcentem na trzecie. Trwało to jakiś czas, a potem ucichło.

Dźwięk wydawał się przynależeć do świata innego niż ten, po którym podróżował. Ten ostatni był jak ze snu – mistyczny i nieprawdopodobny – a bębny były jak bardzo przytłumione odgłosy świata rzeczywistego. Przypominały tykanie zegara w hałaśliwym pomieszczeniu, w którym tylko sporadycznie daje się je uchwycić.

Gdy wrócił do Panawe i Joiwind, nie powiedział im nic o tym zjawisku. Pomaszerowali brzegiem na drugą stronę krateru. Urwiska, podobne do tych okalających pustynię, tworzyły tutaj granicę płaskiego, rozległego wrzosowiska, którego rozmiarów nie dało się ogarnąć okiem. Teren był solidny, tyle że Maskull nie był w stanie znieść dominującego w nim koloru. Było to jakby przezroczyste szkło, jednakże nie błyszczało w słońcu. Nie było widać żadnych obiektów, z wyjątkiem wijącej się w oddali rzeki, a za nią – jeszcze dalej na horyzoncie – pasmo ciemnych gór o dziwnych kształtach. Zamiast być okrągłe, stożkowe czy poszarpane, te wysoczyzny zostały wyrzeźbione przez naturę w imitację murów zamkowych z bardzo wysokimi blankami.

Bezpośrednio nad górami niebo było jaskrawo i intensywnie niebieskie. W cudowny sposób kontrastowało z błękitem pozostałych obszarów niebieskich. Wydawało się bardziej rozświetlone i promienne – po prostu jak poświata wspaniałego zachodu błękitnego słońca.

Maskull nie mógł się napatrzyć. Czym dłużej się wpatrywał, tym gwałtowniejsze były jego odczucia.

— Co to za luna? — zapytał.

Panawe zrobił jeszcze surowszą minę niż zazwyczaj, a jego żona przywarła mu do ramienia.

— To jest Alppain, nasze drugie słońce — odpowiedział Panawe. — A góry... to Ifdawn Marest. Chodźmy teraz do naszego schronienia.

— Czy to moja wyobraźnia, czy to naprawdę tak na mnie działa? To światło przyprawia mnie o ból?

— Nie, to nie jest wyobraźnia. To jest rzeczywiste. Jak mogłoby być inaczej, gdy w tym samym czasie przyciągają cię dwa słońca o różnej naturze? Szczęśliwie nie patrzysz na Alppaina bezpośrednio. Stąd jest niewidoczny. Żeby go zobaczyć, musiałbyś iść przynajmniej do Ifdawn.

— Dlaczego mówisz: „szczęśliwie”?

— Bo cierpienie spowodowane przez te dwie przeciwstawne siły mogłoby się okazać dużo większe, niż możesz znieść. Chociaż... Bo ja wiem?

Na krótkim odcinku, jaki im jeszcze pozostał, Maskull szedł zamyślony i nieswój. Niczego nie rozumiał. Wszystko na czym zatrzymał wzrok, natychmiast zamieniało się w zagadkę. Cisza i spokój górskiego szczytu wydawały się tworzyć atmosferę zadumy, tajemniczości i oczekiwania. Zaniepokojony Panawe spojrzał na niego przyjaźnie i bez dalszej zwłoki poprowadził w dół wąską ścieżką trawersującą zbocze góry i kończącą się w wejściu do jaskini.

Był to dom Joiwind i Panawe. Wewnątrz panowała ciemność. Gospodarz wziął muszlę, napełnił ją płynem ze studni i niedbale spryskał piaszczystą podłogę. Zielonkawe fosforescencyjne światło stopniowo rozprzestrzeniło się po najdalszych kątach groty i odtąd oświetlało ją aż do końca pobytu. Mebli nie było. Trochę wysuszonych liści, jakby paproci, służyło za posłania.

Joiwind, gdy tylko weszła, padła wyczerpana. Jej mąż zajął się nią z czułą troskliwością. Obmył jej twarz, zwilżył wargi, podładował swoim *magnem* i w końcu położył spać. Widząc, jak ta szlachetna kobieta cierpi z jego powodu, Maskull poczuł się niewyraźnie.

— To prawda, że to była bardzo długa podróż w obie strony, ale dzięki temu, w przyszłości, wszystkie podróże Joiwind będą dla niej lżejsze. Taka jest już natura poświęcenia — starał się go zapewnić Panawe.

— Trudno mi pojąć, jak ja zdołałem przejść rano taką odległość — powiedział Maskull — a ona przecież pokonała ten dystans dwa razy.

— W jej żyłach płynie miłość zamiast krwi. Dlatego jest taka silna.

— Wiesz, że ona mi jej trochę dała?

— Bez tego nie mógłbyś nawet wyruszyć.

— Nigdy tego nie zapomnę.

Nieznosne nasilenie dnia na zewnątrz, oślepiająca jasność wejścia, chłodne ustronie wewnątrz z bladezielonym oświetleniem – wszystko to wywoływało u Maskulla senność. Ciekawość wzięła jednak górę nad znużeniem.

— Nie będziemy jej przeszkadzać, rozmawiając? — zapytał.

— Nie.

— A ty jak się czujesz?

— Potrzebuję trochę snu. Wszelako ważniejsze jest, żebyś dowiedział się co nieco o swoim nowym życiu. Nie ze wszystkim jest ono tak niewinne i idylliczne jak tutaj. Jeśli masz zamiar przez nie przejść, powinieneś dowiedzieć się czegoś o niebezpieczeństwach.

— Och, tyle to ja już wiem. A jak to zrobimy? Mam zadawać pytania czy może powiesz mi to, co uważasz za najważniejsze?

Panawe popchnął Maskulla na stos liści paproci, a sam położył się, podparł ręką i wyciągnął nogi.

— Opowiem ci o pewnych wydarzeniach z mojego życia. Pozwoli ci to zorientować się w jakim miejscu się znalazłeś.

— Będę wdzięczny — powiedział Maskull, przygotowując się do słuchania.

Panawe milczał przez chwilę lub dwie, po czym zaczął opowiadać spokojnym, miarowym, a jednak przyjemnym tonem.

Historia Panawe

Moje pierwsze wspomnienie pochodzi z okresu, kiedy miałem trzy lata (jest to równe twoim piętnastu, ale my tutaj rozwijamy się znacznie wolniej) i mój ojciec i matka zabrali mnie na spotkanie z Broodviolen, najmądrzejszym człowiekiem na Tormance. Broodviol mieszkał w Lesie Wombflash. Wędrowaliśmy trzy dni przez las, w nocy śpiąc. Im dalej byliśmy, tym drzewa były wyższe, aż w końcu ich wierzchołki znalazły się poza zasięgiem wzroku. Pnie były w kolorze ciemnej czerwieni, a liście w jasnym *ulfire*. Mój ojciec starał się powstrzymać od myślenia. Gdy mu nikt nie przeszkadzał, mógł przez pół dnia pozostawać w świecie głębokiej abstrakcji. Moja matka pochodziła z Poolingdred i była całkiem innego typu. Była piękna, wspaniałomyślna i urocza, ale również pełna energii. Strofowała go. Doprowadzało to do wielu scysji między nimi, co powodowało, że czułem się nieszczęśliwy. Czwartego dnia szliśmy przez tę część lasu, która graniczyła z Morzem Topielnym. Jest ono pełne dziur z lekkiej wody, które nie są w stanie utrzymać człowieka, a ponieważ te miejsca niczym się nie różnią z wyglądu od pozostałych, chodzenie po nim jest niebezpieczne. Ojciec wskazał ciemną smugę na horyzoncie i powiedział, że to jest Wyspa Swaylone'a. Ludzie czasami zaglądają tam, ale nikt nigdy z niej nie wrócił. Wieczorem tego dnia znaleźliśmy Broodviola stojącego w lesie w głębokim, błotnistym dole otoczonego ze wszystkich stron przez trzystustopowe drzewa. Był gburowatym starcem – wielkim, krępkim, sękatym i pomarszczonym. Miał wtedy sto dwadzieścia naszych lat, czyli około sześciuset waszych. Jego ciało było trójstronne: miał trzy nogi, trzy ręce i trzy pary oczu rozmieszczone równomiernie dookoła głowy, co czyniło z niego człowieka o wielkiej spostrzegawczości i przenikliwości. Przebywał w czymś w rodzaju transu. Dużo później usłyszałem przypisywane mu powiedzenie: „Leżeć to spać, siedzieć to śnić, a stać to myśleć”. Mój ojciec się tym zaraził i również pogrążył w medytacji. Moja matka ostrożnie wybudziła ich obu. Broodviol zezłościł się okropnie i z wrzaskiem domagał się wyjaśnienia, czego chce. Wtedy to, po raz pierwszy, dowiedziałem się, jaki jest cel naszej podróży. Otóż byłem wybrykiem natury – to znaczy, nie miałem płci. Moi rodzice martwili się tym i chcieli zasięgnąć porady najmądrzejszego z ludzi.

Twarz starego Broodviola wypogodziła się.

— Prawdopodobnie, nie będzie to takie trudne — powiedział. — Wyjaśnię wam ten cud. Każdy mężczyzna i każda kobieta wśród nas jest chodzącym mordercą. Jeśli jest mężczyzną, to walczył i zabił kobietę, która urodziła się wraz z nim w tym samym cieple; jeśli kobietą, to zabiła ona mężczyznę. A w tym dziecku ta walka wciąż jeszcze trwa.

— Ale jak ją zakończyć? — zapytała moja matka.

— Niech dziecko skieruje swoją wolę ku tym zmaganiom i wybierze tę płć, która mu bardziej odpowiada.

— A ty, oczywiście, wolałbyś być mężczyzną? — moja matka z zapalem zwróciła się do mnie.

— I zabić swoją córkę? Popęlnić zbrodnię?

Ton mojej wypowiedzi zwrócił uwagę Broodviola.

— Wielkodusznie powiedziane, bez egoizmu — stwierdził. — Tak mógł powiedzieć tylko mężczyzna. Nie macie się więc czym martwić. Zanim wrócicie do domu, to dziecko stanie się chłopcem.

Mój ojciec odszedł gdzieś dalej i zniknął nam z oczu. Moja matka przez jakieś dziesięć minut kłaniała się nisko Broodviolowi, a ten w tym czasie spoglądał na nią życzliwie.

Wkrótce potem, jak usłyszałem, Alppain zaczął wschodzić nad tą okolicą na kilka godzin dziennie. Broodviol popadł wówczas w depresję i umarł.

Jego proroctwo się sprawdziło. Zanim dotarliśmy do domu, wiedziałem już, co to wstyd. Często później zastanawiałem się nad jego słowami, próbując zrozumieć swoją naturę i doszedłem do wniosku, że chociaż był on najmądrszym z ludzi, to wciąż nie rozpoznał mojego przypadku. Między mną a moją bliźniaczą siostrą urodzoną w tym samym ciele, nigdy nie było walki, lecz wyłącznie instynktowny szacunek dla życia powstrzymujący nas oboje od zmagania o istnienie. Ona miała silniejszy charakter i – mimo że nieświadomie – poświęciła się dla mnie.

Gdy to zrozumiałem, przysiągłem sobie nigdy nie zjeść ani nie zniszczyć niczego zawierającego życie. I nigdy tej przysięgi nie złamałem.

Mój ojciec umarł, zanim dorosłem. Matka umarła niedługo później. Znienawidziłem wszystkiego, co mi się kojarzyło z tamtą okolicą. Postanowiłem więc wyjechać do kraju mojej matki, gdzie, jak mi mówiła, przyroda jest najbardziej czczona i zindywidualizowana.

Pewnego upalnego dnia dotarłem do Grobli Shapinga. Nazywają to miejsce tak dlatego, że raz tędy szedł Shaping, a może ze względu na jego zdumiewający charakter. Jest to naturalna grobla, długa na dwadzieścia mil, łącząca góry leżące na granicy mojej ojczyzny z Ifdawn Marest. Po obu stronach są przepaście głębokie na osiem do dziesięciu tysięcy stóp. Ostrze noża grani ma zwykle nie więcej niż stopę szerokości. Grobla biegnie z północy na południe. Dolina po prawej była wówczas zanurzona w cieniu, a po lewej iskrzyła się w słońcu od rosy. Z duszą na ramieniu wędrowałem tą niebezpieczną ścieżką jakieś kilka mil. Daleko po wschodniej stronie dolinę ograniczał wysoki płaskowyż łączący dwa łańcuchy górskie, ale wyniesiony wyżej niż nawet najwyższe turnie. Płaskowyż ten nazywają Sant. Nigdy tam nie byłem, ale słyszałem dwie ciekawe rzeczy o jego mieszkańcach. Pierwsza głosi, że tam nie ma kobiet, a druga, że chociaż ludzie ci są uzależnieni od podróży do innych krain, to nigdy nie przyswajają sobie obyczajów ludzi, wśród których mieszkają.

W pewnym momencie zrobiło mi się niedobrze i leżłem jak długi, obejmując rękami obie krawędzie. Przez dłuższy czas leżałem wpatrując się w ziemię szeroko otwartymi oczami. Kiedy mi już przeszło, poczułem się zupełnie innym człowiekiem – pewnym siebie i zadowolonym. W połowie drogi spostrzegłem kogoś nadchodzącego z przeciwnej strony. Strach znowu pojawił się w moim sercu, gdyż nie widziałem sposobu, żebyśmy się mogli wyminąć. Niemniej wciąż posuwałem się powoli naprzód i kiedy byliśmy już wystarczająco blisko, poznałem nadchodzącego. To był Slofork – zwany czarownikiem. Nigdy wcześniej go nie spotkałem, ale poznałem go po charakterystycznych dziwactwach jego postaci. Człowiek ten był koloru jaskrawocytrynowego i miał podobny do trąby, bardzo długi nos, który wprawdzie nie dodawał mu urody – przynajmniej tak jak ja rozumiem urodę – niemniej sprawiał wrażenie użytecznego narządu. Nazywano go „czarownikiem” ze względu na jego zdumiewającą umiejętność pączkowania nowych kończyn i organów. Mówią, że pewnego wieczoru tępym kamieniem odpiłował sobie powoli nogę, a następnie dwa dni leżał, cierpiąc, dopóki nowa noga mu nie odrosła. Nie miał opinii niezaprzeczalnie mądrego, ale zdarzały mu się czasami przebłyски wnikliwości i polotu, którym nikt nie był w stanie dorównać.

Usiedliśmy twarzą do siebie w odległości dwóch jardów.

— Który z nas przejdzie górą? — zapytał Slofork. Jego zachowanie było tak spokojne jak sam dzień, ale dla mojej natury straszne z powodu ukrytej grozy. Uśmiechnąłem się, ale nie życzyłem sobie tego upokorzenia. Siedzieliśmy tak, zachowując się przyjaźnie, przez wiele minut.

— Co jest większe od Przyjemności? — zapytał nagle.

Byłem w wieku, kiedy pragnie się, by uważano cię za równego w każdym przypadku, tak więc, ukrywając zdumienie, podjąłem konwersację, jak gdyby to było celem naszego spotkania.

— Ból — odpowiedziałem. — Ból pozbawia nas przyjemności.

— A co jest większe niż Ból?

Zastanowiłem się.

— Miłość. Bo zaakceptujemy ból od tych, których kochamy.

— A co jest większe niż Miłość?

— Nic, Slofork.

— A co to jest Nic?

— Ty mi to musisz powiedzieć.

— Powiem ci. Ten świat jest światem Shapinga. Ten, kto jest grzecznym dzieckiem, zna przyjemność, ból, miłość i zostaje wynagrodzony. Ale istnieje też inny świat, nie będący światem Shapinga, i tam tego wszystkiego nie znają, tam jest inny porządek rzeczy. Tamten świat nazywamy Nicość, niemniej to nie jest Nic, lecz Coś.

Zapadło milczenie.

— Podobno — przerwałem ciszę — jesteś dobry w odrastaniu i zanikaniu organów?

— Ale to mi nie wystarcza. Każdy organ opowiada mi tę samą historię. A ja chcę słyszeć różne historie.

— Czy to prawda, co mówią ludzie, że twoja mądrość przy pływa i odpływa falami?

— Całkowita prawda — odpowiedział Slofork. — Tylko że ci, co to mówili, zapomnieli dodać, że zawsze myślą przy pływ z odpływem.

— Moje doświadczenie mówi mi — powiedziałem sentencjonalnie — że mądrość jest cierpieniem.

— Być może, młody człowieku, ale nigdy tego nie doświadczyłeś i nie doświadczysz. Dla ciebie świat wciąż będzie nosił szlachetne i groźne oblicze. Nigdy nie wzniesiesz się ponad mistycyzm... Ale bądź szczęśliwy na swój sposób.

Zanim się zorientowałem, co robi, zeskoczył spokojnie ze ścieżki prosto w przepaść. Runął w dół, spadając z coraz większą prędkością. Krzyknąłem, rzuciłem się na ziemię i zamknąłem oczy.

Często zastanawiałem się, która z moich nierozważnych młodzieńczych wypowiedzi spowodowała jego nagłą decyzję, by popełnić samobójstwo. Cokolwiek to mogło być, od tamtej pory przyjąłem ścisłą zasadę nigdy nie wypowiadać się dla własnej przyjemności, lecz jedynie po to, by pomóc innym.

W końcu dotarłem do Ifdawn Marest. Przez cztery dni ze zgrozą błąkałem się po tamtejszym labiryncie. Bałem się śmierci, ale jeszcze bardziej się bałem, że mogę utracić mój światobliwy stosunek do życia. Gdy już byłem prawie na skraju i zaczynałem sobie gratulować, natknąłem się na trzecią z nadzwyczajnych postaci moich eksperymentów – okrutnego Muremakera. Zdarzyło się to w okropnych okolicznościach. Było popołudnie, pochmurne i burzowe, gdy ujrzałem mężczyznę, żywego, unoszącego się w powietrzu bez widocznej podpory. Wisiał wyprostowany naprzeciw klifu, a pod nogami miał ziejącą otchłań głęboką na tysiąc stóp. Podczołgałem się najbliżej, jak tylko mogłem i wyjrzałem. Zobaczył mnie i wykrzywił się jak ktoś, kto chce, żeby jego upokorzenie wzięto za zabawę. To widowisko tak mnie zdumiało, że nie byłem nawet w stanie zrozumieć, co się stało.

— Jestem Muremaker — krzyknął chrapliwym głosem, szokującym dla moich uszu. — Przez całe życie wchłaniałem innych, a teraz sam jestem wchłaniany. Nuclamp i ja pokłóciliśmy się o kobietę. A teraz Nuclamp trzyma mnie tutaj. Będę tak wisiał dopóki mu starczy sił; a kiedy się zmęczy – co nastąpi już niebawem – polecę w dół.

Gdyby to był ktoś inny, spróbowałbym go uratować, ale ten ludożerca był znany z tego, że spędził całe życie torturując, mordując i wchłaniając innych dla przyjemności. Odszedłem w pośpiechu i tego dnia już więcej się nie zatrzymywałem.

W Poolingdred spotkałem Joiwind. Chodziliśmy ze sobą i rozmawialiśmy przez jakiś miesiąc, po czym doszliśmy do wniosku, że za bardzo pokochaliśmy się wzajemnie, żeby się rozstać.

Panawe zamilkł.

— Fascynująca historia — stwierdził Maskull. — Zaczynam lepiej rozumieć, co mnie tu czeka. Ale zastanawia mnie jedna rzecz.

— Tak? Co takiego?

— Jak to możliwe, że ludzie tutaj nie znają narzędzi ani sztuki i nie ma żadnej cywilizacji, a mimo to wypracowali zasady współżycia społecznego i racjonalnego myślenia.

— A ty wyobrażasz sobie, że miłość i mądrość bierze się z narzędzi? Wiem skąd to u ciebie. W twoim świecie, mając znacznie mniej zmysłów i chcąc to jakoś wyrównać, jesteście zmuszeni odwoływać się do pomocy kamienia i metalu. To w żadnym wypadku nie jest oznaką wyższości.

— Też tak uważam — powiedział Maskull. — Myślę, że muszę się wielu rzeczy oduczyć.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, a potem stopniowo zasnęli. Joiwind otworzyła oczy, uśmiechnęła się i znów zapadła w sen.

Rozdział 8

Równina Złudzeń

Maskull obudził się przed nimi. Wstał, przeciągnął się i wyszedł na słońce. Wspiął się na krawędź krateru i spojrzał ku Ifdawn Marest. Branchspell już zachodził. Poświata Alppaina zniknęła całkowicie. Góry wyglądały na dzikie i potężne. Robiły na nim wrażenie jak prosta fraza muzyczna, której nuty są bardzo odległe na skali. Duch niefrasobliwości, śmiałości i żądy przygód wydawał się go tam wzywać. To w tym momencie w jego sercu pojawiło się postanowienie, żeby pójść do Ifdawn Marest i eksplorować tamtejsze niebezpieczeństwa.

Wrócił do jaskini pożegnać się z gospodarzami.

Joiwind popatrzyła na niego swoim śmiałym i uczciwym wzrokiem.

— Czy kieruje tobą egoizm, Maskull? — zapytała. — A może przyciąga cię coś silniejszego od ciebie?

— Bądźmy rozsądni — odpowiedział z uśmiechem Maskull. — Przecież nie mogę osiedlić się w Poolingdred, zanim nie dowiem się czegoś o tej waszej zdumiewającej planecie. Pamiętaj, jak długą drogę przebyłem. Ale najprawdopodobniej tu wrócę.

— Obiecujesz?

Maskull zawahał się.

— Poproś o coś łatwiejszego, wciąż nie znam jeszcze swoich możliwości.

— To nie jest nic trudnego, a ja tego pragnę. Obiecuj mi, że nigdy nie podniesiesz ręki na żywe stworzenie, nie uderzysz, nie wyrwiesz, nie zjesz, dopóki nie wspomnisz jego matki, która będzie cierpieć z tego powodu.

— Chyba tego nie obiecuję — powiedział powoli Maskull — ale zobowiązę się do czegoś bardziej uchwytneho. Nigdy nie podniosę ręki na żywe stworzenie, nie wspominając pierw ciebie.

Joiwind nieco zbladła.

— No wiesz, gdyby Panawe wiedział, że może takim być, mógłby być teraz zazdrosny.

— Nie powinnaś mówić takich rzeczy w obliczu Shapinga — powiedział Panawe, kładąc jej łagodnie rękę na ramieniu.

— Nie powinnam. Wybacz! Jestem jakaś nieswoja. To chyba krew Maskulla w moich żyłach... Pożegnajmy się z nim. Pomódlmy się, żeby gdziekolwiek się znajdzie, dokonywał tylko honorowych czynów.

— Odprowadzę go — powiedział Panawe.

— Po co? — sprzeciwił się Maskull. — Droga jest prosta.

— Ale rozmowa skraca podróż.

Maskull odwrócił się w kierunku wyjścia.

Joiwind delikatnie obróciła go ku sobie.

— Nie będziesz myślał źle o kobietach z mojego powodu?

— Błogosławiona dusza z ciebie — odpowiedział.

Odeszła w odległy kąt jaskini i zamyśliła się. Panawe i Maskull wyszli na świeże powietrze. W pół drogi do krawędzi klifu natknęli się na niewielki strumień. Woda była bezbarwna, przezroczysta i nasyciona gazem. Maskull zaspokoił swoje pierwsze pragnienie i od razu poczuł się inny. Otoczenie stało się dla niego tak rzeczywiste w swojej żywotności i kolorystyce, i tak nierzeczywiste w swojej zjawiskowej tajemniczości, że schodził w dół jak ktoś, kto zapadł w sen zimowy.

Gdy wyszli na płaskowyż, zobaczył przed sobą nieskończony las wysokich drzew o niezwykle obcych

kształtach. Liście były krystalicznie przejrzyste, tak że spojrzawszy w górę, miało się wrażenie spoglądania przez szklany dach. Promienie słoneczne wciąż docierały do nich – pod drzewami – białe, dzikie i oślepiające, ale pozbawione ciepła. Nietrudno było sobie wyobrazić, że wędrują po chłodnych, elfich polanach.

Droga, idealnie prosta i niezbyt szeroka, prowadziła przez las daleko, jak okiem sięgnąć.

Maskull miał ochotę porozmawiać ze swoim towarzyszem, ale jakoś nie wiedział, jak zacząć. Panawe zerkał na niego, uśmiechając się z nieodgadnionym wyrazem twarzy – surowym, ale czarującym i na pół kobiecym. W pewnej chwili przerwał ciszę, w dość dziwny sposób, gdyż Maskull nie był w stanie określić czy jest to mowa czy śpiew. Z jego ust wydobywał się cichy melodyjny recytatyw, zupełnie jak urzekające *adagio* na basowym instrumencie strunowym. Była jednak pewna różnica. Zamiast powtórzeń i wariacji jednego lub dwóch motywów, jak w muzyce, motyw Panawe był przedłużany – nigdy się nie kończył i zarówno pod względem rytmu jak i melodii przypominał raczej rozmowę. Jednocześnie nie był to jednak recytatyw, gdyż nie była to deklamacja, tylko długi, spokojny strumień czułych emocji.

Maskull słuchał urzeczony i wstrząśnięty. Pieśń, o ile można to nazwać pieśnią, wydawała się zawsze być akurat w tym miejscu, w którym ma stać się jasna i zrozumiała – nie na poziomie słów, lecz w taki sposób, w jaki ktoś dzieli się z innym swoimi nastrojami i odczuciami – i Maskull czuł, że właśnie ma być wyrażone coś ważnego, wyjaśniającego wszystko, co zaszło dotychczas. I to było niezmiennie odkładane na później; nie mógł tego zrozumieć – a mimo to jakoś rozumiał.

Późnym popołudniem doszli do jakiejś polany i tam Panawe zakończył swój recytatyw. Zwolnił, a potem zatrzymał się jak człowiek, który chce dać do zrozumienia, że nie ma zamiaru iść dalej.

— Jak się nazywa ta okolica? — zapytał Maskull.

— Równina Złudzeń.

— Czy ta muzyka nie miała mnie skusić? Chcesz, żebym zawrócił?

— Swoją pracę masz przed sobą. Po co miałbyś wracać?

— Co to więc było? Jaką pracę masz na myśli?

— Powinna ci się wydać czymś akurat dla ciebie.

— To brzmiało jak muzyka Shapinga — powiedział z roztargnieniem Maskull i już w chwili, gdy wypowiadał te słowa, zastanawiał się czemu tak mówi, gdyż teraz wydawały się mu nie mieć znaczenia.

— Shapinga odnajdziesz wszędzie — powiedział Panawe, niczemu się nie dziwiąc.

— To jest sen czy jawa? — zapytał Maskull.

— Jawa.

Maskull zamyślił się głęboko.

— Będzie co będzie — powiedział, przytomniejąc. — Pójdę już. Gdzieś będę musiał się przespać tej nocy.

— Dojdiesz do szerokiej rzeki. Po niej będziesz mógł jutro dotrzeć do podnóża Ifdawn Marest. Ale wieczorem lepiej przenocuj w miejscu, w którym las dochodzi do rzeki.

— Żegnaj więc, Panawe! Chyba że chcesz mi jeszcze o czymś powiedzieć?

— Tylko to, Maskull, że gdziekolwiek pójdziesz, staraj się uczynić ten świat piękniejszym, a nie brzydszym.

— To więcej, niż ktokolwiek z nas może przedsięwziąć. Jestem prostym człowiekiem i nie mam ambicji, by upiększać życie, ale powiedz Joiwind, że będę starał utrzymać się w czystości.

Rozstali się raczej chłodno. Maskull stał wyprostowany w miejscu rozstania, obserwując Panawe, dopóki ten nie zniknął. Potem westchnął – więcej niż raz.

Ogarnęło go wrażenie, że coś się zaraz wydarzy. Było duszno. Niczym nie przesłonięte promienie późnopołudniowego słońca zalewały jego ciało zmysłowym ciepłem. Niezmiennie wysoko nad jego głową ścigała się na niebie samotna chmura.

Gdzieś z tyłu, z bardzo daleka odezwała się pojedyncza nuta trąbki. W pierwszej chwili wydało mu

się, że z odległości wielu mil, ale potem dźwięk powoli narastał, zbliżając się coraz bardziej, stając się coraz głośniejszy. Wciąż była to ta sama nuta, ale teraz brzmiała, jakby jakiś gigantyczny trębacz grał mu tuż nad głową. Potem dźwięk stopniowo przycichł i oddalił się do przodu. Zakończył się jako słaby i daleki.

Teraz poczuł się dopiero sam na sam z Naturą. Jakiś błogi spokój ogarnął jego serce. Przeszłość i przyszłość została zapomniana. Las, słońce, dzień przestały dla niego istnieć. Przestał być świadom samego siebie – nie miał żadnych myśli ani żadnych uczuć. Jeszcze nigdy Życie nie wzniosło się dla niego na takie wyżyny.

Na ścieżce, na wprost niego, ukazał się mężczyzna stojący z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jego ubiór okrywał tułów, pozostawiając gołe kończyny. Był raczej młody niż stary. Maskull zwrócił uwagę, że jego oblicze nie jest wyposażone w żaden z tych specjalnych organów z Tormance, do których jeszcze nie zdążył przywyknąć. Twarz mężczyzny pozbawiona była owłosienia, a cała postać emanowała nadmiarem żywotności jak powietrze drżące w gorący dzień. Spoglądał z taką siłą, że Maskull nie był w stanie spojrzeć mu w oczy.

Stojąc tak naprzeciw tego osobnika, Maskull czuł narastającą radość. Był przekonany, że przydarza mu się coś dobrego. Z trudem udało mu się wykrztusić jakieś słowa.

— Czemu mnie zatrzymujesz?

— Przyjrzyj mi się dobrze, Maskull. Kim jestem? — tamten zwrócił się do niego po imieniu.

Jego głos był niezwykle. Jakby dwutonowy. Pierwszy ton brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka, drugim były składowe harmoniczne – coś jak rezonansowe brzęczenie struny.

— Myślę, że jesteś Shapingiem.

— Jestem Surturem.

Maskull ponownie spróbował spojrzeć mu w oczy, ale się poczuł, jakby go żgnięto.

— Wiesz już, że ten świat jest mój. Jak myślisz, po co cię tu sprowadziłem? Chcę, żebyś mi służył.

Maskull zaniemówił.

— Nie umkną ci, którzy robią sobie żarty z mojego świata. — kontynuowała zjawą — Ci, którzy drwią z jego surowego, odwiecznego rytmu, z jego piękna i ze wzniosłości, która nie jest czymś powierzchownym, lecz ma niezmiernie głębokie korzenie.

— Ja nie drwię.

— Pytaj, a ja ci odpowiem.

— Nie mam pytań.

— Twoja służba dla mnie, Maskull, to konieczność. Nie rozumiesz tego? Jesteś moim sługą i pomocnikiem.

— Nie zawiodę.

— Mnie! Nie siebie.

Zanim jeszcze ostatnie słowa opuściły usta Surtura, Maskull zobaczył, jak rozrasta się on gwałtownie w górę i na boki. Patrząc na sklepienie niebieskie, ujrzał jak całe pole widzenia wypełnione zostaje jego ciałem – nie jakimś konkretnym człowiekiem, ale rozległym jak chmura wklęsłym wizerunkiem spoglądającym na niego i marszczącym brwi. Nagle obraz zniknął, jakby zgaszono światło.

Maskull stał nieruchomo, a serce mu waliło. Znów usłyszał samotną nutę trąbki. Tym razem dźwięk zaczął się słabo, w dużej odległości przed nim i zbliżał się powoli, narastając regularnie; minął go, przechodząc nad głową, gdy był najgłośniejszy, po czym cichnąć coraz bardziej – czarowny i uroczystry – oddalał się do tyłu, aż nuta wtopiła się w śmiertelną ciszę lasu. Dla Maskulla było to jak zakończenie wspaniałego i ważnego rozdziału.

Jednocześnie z zamierającym dźwiękiem niebios jakby otwarły się z szybkością błyskawicy, ukazując błękitne sklepienie o niezmiernej wysokości. Maskull odetchnął głęboko, przeciągnął się i rozejrzał z lekkim uśmiechem.

Chwilę potem ruszył w dalszą podróż. Umysł miał wciąż otepiały i oszołomiony, ale zaczynała w nim dominować jedna myśl, ogromna, bezkształtna i potężna, jak pomysł rodzący się w duszy kreatywnego artysty – zawrotna myśl, że jest człowiekiem przeznaczenia.

Czym dłużej się zastanawiał nad tym wszystkim, co wydarzyło się od jego przybycia do tego nowego świata – a nawet przed opuszczeniem Ziemi – tym oczywistsze i bardziej bezsporne się stawało, że nie znalazł się tutaj dla własnych celów i że musi tu pozostać do końca. Czym jednak miałby być ten koniec, nie był w stanie sobie wyobrazić.

Miedzy drzewami dojrzał zachodzącego w końcu Branchspella. Słońce wyglądało jak ogromna kula czerwonego ognia; mógł się mu już spokojnie przyjrzeć.

Droga skręciła nagle w lewo, po czym zaczęła łagodnie opadać w dół. Przed nim pojawiła się szeroko rozlana rzeka o czystej, ciemnej wodzie – trafił bez trudu. Rzeka płynęła z północy na południe. Leśna ścieżka zaprowadziła go wprost na brzeg. Stał i w zadumie zaczął się przyglądać płynącej z pluskiem wodzie. Las ciągnął się dalej na przeciwnym brzegu. Na południu, mile stąd, dało się odróżnić Poolingdreda. Na północnym horyzoncie rysowały się góry Ifdawn Marest – wysokie, dzikie, piękne i niebezpieczne. Nie były dalej niż jakieś dwanaście mil.

Jak pierwsze pomruki burzy – pierwsze słabe podmuchy zimnego wiatru – w sercu Maskulla zawirowało podniecenie. Pomimo cielesnego zmęczenia zapragnął wypróbować na czymś swoją siłę. To pragnienie przypisywał turniom Ifdawn Marest. Wydawały się być dla niego taką samą magiczną atrakcją jak magnes dla żelaza. Gryzł paznokcie z niecierpliwości, spoglądając w tamtym kierunku i zastanawiając się, czy dałby radę wejść na górę jeszcze tego wieczoru. Ale gdy spojrzał do tyłu na Poolingdred, przypomniał sobie Joiwind i Panawe, i to go trochę uspokoiło. Zdecydował się spać w tym miejscu i wyruszyć wcześniej o świcie, gdy tylko się obudzi.

Napił się wody z rzeki, umył i ułożył na brzegu do snu. Jak do tej pory, przy tej postępującej obsesji zupełnie nie dbał o nocne niebezpieczeństwa i wierzył w swoją gwiazdę.

Branchspell zaszedł, zrobiło się ciemno i nadeszła noc ze swą okropną siłą ciężkości – a Maskull wszystko przespał. Długo przed północą obudziła go jednak karmazynowa poświata na niebie. Otworzył oczy, zastanawiając się, gdzie jest. Czuł ciężar i ból. Czerwony blask okazał się zjawiskiem naziemnym; rozchodził się spomiędzy drzew. Maskull wstał i poszedł w kierunku światła.

Opodał rzeki, nie dalej niż sto stóp, prawie nastąpił na ciało śpiącej kobiety. Na ziemi, kilka jardów od niej leżał przedmiot wysyłający karmazynowe światło. Wyglądał jak mały klejnot emitujący świecące na czerwono iskry. Maskull nie poświęcił mu jednak zbyt dużo uwagi.

Kobieta ubrana była w wielką zwierzęcą skórę. Miała duże, gładkie i zgrabne kończyny, raczej muskularne niż otyłe. Jej *magn* nie był cienką macką, ale trzecią ręką zakończoną dłonią. Jej twarz, zwrócona do góry, była dzika, mocna i niezwykle urodziwa. Maskull zauważył ze zdziwieniem, że na czole, w tym samym miejscu, gdzie powinien być *brevis*, ma jeszcze jedno oko. Wszystkie trzy oczy były zamknięte. Koloru jej skóry – w karmazynowym świetle – nie dało się odróżnić.

Ostrożnie dotknął ją ręką. Obudziła się spokojnie i spojrzała na niego, nie mrugnawszy okiem. Patrzyła wszystkimi trzema oczami, ale te dwa niższe wyglądały na otepiałe i puste – wyłącznie zmysły wzroku. To środkowe, na czole, wyrażało jej wewnętrzną naturę. Jego wyniosły, nieugięty blask miał w sobie coś kuszącego i uwodzicielskiego. Maskull poczuł w nim kobiecą siłę woli, wyzywającą i władczą, i instynktownie zeszytywniał.

Kobieta usiadła.

— Potrafiś mówić moim językiem? — zapytał. — Nie zadawałbym takiego pytania, gdyby nie to, że inni potrafili.

— A co ty sobie wyobrażasz, że twój umysł jest tak bardzo złożony, że nie potrafisz go odczytać?

— No nie, ale nie masz *brevisa*.

— No to co? Mam za to *sorb*, coś znacznie lepszego — oznajmiła, wskazując oko na czole.

— Jak się nazywasz?

— Oceaxe.

— Skąd idziesz?

— Z Ifdawn Marest.

Jej pogardliwe odpowiedzi zaczęły go irytować. Chociaż jeśli chodzi o tembr, to jej głos był fascynujący.

— Pójdę tam jutro — zauważył.

Roześmiała się, jakby wbrew swojej woli, ale tego nie skomentował.

— Nazywam się Maskull — mówił dalej. — Jestem tu obcy. Z innego świata.

— Powinnam się była domyślić. Wyglądasz absurdalnie.

— Może powinniśmy ustalić to od razu — powiedział bez ogródek Maskull. — Zostaniemy, czy może nie zostaniemy przyjaciółmi?

Ziewnęła i przeciągnęła się, ale nie wstała.

— A dlaczegoż to mielibyśmy zostać przyjaciółmi? Gdybym uważała cię za mężczyznę, to mogłabyś zostać moim kochankiem.

— Musisz sobie poszukać kogoś gdzie indziej.

— I niech już tak zostanie, Maskull! A teraz idź już sobie i zostaw mnie w spokoju.

Położyła się z powrotem na ziemi, lecz nie zamknęła oczu.

— A co robisz tutaj? — dopytywał się Maskull.

— Och, my ludzie z Ifdawn Marest czasami przychodzimy tutaj spać, gdyż tam dość często zdarza się noc, po której nie ma dla nas dnia.

— Jeśli to takie straszne miejsce, to widząc, że jestem całkiem obcy, mogłabyś z czystej uprzejmości ostrzec mnie przed niebezpieczeństwami, które mogą tam na mnie czekać.

— Jest mi całkowicie i do głębi obojętne, co się stanie z tobą — stanowczo odparła Oceaxe.

— Wracasz rano? — nie zrażał się Maskull.

— Jak będzie mi się podobało.

— W takim razie pójdziemy razem.

Oceaxe uniosła się na łokciu.

— Ja, zamiast planować podróż innym, zrobiłabym coś, co będzie mi bardzo potrzebne.

— Och, błagam! Powiedz mi, co?

— No cóż, nie ma w zasadzie powodu, żebym ci tego nie powiedziała. Ja postarałabym się przekształcić moje kobiece narządy w męskie. Bo to jest kraina mężczyzn.

— A możesz wyrazić to prościej.

— Och, to jest całkiem proste. Próba przejścia przez Ifdawn bez *sorbu*, to samobójstwo. A ten twój *magn* jest również bardziej niż bezużyteczny.

— Pewnie wiesz, co mówisz. A jak mam to zrobić?

Kobieta wskazała niedbale leżący na ziemi klejnot.

— Tam masz rozwiązanie. Jeśli potrzywasz to *drude* przez dłuższą chwilę w pobliżu swoich organów, być może zainicjuje to ich przekształcenie, a natura do rana może zrobić resztę. Ale niczego nie obiecuję.

I teraz już naprawdę odwróciła się tyłem do Maskulla.

Przez kilka minut zastanawiał się, a potem podszedł do kamienia i wziął go w rękę. Był to otoczek rozmiaru kurzego jaja, świecący na karmazynowo – jak gdyby był rozgrzany do czerwoności – i wyrzucający nieustanny pryszcik drobnych krwistoczerwonych iskerek.

Zdecydowawszy w końcu, że rada Oceaxe jest dobra, przycisnął *drude* najpierw do *magna*, a potem do *brevisa*. Poczul pieczenie – tak jakby uczucie uzdrawiającego bólu.

Rozdział 9

Oceaxe

Nadszedł świt drugiego dnia pobytu Maskulla na Tormance. Gdy się obudził, Branchspell był już powyżej horyzontu. Od razu się zorientował, że w nocy jego narządy uległy przemianie. Mięsisty *brevis* przekształcił się w podobny do oka *sorb*, a *magn* spęczniał i rozwinął się w trzecią rękę wyrastającą na piersi. Ręka dała mu od razu poczucie większego bezpieczeństwa fizycznego, ale z *sorbem* musiał poeksperymentować, zanim zdołał opanować jego funkcje.

Leżąc w jasnych promieniach słońca, na zmianę otwierając i zamykając swoich troje oczu, stwierdził, że dwa niższe służą percepcji, a to wyższe woli. Można powiedzieć, że niższymi oczami widział dokładnie i szczegółowo rzeczy, ale bez osobistego stosunku do nich; natomiast patrząc *sorbem*, nic nie jawiło się jako samoistne – wszystkie rzeczy ukazywały się jako ważne albo nieważne dla niego.

Dość mocno zaintrygowany tym, jak do tego doszło, wstał i rozejrzał się. Z miejsca, gdzie spał, nie było widać Oceaxe. Zaniepokoił się, czy ją jeszcze zastanie na miejscu, niemniej zdecydował się najpierw wykapać, zanim pójdzie to sprawdzić.

Był cudowny poranek. Gorące białe słońce już zaczynało ostro świecić, ale jego ciepło łagodził pogwizdujący między drzewami silny wiatr. Chmara fantastycznych obłoków wypełniła niebo. Wyglądały jak zwierzęta i ciągle zmieniały kształt. Ziemia, podobnie jak liście i gałęzie leśnych drzew, wciąż nosiła ślady obfitej rosy czy nocnego deszczu. Do jego nozdrzy docierał ostry i słodki zapach przyrody. Ból zniknął i samopoczucie miał wspaniałe.

Zanim się wykapał, rzucił jeszcze okiem na góry Ifdawn Marest. W porannym słońcu rysowały się malowniczo. Oceniał, że mają od pięciu do sześciu tysięcy stóp wysokości. Wyniosłe, poszarpane, przypominające krenelaże pasmo gór wyglądało jak mury jakiegoś magicznego miasta. Klify na wprost niego składały się z wielobarwnych skał – cynober, szmaragd, żółć, *ulfire* i czerń. Gdy tak patrzył, serce zaczęło bić mu powoli, jak wielki bęben, aż cały zadrżał ogarnięty nieopisanymi nadziejami, aspiracjami i uczuciami. To, co czuł, to było coś więcej, niż tylko zdobywanie nowego świata – to było coś innego.

Wykapał się i napił, a gdy się ubierał, leniwym krokiem nadeszła Oceaxe.

Teraz mógł zobaczyć kolor jej skóry – żywą, a przy tym delikatną mieszaninę karminowego, białego i *jale*. Efekt był zaskakująco nieziemski. Z tymi nowymi kolorami wyglądała jak prawdziwa przedstawicielka dziwnej planety. Jej ciało również było interesujące. Miała typowo kobiece kształty i charakterystyczny dla kobiet kościec, chociaż całość wydawała się jakoś manifestować ukrytą pod spodem śmiałą, męską wolę. Górne oko na jej czole podsuwało tę samą zagadkę w bardziej otwarty sposób. Promieniował z niego zuchwałość, apodyktyczny egotyzm okraszony przeblaskami seksu i czułości.

Oceaxe zeszła na brzeg i zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy.

— No, teraz wyglądasz jak mężczyzna — powiedziała swoim przyjemnym, śpiewnym głosem.

— Jak widzisz, eksperyment się udał — odpowiedział, śmiejąc się radośnie.

— Ten śmieszny strój dała ci kobieta? — zapytała Oceaxe, wciąż mu się przyglądając.

— Tak, kobieta mi to dała — uśmiech zniknął z jego twarzy — i nic śmiesznego wówczas w tym nie widziałem. Wciąż nie widzę.

— Ja chyba wyglądałabym w tym lepiej niż ty.

Mówiąc to, rozebrała się ze skóry, która tak dobrze jej służyła, i podała ją Maskulłowi, by zamienić ubiory. Posłuchał, nieco skonsternowany, gdyż zdawał sobie sprawę z tego, że proponowana wymiana jest w rzeczywistości bardziej odpowiednia dla jego płci. Skóra okazała się swobodniejszym strojem. Natomiast Oceaxe w jego draperii wydała mu się bardziej niebezpiecznie kobieca.

— Nie życzę sobie, żebyś otrzymywał podarunki od innych kobiet — oznajmiła Oceaxe, cedząc słowa.

— A dlaczego? Kim ja jestem dla ciebie?

— Myślałam o tobie w nocy — odpowiedziała. Mówiła jakby z przymusem, wzgardliwie, tonem niskim, przypominającym altówkę. Usiadła na pniu zwalonego drzewa i odwróciła wzrok.

— A co myślałaś?

Nie odpowiedziała na pytanie, tylko zaczęła obskubywać z pnia kawałki kory.

— W nocy potraktowałaś mnie z taką pogardą...

— To było w nocy, a teraz jest dzień. Ty zawsze wędrujesz po świecie całkiem przytomny?

Tym razem Maskull nic nie odpowiedział.

— No więc jeśli masz trochę męskiego instynktu, a wydaje mi się, że masz, to nie będziesz mi się opierał wiecznie.

— Absurdalny pomysł — powiedział Maskull, otwierając szeroko oczy. — Niewątpliwie jesteś piękną kobietą, ale nie możemy być przecież tacy prymitywni.

Oceaxe westchnęła i podniosła się.

— Wszystko jedno. Poczekam.

— O ile rozumiem, masz zamiar podróżować w moim towarzystwie. W porządku, będę z tego nawet zadowolony. Ale tylko pod warunkiem, że już więcej o tym nie wspomnisz.

— Ale przecież uważasz, że jestem piękna?

— No bo jesteś. Dlaczego więc mam nie uważać? Nie rozumiem tylko, co to ma do moich uczuć. Oceaxe, daj już z tym spokój. Znajdziesz mnóstwo mężczyzn, którzy będą cię podziwiał i kochać.

— Ty głupcze, myślisz, że miłość przebiera i wybiera? — wybuchła. — Myślisz, że ja mam z tym takie trudności, że muszę polować na kochanków? Czyż Crimtyphon nie czeka właśnie na mnie?

— No i dobrze. Przykro mi, że ranię twoje uczucia. A teraz nie kuś mnie więcej, bo gdy ładna kobieta robi coś takiego, to to jest kuszenie. A ja nie jestem wolny.

— Czy ja ci proponuję jakieś ohydne rzeczy? Dlaczego mnie upokarzasz?

Maskull założył ręce do tyłu.

— Powtarzam, nie jestem panem swojej osoby.

— A kto nim jest?

— Wczoraj widziałem Surtura i od dzisiaj mu służyć.

— Rozmawiałeś z nim? — zapytała z ciekawością.

— Tak.

— Co powiedział, powiedz?

— Nie mogę. Nie powiem. Ale cokolwiek powiedział, jego piękno przysporzyło mi więcej cierpienia niż twoje, Oceaxe, i dlatego mogę patrzeć na ciebie z zimną krwią.

— Surtur zabronił ci być mężczyzną?

— Och, więc miłość to taki męski sport. — Maskull zmarszczył brwi. — A ja myślałem, że niewieści.

— Wszystko jedno. Zawsze nie będziesz taki chłopięcy. Nie nadwyrężaj więc mojej cierpliwości.

— Zmieńmy już temat. A przede wszystkim chodźmy.

Oceaxe roześmiała się nagle, tak radośnie, słodko i czarująco, że omal się nie zaczerwienił i prawie zapragnął pochwycić ją w ramiona.

— Och Maskull, Maskull, ale z ciebie głupiec! — zawołała.

— A w czym jestem taki głupi? — zapytał, krzywiąc się nie z powodu jej słów, ale z powodu własnej słabości.

— Czyż świat nie jest dziełem niezliczonych zakochanych par? A ty stawiasz się ponad tym

wszystkim. Próbujeś umknąć siłom przyrody. Gdzie ty znajdziesz dziurę, w której będziesz mógł się ukryć?

— Oprócz urody, muszę przyznać, posiadasz jeszcze jedną cechę – upór.

— Poznasz mnie lepiej, a wtedy prawa natury spowodują, że zastanowisz się dwa albo i trzy razy, zanim mnie porzucisz. A teraz, zanim wyruszymy, może lepiej coś zjedzmy.

— Zjedzmy? — zdziwił się Maskull.

— Ty nie jesz? Zaliczasz jedzenie do tej samej kategorii, co miłość?

— A co zjemy?

— Rybę z rzeki.

Maskull przypomniał sobie, co obiecał Joiwind, ale w tym samym momencie poczuł głód.

— Nie ma czegoś łagodniejszego? — zapytał.

— Szedłeś przez Poolingdred? — Oceaxe wydeła pogardliwie wargi. — Tam wszyscy są tacy sami. Uważają, że życie to coś, co służy jedynie do oglądania. Ale teraz jesteś w Ifdawn, więc musisz zmienić poglądy.

— No to złap tę swoją rybę — odpowiedział, marszcząc czoło.

Czyste, szeroko rozlane wody rzeki płynęły, falując, od strony gór. Oceaxe ukłękła na brzegu, wpatrując się w głębię. Wyteżając i koncentrując wzrok, zanurzyła rękę i wyciągnęła coś w rodzaju niewielkiego potworka. Z pokrytą łuskami skórą i zębami stworzenie wyglądało bardziej na płaza niż na rybę. Rzucone na ziemię, próbowało odpełznąć. Oceaxe skoncentrowała całą swoją wolę w *sorbie*. Stworzenie podskoczyło do góry i padło martwe.

Poszukawszy kamienia z ostrą krawędzią, kobieta oskrobała nim łuski i wypatroszyła stworzenie, plamiąc sobie podczas tych czynności ręce i ubranie jasnoszkarłatną krwią.

— Maskull, poszukaj *drude* — powiedziała, złośliwie się uśmiechając. — Miałeś je nocy.

Zaczął szukać, co nie było łatwe, bo w słońcu światło kamienia stało się słabe i stłumione, ale w końcu znalazł. Oceaxe umieściła *drude* we wnętrzu potworka i zostawiła tuszkę leżącą na ziemi.

— Zanim się upieczę — powiedziała — oczyszcze się z tej krwi, bo cię to bardzo straszy. Nigdy wcześniej nie widziałeś krwi?

Maskull spojrzał na nią z zakłopotaniem. Znów pojawiła się stara sprzeczność – kontrastujące ze sobą cechy jej osobowości. Śmiały, dominacyjny męski egotyzm jej zachowania wydawał się zupełnie nie pasować do fascynującej i niepokojącej kobiecości głosu. W jego głowie pojawiła się zaskakująca myśl.

— Słyszałem — powiedział — że w twoim kraju zdarzają się akty woli zwane „absorbowaniem”. Co to takiego?

Trzymała czerwone, ociekające dłonie z dala od togi, śmiejąc się zachwycającym, dźwięcznym śmiechem.

— Pewnie sądzisz, że jestem w połowie mężczyzną?

— Odpowiedz na moje pytanie.

— Jestem stuprocentową kobietą, do szpiku kości. Niemniej, nie mogę powiedzieć, że nigdy nie zaabsorbowałam samca.

— A to znaczy?

— Nową strunę dla mojej harfy, szerszy zakres uczuć, burzliwsze serce...

— Dla ciebie, tak! A dla nich?

— Nie wiem, Maskull. Ofiary nie opisują swoich wrażeń. Prawdopodobnie jakieś poczucie krzywdy. O ile w ogóle jeszcze coś czują.

— Prerażający proceder! — wykrzyknął, patrząc na nią ponuro. — Można sądzić, że Ifdawn to kraina potworów.

Oceaxe uśmiechnęła się szyderczo.

— Tutaj — powiedziała, podchodząc do rzeki — lepsi ludzie niż ty, lepsi w każdym znaczeniu tego słowa, chodzą z czyjąś jaźnią wewnątrz siebie. Ty, Maskull, możesz wyznawać taką moralność, jaka ci się podoba, ale fakt pozostaje faktem – zwierzęta zostały stworzone po to, by je zjadać, a prostaczkowie, by ich absorbować.

— A prawa człowieka nic nie znaczą?

Pochylona nad wodą myła ręce i ramiona.

— Liczą się — odpowiedziała, spoglądając przez ramię — my jednak uważamy za ludzi tylko tych, którzy potrafią zadbać o swoje.

Mięso wkrótce się upiekło i w milczeniu zjedli śniadanie. Maskull rzucał od czasu do czasu ciężkie, niepewne spojrzenia ku swojej towarzyszce. Jedzenie smakowało wstrętnie, a nawet kanibalistycznie, ale nie wiedział, czy było to spowodowane jego dziwną jakością czy też długim postem. A gdy wstał, poczuł się splugawiony.

— Ukryję to *drude*, żebym mogła je jeszcze kiedyś odnaleźć — powiedziała Oceaxe. — Chociaż przy następnej okazji nie będzie tu ciebie, żeby zaszokować... Pójdziemy teraz rzeką.

Zeszli z lądu na wodę. Płynęła leniwie w przeciwnym kierunku. Przeciwieństwo to jednak, zamiast przeszkadzać, wywarło na nich odwrotny efekt – wymuszało większy wysiłek i szybszą wędrówkę. W ten sposób przeszli rzeką kilka mil. Dzięki wysiłkowi stopniowo poprawiało się krążenie krwi Maskulla, który zaczął traktować rzeczy z większym dystansem. Gorące słońce, słaby wiatr, uroczą sceneria chmur, cichy, krystaliczny las – wszystko to było kojące i cudowne. Zbliżali się coraz bardziej do barwnych, wesołych wzniesień Ifdawn Marest.

Było coś tajemniczego w tych jasnych stokach. Przyciągały go, chociaż czuł w nich jakąś grozę. Były rzeczywiste i jednocześnie jakoś bardzo nadprzyrodzone. Gdyby można było zobaczyć portret ducha, namalowany twardą, mocną kreską, w kolorach z tego świata, wrażenia wytworzone przez taki widok byłyby bardzo podobne do wrażeń Maskulla obserwującego urwiska tej krainy.

— Te góry mają bardzo oryginalne kształty — przerwał ciszę. — Wszystkie linie są proste i prostopadłe. Nie ma pochyłości ani krzywizn.

Oceaxe odwróciła się i idąc po wodzie tyłem, spojrzała mu w oczy.

— To jest typowe dla Ifdawn — powiedziała. — Dla nas przyroda jest jak walenie młotem. Nic miękkiego czy stopniowego.

— Słyszę cię, ale nie rozumiem.

— Wszędzie w Ifdawn Marest znajdziesz kawałki gruntu opadające w dół czy wznoszące się w górę. Drzewa rosną szybko. Kobiety i mężczyźni nie zastanawiają się dwa razy zanim zaczną działać. Można powiedzieć, że Ifdawn to miejsce szybkich decyzji.

Maskull był pod wrażeniem.

— Świeży, dziki, prymitywny ląd.

— A jak to jest tam, skąd pochodzisz? — zapytała Oceaxe.

— Mój kraj to zniedołężniały świat, w którym przyroda potrzebuje setek lat na ruszenie stałego lądu o jedną stopę, ludzie i zwierzęta biegają stadami, a oryginalność jest zapomnianym obyczajem.

— Są tam kobiety?

— Tak jak u was i nie różnią się zbytnio.

— Kochają?

Roześmiał się.

— Tak bardzo, że to ma wpływ na stroje, mowę i myśli całej płci.

— I pewnie są piękniejsze ode mnie?

— Nie. Myślę, że nie — powiedział Maskull.

Znów milcząc, przez dłuższy czas wędrowali chwiejnie naprzód.

— Po co idziesz do Ifdawn? — zapytała nagle Oceaxe.

Maskull wahał się chwilę z odpowiedzią.

— Jesteś w stanie wyobrazić sobie kogoś, kto ma przed sobą cel tak wielki, że nie jest w stanie ogarnąć go w całości?

Ukradkiem rzuciła mu długie, zaciekawione spojrzenie.

— Co to za cel?

— Cel moralny.

— Chcesz naprawiać świat?

— Niczego nie chcę. Ja czekam.

— Nie czekaj zbyt długo, bo czas nie czeka. Zwłaszcza w Ifdawn.

— Coś się wydarzy — powiedział Maskull.

Oceaxe nieznacznie się uśmiechnęła.

— Czyli nie ma w Ifdawn Marest jakiegoś konkretnego miejsca, dokąd zmierzasz?

— Nie i jeśli pozwolisz, pójdę z tobą do domu.

— Dziwny z ciebie człowiek — powiedziała Oceaxe, zachichotawszy z podniecenia. — Przecież cały czas ci to proponuję. Jasne, idziesz ze mną do domu. A co do Crimtyphona...

— Wspominałaś to imię już wcześniej. Kto to jest?

— Och, mój kochanek. Albo, jak ty byś to określił, mąż.

— To niczego nie zmienia — powiedział Maskull.

— Tak, to zupełnie niczego nie zmienia. Musimy się go jedynie pozbyć.

— Jedno jest pewne, nie rozumiemy się wzajemnie — stwierdził Maskull całkiem zszokowany.

— Przypadkiem nie wyobrażasz sobie, że ja się z tobą zwiążę?

— Zrobisz, co będziesz chciał. Ale, na razie, obiecałeś wrócić ze mną do domu.

— Powiedz mi więc, jak wy, w Ifdawn, pozbywacie się męża?

— Któryś z nas musi go zabić.

Gapił się na nią przez całą minutę.

— No, teraz to już przechodzimy od głupoty do obłędu.

— Wcale nie — sprzeciwiła Oceaxe. — Taka jest smutna prawda. A gdy zobaczysz Crimtyphona, to zrozumiesz.

— Wiem, jestem na dziwnej planecie — powiedział cicho Maskull. — Na planecie, gdzie wszystkie niesłychane rzeczy mogą się wydarzyć, gdzie najważniejsze zasady moralne mogą być zupełnie inne, wciąż jednak, o ile to rozumiem, morderstwo jest morderstwem i nie chcę już mieć do czynienia z kobietą, która chce mnie wykorzystać do pozbycia się swego męża.

— Uważasz, że jestem podła? — zapytała oziębło Oceaxe.

— Albo obłąkana.

— To może lepiej się rozstańmy. Tylko...

— Tylko co?

— Chcesz być konsekwentny, tak? To zostaw również w spokoju wszystkich innych podłych i obłąkanych. Będzie ci łatwiej zreformować resztę.

Maskull zmarszczył brwi, ale nic nie powiedział.

— To jak? — zapytała Oceaxe z nikłym uśmiechem.

— Pójdę z tobą i spotkam się z Crimtyphonem. Choćby po to, żeby go ostrzec.

Oceaxe wybuchnęła głośnym, kobiecym śmiechem, ale nie wiedział, czy dlatego, że wyobraziła sobie to, co przed chwilą powiedział czy z jakiegoś innego powodu. Rozmowa zamarła.

Kilka mil przed wznoszącymi się teraz wysoko klifami rzeka skręciła ostro pod kątem prostym na zachód i przestała być dla nich użyteczna jako droga. Maskull rozejrzał się niepewnie.

— Ta wspinaczka jest zbyt uciążliwa jak na taki gorący dzień.

— Odpocznijmy chwilę — powiedziała Oceaxe, wskazując gładką, płaską wysepkę z czarnej skały, wystającą z wody na środku rzeki.

Poszli tam zatem i Maskull usiadł. Oceaxe natomiast, stojąc wdzięcznie wyprostowana, odwróciła się w kierunku urwisk przed nimi i wydała z siebie dziwny, przeraźliwy krzyk.

— Po co to robisz? — zapytał Maskull.

Nie odpowiedziała. Po jakiejś minucie powtórzyła wołanie. Tym razem Maskull dostrzegł wielkiego ptaka podrywającego się ze szczytu jednego z urwisk i szybującego powoli na dół, w ich kierunku. Za nim leciały dwa inne. Ich lot był wyjątkowo powolny i niezdarny.

— Co to za ptaki? — zapytał Maskull.

Wciąż nie odpowiadała, tylko uśmiechnęła się dość tajemniczo i usiadła obok niego. Po kilku minutach mógł już odróżnić kształty i kolory latających potworów. To nie były ptaki, tylko stworzenia o długim węzowatym ciele z dziesięcioma gadzimi płetwiastymi odnóżami, które pełniły rolę skrzydeł. Ich ciała były jasnoniebieskie, a nogi i płetwy żółte. Leciały bez pośpiechu, ale w jakiś złowieszczy sposób kierowały się wprost ku nim. Ich głowy, co stało się już widoczne, zakończony były długimi, cienkimi kolecami.

— To są shrowki — wyjaśniła w końcu Oceaxe. — Jeśli chcesz wiedzieć jakie mają zamiary, to ci powiem. Chcą nas zjeść. Najpierw nabijają nas na swoje kolce, a potem ich gęby, które w rzeczywistości są ssawkami, wysąsą z nas krew do sucha, całkiem dokładnie. Nigdy nic nie zostawiają. Są bezzębne, więc nie jedzą mięsa.

— Mówisz to z taką zimną krwią, że nie sędzę, aby nam groziło jakieś szczególne niebezpieczeństwo — stwierdził sucho Maskull.

Niemniej instynktownie zapragnął się poderwać. Niestety nie udało mu się. Przyciskał go do ziemi jakiś nowy rodzaj paraliżu.

— Chcesz wstać? — zapytała słodkim głosem Oceaxe.

— No... Tak, ale te przekłete gady chyba przyszpiliły mnie siłą woli do tej skały. Mogę zapytać, czy budząc je, miałaś w tym jakiś specjalny cel?

— Zapewniam cię, Maskull, że niebezpieczeństwo jest całkiem realne. Zamiast mówić i zadawać pytania, powinienes lepiej sprawdzić, co możesz zrobić swoją siłą woli.

— Niestety, wydaje mi się, że nie posiadam już własnej woli.

Oceaxe dostała napadu śmiechu, wciąż jednak radosnego i uroczego.

— Maskull, z pewnością nie jesteś bohaterskim opiekunem. Wygląda na to, że to ja będę musiała odegrać rolę mężczyzny, a ty kobiety. Znacznie więcej oczekiwałam po twojej wielkiej posturze. Mój mąż kazałby najpierw tym stworzeniom zatańczyć na niebie dla rozrywki, a dopiero potem je wykorzystał. Obserwuj mnie. Dwa z nich zabiję, a na trzecim polecimy do domu. Którego mam wybrać?

Shrowki kontynuowały swój powolny, kołyszący się lot w ich kierunku. Ich ciała były ogromne. Wywoływały u Maskulla to samo uczucie nienawiści, co owady. Podświadomie rozumiał, że skoro polują z użyciem siły woli, to nie muszą być szybkie.

— Wybierz, którego chcesz — powiedział krótko. — Mnie jest wszystko jedno.

— Niech będzie ten pierwszy. Prawdopodobnie jest najsilniejszy. Patrz.

Wstała, a jej *sorb* nagle bluznął ogniem. Maskull poczuł coś jak pstryknięcie w swoim mózgu. Znów miał swobodne kończyny. Lecące z tyłu dwa potwory szarpnęły się, po czym jeden za drugim rzuciły się

głowami w dół, ku ziemi. Obserwował, jak uderzają w ziemię i leżą bez ruchu. Przodownik wciąż zbliżał się powoli, ale widać było, że jego lot ma już inny charakter – nie sprawiał wrażenia złowrogiego, lecz uległego i bezwolnego.

Oceaxe siłą woli sprowadziła go na stały ląd, naprzeciw ich skalnej wysepki. Ogromne cielsko legło tam, czekając, by ją zadowolić. Oboje natychmiast ruszyli przez wodę.

Maskull dokładnie przyjrzał się shrowkowi. Zwierzę miało około trzydziestu stóp długości. Jaskrawo zabarwiona skóra była błyszcząca, śliska i skórzasta. Długą szyję pokrywała grzywa z czarnych włosów. Głowa – z drapieżnymi oczami, przerażającym sztyletem oraz przystosowaną do ssania krwi gębą – wyglądała nienaturalnie i wzbudzała grozę. Na grzbiecie i ogonie były prawdziwe płetwy.

— Wsiadasz? — zapytała Oceaxe, poklepując bok stworzenia. — Ale, skoro mam kierować, to pozwól, że wsiadę pierwsza.

Podkasła togę, po czym wspięła się i usiadła okrakiem na grzbiecie zwierzęcia, zaraz za grzywą, której się chwyciła. Między Oceaxe a płetwą było wystarczająco dużo miejsca dla Maskulla. Bocznymi rękami chwycił się kobiety z obu stron. Jego trzecia, nowa ręka została przyciśnięta do jej pleców, więc dla większego bezpieczeństwa był zmuszony objąć nią kobietę w talii.

Zaraz jak tylko to zrobił, zrozumiał, że został zmanipulowany i że ta jazda została zaplanowana wyłącznie po to, żeby rozpaścić jego pożądanie.

Trzecie ramię posiadało swoją własną funkcję, zupełnie mu nieznaną. To był bardziej rozwinięty *magn*. Strumień miłości, który teraz przez niego przepływał, nie był już czysty i szlachetny – był burzliwy, emocjonalny i męczący. Zaciśnął zęby i nic nie powiedział, niemniej Oceaxe nie po to zaplanowała tę przygodę, by pozostawać nieświadoma jego uczuć. Obejrzała się z zadowoleniem i uśmiechnęła triumfalnie.

— Trzymaj się dobrze, ta jazda trochę potrwa — powiedziała. Jej głos był miękki jak dźwięk fletu, ale brzmiał raczej złośliwie.

Maskull wyszczerzył zęby, ale nic nie powiedział. Nie odważył się cofnąć rąk.

Shrowk uniósł się na nogach, szarpnął do przodu i powoli, dziwacznie wzbił się w powietrze. Ruszyli ku barwnym klifom. Ruch był chwiejny, kołyszący i powodujący mdłości. Kontakt z oślizgłą skórą bydlęcia był odrażający. Wszystko to dla Maskulla było jednak tylko tłem, gdyż siedział z zamkniętymi oczami, trzymając się Oceaxe. Na wierzchu, a także w głębi jego świadomości utkwiał fakt, że obejmuje piękną kobietę i że jej ciało reaguje na jego dotyk jak cudowna harfa.

Wznosili się coraz wyżej. Maskull zdobył się na otwarcie oczu i rozejrzał się dookoła. Znajdowali się już na wysokości zewnętrznej bariery skalnej. W polu widzenia wyłonił się wystający z oceanu przestworzy archipeląg dzikich wysp o poszarpanych konturach. Wyspami były szczyty gór lub – może bardziej ściśle – wysoki płaskowyż gęsto poprzecinany wąskimi, bezdennymi szczelinami. W niektórych przypadkach szczeliny wyglądały jak kanały, w innych jak jeziora, w jeszcze innych zaledwie jak dziury w ziemi o całkowicie zamkniętym obwodzie. Pionowe brzegi wysp – czyli wyższe, widoczne partie niezliczonych skalnych ścian – były całkowicie nagie i w pstrych kolorach. Za to powierzchnie poziome pokryte były gmatwaniną dzikiego życia roślinnego. Z grzbietu shrowka można było dostrzec pojedyncze wysokie drzewa. Miały różne kształty i nie wyglądały na stare. Były smukłe, kołysały się, ale nie wyglądały zbyt wdzięcznie. Sprawiały wrażenie twardych, krzepkich i dzikich.

Obserwując krajobraz, Maskull zapomniał o Oceaxe i swojej żądzy. Na pierwszy plan wysunęły się inne, nieznane mu dotychczas uczucia. Ranek był pogodny i słoneczny, słońce przygrzewało, a po niebie żeglowały szybko zmieniające się chmury. Ziemia była barwna, dzika i odludna. Mimo to nie doznawał żadnych estetycznych wrażeń. Ogarnęła go jedynie jakaś intensywna chęć działania, wręcz obsesja. Na co by nie spojrział, natychmiast pragnął coś z tym zrobić. Atmosfera tej krainy wydawała się być jakaś duszna – pociągająca i odpychająca jednocześnie. I chociaż we wszystkim, co się tutaj działo, pragnął mieć swój osobisty udział, to sceneria nic dla niego nie znaczyła.

Tak był tym pochłonięty, że jego ręka częściowo się rozluźniła. Oceaxe odwróciła się i popatrzyła badawczo. Usatysfakcjonowana lub nie, roześmiała się cicho z jakimś osobliwym akcentem.

— Tak szybko ochłodłeś? — zapytała.

— Czego ty chcesz? — zapytał z roztargnieniem, wciąż rozglądając się na boki. — To nadzwyczajne,

jak to wszystko mnie wciąga.

— Chciałbyś zabrać rękę?

— Chciałbym znaleźć się na dole.

— Och, czeka nas jeszcze spora podróż... Naprawdę czujesz się inny?

— Inny niż co? O czym ty mówisz? — zapytał Maskull wciąż zanurzony w abstrakcji.

Oceaxe znów się roześmiała.

— Byłoby dziwne, gdyby nie udało się nam zrobić z ciebie mężczyzny, bo jako materiał jesteś wspaniały — powiedziała i odwróciła się z powrotem.

Powietrzne wyspy różniły się w pewien sposób od wysp na morzu. W miarę postępów podróży wznosiły się coraz wyżej, nie tworząc płaskiej powierzchni, lecz jakby szereg zrujnowanych, wznoszących się do góry tarasów. Gdy przed nimi pojawił się nowy ciąg wyniosłych klifów, Oceaxe przestała ponaglać shrowka, który dotychczas leciał na dużej wysokości, do wznoszenia się w górę i skierowała stwora do wąskiego kanionu przecinającego góry jak kanał. Natychmiast znaleźli się w głębokim cieniu. Kanał miał nie więcej jak trzydzieści stóp szerokości, a jego ściany były wysokie na kilkaset. Zrobiło się zimno jak w chłodni. Maskull próbował zgłębić wzrokiem otchłań pod nimi, ale nie zobaczył nic oprócz czarnej czeluści.

— Co tam jest na dnie? — zapytał.

— Ci, co sprawdzali, znaleźli śmierć.

— Jasne! Pytałem, czy tam na dole jest jakieś życie?

— Nie twierdzę, żebym kiedykolwiek o tym słyszała, ale wszystko jest oczywiście możliwe.

— Myślę, że najprawdopodobniej jest tam życie — odpowiedział, zamyśliwszy się.

W ciemności rozległ się jej ironiczny śmiech.

— To może polecimy na dół sprawdzić? — zapytała.

— Wydaje ci się to zabawne?

— To? Nie! Natomiast wielki cudzoziemiec z brodą, zachłannie interesujący się wszystkim tylko nie sobą, wydaje mi się bardzo zabawny.

— Bo przypadkiem jestem jedyną rzeczą na Tormance, która nie jest dla mnie nowością. — Maskull również się roześmiał.

— Tak, za to ja jestem nowością dla ciebie.

Kanał przecinał zygzakiem wnętrze góry, a oni cały czas stopniowo się wznosili.

— Przynajmniej nie słyszałem wcześniej niczego, co byłoby podobne do twojego głosu — powiedział Maskull, który, nie mając teraz nic do oglądania, był w końcu chętny do rozmowy.

— A co takiego jest w moim głosie?

— Jest jedyną charakterystyczną rzeczą, która cię wyróżnia. Dlatego o tym wspomniałem.

— Coś jest niejasne... mówię niewyraźnie?

— Och, wszystko jest wystarczająco jasne, tylko że... to jest niestosowne.

— Niestosowne?

— Bardziej ci tego nie wyjaśnię — powiedział Maskull — ale jak mówisz czy śmiesz się, twój głos jest najmiłszym i najdziwniejszym instrumentem, jaki kiedykolwiek słyszałem. Powtarzam więc jeszcze raz, to jest niestosowne.

— Chcesz powiedzieć, że nie pasuje do mojego charakteru?

Zastanawiał się nad odpowiedzią, gdy ich rozmowa została nagle przerwana przez potężny i przerażający, chociaż niezbyt głośny dźwięk dochodzący z głębi wprost pod nimi. Był to głuchy zgrzyt trących o siebie kamieni.

— Grunt pod nami podnosi się — krzyknęła Oceaxe.

— Uciekniemy?

Nie odpowiedziała, tylko ponagliła shrowka, by wznosił się szybciej i pod takim kątem, że z trudnością utrzymywali się na swoich miejscach. Słyszeli i niemal czuli, jak dno kanionu podnoszone jakąś potężną podziemną siłą wznosi się za nimi jak gigantyczne obsuwisko w niewłaściwym kierunku. Skały pękały i ich fragmenty zaczynały spadać. Z każdą sekundą coraz głośniejszy, przeraźliwy łomot wypełniał powietrze – odgłosy pękania, zgrzyty, trzaski, hałas tarcia, łoskot strzelania, wybuchy i ryki. Niezdefiniowane morze połamanych skał i ziemi pojawiło się im pod nogami, wznosząc się szybko z nieodpartą mocą przy akompaniamencie najstraszniejszych hałasów, a oni wciąż mieli jeszcze prawie pięćdziesiąt stóp na górę. Kanał za nimi i przed nimi wypełnił się na dwieście jardów w każdą stronę. Miliony ton stałej materii zdawały się unosić. Shrowk w swoim locie w górę został dogoniony przez unoszące się w górę rumowisko. Zarówno zwierzę jak i jeźdźcy doświadczyli w tym momencie wszelkich okropieństw trzęsienia ziemi. Zostali gwałtownie powaleni i rzućeni między skały i odłamki. Wokół nich był tylko huk, niestabilność, wstrząsy i chaos.

Zanim mieli czas, żeby zorientować się, gdzie są, znaleźli się na słońcu. Wznoszenie wciąż trwało. Minutę lub dwie później dno kanionu wypiętrzyło się w nową górę sto stóp, a może więcej, wyższą niż ta stara. Wtedy ruch nagle zamarł. Hałasy ustały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; żaden kamień nawet nie drgał. Oceaxe i Maskull pozbierali się i sprawdzili rany i zadrapania. Shrowk leżał na boku, dysząc intensywnie i pocąc się ze strachu.

— Co za okropne zjawisko — powiedział Maskull, otrzepując się z kurzu.

Oceaxe tamowała rąbkami togi krew płynącą ze skaleczenia na brodzie.

— Mogło być dużo gorzej... to znaczy... jak się wznosi, jest już wystarczająco źle, ale jak się zapada, to śmierć. A zdarza się równie często.

— Co cię skłania do mieszkania w takim miejscu?

— Nie wiem, Maskull. Chyba przyzwyczajenie. Często nachodzi mnie ochota, by się stąd wynieść.

— Wiele musi mieć na sumieniu ktoś zmuszony żyć tam, gdzie nie można się czuć bezpiecznie nawet przez minutę.

— Stopniowo się tego dowiesz — odpowiedziała z uśmiechem. Spojrzała surowo na potwora, a ten z trudem podniósł się na nogi. — Wsiadaj, Maskull — rozkazała, wspinając się na swoje miejsce — nie mamy zbyt dużo czasu do zmarnowania.

Zrobił, co kazała. Kontynuowali przerwany lot, tym razem w pełnym słońcu, ponad górami. Maskull z powrotem pogrążył się w myślach. Dziwna atmosfera tej krainy dalej wsączała mu się w mózg. Stał się tak niespokojny i poddenerwowany, że bezczynne siedzenie stało się dla niego torturą. Ledwo znosił swoją bezczynność.

— Maskull, czy ty jesteś bardzo skryty — zapytała Oceaxe, nie odwracając głowy.

— Jak to skryty? O co ci chodzi?

— Och, wiem dokładnie, co cię trapi wewnątrz. Pomyślałam, że nie zaszkodzi zapytać... Czy wciąż jesteś przyjaciółmi?

— Och, nie pytaj mnie o nic — warknął Maskull. — Mam już zbyt wiele problemów na głowie. Chciałbym móc wyjaśnić niektóre z nich.

Twardo zaczął się wpatrywać w krajobraz. Stwór frunął w kierunku odległej góry o osobliwym kształcie. Była to wielka naturalna czworoboczna piramida, wznosząca się ogromnymi terasami i zakończona płaskim, rozległym wierzchołkiem, na którym zalegało coś, co wyglądało jak zielony śnieg.

— Co to za góra? — zapytał.

— To Disscourn. Najwyższy punkt w Ifdawn.

— Tam się udajemy?

— Po co? Ale jeśli masz zamiar wędrować dalej, to może byłoby warto, żebyś złożył krótką wizytę na szczycie. Panuje nad całą okolicą aż do Morza Topielnego i Wyspy Swaylone'a, a nawet dalej. Stamtąd można zobaczyć również Alppaina.

— Chciałbym to zobaczyć, zanim odejdę.

— Naprawdę? — Odwróciła się i położyła rękę na jego nadgarstku. — Zostań ze mną, to pewnego dnia razem pójdziemy na Disscourn.

W odpowiedzi chrząknął tylko niezrozumiale.

Pod nimi nie było widać żadnych oznak ludzkiego istnienia. Gdy Maskull wciąż z ponurą miną przyglądał się krajobrazowi, wielki pas lasu z wieloma drzewami i skałami znajdujący się tuż przed nimi, zapadł się nagle z okropnym hałasem i runął w dół w niewidoczną czeluść. To, co było dotychczas stałym lądem, w ciągu minuty zmieniło się w równo wyciętą rozpadlinę. Maskull, zaskoczony, podskoczył gwałtownie.

— Przeróżające — powiedział.

Oceaxe nie zareagowała.

— Przecież życie tutaj musi być całkowicie niemożliwe — kontynuował, gdy już trochę ochłonął. — Człowiek musi mieć nerwy ze stali. Można w jakiś sposób przewidzieć taką katastrofę?

— Och, gdyby nie było można, przypuszczam, że już by nas tu nie było — odpowiedziała Oceaxe z opanowaniem. — Mamy w tych sprawach pewne doświadczenie, niemniej często nie zabezpiecza nas to przed wypadkami.

— Może lepiej naucz mnie tych oznak.

— Wiele rzeczy powinniśmy razem przerobić. A między nimi pewnie to, czy w ogóle zostaniemy tutaj... Ale najpierw dostańmy się do domu.

— Daleko jeszcze?

— Prosto przed tobą — powiedziała Oceaxe, wskazując palcem. — Widzisz? Tam!

Spojrzał we wskazanym kierunku i po kilku pytaniach zlokalizował miejsce, które wskazywała. Był to szeroki półwysep odległy o jakieś dwie mile. Trzy z jego brzegów wystawały wprost z oceanu przestworzy, którego dno było niewidoczne; z czwartej strony jak szyjką butelki łączył się ze stałym lądem. Porastająca go jaskrawa roślinność kontrastowała z przejrzystą atmosferą. Pośrodku półwyspu, sprawiając, że wszystko inne wydawało się karłowate, rosło pojedyncze wysokie, rozłożyste drzewo, cieniste dzięki listowiu w kolorze morskiej zieleni.

— Czy to nie Crimtyphon — zauważyła Oceaxe. — Zdaje mi się, że widzę dwie postacie?

— Też coś widzę — powiedział Maskull.

Dwadzieścia minut później znaleźli się nad półwyspem na wysokości jakichś pięćdziesięciu stóp. Shrowk zwolnił i wylądował na stałym lądzie dokładnie u wylotu przesmyku. Zsiedli oboje – Maskull z obolałymi udami.

— Co zrobimy z tym potworem? — zapytał.

Oceaxe, nie czekając na jego sugestie, poklepała zwierzę po paskudnym pysku.

— Leć do domu! — powiedziała. — Może jeszcze kiedyś mi się przydasz.

Stworzenie głupio chrząknęło, uniosło się na łapach, pół biegnąc, pół frunąc przez kilka jardów, wzniosło się niezgrabnie w powietrze i powiosłowało w kierunku, z którego przylecieli. Obserwowali je, dopóki było widoczne, a potem Oceaxe ruszyła przez przesmyk, a Maskull za nią.

Oślepiająco białe promienie Branchspella smagały ich z bezlitosną siłą. Niebo stopniowo stało się bezchmurne, a wiatr ucichł całkowicie. Teren był gęsto pokryty jaskrawo ubarwionymi pióropuszcami liści, ziół i traw. To tu, to tam prześwitywała złotem kredowa gleba, a czasami błyszczące metalicznie białe kamienie. Wszystko wyglądało niezwykle i barbarzyńsko. W końcu Maskull znalazł się w niesamowitym Ifdawn Marest, które oglądane z daleka budziło w nim takie dziwne uczucia. Teraz jednak w ogóle nie czuł już żadnego zadziwienia ani ciekawości, a jedynie pragnął spotkać jakieś istoty ludzkie – tak mocno wzrosła jego siła woli. Chciał wypróbować swoje możliwości w starciu z innymi istotami i nic poza tym nie wydawało się mieć dla niego jakiegokolwiek znaczenia.

Cały półwysep tonął w chłodzie i delikatnym cieniu. Przypominał duży zagajnik – około dwa akry powierzchni. W sercu zarośli, w gąszczu małych drzew i poszycia była częściowo wolna przestrzeń

– najprawdopodobniej korzenie rosnącego pośrodku gigantycznego drzewa dławiły mniejsze kielki. Obok drzewa ciurkała mała, bulgocząca fontanna czerwonej, żelazistej wody. Urwiska dookoła porastały ciernie, kwiaty i pnącza, nadając temu miejscu charakter dzikiego, uroczego ustronia. Mógłby tu zamieszkiwać jakiś mityczny górski bóg.

Maskull przeleciał niespokojnym wzrokiem po tym wszystkim, po czym skierował spojrzenie na dwóch mężczyzn tworzących centrum obrazu.

Jeden z nich, leżąc jak starożytny Grek na przyjęciu, spoczywał na obsypanym kwiatami wysokim posłaniu z mchów i opierając się na jednym łokciu, jadł z błogim zadowoleniem coś w rodzaju śliwki. Stos tych śliwek leżał przed nim na posłaniu. Rozpostarte gałęzie drzewa osłaniały go całkowicie przed słońcem. Jego drobne, chłopięce ciało odziane było w surową skórę, pozostawiając nagie kończyny. Po jego twarzy trudno było poznać czy jest to młody chłopiec, czy już dorosły mężczyzna. Rysy miał gładkie, miękkie i dziecięce, a na twarzy anielski spokój; jedynie jego górne, fioletowe oko było złowieszcze i dorosłe. Skórę miał barwy pośliskiej kości słoniowej. Jego długie, kędzierzawe włosy pasowały do *sorbu* – były fioletowe. Drugi mężczyzna stał wyprostowany w odległości kilku stóp od tamtego. Był niski i muskularny; miał dość zwyczajną, szeroką twarz i nosił brodę, ale było w jego wyglądzie coś przerażającego. Rysy miał zniekształcone wyrazem głęboko tkwiącego bólu, desperacji i trwogi.

Oceaxe, nie zatrzymując się, poszła lekko i niedbale na skraj cienia rzucanego przez drzewo i stanęła w pewnej odległości od posłania.

— Dopadło nas wyniesienie — oznajmiła beztrosko, patrząc na młodzieńca.

Młodzian zmierzył ją wzrokiem, ale nic nie powiedział.

— Jak idzie twemu roślinnemu człowiekowi? — zapytała tonem sztucznym, ale nieskończenie pięknym. Czekając na odpowiedź, usiadła na ziemi, podwijając wdzięcznie nogi pod siebie i obciążając dół swojej togi. Maskull stanął tuż za nią z założonymi rękami.

Przez minutę panował cisza.

— Czemu nie odpowiadasz swojej pani, Sature? — łagodnym dyszkantem odezwał się chłopiec spoczywający na łożu.

Człowiek, do którego były skierowane te słowa nie zmienił wyrazu twarzy, ale odpowiedział zduszonym głosem.

— Idzie mi bardzo dobrze, Oceaxe. Na stopach mam już pączki. Mam nadzieję, że jutro będę miał korzenie.

Maskull poczuł jak wszystko się w nim burzy. Miał pełną świadomość, że chociaż słowa były wypowiedziane przez Sature'a, to podyktował je chłopiec.

— To co mówi, to prawda — oznajmił ten ostatni. — Jutro korzenie sięgną gruntu i za kilka dni powinny się dobrze zakorzenić. Wtedy zacznę przekształcać jego ramiona w gałęzie, a palce w liście. Dłużej potrwa transformacja jego głowy w koronę, ale wciąż mam nadzieję, a właściwie, Oceaxe, prawie mogę to obiecać, że w ciągu miesiąca ty i ja będziemy zrywać i rozkoszować się owocami z tego nowego i nadzwyczajnego drzewa. Kocham te eksperymenty przyrodnicze — podsumował, sięgając po następną śliwkę. — Ekscytują mnie.

— To chyba żart? — powiedział Maskull, robiąc krok do przodu.

Młodzian popatrzył na niego ze spokojem. Nie odpowiedział, ale Maskull poczuł, jakby został odepchnięty żelazną ręką trzymającą go za gardło.

— Sature, zakończyliśmy poranną pracę. Przyjdź znów po *blodsombre*. Oczekuję, że od jutra zostaniesz tu na stałe, więc najlepiej jakbyś zabrał się do roboty i oczyścił kawałek ziemi pod swoje korzenie. Nie zapominaj, że chociaż dziś te rośliny wydają ci się świeże i urocze, w przyszłości będą twoimi śmiertelnymi wrogami i rywalami. No dobrze, możesz już iść.

Mężczyzna boleśnie utykając ruszył przez przesmyk i zniknął. Oceaxe ziewnęła.

Maskull z wysiłkiem próbował postąpić do przodu, ale jakby trafił na ścianę.

— Żartujesz czy jesteś diabłem? — zapytał.

— Jestem Crimtyphon. Nigdy nie żartuję. Za te obelgi obmyślę nową karę, specjalnie dla ciebie.

Pojedynek siły woli rozpoczął się bez żadnej ceremonii. Oceaxe wstała, przeciągnęła swoje zgrabne kończyny i uśmiechnęła się, przygotowując do oglądania walki pomiędzy jej starym i nowym kochankiem. Crimtyphon również się uśmiechnął. Sięgnął po jeszcze jeden owoc, ale go nie zjadł. Maskull utracił samokontrolę i rzucił się na chłopca, ogarnięty czerwoną furią; broda mu się trzęsła, a twarz zrobiła się purpurowa. Crimtyphon, gdy zorientował się z kim ma do czynienia, przestał się uśmiechać i ześlizgnął się z posłania. Jego *sorb* rozbłysnął przerażającym i złośliwym blaskiem. Maskull zatoczył się. Zebrał całą brutalną siłę swojej woli i całą masą ruszył do przodu. Chłopiec jęknął i cofnął się za łożę, próbując uciekać... Jego opór nagle się załamał. Maskull potknął się i poleciał do przodu, ale odzyskał równowagę i przeskoczył przez stos mchów, chwytając przeciwnika. Przygniótł go swoim ciałem, chwycił za gardło i obrócił jego małą głowę dookoła, łamiąc szyję. Crimtyphon umarł w tej samej chwili.

Ciało Crimtyphona legło z obróconą twarzą. Maskull przyglądał się mu uważnie, a gdy to robił, na jego twarzy pojawiły się oznaki wstrętu i zdumienia. W chwili śmierci twarz Crimtyphona uległa zaskakującej, a nawet szokującej przemianie. Jego zwykłe rysy całkowicie się zmieniły, ustępując miejsca wulgarnej, wykrzywionej masce bez wyrazu.

Nie musiał długo szukać w pamięci, gdzie widział już podobny grymas. Był identyczny z tym, jaki się pojawił na obliczu zjawy po interwencji Kraga podczas seansu.

Rozdział 10

Tydomin

Oceaxe usiadła beztrzesko na kanapie z mchów i zabrała się do jedzenia śliwek.

— No i widzisz, Maskull, musiałeś go zabić — powiedziała dość żartobliwym tonem.

Maskull odszedł od nieboszczyka i spojrzał na nią. Wciąż był czerwony i ciężko dyszał.

— W tym nie ma nic śmiesznego — powiedział. — Zwłaszcza ty powinnaś siedzieć cicho.

— A dlaczego?

— Bo to był twój mąż.

— Uważasz, że powinnam okazywać żal. Nic takiego nie czuję.

— Kobieto, nie udawaj!

Oceaxe uśmiechnęła się.

— Po twoim zachowaniu można by sądzić, że oskarżasz mnie o jakieś zbrodnie.

Maskull dosłownie parsknął, słysząc te słowa.

— Co! Żyjesz z tym plugawym... w ramionach tego ohydneho potwora...

— Och, teraz rozumiem — powiedziała tonem całkowicie obojętnym.

— To dobrze.

— Słuchaj, Maskull — mówiła dalej po chwili — kto ci dał prawo do kierowania moim zachowaniem? Czyż nie jestem panią samej siebie?

Popatrzył na nią zde gustowany, ale nic nie powiedział. Znów przez jakiś czas milczeli.

— Nigdy go nie kochałam — powiedziała w końcu Oceaxe, spuszczając wzrok.

— To jeszcze gorzej.

— O co ci chodzi? Czego ty chcesz?

— Od ciebie nic. Dzięki bogu, absolutnie nic!

Oceaxe roześmiała się ponuro.

— Przyjeżdżasz tu z twoimi obcymi uprzedzeniami i oczekujesz, że pochylimy przed nimi głowy.

— Jakimi uprzedzeniami?

— Zamordowałeś Crimtyphona tylko dlatego, że jego zainteresowania są dla ciebie dziwne, a teraz chcesz zamordować mnie.

— Zainteresowania? To diaboliczne okrucieństwo?

— Och, jesteś sentymentalny! — orzekła z pogardą Oceaxe. — Czemu musisz robić taki raban wokół tego człowieka? Życie to życie – na całym świecie – i każdy jego wariant jest równie dobry jak inny. On miał jedynie przekształcić się w drzewo, takie jak miliony innych drzew. Jeśli one wytrzymują takie życie, to czemu on miał nie wytrzymać?

— I to ma być w Ifdawn moralnością!

— To ty masz jakieś osobliwe poglądy — mówiła z coraz większą złością Oceaxe. — Bredzisz na temat piękna roślin i kwiatów, uważasz, że są boskie, ale gdy pojawia się kwestia wykreowania tego boskiego, uroczego, nieskalanego piękna samemu, osobiście, natychmiast staje się to okrutnym i podłym zepsuciem. Moim zdaniem jest to jakaś dziwna zagadka.

— Oceaxe, jesteś piękną, dziką bestią bez serca i tyle. Gdybyś nie była kobietą...

— Tak? — powiedziała wydymając wargi. — No to posłuchajmy, co by się stało, gdybym nie była

kobietą?

Maskull przygryzł paznokcie.

— Wszystko mi jedno. Ja nic ci zrobić nie mogę, chociaż pewnie nawet o włos nie różnisz się od swojego młodocianego męża. Możesz to uważać za moje „cudzoziemskie uprzedzenia”. Żegnaj!

Odwrócił się, by odejść.

— Dokąd idziesz, Maskull? — zapytała Oceaxe, spoglądając na niego przez swoje długie rzęsy.

— Nieważne! Gdzie bym nie poszedł, ty chodząca krynico zbrodni, to i tak będzie to zmiana na lepsze!

— Poczekaj. Coś ci powiem. Właśnie zaczyna się *blodsombre*, więc będzie lepiej jeśli zostaniesz tu do popołudnia. Jego ciało możemy szybko stąd usunąć, no a skoro tak bardzo mnie nie cierpisz, to jest tu wystarczająco dużo miejsca. Nie musimy rozmawiać, nie musimy nawet widzieć się wzajemnie.

— Nie życzę sobie oddychać tym samym powietrzem, co ty.

— Osobliwy z ciebie człowiek! — Oceaxe siedziała wyprostowana i nieruchoma jak piękna statua.

— A co z twoją cudowną rozmową z Surturem i wszystkimi tymi rzeczami, które postanowiłeś dokonać?

— Nie zaliczasz się do tych, z którymi będę o tym rozmawiał. — Popatrzył na nią w zadumie. — Ale skoro wciąż tu jestem, to może mi powiesz, jakie znaczenie ma ten grymas na twarzy nieboszczyka?

— Maskull, czy to jest kolejna zbrodnia? Wszyscy nieboszczycy tak wyglądają. Uważasz, że nie powinni?

— Słyszałem kiedyś, że to się nazywa „twarz Crystalmana”.

— Dlaczego nie? Wszyscy jesteśmy córkami i synami Crystalmana. To jest bez wątpienia podobieństwo rodzinne.

— Powiedziano mi też, że Surtur i Crystalman to jedno i to samo.

— Masz mądrych i wiarygodnych znajomych.

— No to w jaki sposób ten, którego spotkałem, mógł być Surturem? — zapytał Maskull bardziej samego siebie niż Oceaxe. — Ta zjawą wyglądała zupełnie inaczej.

Oceaxe przestała udawać urażoną i prześlizgnąwszy się niepostrzeżenie ku niemu, delikatnie ujęła go za rękę.

— No widzisz? Musimy porozmawiać. Siądź tu obok mnie i zadawaj pytania. Nie jestem szczególnie bystra, ale spróbuję ci pomóc.

Lekko się opierając, Maskull pozwolił się pociągnąć w dół. Oceaxe nachyliła się ku niemu, niby konfidencko, chcąc, żeby jej słodki, chłodny, kobiecy oddech owiał jego policzki.

— Maskull — zapytała — czyż nie jesteś tu po to, żeby zło zamienić w dobro? Co za różnica więc, kto cię przysłał?

— Co ty możesz wiedzieć o dobru i złu?

— A ty instruujesz tylko zaawansowanych?

— Kimże ja jestem, żeby kogokolwiek instruować? Chociaż, masz całkowitą rację. Chciałbym robić to, co mogę... Nie żebym miał kwalifikacje, ale dlatego, że tu jestem.

— Jesteś gigantem — Oceaxe zniżyła głos do szeptu — zarówno cieleśnie jak i duchowo. Możesz zrobić, co tylko zachcesz.

— Naprawdę tak myślisz czy tylko mi schlebiasz dla własnych celów?

Oceaxe westchnęła.

— Czy nie widzisz tego, że strasznie utrudniasz tę rozmowę? Porozmawiajmy o tym, co masz zrobić, a nie o nas.

Maskull nagle zauważył dziwne niebieskie światło rozświetlające niebo na północy. To blask Alppaina zabarwiał niebo, ale sam Alppain był za górami. Wpatrując się, poczuł napływ jakiegoś dziwnego

samozaparcia niepokojącej natury. Spojrzał na Oceaxe i po raz pierwszy uderzyło go, że był wobec niej niepotrzebnie taki brutalny. Zapomniał, że jest kobietą – bezbronną kobietą.

— Zostaniesz? — niespodziewanie, całkiem otwarcie i szczerze zapytała Oceaxe.

— Tak, chyba zostanę — odpowiedział cicho. — I coś jeszcze, Oceaxe. Jeśli źle oceniłem twój charakter, to błagam, przebacz mi. Jestem popędliwym cholerykiem.

— Na świecie jest wystarczająca ilość lekkoduchów. Twarde szturchańce są dobrym lekarstwem na błędne serca. I wcale źle nie oceniłeś mojego charakteru, o ile w ogóle mogłeś go ocenić, gdyż każda kobieta ma więcej niż jeden charakter. Nie wiedziałeś?

Zamilkli oboje i wtedy w ciszy usłyszeli trzask patyków. Zaskoczeni, rozejrzeli się. Przez przesmyk oddzielający ich od stałego ładu zbliżała się powoli jakaś kobieta.

— Tydomin — mruknęła Oceaxe poirytowanym i wystraszonego tonem. Natychmiast odsunęła się od Maskulla i wstała.

Nadchodząca kobieta była średniego wzrostu, bardzo drobna i zgrabna. Nie sprawiała wrażenia zbyt młodej. Na twarzy znać było opanowanie kogoś, kto zna swoje miejsce w świecie. Była bardzo blada, a pod maską opanowania przeblyskiwało chwilami coś dziwnego i niebezpiecznego. Miała w sobie jakiś powab, chociaż niezupełnie była to uroda. Włosy jej chłopięcej fryzury były pozlepiane i sięgały tylko do szyi. Miały dziwny kolor indyga. Ubrana była w osobliwą tunikę i bryczesy uszyte z niebieskozielonych, kwadratowych łusek jakiegoś gada. Jej niewielkie, białe jak kość słoniowa piersi były odkryte. *Sorb* był czarny i ponury – raczej kontemplacyjny.

Nie spojrzawszy nawet na Oceaxe i Maskulla, podeszła, nie zatrzymując się, wprost do ciała Crimtyphona. Stała z założonymi rękami kilka stóp od niego i popatrzyła w dół.

Oceaxe odciągnęła Maskulla trochę dalej i wyszeptwała:

— To jest druga żona Crimtyphona mieszkająca pod Disscournem. To bardzo niebezpieczna kobieta. Uważaj na to, co mówisz. Jeśli poprosi cię, żebyś coś zrobił, odmów kategorycznie.

— Ta biedaczka wygląda dość nieszkodliwie.

— Tak tylko wygląda! Ta biedaczka mogłaby połknąć nawet samego Kraga... I zachowuj się jak mężczyzna.

Ich szepty musiały zwrócić uwagę Tydomin, gdyż powoli odwróciła się w ich kierunku.

— Kto go zabił? — zapytała.

Jej głos był tak miękki, cichy i dystyngowany, że Maskull z trudem mógł wychwycić słowa. Dźwięki jednakowoż dudniły mu w uszach i – co było dosyć ciekawe – zamiast cichnąć, wydawały się być coraz mocniejsze.

— Nic nie mów, zostaw to mnie — szepnęła Oceaxe, po czym obróciła się, żeby spojrzeć Tydomin prosto w twarz i powiedziała głośno: — Ja go zabiłam.

Słowa Tydomin wciąż dzwoniły Maskullowi w głowie jak rzeczywiste dźwięki. W żaden sposób nie był w stanie tego zignorować. Musiał wyznać otwarcie, co zrobił, bez względu na konsekwencje. Łagodnie ujął Oceaxe za ramię, przesunął do tyłu i powiedział cichym, ale całkowicie słyszalnym głosem:

— To ja zabiłem Crimtyphona.

Oceaxe, choć spoglądała butnie, wyglądała na wystraszoną.

— Maskull tak mówi, żeby mnie ochronić — powiedziała. — On tak myśli. Maskull, ja nie potrzebuję ochrony. To ja go zabiłam.

— Wierzę ci Oceaxe. Ty go zamordowałaś. Nie własną ręką, lecz ściągnęłaś w tym celu tego mężczyznę.

Maskull postąpił kilka kroków w kierunku Tydomin.

— To nie ma większego znaczenia, kto go zabił, gdyż uważam, że lepiej, gdy jest martwy niż żywy. Wciąż jednak to ja to zrobiłem. Oceaxe nie przyłożyła ręki do tej sprawy.

Tydomin jakby go nie słyszała, w zamyśleniu przyglądała się stojącej za nim Oceaxe.

— Nie przyszło ci do głowy, gdy go mordowałeś, że przyjdę tu zobaczyć, co się stało?

— Ani razu nie pomyślałam o tobie — odpowiedziała Oceaxe, złośliwie się śmiejąc. — Wyobrażasz sobie, że ja cały czas myślę tylko o tobie?

— Gdyby ktoś zamordował tutaj twojego ukochanego, to co byś zrobiła?

— Kłamliwa hipokrytka. — Oceaxe splunęła. — Nigdy nie kochałaś Crimtyphona. Zawsze nienawidziłaś mnie i teraz uważasz, że jest doskonała okazja, by wyrównać... teraz, po odejściu Crimtyphona... Bo obie wiemy, że gdybym go poprosiła, to zrobiłby z ciebie podnózek. Ubóstwiał mnie, a z ciebie się wyśmiewał. Uważał, że jesteś brzydka.

Tydomin uśmiechnęła się delikatnie do Maskulla.

— Musisz koniecznie tego słuchać? — zapytała.

Maskull, bez słowa, czując, że tak należy postąpić, odszedł poza zasięg głosu.

Tydomin podeszła do Oceaxe.

— Być może moja uroda przygasa i nie jestem już młoda — powiedziała — dlatego tym bardziej był mi potrzebny.

— No cóż, Tydomin, teraz jest martwy i tyle — odwarknęła Oceaxe. — I co teraz zrobisz?

Tydomin uśmiechnęła się nieznacznie i raczej żałośnie.

— Co tu można jeszcze zrobić? Można jedynie opłakiwać zmarłego. Nie odmówisz mi tej ostatniej posługi?

— Chcesz tu zostać?--- zapytała podejrzliwie Oceaxe.

— Tak, droga Oceaxe, chcę być sama.

— Co, w takim razie, chcesz, żebyśmy zrobili?

— Pomyślałam sobie, że ty i twój kochanek... Jak on się nazywa?

— Maskull.

— Pomyślałam, że może poszlibyście oboje pod Disscourn i spędzili Blodsombre w moim domu.

— Pójdiesz ze mną teraz pod Disscourn? — zawołała Oceaxe głośno do Maskulla.

— Jeśli chcesz — odpowiedział Maskull.

— Idź przodem, Oceaxe. Muszę zadać twojemu przyjacielowi kilka pytań na temat śmierci Crimtyphona. Nie będę go zatrzymywać.

— Dlaczego mnie ich nie zadasz? — zapytała Oceaxe, spoglądając ostro.

Na twarzy Tydomin pojawił się cień uśmiechu.

— Za dobrze się znamy — powiedziała.

— Tylko bez żadnych numerów — powiedziała Oceaxe i odwróciła się by odejść.

— Ty chyba śpisz — powiedziała Tydomin. — W tę stronę! Chyba nie masz zamiaru zejść z klifu po ścianie?

Ścieżka wybrana przez Oceaxe wiodła przez przesmyk. Kierunek, wskazany jej przez Tydomin, prowadził ku krawędzi urwiska i w przepaść.

— Och, na Shapinga! Chyba już mi się miesza w głowie — wykrzyknęła ze śmiechem Oceaxe i posłusznie poszła we wskazanym kierunku.

Szła prostu ku przepaści znajdującej się dwadzieścia kroków dalej. Maskull tarosił swoją brodę, zastanawiając się, co ona robi. Tydomin stała wciąż, obserwując ją i wskazując palcem. Oceaxe, bez wahania i nie zwalniając ani na chwilę, maszerowała do przodu, a gdy już znalazła się na krawędzi, zrobiła jeszcze jeden krok.

Maskull zobaczył, jak zatrzepotała rękami, będąc już za krawędzią. Gdy jej ciało zniknęło, doszedł go

straszny krzyk.

Iluzja, która ją zaślepiła, ustała chwilę za późno. Maskull otrząsnął się ze stuporu, rzucił do krawędzi klifu, położył dość nierozważnie i wyrzwał. Oceaxe zniknęła.

Dziko wpatrywał się w przepaść przez kilka minut, a potem zaczął łkać. Wstał, gdy podeszła do niego Tydomin.

Czerwieniał i bladł na przemian. Upłynęło nieco czasu, zanim był w stanie w ogóle coś powiedzieć. W końcu z trudnością wykrztusił:

— Zapłacisz za to, Tydomin. Ale najpierw chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłaś?

— A nie miałam powodu? — zapytała, spuściwszy oczy.

— A czy nie była to czysta złośliwość?

— To było z powodu Crimtyphona.

— Ona nie miała nic wspólnego z tą śmiercią. Mówiłem ci.

— Ty jesteś lojalny w stosunku do niej, a ja jestem lojalna w stosunku do Crimtyphona.

— Lojalna? Popeliłaś okropną pomyłkę. Nie była moją kochanką. Zabiłem go z całkiem innego powodu. Ona absolutnie nie miała w tym udziału.

— Nie była twoją kochanką? — zapytała cicho Tydomin.

— Popeliłaś okropną pomyłkę — powtórzył Maskull. — Zabiłem go, bo był dziką bestią. Była tak samo niewinna jego śmierci jak ty.

Tydomin spojrzała na niego surowo.

— W takim razie to ty jesteś winien obu śmierciom.

Nastąpiła przerażająca cisza.

— Czemu nie możesz mi uwierzyć? — zapytał Maskull, blednąc i pocąc się nieprzyjemnie.

— A kto ci dał prawo, by go zabijać? — zapytała surowo Tydomin.

Nie odpowiedział, a może nie usłyszał jej pytania.

Tydomin westchnęła dwa czy trzy razy i zaczęła się niespokojnie kręcić.

— Zamordowałeś go — powiedziała — więc teraz musisz pomóc mi go pochować.

— Co muszę? To jest straszliwa zbrodnia.

— Tyś jest najstraszliwszym z ludzi. Czemuś tu przybył i czynisz takie rzeczy? Kim my jesteśmy dla ciebie?

— Niestety w tym, że masz rację.

Znów zamilkli.

— Nie ma sensu tak stać tutaj — powiedziała Tydomin. — Nic już nie da się zrobić. Musisz iść ze mną.

— Iść z tobą? Dokąd?

— Pod Disscourn. Po drugiej stronie jest ogniste jezioro. Zawsze chciał być w nim pochowany po śmierci. Możemy to zrobić po *blodsombre*, a w międzyczasie musimy zabrać go do domu.

— Jesteś bezduszną, nieczułą kobietą. Dlaczego on musi być pochowany, a ta biedna dziewczyna pozostawiona bez pochówku?

— Dobrze wiesz, że ten problem jest bezprzedmiotowy — odpowiedziała spokojnie Tydomin.

Maskull z podnieceniem rozejrzał się wokół niewidzącym wzrokiem.

— Idę — mówiła dalej Tydomin — mamy coś do zrobienia. Chyba nie chcesz zostać tu sam?

— Nie. Nie mógłbym tu zostać. Po co zresztą miałbym chcieć tu zostać? Chcesz żebyś poniosł ciało?

— Sam się nie poniesie. To ty go zamordowałeś. Może ci ulży, jeśli go poniesiesz.

— Ulży? — zdziwił się dość głupio Maskull.

— Na wyrzuty sumienia jest tylko jeden sposób – pokuta.

— A ty nie masz wyrzutów sumienia? — zapytał, wbijając w nią wzrok.

— To twoje zbrodnie, Maskull — powiedziała cicho, ale ostrym głosem.

Zbliżyli się do ciała Crimtyphona i Maskull zarzucił je sobie na barki. Ciało ważyło więcej niż myślał. Tydomin nie zaoferowała swojej pomocy w ułożeniu tego strasznego brzemienia. Ruszyła przez przesmyk, a Maskull za nią.

Droga prowadziła w słońcu i w cieniu. Branchspell żarzył się na bezchmurnym niebie, było nieznośnie gorąco – strumienie potu spływały mu po twarzy, a ciało nieboszczyka wydawało się być coraz cięższe. Tydomin cały czas szła przodem. Maskull szedł, nie rozglądając się na boki, ze wzrokiem utkwionym w białych, kobiecych łydkach. Twarz mu spochmurniała. Po dziesięciu minutach pozwolił, żeby brzemień ześlizgnęło się nagle z jego ramion na ziemię i legło z członkami rozłożonymi na wszystkie strony. Zawołał Tydomin.

Obejrzała się szybko.

— Pozwól tutaj — roześmiał się. — Właśnie to do mnie dotarło. Dlaczego to ja mam nieść tego nieboszczyka? I po co w ogóle mam iść z tobą? A najbardziej mnie dziwi, że wcześniej mi to nie przyszło do głowy.

Tydomin natychmiast podeszła do niego.

— Przypuszczam, że jesteś zmęczony — powiedziała. — Usiądźmy. Być może za dużo dzisiaj wędrowałeś?

— Och, nie, to nie może być zmęczenie. To tylko nagle otrzeźwienie — roześmiał się, ale usiadł obok niej na ziemi. — Znasz jakiś powód, dla którego powinienem być twoim tragarzem?

Tydomin nie odpowiedziała ani nawet nie spojrzała na niego. Głowę zwróciła tak, żeby widzieć północne niebo, gdzie wciąż była widoczna poświata Alppaina. Maskull podążył za jej wzrokiem i również przez minutę czy dwie wpatrywał się bez słowa w ten blask.

— Czemu się nie odzywasz? — zapytał w końcu.

— Maskull, co ci się kojarzy z widokiem tego światła?

— Nie pytałem o to światło.

— Niczego ci to nie sugeruje?

— Może i sugeruje. Jakie to ma znaczenie?

— Żadnych poświęceń?

— Jakich poświęceń? — Maskull ponownie spochmurniał. — O co ci chodzi?

— Jeszcze nie dotarło do twojej głowy — powiedziała Tydomin, patrząc prosto przed siebie i mówiąc na swój taktowny, ale stanowczy sposób — że ta twoja przygoda najprawdopodobniej nie skończy się, dopóki się w jakiś sposób nie poświęcisz?

Nie odpowiedział, a ona nie dodała nic więcej. Po kilku minutach Maskull wstał i z własnej inicjatywy, lekceważąco, prawie ze złością zarzucił sobie ciało Crimtyphona na barki.

— Daleko jeszcze? — zapytał gburowato.

— Godzina marszu.

— No to chodźmy.

— Moim zdaniem, to wciąż nie jest poświęcenie — stwierdziła spokojnie Tydomin, wysuwając się do przodu.

Zaraz potem natrafili na trudniejszy grunt. Musieli wędrować z wierzchołka na wierzchołek, jak z wyspy na wyspę. W kilku przypadkach udało im się przejść lub przeskoczyć, ale w innych musieli korzystać z prymitywnych kładek lub zwalonych pni drzew. Ścieżka wyglądała na często uczęszczaną. Na powierzchni były błyszczące w słońcu, wesołe, barwne skały i chaotyczny gąszcz dziwnych roślin,

a poniżej czarne, nieprzeniknione otchłanie. Wokół biegały nieprzeliczone ilości gadów, płazów i owadów. Te ostatnie były mocniej zbudowane niż na Ziemi – w konsekwencji jeszcze bardziej odpychające, a niektóre miały ogromne rozmiary. Jakiś potworny owad, rozmiaru konia, stanął im wprost na drodze, nie mając zamiaru ustąpić. Był pokryty pancerzem, miał szablaste szczęki, a na dole ciała las nóg. Tydomin spojrzała na niego złym wzrokiem i posłała z hukiem w przepaść.

— Co ja mam do zaoferowania oprócz życia? — niespodziewanie odezwał się Maskull. — I co ono jest warte? Nie przywróci już światu tę biedną dziewczynę.

— Poświęcenie jest nie po to, żeby coś uzyskać. To jest kara, którą musimy ponieść.

— Wiem.

— Problem w tym, czy ty możesz po tym, co się wydarzyło, cieszyć się życiem.

Tydomin zaczęła, aż Maskull dogoni ją i będzie szedł obok.

— Być może sobie wyobrażasz, że nie jestem wystarczająco ludzki... że skoro pozwoliłem biednej Oceaxe umrzeć za mnie...

— I umarła za ciebie — powiedziała Tydomin, spokojnie, ze współczuciem.

— I tu znów się mylisz — odpowiedział Maskull z przekonaniem. — Nie kochałem jej i nie kocham życia.

— Twoje życie nie jest niezbędne.

— No to ja już nic nie rozumiem. Czego ty chcesz? O czym ty mówisz?

— Maskull, mnie twoje poświęcenie nie jest potrzebne. To byłby kompromis korzystny dla ciebie, ale nie poświęcenie. Musisz sam poczuć, że nie pozostaje ci nic innego do zrobienia.

— To wszystko jest bardzo zagmatwane.

Rozmowa została gwałtownie przerwana przez przedłużający się przeraźliwy łoskot dochodzący z niedużej odległości przed nimi. Towarzyszyły mu gwałtowne wstrząsy gruntu, na którym stali. Zaskoczeni, spojrzeli akurat w odpowiednim momencie, by być świadkiem ostatecznego zniknięcia ogromnej masy porośniętego lasem lądu znajdującego się nie dalej niż dwieście jardów przed nimi. Kilka akrów drzew, zarośli, skał i gleby, wraz z całym rojącym się tam życiem zwierzęcym, zapadło się na ich oczach jak za sprawą czarów. Nowa przepaść pojawiła się jak wycięta nożem. Poza jej odległą krawędzią, ponad horyzontem, świeciła na niebiesko poświata Alppaina.

— Musimy to teraz obejść dookoła — powiedziała Tydomin, zatrzymując się.

— Posłuchaj mnie! — powiedział Maskull, przytrzymując ją swoją trzecią ręką — Spróbuję opisać to, co czuję! Gdy ujrzałem, jak to się zapada, rozbrzmiało mi w głowie wszystko to, co kiedykolwiek słyszałem o ostatecznym zniszczeniu świata. Miałem wrażenie, że jestem właśnie tego świadkiem, że świat rozpada się na kawałki. Tak więc tam, gdzie dotychczas był ląd, teraz mamy pustą, straszliwą otchłań — mówiąc inaczej, nie ma tam nic... I wydaje mi się, że nasze życie zmierza do tego samego — tam gdzie jest coś, nie będzie nic. Ten przerażający niebieski blask po drugiej stronie to właśnie oko przeznaczenia. Oskarża nas, pytając, co zrobiliśmy z naszym kończącym się życiem. Jest to jednocześnie wspaniałe i radosne. A radość polega na tym, że w naszej mocy jest oddać z własnej woli to, co później zostanie zabrane nam siłą.

Tydomin popatrzyła na niego z uwagą.

— Znaczy się, czujesz, że twoje życie jest bezwartościowe i robisz z niego prezent pierwszemu, który o to poprosi?

— Nie, to idzie daleko dalej. Czuję, że jedyną rzeczą dla której warto żyć, jest być tak wielkodusznym, żeby samo przeznaczenie się zdumiało. Zrozum, to nie jest cynizm ani gorycz, ani desperacja czy heroizm... Trudno to wytłumaczyć.

— No to teraz, Maskull, posłuchaj, jakie poświęcenie ja ci oferuję. Ciężkie, ale takie, jakiego, wydaje się, pragniesz.

— No i dobrze. W takim nastroju, w jakim jestem obecnie, nie może być zbyt ciężkie.

— W takim razie, jeśli tak tego chcesz, porzuć swoje ciało na moją rzecz. Teraz, po śmierci

Crimtyphona, jestem już znużona byciem kobietą.

— Nie rozumiem.

— No to posłuchaj. Chciałabym zacząć nowe życie w nowym ciele. Chciałabym być mężczyzną. Widzę, że nie warto być kobietą. Moje ciało chciałabym poświęcić Crimtyphonowi. Połączę jego ciało i moje, robiąc dla nich wspólny pochówek w ognistym jeziorze. Takie poświęcenie ci proponuję. Jak już powiedziałam – jest ogromne.

— Prosisz mnie więc, żebym umarł. Nie mogę jednak zrozumieć, w jaki sposób chcesz wykorzystać moje ciało.

— Nie. Nie proszę cię, żebyś umarł. Będziesz żył.

— Jak to jest możliwe? Bez ciała?

Tydomin popatrzyła na niego poważnie.

— Jest dużo takich istot. Nawet w twoim świecie. Nazywacie je duchami, zjawami, fantomami. W rzeczywistości są to żywe jaźnie, pozbawione materialnego ciała, pragnące cały czas działać i czuć, ale zupełnie niezdolne do tego. Jak myślisz, jesteś wystarczająco szlachetny, by zaakceptować taki stan?

— Jeśli to możliwe, zaakceptuję go — odpowiedział spokojnie Maskull. — I nie pomimo jego ciężkości, ale dlatego, że taki jest. Tylko, jak to jest możliwe?

— W naszym świecie niewątpliwie jest możliwych wiele rzeczy, o których ty nie masz pojęcia. Poczekajmy z tym, dopóki nie przyjdziemy do domu. Nie trzymam cię za słowo, gdyż jeśli to ma być poświęcenie z własnej woli, nie powinnam mieć z tym nic wspólnego.

— Nie jestem kimś, kto rzuca słowa na wiatr. Jeśli możesz zrealizować ten cud, masz moją zgodę raz na zawsze.

— Więc na razie tak to pozostawmy — powiedziała smutno Tydomin.

Ruszyli dalej. Z początku Tydomin wydawała się wątpić, czy dobrze idą, gdyż droga prowadziła w dół, ale zboczywszy dość daleko w bok, doszli w końcu na drugą stronę nowo powstałej rozpadliny. Trochę później, w wąskim zagajniku porastającym odizolowany wierzchołek, natknęli się na mężczyznę. Spoczywał oparty o drzewo i wyglądał na zmęczonego, zgrzanego i przygnębitego. Był młody. Jego gładka twarz promieniała niezwykłą szczerością i pod pewnym względem wyglądał na odważnego, pracowitego młodzieńca o zacięciu intelektualnym. Włosy miał bujne, lniane i krótko obcięte. Nie posiadał ani *sorbu*, ani trzeciego ramienia – prawdopodobnie nie pochodził z Ifdawn. Zamiast tego, jego czoło było zniekształcone czymś, co wyglądało jak przypadkowy zbiór oczu – w liczbie ośmiu – różnych rozmiarów i kształtów. Były rozmieszczone w parach, a te pary, które były w użyciu, odznaczały się specyficznym blaskiem. Reszta pozostawała bez wyrazu, dopóki nie nadeszła ich kolej. W dodatku do górnych oczu miał dwa dolne, które były jednak bezmyślne i bez życia. Ta dodatkowa bateria oczu, na przemian żywych i martwych, dawała młodemu człowiekowi wygląd niemal alarmującej aktywności umysłowej. Nie nosił żadnego ubrania, oprócz czegoś w rodzaju skórzanego kiltu. Jego twarz w jakiś sposób wydała się Maskullowi znajoma, chociaż z pewnością nigdy wcześniej jej nie widział.

Tydomin kazała położyć nieboszczyka na ziemi, po czym usiedli oboje, by odpocząć w cieniu.

— Przepytaj go, Maskull — powiedziała dość beztrosko Tydomin, kiwając głową w kierunku obcego. Maskull westchnął.

— Jak się nazywasz i skąd przybyłeś? — zapytał głośno, nie ruszając się z miejsca.

Mężczyzna przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, najpierw pierwszą parą oczu, potem następną, a potem jeszcze inną. Później zwrócił swoją uwagę na Tydomin, której poświęcił nieco więcej czasu. W końcu odpowiedział suchym, nerwowym, męskim głosem:

— Nazywam się Digrung. Przybyłem z Matterplay.

Barwa jego skóry zmieniała się i Maskull nagle skojarzył, kogo mu tamten przypomina. Był podobny do Joiwind.

— Digrung, czy ty przypadkiem nie zmierzasz do Poolingdred? — zapytał z zainteresowaniem.

— Rzeczywiście, idę do Poolingdred. O ile uda mi się znaleźć wyjście z tej przeklętej krainy.

— I pewnie znasz Joiwind?

— To moja siostra. Idę teraz zobaczyć się z nią. A co, znasz ją?

— Spotkałem ją wczoraj.

— A jak się nazywasz?

— Maskull.

— Powiem jej, że cię spotkałem. To będzie nasze pierwsze spotkanie od lat. Wszystko z nią w porządku, jest szczęśliwa?

— O ile zdołałem się zorientować, to tak. Znasz Panawę?

— Jej męża? Tak. A ty skąd przybyłeś? Nigdy wcześniej nie widziałem nikogo takiego jak ty.

— Z innego świata. Słuchaj, a gdzie jest Matterplay?

— To jest ta kraina za Morzem Topielnym.

— I jak tam jest? Są tam jakieś rozrywki? Tak jak wszędzie morderstwa i nagła śmierć?

— Chory jesteś? — zapytał Digrung. — Kim jest ta kobieta? Czemu wleciesz się za nią jak niewolnik? Dla mnie ona wygląda na obłąkaną. Co to za ciało? Po co je ciągniesz za sobą po kraju?

Tydomin uśmiechnęła się.

— Słyszałam, co mówią o Matterplay. Jeśli posiać tam odpowiedź, to natychmiast kielkują bogate plony pytań. Powiedz mi Digrung, dlaczego mnie atakujesz, skoro cię niczym nie sprowokowałam?

— Nie atakuję cię, kobieto. Przejrzałem cię. Wejrzałem w ciebie i ujrzałem obłąd. Nie ma to dla mnie znaczenia, ale nie podoba mi się, że taki inteligentny człowiek, jak Maskull został schwytany w twe plugawe sieci.

— Przypuszczam, że nawet utalentowani ludzie z Matterplay mogą czasami źle osądzić czyjś charakter. Niemniej nie zaprzeczam. Twoja opinia, Digrung, nic dla mnie nie znaczy. Maskull, odpowiedz mu lepiej na jego pytanie. Nie chodzi o niego, ale twoja przyjaciółka z pewnością będzie ciekawa, dlaczego widziano cię niosącego nieboszczyka.

— Nic nie mów swojej siostrze, Digrung — wyrwało się natychmiast z ust Maskulla. — W ogóle o mnie nie wspominaj. Nie chcę, żeby wiedziała o naszym spotkaniu.

— Dlaczego?

— Nie życzę sobie. Czy to nie wystarczy?

Digrung wyglądał na niewzruszonego.

— Myśli i słowa — powiedział — które nie odpowiadają rzeczywistym wydarzeniom na świecie, są uważane w Matterplay za najbardziej hańbiące.

— Nie chcę, żebyś kłamał, po prostu nic nie mów.

— Ukrywanie prawdy jest specjalnym rodzajem kłamstwa. Nie mogę spełnić twego życzenia. Muszę powiedzieć Joiwind wszystko, co wiem.

Maskull wstał, a Tydomin poszła jego śladem.

— Ten nieboszczyk, to mój mąż, zamordowany przez Maskulla — powiedziała, kładąc Digrungowi rękę na ramieniu i patrząc na niego w dziwny sposób. — Rozumiem więc, dlaczego chce skłonić cię do milczenia.

— Domyślam się, że wiąże się z tym jakaś brudna gra — odpowiedział Digrung. — Wszystko jedno, nie mogę fałszować faktów. Joiwind musi się o tym dowiedzieć.

— Nie chcesz oszczędzić jej uczuć? — zapytał Maskull, błędąc.

— Uczucia rozkwitające na złudzeniach, rozwiewane w zetknięciu z rzeczywistością, nie są warte brania pod uwagę. Joiwind nie z tych.

— Jeśli odmawiasz mi tego, to przynajmniej wróć do domu, nie spotykając się z nią; twoja siostra będzie miała niewiele przyjemności ze spotkania, gdy usłyszysz twoje wieści.

— Czy te relacje między wami nie są jakieś dziwne? — zapytał Digrung, wpatrując się w niego z nagle narosłą podejrzliwością.

Maskull odparł to spojrzenie z pewną dezorientacją.

— Dobry boże! — wykrzyknął. — Nie ufasz własnej siostrze? Joiwind to prawdziwy anioł!

— Nie znam Joiwind — podchwyciła delikatnie Tydomin — ale bez względu na to, kim ona jest i jaka jest, wiem jedno – ma większe szczęście do przyjaciół niż do brata. No więc, Maskull, jeśli rzeczywiście jej szczęście leży ci na sercu, musisz podjąć jakieś radykalne kroki, takie czy inne.

— Masz rację. Digrung, nie pozwolę ci pójść dalej.

— No, nie wątpię, że jesteś wystarczająco duży, by popełnić kolejne morderstwo.

Maskull odwrócił się do Tydomin i roześmiał.

— Zdaje mi się, że w tej podróży zostawię za sobą szlak usłany trupami.

— Dlaczego trupami? Po co go zabijać?

— Och, dzięki ci za to! — powiedział sucho Digrung. — Tylko co to za różnica, skoro i tak zostanie zaraz popełniona jakaś zbrodnia. Czuję to!

— To co mam w takim razie zrobić? — zapytał Maskull.

— No, to nie moja sprawa. I, prawdę mówiąc, nie jestem tym zainteresowana... Gdybym jednak była na twoim miejscu, Maskull, nie zastanawiałabym się zbyt długo. Nie umiesz wchłonąć stworzenia, które ci przeciwstawia swoją słabą, upartą jaźń?

— To będzie jeszcze większa zbrodnia — powiedział Maskull.

— Ktoś tak uważa? On będzie żył, tylko nie będzie nikomu niczego opowiadał.

Digrung roześmiał się, ale zmienił kolor.

— Miałem rację — powiedział — potwór wychynął na światło dzienne.

— Masz wybór, a my nie żartujemy — powiedział Maskull, kładąc mu rękę na ramieniu. — Zrób, o co proszę.

— Nisko upadłeś, Maskull. Chodzisz we śnie i nic do ciebie nie dociera. A ty, kobieto, pławisz się w grzechu jak w milej kąpielu.

— Maskulla i mnie łączą niezwykle więzy, a ty jesteś tylko przechodniem, cudzoziemcem. Nie podobasz mi się.

— No i co z tego. Nie odstraszyście mnie od moich planów, słusznych i uczciwych.

— Rób, co chcesz — powiedziała Tydomin. — Jak dostaniesz za swoje, te przekonania, z których jesteś taki dumny, raczej nie będą się odnosić do rzeczywistych wydarzeń na tym świecie. Ale to nie moja sprawa.

— Nie zawrócę! Pójdę dalej! — wykrzyknął Digrung ze złością.

Tydomin rzuciła krótkie spojrzenie w kierunku Maskulla i uśmiechnęła się diabolicznie.

— Jesteś świadkiem — powiedziała — że próbowałam to wyperswadować temu młodemu człowiekowi. Teraz ty sam musisz podjąć szybką decyzję, co jest ważniejsze, szczęście Digrunga czy Joiwind. Digrung nie zgadza się na zachowanie jednego i drugiego.

— Digrung, ja się długo nie będę zastanawiał — powiedział Maskull. — Masz ostatnią szansę. Zdecyduj się.

— Dopóki starczy mi sił, będę szedł, by ostrzec moją siostrę przed jej zbrodnichymi przyjaciółmi.

Maskull znów chwycił go za ramię, ale tym razem z przemocą. Kierowany jakimś nowym i straszliwym instynktem, przycisnął chłopaka mocno do siebie wszystkimi trzema ramionami. Natychmiast ogarnęło go uczucie dzikiej, słodkiej przyjemności. Wówczas po raz pierwszy zrozumiał triumfalną rozkosz „absorpcji”. Zaspokajała głód woli dokładnie tak, jak jedzenie zaspokaja głód ciała. Digrung okazał się słaby – prawie się nie opierał. Powoli i równomiernie jego osobowość została wchłonięta przez jaźń Maskulla. Ta ostatnia stała się silna i zaspokojona. Ofiara stopniowo bladła

i wiotczała. Maskull, cały drżący, wypuścił ciało. Popęłnił swoją drugą zbrodnię. Zrazu nie poczuł różnicy w swojej duszy, ale...

Tydomin obdarzyła go uśmiechem smutnym jak zimowe słońce. Oczekiwał, że coś powie, ale się nie odezwała. Zamiast tego wskazała mu gestem, żeby podniósł ciało Crimtyphona. Posłuchał. Zdziwiło go, że twarz Digrunga nie przybrała okropnej maski Crystalmana.

— Dlaczego on się nie zmienił? — mruknął do siebie.

Tydomin usłyszała i trąciła Digrunga lekko swoją małą stopą.

— Dlatego, że on nie umarł — powiedziała. — Ten grymas czeka aż umrzesz.

— I ma odzwierciedlać mój prawdziwy charakter?

Tydomin roześmiała się miękko.

— Przybyłeś tutaj kształtować obcy świat, a teraz okazuje się, że sam jesteś kształtowany. Och, Maskull, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Nie musisz tak stać z rozdziawioną japą. Należysz do Shapinga, jak wszyscy. Nie jesteś ani królem, ani bogiem.

— A od kiedy ja należę do niego?

— A jakie to ma znaczenie? Może od chwili, w której nabrałeś w płuca powietrza Tormance... a może od pięciu minut.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła przez zagajnik i przeszła na następną wyspę. Maskull poszedł za nią, cierpiąc fizycznie i wyglądając na bardzo przygnębionego.

Szli tak przez następne pół godziny bez żadnych wydarzeń. Sceneria wokół nich powoli się zmieniała. Szczyty gór stawały się wynioślejsze i bardziej rozdzielone jeden od drugiego. Przerwy między nimi wypełnione były kłębiącymi się, białymi chmurami, oblewającymi stoki jak tajemnicze morze. Oddzielające je obszary zrobiły się tak szerokie, że przechodzenie z jednej wyspy na drugą stało się męczącym wysiłkiem. Tydomin знаła drogę. Intensywne światło, niebieskofioletowe niebo, plamy żywych krajobrazów wyłaniające się z białego oceanu mgieł wywierały głębokie wrażenie na umyśle Maskulla. Widniejący przed nimi ogromny masyw Disscurna skrywał poświęcenie Alppaina.

Zielony śnieg pokrywający szczyt gigantycznej piramidy obecnie stopniał całkowicie. Potężne, czarne, złote i karmazynowe skały wznosiły się z przerażającą świetnością. Byli dokładnie u stóp głównego masywu góry odległej najwyżej o milę. Nie wyglądała na trudną do wspinaczki, Maskull nie był jednak pewien, z której strony leży cel ich podróży.

Góra od szczytu do samego dołu pocięta była rozpadlinami. Tu i tam, jak wąskie nieruchome pasemka, spływało kilka jasnozielonych wodospadów. Zbocza były nagie i surowe, pokryte pojedynczymi głazami i wielkimi, poszczerbionymi skałami wystającymi wszędzie jak żelazne zęby. Tydomin pokazała palcem małą czarną dziurę u podnóża, mogącą być jaskinią.

— Tam mieszkam — powiedziała.

— Samotnie?

— Tak.

— Dziwny wybór jak na kobietę. Przecież nie jesteś taka brzydka.

— Po skończeniu dwudziestu pięciu lat życie kobiety się kończy — odpowiedziała, wzdychając.

— A ja jestem daleko starsza. Dziesięć lat temu to ja żyłabym po tamtej stronie, a nie Oceaxe. Wtedy to wszystko by się nie wydarzyło.

Kwadrans później stanęli u wejścia do jaskini. Otwór był na dziesięć stóp wysoki, a wewnątrz nieprzenikliwie czarne.

— Połóż ciało w wejściu, z dala od słońca — poleciła Tydomin.

Maskull zrobił, jak kazała. Tydomin zmierzyła go pożądliwym wzrokiem.

— Wciąż trzymasz się swoich postanowień?

— A dlaczego miałbym się nie trzymać? Mój mózg to nie pióra.

— No to chodź ze mną.

Weszli razem do grotu. W tym momencie obezwładniający hałas – jak głośny grom tuż nad ich głowami – wywołał gwałtowne bicie osłabionego serca Maskulla. Lawina głazów, kamieni i pyłu zsunęła się z góry tuż przed wejściem do jaskini. Gdyby zwlekali chwilę dłużej, zostaliby zabici.

Tydomin nawet się nie obejrzała. Wzięła Maskulla za rękę i ruszyła w ciemność. Zrobiło się lodowato zimno. Za pierwszym zakrętem światło zewnętrznego świata zniknęło, pozostawiając ich w absolutnej ciemności. Maskull wciąż się potykał na nierównym gruncie, ale Tydomin trzymała go mocno, ciągle popędzając.

Tunel wydawał się nie mieć końca. W którymś momencie jednak powietrze jakby się zmieniło, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Maskull. Wyobraźnia podsunęła mu myśl, że wchodzi do większej komory. Tydomin zatrzymała się i pociągnęła go w dół, łagodnie napierając. Pomacał ręką i natrafił na kamień; obmacując go wyczuł, że było to coś w rodzaju kamiennej płyty lub leżanki, stopę lub półtorej nad podłożem. Kazała mu się położyć.

— Już teraz? — zapytał.

— Tak.

Położył się i czekał w ciemności, nie wiedząc co dalej. Poczuł jak chwyta go za rękę. W jednej chwili, bez uprzedzenia, stracił poczucie swojego ciała; nie czuł już ani kończyn, ani innych organów. Umysł miał wciąż aktywny i świadomy. Nic szczególnego wydawało się nie dziać.

I wtedy komora zaczęła się rozjaśniać, tak jakby zaczynało świtać. Nic nie widział, tylko siatkówki jego oczu reagowały na światło. Wydało mu się, że słyszy muzykę, ale gdy zaczął się wsłuchiwać, ucichła. Światło było coraz silniejsze, powietrze się ocieplało; słysząc było wymieszane dźwięki odległych głosów.

Nagle Tydomin mocno ścisnęła go za rękę. Usłyszał, jak ktoś cicho jęczy, światło rozbłysło i zaczął widzieć wyraźnie.

Leżał na drewnianym łożu w dziwnie udekorowanej sali oświetlonej elektrycznością. Jego rękę ścisnęła nie Tydomin, ale człowiek odziany w cywilizowane ubranie; twarz tego człowieka była mu z pewnością znajoma, chociaż nie mógł sobie przypomnieć skąd. W tle stali inni ludzie – oni również byli mu skądś znajomi. Usiadł i zaczął się uśmiechać – bez specjalnego powodu – a potem wstał.

Zebrani wpatrywali się w niego z niepokojem – zastanawiał się dlaczego. Czuł przecież, że wszyscy są mu znajomi. Zwłaszcza dwaj z nich – mężczyzna w drugim końcu sali z twarzą naznaczoną surową, nieskalaną dostojnością, który chodził nieustannie w tę i z powrotem – oraz drugi, brodaty mężczyzna, którym był on sam. Tak – widział swojego sobowtóra. To było tak, jakby kryminalistę w średnim wieku skonfrontować nagle z jego własną fotografią gorliwego, idealistycznego młokosa.

Jego drugie ja przemówiło, zwracając się do niego. Słyszał dźwięk, ale nie rozumiał sensu. Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wbiegł niski osobnik o brutalnym wyglądzie. Zachowując się dziwnie, obszedł zgromadzonych, po czym podszedł prosto do niego – do Maskulla – powiedział coś niezrozumiale, wykrzywił się okropnie i chwycił Maskulla za szyję parą owłosionych rąk. Maskull poczuł, jak tamten wykręca i łamie mu kości; wszystkie nerwy jego ciała przeszył straszliwy ból i ogarnęło go wrażenie nadchodzącej śmierci. Krzyknął i opadł na podłogę bezwładnie jak kupa szmat. Sala i zgromadzone towarzystwo zniknęli. Światło zgasło.

Znów znalazł się w jaskini, ale teraz leżał na podłodze. Tydomin wciąż była obok i trzymała go za rękę. Bolało go całe ciało, jednakże stanowiło to jedynie tło dla beznadziejnej udręki wypełniającej jego umysł.

— Czemu tak szybko wróciłeś? — Tydomin zwróciła się do niego tonem łagodnego wyrzutu. — Nie zdążyłam jeszcze. Musisz tam wrócić.

Chwycił ją i wstał. Tydomin jęknęła cicho, jakby z bólu.

— Maskull, co robisz? O co chodzi?

— Krag... — zaczął Maskull, ale wysiłek potrzebny do wypowiedzenia tego zdusił słowa, zmuszając go do przerwania.

— Krag? Co, Krag? Co się stało, mów szybko? I puść mnie.

Chwycił ją jeszcze mocniej.

— Widziałem go — powiedział. — Widziałem Kraga. I obudziłem się.

— Co? Obudziłeś się? Obudziłeś.

— Musisz umrzeć — powiedział Maskull przerażającym głosem.

— Dlaczego? Co się stało?

— Musisz umrzeć. Muszę cię zabić. A dlaczego? Dlatego, że się obudziłem. To jedyny powód, ty zdraдлиwa komediantko!

Tydomin przez chwilę ciężko oddychała, po czym jakby nagle odzyskała panowanie nad sobą.

— Chyba nie grozisz mi gwałtem w tej ciemnej jaskini?

— Nie. To nie jest morderstwo i zrobię to w świetle słońca. Wszystko upewnia mnie w tym, że musisz umrzeć... musisz odpokutować za swoje straszliwe zbrodnie.

— Już to mówiłeś, a widzę, że jesteś w mocy to zrobić... Uciekłeś mi! To bardzo ciekawe. No cóż, Maskull, wyjdźmy stąd. Nie boję się tego. Tylko proszę, zabij mnie z szacunkiem, bo ja też traktowałam cię z szacunkiem. O nic więcej nie proszę.

Pod Disscournem

Zanim doszli do wylotu jaskini, *blodsombre* osiągnęło swoje maksimum. Przed nimi roztaczał się opadający w dół krajobraz – długi szereg górskich wysp na oceanie chmur. Za nimi, tysiąc stóp w górę lub wyżej, piętrzyły się oszłamiające, białe turnie Disscournu. Oczy Maskulla były zaczerwienione, a na twarzy zastygł głupi wyraz. Wciąż przytrzymywał kobietę za ramię. Tydomin nie próbowała nic mówić ani uciekać. Wydawała się być absolutnie spokojna i opanowana.

Przez dłuższą chwilę Maskull w milczeniu wpatrywał się w krajobraz.

— Gdzie jest to ogniste jezioro, o którym mówiłaś? — zwrócił się do kobiety.

— Po drugiej stronie góry. Dlaczego pytasz?

— Bo nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się trochę przeszli. Ja się uspokoję, a o to mi chodzi. Chciałbym, żebyś zrozumiała, że to co się wydarzy, to nie będzie morderstwo, lecz egzekucja.

— Smakuje tak samo — powiedziała Tydomin.

— Gdy już opuścę tę krainę, nie chciałbym mieć poczucia, że zostawiłem za sobą demona na wolności. To by nie było w porządku wobec innych. Musimy więc pójść do tego jeziora, a ono zapewni ci łatwą śmierć.

— Musimy poczekać, aż się skończy *blodsombre* — powiedziała Tydomin, wzruszając ramionami.

— Nie mamy czasu na luksusy. Bez względu na to, jak gorąco jest teraz, do wieczora oboje się ostudzimy. Musimy iść zaraz.

— Ty tu rządzisz, Maskull... Mogę nie zabierać Crimtyphona?

Maskull rzucił jej dziwne spojrzenie.

— Nikomu nie będę żałował pochówku — powiedział.

Tydomin z trudem podniosła ciało, wciągnęła je na swoje wąskie barki i wyszli na słońce. Żar uderzył w nich jak pałąk w głowę. Maskull ustąpił z drogi, żeby ją przepuścić przodem. Najmniejszy okrucieństwa nie zagościł w jego sercu wciąż gnębnym złem, które ta kobieta mu wyrządziła.

Poszli podnóżem wielkiej piramidy, wzdłuż jej południowego zbocza. Droga była trudna, najeżona głazami, poprzecinana rozpadlinami i ciekami wodnymi; widzieli wodę, ale nie mogli się do niej dostać. Brakowało cienia. Na ich skórze pojawiły się pęcherze, a cała woda we krwi zdawała się wysychać.

Szukając zapomnienia o własnych mękach, Maskull wyładowywał swą złość na Tydomin.

— Zaśpiewaj mi coś — zażądał naraz. — Coś swoistego.

Tydomin odwróciła się i przez dłuższą chwilę przyglądała mu się w osobliwy sposób, a potem bez żadnego protestu zaczęła śpiewać. Głos miała niski i niesamowity. Pieśń była tak niezwykła, że aż musiał przetrzeć oczy, żeby się upewnić, że nie śpi ani nie śni. Powolne zaskakujące tony groteskowej melodii zaczęły działać na niego w okropny sposób; słowa były całkowicie bez sensu, a może ich znaczenie było dla niego zbyt głębokie.

— Kobieto, do wszystkich diabłów, skądś to wzięła? — zapytał.

Tydomin obdarzyła go smętnym uśmiechem, a ciało spoczywające na jej lewym barku zachwiało się z koszmarnym szarpnięciem. Utrzymała je w pozycji z pomocą swoich obu lewych ramion.

— Szkoda, Maskull, że nie mogliśmy spotkać się jako przyjaciele. Pokazałabym ci tę stronę Tormance, której teraz prawdopodobnie nigdy nie zobaczysz. Dziękuję, szaloną. Ale teraz jest już za późno i bez znaczenia.

Okrążyli grzbiet i ruszyli trawersem po zachodniej stronie góry.

— Jak najprędzej można się wydostać z tego nędznego kraju? — zapytał Maskull.

— Najłatwiej jest iść na Sant.

— Będzie go widać skądś po drodze?

— Tak, chociaż to jest daleko stąd.

— Byłaś tam?

— Jestem kobietą, mam zakaz.

— Rzeczywiście. Coś już słyszałem na ten temat.

— Nie pytaj już mnie o nic — powiedziała Tydomin, która zaczęła słabnąć.

Maskull zatrzymał się przy niewielkim strumieniu. Napił się sam, a potem złożył dłonie i podał wodę kobiecie, tak żeby nie musiała zdejmować swojego brzemienia. Woda gnołowa działała jak magia – wydawała się napępiać wszystkie komórki jego ciała, jak gdyby były wsysającymi płyn porami suchej gąbki. Tydomin odzyskała panowanie nad sobą.

Trzy kwadranse później minęli następny zakręt i zobaczyli w pełnej krasie północną ścianę Disscourna.

Przed nimi, sto jardów poniżej, zbocze góry gwałtownie kończyło się rozpadliną, nad którą unosił się jakiś zielony opar drgający mocno jak powietrze bezpośrednio nad paleniskiem.

— Jezioro jest w dole — powiedziała Tydomin.

Maskull rozejrzał się z ciekawością. Krajobraz za kraterem opadał nieprzerwanie w dal, aż do horyzontu. Z tyłu za nimi wila się wśród skał wąska ścieżka prowadząca w górę na piętrzący się wierzchołek piramidy. Kilka mil dalej, w północno-wschodniej ćwiartce, wznosiła się wysoko ponad całą okolicę długa, płaska wyżyna – płaskowyż Sant. W tym momencie Maskull podjął decyzję – to będzie cel jego dzisiejszej wędrowki.

Tymczasem Tydomin powędrowała prosto do przepaści i ułożyła ciało Crimtyphona na skraju otchłani. Maskull dołączył do niej po minucie czy dwóch; dotarłszy na brzeg, natychmiast położył się jak długi na brzuchu i wyjrzał, ciekawy widoku jeziora ognia. Poryw pozbawiającego tchu, gorącego powietrza owionął mu twarz i wywołał kaszel. Mimo to nie wstawał, dopóki się nie napatrzył na ogromne morze zielonej, stopionej lawy, kotłującej się i wirującej niezbyt daleko w dole jak coś żywego.

Naraz usłyszał cichy dźwięk bębnow. Wsłuchał się, a wtedy jego serce przyspieszyło i czarne troski opuściły jego duszę. Cały świat – i wszystkie na nim wydarzenia – wydał mu się w tym momencie nieprawdziwy, bez znaczenia...

Wstał rozkojarzony. Tydomin przemawiała do swego zmarłego męża. Wpatrywała się w jego ohydłą twarz w kolorze kości słoniowej i głaskała jego fioletowe włosy. Gdy zobaczyła Maskulla, pośpiesznie pocałowała zwiędłe wargi i wstała z kolan. Podniosła ciało, chwytając je wszystkimi trzema rękami, podeszła do samej krawędzi krateru i po krótkim wahaniu pozwoliła mu spaść w lawę. Ciało zniknęło od razu, w całkowitej ciszy; z dołu doszedł metaliczny plusk. Taki był pogrzeb Crimtyphona.

— Jestem gotowa — powiedziała Tydomin.

Maskull popatrzył na nią bez słowa. Tuż za nią widział wyprostowaną i zboląłą postać. To była Joiwind. Twarz miała pobladłą, a w oczach widać było oskarżenie. Maskull wiedział, że to jest przywidzenie i że prawdziwa Joiwind jest o mile stąd, na Poolingdred.

— Odwróć się, Tydomin — powiedział zmienionym głosem — i powiedz mi, co widzisz za sobą.

— Nic nie widzę — odpowiedziała Tydomin, rozglądając się.

— A ja widzę Joiwind.

Gdy to mówił, zjawa zniknęła.

— Tydomin, daruję ci twoje życie. Ona sobie tego życzy.

Kobieta podrapała się po brodzie w zamyśleniu.

— Nigdy nie myślałam, że będę kiedykolwiek zawdzięczać życie komuś mojej własnej płci, ale niech będzie. A co takiego wydarzyło ci się w mojej jaskini?

— Widziałem Kraga. Naprawdę.

— No tak, jakiś cud tam się musiał wydarzyć. — Zadrżała nagle. — Chodź, opuśćmy to okropne miejsce. Nigdy więcej tu nie przyjdę.

— Masz rację — powiedział Maskull. — Cuchnie tu śmiercią i umieraniem. Tylko gdzie iść, co robić? Zaprowadź mnie na Sant! Muszę się wydostać z tego piekielnego kraju.

Tydomin stała nieruchomo, oteźiała i z pustym wzrokiem. Nagle roześmiała się gorzko.

— Nasza wspólna podróż składa się z osobliwych etapów. Bo chyba raczej pójdę z tobą, niż bym miała zostać tu sama. Ale wiesz... jeśli tylko postawię tam nogę, to oni mnie zabiją.

— Pokaż mi przynajmniej, którędy iść. Chciałbym tam dotrzeć przed zmierzchem. Czy to możliwe?

— Jeśli chcesz podjąć się ryzyka w starciu z naturą, to czemu nie dzisiaj? Wciąż masz szczęście. Ale któregoś dnia cię opuści... to twoje szczęście.

— No to chodźmy — powiedział Maskull. — A co do mojego szczęścia, to jak na razie, nie ma się czym przechwalać.

Blodsombre minęło zanim ruszyli. Było wczesne popołudnie, ale upał był bardziej duszący niż kiedykolwiek. Nie starali się więcej rozmawiać – oboje pogrążeni w swoich bolesnych myślach. Chociaż teren, począwszy od Disscurna, opadał we wszystkie strony, to w kierunku Santu wyraźnie się podnosił. Odległy, ciemny płaskowyż wciąż dominował nad otoczeniem i po jakiejś godzinie marszu wciąż nie wydawał się być bliżej. Powietrze było nieświeże i zastale.

Wkrótce uwagę Maskulla przyciągnął pionowy obiekt w oczywisty sposób stanowiący dzieło człowieka. Był to osadzony w kamienistym gruncie, wciąż pokryty korą, smukły pień drzewa. Na samej górze sterczały trzy gałęzie, celując w niebo pod ostrym kątem. Obdarte były z liści i gałązek, a z bliska można było zobaczyć, że są sztucznie przymocowane w równej odległości od siebie.

Gdy tak się temu przyglądał, poczuł nagle dziwny napływ aroganckiej buty i samowystarczalności, ale trwało to tak krótko, że niczego nie mógł być pewien.

— Tydomin, co to może być?

— To Trójzęb Hatora.

— Do czego służy?

— To drogowskaz na Sant.

— A co to jest, czy kto, ten Hator?

— Hator był założycielem Santu. Tysiące lat temu. Stworzył zasady, według których żyje tamtejsza społeczność. Ich symbolem jest trójzęb. Gdy byłam mała, tata opowiadał mi o tym legendy, ale większość zapomniałam.

— Poczułaś oddziaływanie tego czegoś? — zapytał Maskull, wysłuchawszy jej z uwagą.

— A dlaczego miałabym poczuć? — powiedziała, krzywiąc się z pogardą. — Jestem tylko kobietą, a to są sprawy męskie.

— Na mnie spłynęła jakaś błogość — powiedział Maskull. — Ale może mi się tylko wydawało.

Poszli dalej. Otoczenie stopniowo zmieniało charakter. Stałe partie lądu stawały się bardziej rozległe, a szczeliny między nimi węższe i coraz rzadsze. Nie było już zapadlisk ani wyniesień. Osobliwa natura Ifdawn Marest zdawała się ustępować rzeczom o innym charakterze.

Trochę później napotkali stado unoszących się w powietrzu bladobłękitnych galaretek. Były to niewielkie zwierzęta. Tydomin chwyciła jedno w rękę i zaczęła jeść, tak jak się zjada zerwaną z drzewa smakowitą gruszkę. Maskull, który pościł od wczesnego rana, nie czekał z naśladowaniem jej. Jakiś rodzaj elektrycznego wigoru natychmiast wstąpił w jego kończyny i ciało, mięśnie odzyskały elastyczność, a serce zaczęło bić silnymi uderzeniami, mocno i powoli.

— Żywność i ciało wydają się doskonale pasować do siebie w tym świecie — zauważył z uśmiechem.

Tydomin popatrzyła na niego.

— Może wyjaśnienie leży nie w żywności, ale w twoim ciele — powiedziała.

— Ciało przywiozłem tutaj ze sobą.

— Duszę również przywiozłeś ze sobą, a jednak się szybko zmienia.

Idąc przez zagajnik, minęli niskie rozłożyste drzewa bez liści, za to z mnóstwem gałęzi, cienkich i elastycznych jak macki kalmara. Niektóre z nich szybko się poruszały. Przypominające nieco żbika zwierzę futerkowe poruszało się pomiędzy nimi w dość niezwykły sposób. Po chwili Maskull ze zdziwieniem zorientował się, że stworzenie w ogóle nie skacze, tylko jest przerzucane z gałęzi na gałąź zgodnie z wolą drzewa, całkiem jak mysz przerzucana przez kota z łapy do łapy.

Przez chwilę obserwował to z chorobliwym zainteresowaniem.

— Co za makabryczna zamiana ról — powiedział.

— Wyglądasz na zde gustowanego — odrzekła Tydomin, powstrzymując się od ziewnięcia. — Jesteś po prostu niewolnikiem słów. Gdybyś nazywał tę roślinę zwierzęciem, uważałbyś to, co ona robi, za całkowicie naturalne i interesujące. No bo dlaczego miałbyś nie nazywać jej zwierzęciem?

— Tak, tak, wiem, że dopóki będę w Ifdawn Marest, wciąż będę wysłuchiwał takich wyjaśnień.

Wlekli się tak dalej przez jakąś godzinę, nie zamieniwszy ani słowa. Niebo się zachmurzyło, krajobraz zaczęła przesłaniać rzadka mgła, a słońce zmieniło się w ogromny czerwony dysk, w który można było spojrzeć bez szkody. Chłodny, wilgotny wiatr powiał im w twarz. Potem zrobiło się jeszcze ciemniej, a słońce zniknęło całkowicie. Maskull spojrzał na swoją towarzyszkę, potem na siebie i zauważył, że ich skóra i ubrania pokryły się czymś w rodzaju zielonego szronu.

Teren był teraz całkowicie stabilny. Około pół mili przed nimi na tle ciemnej mgły pojawił się ruchomy las wysokich, powoli wirujących traw wodnych, poruszających się z wdziękiem to tu, to tam. Były zielone, świecące i wyglądały przerażająco. Tydomin wyjaśniła, że nie są to trawy wodne, lecz ruchome pioruny cylindryczne.

— To muszą być, w takim razie, niebezpieczne?

— Tak tutaj uważamy — odrzekła Tydomin, wpatrując się w błyskawice.

— Tam idzie ktoś, kto wydaje się mieć inny pogląd na tę sprawę.

Jakiś mężczyzna odwrócony tyłem do nadchodzących spacerował spokojnym i opanowanym krokiem całkowicie otoczony kolumnami piorunów. W jego wyglądzie było coś niezwykłego — cała postać sprawiała wrażenie nadzwyczaj wyraźnej, masywnej i rzeczywistej.

— Jeśli to jest niebezpieczne, powinniśmy go ostrzec — powiedział Maskull.

— Ten, kto zawsze chętnie uczy, niczego się nie nauczy — odpowiedziała chłodno Tydomin. Chwyciła Maskulla za rękę i powstrzymała, obserwując dalej tamtego.

Jedna z kolumn dotknęła mężczyznę podstawą. Nic mu się nie stało, jednak odwrócił się gwałtownie, jak gdyby po raz pierwszy uświadamiając sobie bliskość tych śmiertelnie niebezpiecznych tancerek. Potem wyprostował się na całą wysokość i wyciągnął obie ręce pionowo nad głowę, jak nurek. Wyglądało to, jakby zwracał się do piorunów.

Na ich oczach elektryczne walce rozładowały się w serii głośnych eksplozji. Obcy pozostał nietknięty. Opuścił ręce. W tym momencie dostrzegł Maskulla i Tydomin. Stanął i zaczął czekać, aż podejdą. W miarę jak się zbliżali, malowniczy splendor jego osoby stawał się coraz bardziej widoczny; jego ciało wydawało się być złożone z jakichś substancji cięższych i gęstszych niż stała materia.

Tydomin wyglądała na zakłopotaną.

— To musi być człowiek z Santu. Nigdy wcześniej nikogo takiego nie widziałam. To jest wyjątkowy dzień dla mnie.

— Musi być kimś ważnym — mruknął Maskull.

Podeszli bliżej. Mężczyzna był wysoki, silny i brodaty, odziany w koszulę i spodnie ze skóry. Gdy odwrócił się plecami do wiatru, zielony nalot pokrywający jego twarz i kończyny zmienił się w spływającą wilgoć, spod której prześwitywał naturalny kolor jego skóry — kolor bladego żelaza. Nie miał trzeciej ręki. Twarz miał szorstką i pomarszczoną, a wystający podbródek wysuwał brodę do przodu. Na czole miał dwie płaskie błony, jakby szczątkowe oczy i żadnego *sorbu*. Błony nie miały wyrazu, ale w jakiś dziwny sposób wydawały się dodawać wigoru właściwym oczom poniżej. Gdy jego spojrzenie spoczęło na Maskullu, ten poczuł jak gdyby coś gruntownie przemierzało jego mózg. Wiek mężczyzny

można było określić na średni.

Jego fizyczna odmienność wykraczała poza prawa natury. W porównaniu z nim, każdy obiekt w sąsiedztwie wyglądał mętnie i niewyraźnie. Postać Tydomin od razu zaczęła się wydawać słabo widoczna, jak szkic bez znaczenia, a z Maskullem, jak sam stwierdził, było nie lepiej. Za to w jego żyłach pojawił się jakiś dziwny, ożywczy ogień.

— Jeśli ten mężczyzna idzie na Sant — zwrócił się do Tydomin — dotrzymam mu towarzystwa. Możemy się więc rozdzielić. Pewnie uważasz, że to już najwyższa pora.

— Niech Tydomin też idzie — dotarły do nich słowa wypowiedziane w jakimś zgrzytliwym obcym języku, zrozumiałe jednak dla Maskulla tak samo, jakby były wyartykułowane po angielsku.

— Skoro wiesz, jak się nazywam — odpowiedziała spokojnie Tydomin — to znasz również moją płęć. Wejście na Sant oznacza dla mnie śmierć.

— To stare prawo. A ja jestem zwolennikiem nowego.

— Naprawdę! I oni to zaakceptują?

— Stara skóra pęka, a nowa skóra po cichu tworzy się pod spodem i nadchodzi czas wylinki.

Zaczęło zbierać się na burzę. Powiało zielonym śniegiem i zrobiło się bardzo zimno. Rozmawiając, żadne z nich nie zwróciło na to uwagi.

— Jak się nazywasz? — zapytał Maskull z bijącym sercem.

— Moje imię brzmi Spadevil. Ty, Maskull, podróżnik, który pokonał ciemny ocean kosmosu, staniesz się moim pierwszym świadkiem i uczniem. A ty, Tydomin, córko potępionej płci, będziesz drugim.

— Mówisz o nowym prawie? A co to jest?

— Co za sens usłyszeć, jeśli nie można zobaczyć?... Chodźcie do mnie, oboje!

Tydomin zbliżyła się bez wahania. Spadevil przyłożył rękę do jej *sorbu* i zamknąwszy oczy, trzymał tak przez kilka minut. Kiedy zabrał rękę, Maskull ujrzał, że *sorb* Tydomin przekształcił się w bliźniacze błony, takie same jak u Spadevila.

Tydomin sprawiała wrażenie oszołomionej. Rozglądała się spokojnie przez krótką chwilę, w oczywisty sposób testując swoje nowe narządy. Potem z jej oczu trysnęły łzy, chwyciła rękę Spadevila, pochyliła się i zaczęła pośpiesznie okładać ją pocałunkami.

— Byłam złą kobietą — wyznała. — Wielu zaznało krzywd ode mnie, a nikt dobrego. Zabijałam i gorzej. Ale teraz mogę to wszystko odrzucić i śmiać się. Nic nie może mnie zranić. Och, Maskull, jakimi byliśmy oboje głupcami!

— Nie żałujesz swoich zbrodni? — zapytał Maskull.

— Zostawcie w spokoju przeszłość — powiedział Spadevil. — Nie da się jej zmienić. Za to przyszłość jest nasza. Właśnie się rozpoczyna, w tej minucie, świeża i czysta. Czemu się wahasz, Maskull? Boisz się?

— Jak się nazywają te narządy i jaka jest ich funkcja?

— To są sondy, a także bramy do nowych światów.

Maskull przestał się ociągać i pozwolił Spadevilowi nakryć swój *sorb*.

Gdy żelazna ręka nakryła mu czoło, do jego świadomości – jak gładko płynący strumień czystej wody – zaczęło spokojnie przepływać nowe prawo potępiane wcześniej przez jego obskurancką wolę. Prawem była powinność.

Rozdział 12

Spadevil

Nowe narządy, jak stwierdził Maskull, nie posiadały własnych niezależnych funkcji, lecz jedynie wzmacniały i zmieniały inne zmysły. Gdy używał teraz swoich oczu, uszu, nozdrzy, prezentowały się mu te same obiekty, ale jego ocena dotycząca tych obiektów była inna. Przedtem wszystkie zewnętrzne rzeczy istniały dla niego, teraz on istniał dla nich. Były przyjemne albo przykre w zależności od tego czy służyły jego potrzebom, były w harmonii z jego naturą czy nie. Teraz takie słowa jak „przyjemność” i „ból” nie miały po prostu żadnego znaczenia.

Pozostała dwójka obserwowała, jak się zaznajamia ze swoją nową mentalną perspektywą. Uśmiechnął się.

— Tydomin, miałaś całkowitą rację — powiedział zuchwałym, radosnym tonem. — Byliśmy głupcami. Przez cały czas tak blisko oświecenia i nigdy na to nie wpadliśmy. Zawsze zagrzebani w przeszłości i systematycznie ignorujący teraźniejszość. A teraz okazuje się, że poza teraźniejszością nie mamy wcale żadnego życia.

— Dzięki ci za to, Spadevil — powiedziała Tydomin, mówiąc trochę głośniejszym niż zazwyczaj.

Maskull spojrzał na ciemną, niewzruszoną postać mężczyzny.

— Spadevil, teraz będę z tobą do samego końca. Nie mogę zrobić nic mniej.

Na surowym obliczu Spadevila nie pojawił się nawet ślad wdzięczności – nie drgnął mu nawet jeden mięsień.

— Pilnuj, aby nie stracić tego daru — powiedział gburowato.

— Obiecałeś, że wejdę z tobą na Sant — przypomniała Tydomin.

— Dołącz do prawdy, a nie do mnie. Ja mogę umrzeć przed tobą, ale prawda będzie ci towarzyszyć do twojej śmierci. Wszelako teraz chodźmy razem, wszyscy troje.

Nie odezawszy się więcej ani słowem, zwrócił się twarzą do drobnego, zacinającego śniegu i ruszył do przodu ku swemu przeznaczeniu. Szedł długim krokiem; Tydomin musiała na wpół biec, żeby za nim nadążyć. Wędrowali ramię w ramię – Spadevil w środku. Mgła była tak gęsta, że już na sto jardów do przodu nie było nic widać. Ziemię pokrył zielony śnieg. Z płaskowyżu Sant wiał porywami przenikliwie zimny wiatr.

— Spadevil, jesteś człowiekiem czy może czymś więcej? — zapytał Maskull.

— Ten, kto nie jest czymś więcej niż człowiekiem, jest niczym.

— A skąd teraz idziesz?

— Z medytacji, Maskull. Z żadnej innej matki prawda się nie narodzi. Co spłodziłem, to odrzucałem, a potem znów medytowałem. Teraz, po wielu miesiącach nieobecności na Sancie, prawda – błyszcząca jak oszlifowany diament – oświeciła mnie w końcu z całą swoją wspaniałością.

— Widzę, jak błyszczy — powiedział Maskull. — A dużo zawdzięcza starożytnej wiedzy Hatora?

— Wiedza dojrzewa stopniowo. Dla Hatora zakwitła, a dla mnie wydała owoce. Hator był również myślicielem, natomiast jego naśladowcy już nie medytują. Na Sancie króluje egoizm w czystej postaci – istna martwota. Nienawidzą przyjemności i ta nienawiść sprawia im największą przyjemność.

— A jak to się stało, że odeszli od doktryny Hatora?

— Dla Hatora świat, z jego posępną czystością natury, był pułapką, lepem na muchy. Wiedząc, że przyjemność jest zawsze zagorzałym wrogiem – czyhającym za każdym węglem drogi życia, żeby zabić swoim słodkim żądłem nagą wspaniałość duszy – Hator skrył się za bólem. Tak samo zrobili jego naśladowcy, tyle że oni nie dla duszy, ale z próżności i pychy.

— A Trójzab?

— Główny pal to nienawiść do przyjemności. Pierwszy ząb oznacza wyzwolenie od słodyczy świata. Drugi ząb to władza nad tymi, którzy wciąż są uwikłani w sieć iluzji. A trzeci ząb to zdrowy zapal tego, który wkracza do lodowatej wody.

— Skąd przybył Hator?

— Nie wiadomo. Żył jakiś czas w Ifdawn Marest. Opowiada o tym wiele legend.

— Daleka droga przed nami — wtrąciła Tydomin. — Opowiedz nam niektóre z tych legend.

Śnieg przestał padać, dzień pojaśniał, Branchspell znów pojawił się jak widmowe słońce, lecz równinę wciąż smagały przenikliwe porywy wiatru.

— W tamtych dniach — zaczął Spadevil — istniała w Ifdawn górską wyspa odseparowana od pozostałej okolicy szerokimi rozpadlinami. Pewna ładna dziewczyna znająca sztukę czarów stworzyła most, po którym mogli przechodzić mężczyźni i kobiety. Zwabiwszy Hatora na tę górę fałszywą opowieścią, nadepnęła stopą na most, a ten zarwał się i poleciał w otchłań. „Hator” — powiedziała — „ty i ja jesteśmy teraz razem i w żaden sposób nie możemy się rozdzielić. Chcę wiedzieć, jak długo sławny lodowaty mężczyzna będzie się opierał dziewczynie, ignorując jej oddech, uśmiech i zapach.” Hator nie odrzekł na to nic — ani wtedy, ani później tego samego dnia. Aż do zmroku stał jak pień drzewa i myślał o czym innym. Dziewczyna się zniecierpliwiła i rozpuściła włosy. Wstała z miejsca — w którym usiadła, by go obserwować — i wzięła go za rękę; ale Hator jakby jej nie widział. Wpatrywała się w niego, całą swoją duszę koncentrując w oczach, aż padła martwa na ziemię. Hator ocknął się z zamyślenia i zobaczył ją martwą u swych stóp, wciąż jeszcze ciepłą. A potem wrócił na ląd. Jak to zrobił, o tym legenda już nie mówi.

Tydomin zadrżała.

— Spadevil — powiedziała — ty również spotkałeś podłą kobietę, ale twój sposób jest szlachetniejszy.

— Nie żałuję tych kobiet — powiedział Spadevil — ale miłuję prawo. Pewnego razu Hator rozmawiał z Shapingiem.

— Ze Stworzycielem Świata? — spytał Maskull z przejęciem.

— Ze Stworzycielem Przyjemności. Historia opowiada o tym, jak Shaping bronił swego świata i próbował zmusić Hatora do uznania piękności i radości. Ale Hator, odpowiadając na wszystkie jego wspaniałe przemowy, w kilku zwięzłych twardych słowach wykazał, że radość i piękność to jedynie inne określenia zbydlęcenia dusz tarzających się w zbytku i lenistwie. Shaping uśmiechnął się i powiedział: „Skąd to się bierze, że twoja mądrość jest większa od mądrości Pana Mądrości?” Na co Hator odpowiedział: „Moja mądrość nie pochodzi od ciebie ani z twojego świata, ale z innego świata, który ty, Shapingu, próbowałeś nadaremnie naśladować.” A wtedy Shaping powiedział: „Co w takim razie w moim świecie robisz ty?” Na co Hator odrzekł: „Jestem tutaj na niby i dlatego jestem podmiotem twoich niby-przyjemności. Ale otaczam się bólem — nie dlatego, że tak jest dobrze, ale dlatego, że chcę się trzymać tak daleko od ciebie, jak to tylko możliwe. Bo ból nie jest twój ani też nie należy do innego świata, lecz jest cieniem rzucanym przez twoje fałszywe przyjemności.” I wtedy Shaping powiedział: „Co to za świat, odległy i odmienny, o którym mówisz, że jest taki czy owaki? Jak to się stało, że ze wszystkich moich stworzeń tylko ty go znasz?” Na te słowa Hator splunął mu pod nogi i powiedział: „Łzesz, Shapingu. Wszyscy go znają. Tylko ty zasłaniasz go nam swoimi ślicznymi zabawkami.” Na co Shaping: „Czym ja w takim razie jestem?” A Hator mu odpowiedział: „Ty jesteś tym, co śni nierealne sny.” I na tym opowieść się kończy, mówiąc, że Shaping odszedł rozzłoszczony tym, co zostało powiedziane.

— A o jakim świecie mówił Hator? — zapytał Maskull.

— O takim, w którym liczy się godność, tak jak w tym liczy się przyjemność.

— Godność czy przyjemność, co za różnica — powiedział Maskull. — Pojedyncza dusza, która żyje i pragnie żyć, jest nikczemna i skłonna do zepsucia.

— Strzeż się swojej pychy, Maskull! — odparł Spadevil. — Nie twórz wiecznego prawa dla całego wszechświata, twórz prawo dla siebie, dla swojego nędznego, fałszywego żywota.

— W jaki sposób śmierć osiągnęła takiego twardego, niezłomnego człowieka? — zapytała Tydomin.

— Dożył późnej starości, ale chodził z podniesioną głową i z czystymi rękami po swą ostatnią

godzinę. Gdy stwierdził, że nie może już dłużej trzymać śmierci na dystans, zdecydował się sam sobie odebrać życie. Zebrał wokół siebie swoich przyjaciół – nie z próżności, ale żeby im pokazać, jak daleko ludzka dusza może się posunąć w nieustannym zmaganiu z lubieżnym ciałem. Umarł, wstrzymując oddech, a umierając, stał prosto bez żadnej pomocy.

Przez następną godzinę szli w milczeniu. Chociaż ich umysły odmawiały przyjęcia do wiadomości lodowatych podmuchów, to strumień ich myśli został zamrożony.

Gdy jednak Branchspell znów mgliście zaświecił, ciekawość Maskulla powróciła.

— Twoi rodacy, Spadevil, są w takim razie chorzy z samouwielbienia?

— Ludzie z innych krain są świadomymi niewolnikami przyjemności i żądy, podczas gdy ludzie w moim kraju są niewolnikami nieświadomymi — odparł Spadevil.

— Jednakże ta zabarwiona pychą przyjemność, którą daje samoudręka, ma w sobie coś szlachetnego.

— Zgoła bezwstydnym jest ten, który zgłębia samego siebie. Jedynie gardząc zarówno swą duszą jak i ciałem, człowiek może uczestniczyć w prawdziwym życiu.

— A na jakiej podstawie oni odrzucają kobiety?

— Na takiej, że kobieta idealizuje miłość i nie może żyć dla samej siebie. Miłość do kogoś drugiego jest dla tamtego przyjemnością i w ten sposób mu szkodzi.

— Cały las fałszywych poglądów czeka na twoją siekierę — powiedział Maskull. — Tylko czy oni ci na to pozwolą?

— Maskull — powiedziała Tydomin — Spadevil już wie, że dzisiaj czy jutro, nawet wyznawcom Hatora, nie da się utrzymać miłości z dala od kraju.

— Strzeż się miłości, strzeż się uczuć! — wykrzyknął Spadevil. — Miłość tak, ale zawsze bez przyjemności. Nie staraj się sprawiać przyjemności innym, ale pomyśl o służeniu im.

— Wybacz mi, Spadevil, wciąż jestem taka kobieca.

— Prawo nie ma płci. Dopóki, Tydomin, nie zapomnisz, że jesteś kobietą, dopóty twoja dusza nie osiągnie stanu boskiej apatii.

— No ale tam, gdzie nie ma kobiet, nie ma też dzieci — powiedział Maskull. — Skąd więc się wzięły te wszystkie pokolenia wyznawców Hatora?

— Życie stwarza uczucie, uczucie stwarza cierpienie, cierpienie stwarza tęsknotę za ulgą od cierpienia. Mężczyźni ze wszystkich stron przybywają tłumnie na Sant, chcąc uleczyć swoje dusze.

— Oferujesz jakąś prostą regułę w miejsce zrozumiałej dla każdego nienawiści do przyjemności?

— Bezwzględne spełnianie powinności — odpowiedział Spadevil.

— A gdy zapytają, w jakim stopniu to jest zgodne z nienawiścią do przyjemności, to jakie będzie twoje wyjaśnienie?

— Nie odpowiem im. Ale tobie, Maskull, skoro już zadałeś mi takie pytanie, powiem tak: nienawiść jest uczuciem, a wszystkie uczucia mają swe źródło w mrocznym płomieniu egoizmu. Nie masz wcale nienawidzić przyjemności, tylko masz ją omijać bokiem, po cichu i spokojnie.

— A jakie są kryteria przyjemności? Jak mamy ją rozpoznać w celu uniknięcia?

— Wypełniaj ściśle powinność, to takie pytania się nie pojawiają.

Później tego popołudnia Tydomin nieśmiało dotknęła palcami ręki Spadevila.

— Nawiedziły mnie straszliwe myśli — powiedziała. — Ta wyprawa na Sant może się źle zakończyć. Miałam wizję, Spadevil. Ty i ja leżeliśmy martwi i zalani krwią, a Maskulla nie było.

— Rzucimy pochodnię, która nie zgaśnie i inni ją poniosą.

— Daj mi jakiś znak, że nie jesteś jak inni mężczyźni... Żebym wiedziała, że nasza krew nie będzie zmarnowana.

Spadevil popatrzył na nią surowo.

— Nie jestem magikiem. Nie przekonuję zmysłów, lecz duszę. Czy twoje powołanie, Tydomin, wzywa cię na Sant?... Więc idź tam. A jeśli cię nie wzywa? To zostań. Czy to nie jest proste? Jakie znaki są ci jeszcze potrzebne?

— Czyż nie widziałam cię rozpraszającego pioruny kolumnowe? Zwykły człowiek by tego nie potrafił.

— Nie wiadomo do czego jest zdolny człowiek. Jeden potrafi to, a inny co innego. Ale to, co mogą zrobić wszyscy, to wypełniać swoją powinność i otworzyć na to swoje oczy. Ja muszę iść na Sant i jeśli to będzie konieczne, oddam swe życie. Czy dalej nie będziesz mi już towarzyszyć?

— Będę — odpowiedziała Tydomin. — Pójdę za tobą do samego końca. Tym bardziej, że swoimi uwagami wywołuję twoje niezadowolenie, a to oznacza, że wciąż nie nauczyłam się dobrze swojej lekcji.

— Nie bądź pokorna, bo pokora to nic innego jak tylko samoocena, a dopóki myślimy o sobie, musimy rezygnować z pewnych działań planowanych czy przygotowywanych w naszym umyśle.

Tydomin wciąż była zdenerwowana i zaaferowana.

— Dlaczego w tej wizji nie było Maskulla? — zapytała.

— Roztrząsaszesz to przecucie, bo wyobrażasz sobie, że to była tragedia. Tydomin, śmierć to żadna tragedia, również w życiu. Istnieje jedynie dobro i zło. To, co wynika z dobrego czy złego działania, nie ma żadnego znaczenia. Nie jesteśmy bogami stwarzającymi świat, ale zwykłymi mężczyznami i kobietami wypełniającymi nasze bieżące powinności. Na płaskowyżu Sant możemy umrzeć – co właśnie ujrzałaś – prawda jednak będzie żyła dalej.

— Spadevil, dlaczego wybrałaś Sant na początek swojej działalności? — zapytał Maskull. — Ci mężczyźni, przywiązani fanatycznie do swych poglądów, wydają mi się najmniej ze wszystkich podatni na przyjęcie oświecenia.

— Tam gdzie złe drzewo się rozrasta, tam dobre rozkwita. Natomiast tam, gdzie nie ma żadnych drzew, nic nie urośnie.

— Rozumiem — powiedział Maskull. — Tutaj prawdopodobnie zostaniemy męczennikami, a gdzie indziej przypominalibyśmy ludzi wygłaszających kazania dla bydła.

Krótko przed zachodem słońca doszli do najbardziej wysuniętego krańca wyżynnej równiny, z której wypiętrzały się czarne klify płaskowyżu Sant. Do świata na górze prowadziły wywołujące zawrót głowy sztuczne schody – ponad tysiąc różnej wysokości stopni, wijących się, rozwidlających i dopasowujących do krętej ściany urwiska. Zatrzymali się w miejscu osłoniętym przed zacinającym wiatrem. Branchspell w końcu zaświecił jasno, malując zachmurzone niebo na zachodzie jaskrawymi, upiornymi kolorami, których pewne kombinacje były dla Maskulla całkowitą nowością. Krag horyzontu był tak ogromny, że gdyby przeniesiono go nagle z powrotem na Ziemię, mógłby, porównując, wyobrażać sobie, że znajduje się wewnątrz jakiejś niewielkiej, nakrytej kopułą katedry. Czuł, że jest na obcej planecie, ale ta wiedza nie mieszała go ani nie podnieciła; docierały do niego jedynie problemy moralne. Obejrzał się do tyłu i zobaczył równinę pozbawioną roślinności na przestrzeni wielu mil i ciągnącą się daleko, aż do Disscurna. Wzniesienie było tak regularne, a dystans tak ogromny, że wielka piramida wyglądała co najwyżej jak lekka opuchlizna na obliczu ziemi.

Spadevil zatrzymał się i popatrzył w milczeniu na krajobraz. W wieczornym świetle jego postać wyglądała solidniej, ciemniej i prawdziwiej niż kiedykolwiek przedtem. Jego twarz przybrała surowy wyraz.

— Co jest najbardziej zadziwiające w całej tej zadziwiającej scenerii? — zapytał, odwracając się do swoich towarzyszy.

— Oświeć nas — powiedział Maskull.

— Wszystko, co widzicie, zrodziło się z przyjemności i zmierza od przyjemności do przyjemności. Żadnej przyzwoitości. To świat Shapinga.

— Tam jest jeszcze jeden dziw — powiedziała Tydomin, wskazując palcem na niebo przed nimi.

Na tle ciemnej ściany klifu, nisko, chyba nie wyżej niż pięćset stóp nad nimi, płynęła niewielka chmura. Miała dokładnie kształt ludzkiej dłoni z palcami skierowanymi w dół. Słońce barwiło ją na

karmazynowo, a jeden czy dwa znajdujące się pod nią małe obłoczki wyglądały jak spadające z palców krople krwi.

— Ktoś jeszcze wątpi, że nasza śmierć jest na wyciągnięcie ręki — powiedziała Tydomin. — Dzisiaj już drugi raz ocieram się o swoją śmierć. Za pierwszym razem byłam przygotowana, teraz jestem jeszcze bardziej przygotowana, gdyż umrę ramię w ramię z człowiekiem, który sprawił, że po raz pierwszy zostałam uszczęśliwiona.

— Nie o śmierci myśl, lecz o trwaniu prawa — odparł Spadevil. — Nie przybyłem tutaj, by bać się przepowiedni Shapinga, ale żeby odciągnąć od niego ludzi.

Ruszył zaraz, prowadząc ich na schody. Tydomin, z dziwnie nabożnym blaskiem w oczach, przez chwilę spoglądała za nim w górę, a potem podążyła jego śladem jako druga. Maskull poszedł na końcu. Miał już dosyć podróży, czuł się brudny i bardzo zmęczony. Niemniej w duszy miał spokój. W miarę jak wspinali się po niemal pionowych schodach, słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie. Jego światło barwiło ich ciała na kolor różowozłoty.

Dotarli do szczytu. Przed nimi jak okiem sięgnąć rozciągała się goła pustynia białego piachu, przerywana to tu, to tam ogromnymi poszczerbionymi plamami czarnych skał. Jej powierzchnię zabarwiała na czerwono zachodzące słońce. Rozległe obszary nieba wypełniały diabelskie kształty chmur w dzikich kolorach. Wiejący przez pustynię mroźny wiatr boleśnie bił ich po twarzach drobinami piasku.

— Gdzie nas teraz zaprowadzisz? — zapytał Maskull.

— Ten, kto strzeże starej mądrości Santu, musi przekazać tę mądrość mnie, wtedy będę mógł ją zmienić. Inni będą tę wiedzę powtarzać. Idę znaleźć Maulgera.

— A gdzie go będziesz szukał w tym opustoszałym kraju?

Spadevil bez wahania wskazał na północ.

— To niedaleko — powiedział. — On ma zwyczaj przebywać w miejscu, w którym Sant góruje nad Lasem Wombflash. Powinien tam być, chociaż pewności nie ma.

Maskull spojrzał na Tydomin. Jej zapadnięte policzki i podkrążone oczy wskazywały na straszliwe wyczerpanie.

— Spadevil — powiedział — ta kobieta jest zmęczona.

Tydomin uśmiechnęła się.

— To tylko jeszcze jeden krok w głąb tej krainy śmierci. Dam radę. Podaj mi rękę, Maskull.

Maskull objął ją w pasie, pomagając iść.

— Słońce zachodzi — powiedział. — Zdążymy tam dojść przed zmrokiem?

— Nie bój się, Maskull, ani ty, Tydomin, ten ból zżera zło zawarte w waszej naturze. Droga, którą krocycie nie może się nie dopełnić. Zdążymy tam przed zmrokiem.

Słońce schowało się za odległym grzbietem stanowiącym zachodnią granicę Ifdawn Marest. Niebo rozbłysło jeszcze żywszymi kolorami. Wiatr stał się bardziej zimny.

Minęli kilka sadzawek z bezbarwną wodą gnołową, obsadzonych na brzegach drzewami owocowymi. Maskull zjadł jakiś owoc. Był twardy, gorzki i cierpki; nie mógł się pozbyć z ust jego smaku, niemniej poczuł się wzmocniony i odświeżony spływającym sokiem. Innych drzew ani krzaków nie było widać. Ani żadnych zwierząt, ptaków czy owadów. Okolica była opustoszała.

Po przejściu mili lub dwóch ponownie znaleźli się na skraju płaskowyżu. Pod nimi, daleko w dole zaczynał się wielki Las Wombflash. Światło dzienne już tam nie sięgało; oprócz mętnej ciemności nie udało się Maskullowi niczego dojrzeć. Słabo docierało stamtąd jedynie coś, co brzmiało jak odległy szum niezliczonych wierzchołków drzew.

W szybko ciemniejącym mroku natknęli się nagle na jakiegoś mężczyznę. Stał na jednej nodze w sadzawce zasłonięty przed nimi stosem głazów. Woda sięgała mu do łydek. Blisko jego ręki sterczał wbity w bajoro trójząb, podobny – tyle że mniejszy – do tego, który Maskull widział wcześniej na Disscournie.

Zatrzymali się na brzegu stawu i czekali. Tamten natychmiast uświadomił sobie ich obecność, postawił

drugą nogę i brodząc w wodzie, ruszył w ich kierunku, zabierając ze sobą swój trójząb.

— To nie jest Maulger, tylko Catice — powiedział Spadevil.

— Maulger nie żyje — powiedział Catice w tym samym języku co Spadevil, tylko jeszcze bardziej zgrzytliwie, tak że aż błona bębenkowa Maskulla zareagowała bólem.

Maskull ujrzał przed sobą potężnego, przygarbionego osobnika w zaawansowanym wieku. Człowiek ten nie miał na sobie niczego oprócz skąpej przepaski biodrowej. Jego tułów był długi i ciężki, a nogi raczej krótkie. Na gładko wygolonym obliczu barwy cytrynowej malował się niepokój. Odwieczny brud wydawał się wypełniać liczne, głębokie na ćwierć cala bruzdy żłobiące wzdłużnie jego twarz. Włosy na głowie były czarne i rzadkie. A zamiast dwóch błoniastych narządów Spadevila, miał tylko jeden – na środku, pomiędzy brwiami.

Ciemna, masywna postać Spadevila odstawała od reszty jak jawa pośród snów.

— Czy trójząb został przekazany tobie? — zapytał Spadevil.

— Tak. Dlaczego sprowadziłeś na Sant tę kobietę?

— Sprowadziłem na Sant coś innego. Niosę wam nową wiarę.

Catice stał bez ruchu, sprawiając wrażenie zakłopotanego.

— Przedstaw ją.

— W kilku słowach, czy mam mówić dłużej?

— Jeśli chcesz powiedzieć, czym nie jest, każda mowa będzie za krótka. Ale jeśli chcesz powiedzieć, czym jest, kilka słów wystarczy.

Spadevil zmarszczył brwi.

— Nienawiść do przyjemności rodzi pychę. A pycha jest przyjemnością. Żeby wypłenić przyjemność, musimy narzucić sobie powinność. Mózg planujący słuszne czyny nie ma czasu myśleć o przyjemnościach.

— I to wszystko? — zapytał Catice.

— Prawda jest prosta, nawet dla najprostszych ludzi.

— Tym jednym słowem niszczysz Hatora i całe jego dziedzictwo?

— Niszczę żywioł i zaprowadzam prawo.

Zapanowała długa cisza.

— Moja sonda jest podwójna — powiedział Spadevil. — Pozwól mi podwoić twoją, a zrozumiesz moje stanowisko.

— Ty, duży, podejdź tu do mnie! — Catice zwrócił się do Maskulla. Maskull podszedł krok bliżej.

— Podążasz za Spadevilem w jego nowej wierze?

— Do samej śmierci! — wykrzyknął Maskull.

Catice podniósł kawałek krzemienia.

— Tym kamieniem — powiedział — usunę jedną z twoich dwóch sond. Mając tylko jedną, poznasz moje stanowisko i będziesz mógł sobie przypomnieć poglądy Spadevila. Wybierzesz wtedy lepszą wiarę, a ja zaakceptuję twój wybór.

— Maskull, wytrzymaj ten niewielki ból dla dobra przyszłych ludzi — powiedział Spadevil.

— Ból nie ma znaczenia — odpowiedział Maskull. — Boję się wyniku.

— Catice, pozwól mi zająć jego miejsce, chociaż jestem tylko kobietą — powiedziała Tydomin, unosząc rękę.

Catice uderzył ją gwałtownie krzemieniem, kalecząc nadgarstek aż do kciuka. Karminowa krew trysnęła w górę.

— Co sprowadza tę całuśnicę na Sant? — powiedział. — Czy ona sobie wyobraża, że może ustalać zasady dla synów Hatora?

Tydomin przygryzła wargę i cofnęła się.

— No dobrze, Maskull — powiedziała — zrób to! Ja z pewnością bym nie oszukiwała Spadevila, a ty nie wiadomo.

— Skoro on wybrał mnie, to muszę to zrobić — powiedział Maskull. — Kto wie jednak, co z tego wyniknie?

— Ze wszystkich następców Hatora — powiedział Spadevil — Catice jest najbardziej nieprzejeźdny i zasadniczy. Rozdepta moją prawdę nogami, uważając mnie za demona wysłanego przez Shapinga, aby zniszczyć ten kraj. Lecz ziarno skąpane w mojej i twojej, Tydomin, krwi ocaleje. Wówczas ludzie dowiedzą się, że moje niszczycielskie zło jest ich największym dobrem. Chociaż nikt z nas nie dożyje, żeby to zobaczyć.

Maskull podszedł całkiem blisko do Catice'a i podsunął mu swoją głowę. Catice podniósł rękę i trzymając krzemień, przymierzał się przez chwilę, po czym opuścił go umiejętnie i mocno na lewą sondę. Maskull krzyknął z bólu. Krew trysnęła strumieniem, a funkcja narządu zniknęła.

Przez chwilę Maskull kręcił się w miejscu, próbując zatamować krew.

— I co teraz czujesz, Maskull? Co widzisz? — dopytywała się z niepokojem Tydomin.

Maskull zatrzymał się i spojrzał hardo w jej kierunku.

— Teraz widzę wszystko jasno — wycedził.

— To znaczy?

Wciąż wycierał sobie krew z czoła. Wyglądał na zakłopotanego.

— Od teraz, póki żyję, będę walczył z moją naturą i odmawiał odczuwania przyjemności. A wam radzę to samo.

— Odrzucasz moje nauki? — zapytał Spadevil, spoglądając na niego surowo.

— Są fałszywe — odpowiedział Maskull zupełnie nie zmieszany tym spojrzeniem. Wyrażna, ostro zarysowana postać Spadevila przestała dla niego istnieć; marszczące brwi oblicze stało się jedynie oszukańczą tubą słabego i otumanionego intelektu.

— Czy fałszem jest poświęcanie się dla innych? — zapytała Tydomin.

— Na razie nie mogę jeszcze o tym dyskutować — powiedział Maskull. — W tej chwili świat z całą jego słodyczą wydaje mi się czymś w rodzaju kostnicy. Nienawidzę wszystkiego, łącznie ze sobą. Nic więcej nie wiem.

— I nie ma powinności? — zapytał chrapliwie Spadevil.

— Dla mnie jawi się to jedynie jako przykrywka, pod którą uczestniczymy w przyjemnościach innych ludzi.

Tydomin pociągnęła Spadevila za rękę.

— Maskull cię zdradził, tak jak wielu innych. Chodźmy stąd.

Spadevil nawet nie drgnął.

— Szybko zmieniłeś poglądy, Maskull.

Maskull nie odpowiedział, tylko zwrócił się do Catice'a:

— Czemu ludzie wciąż trzymają się tego rozlazłego, bezwstydного świata, gdzie mogą się zabijać nawzajem?

— Dla dzieci Surtura ból jest naturalnym środowiskiem. Gdzie indziej byś chciał się znaleźć?

— Dzieci Surtura? Czy Surtur to nie Shaping?

— To jest największe z kłamstw. Majstersztyk Shapinga.

— Maskull, odpowiedz! — domagał się Spadevil. — Odrzucasz słuszne postępowanie?

— Odczep się. Wracaj! Nie interesujesz mnie ani ty, ani twoje idee. Ale nie życzę ci źle.

Szybko zapadała ciemność. Znów nastała przedłużająca się cisza.

Catice odrzucił krzemień i podniósł swój kij.

— Kobieta musi wrócić do domu — powiedział. — Nie przyszła tu z własnej woli. Została do tego nakłoniąta. Natomiast ty, Spadevil, jako odstępca, musisz umrzeć!

— On nie ma siły, by nas zmusić — powiedziała cicho Tydomin. — Spadevil, pozwolisz, żeby prawda została pogrzebana?

— Prawda zginie nie dlatego, że umarłem, ale dlatego że starałem się uniknąć śmierci. Catice, akceptuję twój wyrok.

Tydomin uśmiechnęła się.

— Co do mnie — powiedziała — to jestem już zbyt zmęczona, żeby iść dzisiaj gdzieś dalej. Umrę więc razem z nim.

— Maskull, dowiedz swojej szczerości — powiedział Catice. — Zabij tego mężczyznę i jego kochanicę zgodnie z prawami Hatora.

— Nie mogę tego zrobić. Podróżowałem z nimi w przyjaźni.

— Maskull, odmawiasz wypełnienia powinności. Musisz teraz wypełniać swoje powinności — powiedział Spadevil, z wolna głaszcząc się po brodzie. — Jeżeli już akceptujesz jakieś prawo, to musisz być mu posłuszny i nie obchodzić go z tej czy z tamtej strony. Twoje prawo wymaga, żeby nas ukamienować, a zaraz robi się ciemno.

— Nawet na tyle brak ci męskości? — krzyknęła Tydomin.

Maskull ruszył się niechętnie.

— Catice, jesteś świadkiem, że zostałem do tego zmuszony.

— Hator to widzi i pochwała — odparł Catice.

Maskull podszedł do stosu kamieni leżących na brzegu sadzawki. Rozejrzał się i wybrał dwa duże odłamki skały, najcięższe jakie mógł unieść. Wziął je i podreptał z powrotem.

Rzucił je na ziemię i stanął, by odzyskać oddech. Gdy już mógł znów mówić, powiedział:

— Nie mam serca do tej roboty. Nie ma innego wyjścia? Spadevil, prześpijcie się dziś tutaj, a rano pójdziecie z powrotem, tam skąd żeście przyszli. Nikt tu wam krzywdy nie robi.

Ironicznego uśmiechu Spadevila nie było widać w ciemności.

— I co, mam znów medytować, kolejny rok, a potem wrócę na Sant z innymi prawdami? Daj spokój, nie marnuj czasu, Maskull, weź ten większy kamień dla mnie, bo jestem silniejszy niż Tydomin.

Maskull podniósł jeden z głazów i zrobił do przodu cztery pełne kroki. Spadevil stał wyprostowany naprzeciw niego i spokojnie czekał.

Wielki głaz poleciał w powietrzu. Wyglądał jak ciemny cień. Uderzył Spadevila prosto w twarz, miażdżąc ją i krusząc mu szyję. Spadevil umarł w tej samej chwili.

Tydomin odwróciła wzrok od leżącego ciała.

— Pośpiesz się, Maskull — powiedziała — niech na mnie nie czeka.

Maskull westchnął i podniósł drugi głaz. Tydomin ustawiła się przed ciałem Spadevila, ponura i chłodna.

Uderzenie trafiło ją pod brodę, powyżej piersi. Upadła. Maskull podszedł do niej, uklęknął na ziemi i objął ją ramionami, unosząc nieco. I wtedy wydała ostatnie tchnienie.

Położył ją z powrotem i oparł się ciężko na rękach, patrząc w jej martwą twarz. I chociaż przemiana heroicznej, uduchowionej twarzy w wulgarną, wykrzywioną maskę Crystalmana zaszła błyskawicznie, to zdążył to zobaczyć.

Wstał w ciemnościach i przyciągnął do siebie Catice'a.

— Jest w tym naprawdę podobieństwo do Shapinga?

— To jest Shaping odarty z iluzji

— Skąd się bierze taki straszny świat?

Catice nie odpowiedział.

— Kto to jest Surtur?

— Jutro znajdziesz się bliżej niego, ale nie tutaj.

— Za bardzo brodzę we krwi — powiedział Maskull. — Nic dobrego z tego nie wyniknie.

— Nie bój się zmian ani zniszczeń, ale śmiechu i radości.

Maskull zamyślił się.

— Powiedz mi, Catice, gdybym wybrał nauki Spadevila, to naprawdę zaakceptowałbyś jego wiarę?

— To był człowiek o wielkiej duszy — odparł Catice. — Widzę teraz, że pycha naszych ludzi jest tylko jeszcze jednym źródłem przyjemności. Jutro również opuszczę Sant, żeby przemyśleć to wszystko.

Maskullem zatrzęsło.

— Te dwie śmierci nie były więc koniecznością, lecz zbrodnią!

— Jego rola została już odegrana, a ta kobieta ze swoją łatwą miłością i lojalnością obróciłaby w przyszłości jego idee w niwecz. Niczego nie żałuj, cudzoziemcze, ale opuść natychmiast tę krainę.

— Teraz, w nocy? A gdzie mam iść?

— Do Wombflash. Tam spotkasz najtęższe umysły. Pokażę ci drogę.

Wziął Maskulla za rękę i poprowadził w ciemność. Jakąś milę, lub trochę dalej, doszli na skraj przepaści. Wiatr przenikał na wylot i zaciął w twarz piaskiem. W szczelinach między chmurami pojawiły się niewyraźnie połyskujące gwiazdy. Maskull nie mógł rozpoznać żadnych znajomych gwiazdozbiorów. Był ciekaw, czy widać stąd ziemskie słońce, a jeśli tak, to która z tych gwiazd nim jest.

Doszli do szczytu nierównych schodów prowadzących w dół po ścianie klifu. Były podobne do tych, którymi dostał się na górę, tyle że te prowadziły do lasu Wombflash.

— Musisz pójść tędy — powiedział Catice. — Ja dalej nie idę.

— Zanim się rozstaniemy — Maskull zatrzymał go — powiedz mi jeszcze, dlaczego przyjemność jawi się nam taka wstydliva?

— Bo odczuwając przyjemność, zapominamy o naszym domu.

— Czyli...

— O Muspel — odpowiedział Catice. Powiedziawszy to, uwolnił się od ręki Maskulla, odwrócił i zniknął w ciemnościach.

Maskull ruszył w dół po schodach najszybciej, jak mógł. Był wykończony, ale nie zważał na bóle. Z jego nieuszkodzonej sondy zaczęła wyciekać ropa. Schodził w dół stopień po stopniu, mając wrażenie, że ta wędrówka trwa wiecznie. W miarę jak zbliżał się do dna, szelest i szum drzew stawały się coraz głośniejsze. Wiatr przestał wiać i zrobiło się cieplej.

W końcu dotarł na sam dół. Idąc dalej, zaczął potykać się o korzenie i wpadać na pnie drzew. Po kilku takich kolizjach zdecydował się nie iść dalej tej nocy. Zgarnął trochę liści na stos i natychmiast ułożył się na nim do snu. Głęboki, ciężki sen ogarnął go w jednej chwili.

Rozdział 13

Las Wombflash

Maskull obudził się, by przeżyć swój trzeci dzień pobytu na Tormance. Bolały go kończyny. Leżał na boku, rozglądając się ogłupiały po swoim otoczeniu. W lesie było jak w nocy, ale o tej porze nocy, w której szary świt ma właśnie nadejść i przedmioty zaczyna się wyczuwać raczej niż widzieć. W zmroku majaczyły dwa czy trzy zagadkowe cienie, szerokie jak domy. Nie rozpoznał w nich drzew, dopóki nie przewrócił się na plecy i nie spojrzał do góry. Daleko nad nim, tak wysoko, że nawet nie próbował ocenić wysokości, na tle drobnych plam błękitnego nieba widać było ich oświetlone słońcem korony.

Podnoszące się z poszycia lasu mgliste opary przesłaniały mu częściowo widok. Ich bezgłośny ruch stwarzał wrażenie duchów przemykających pomiędzy drzewami. Z przesiąkniętych wodą liści poniżej spadały mu od czasu do czasu na głowę krople wilgoci.

Nie wstawał, próbując zrekonstruować sobie wydarzenia poprzedniego dnia. Umysł miał otępiały i zdeorientowany. Wydarzyło się coś strasznego, ale przez dłuższy czas nie mógł sobie przypomnieć, co. Nagle, jak widmo, stanęła mu przed oczami ostania scena o zmroku na płaskowyżu Sant – pokrwawiona i zmiażdżona twarz Spadevila i ostatnie tchnienie Tydomin. Zatrząsł się konwulsyjnie i zrobiło mu się niedobrze.

Osobliwe poglądy moralne, które kazały mu dokonać tych brutalnych morderstw, zniknęły gdzieś w ciągu nocy i miał teraz pełne rozeznanie swoich czynów. Przez cały czas poprzedniego dnia wydawał się działać pod wpływem serii ciężkich zauroczeń. Najpierw zniewoliła go Oceaxe, potem Tydomin, następnie Spadevil i na końcu Catice. Zmusili go do morderstwa i gwałtu; nie zdawał sobie z niczego sprawy i wyobrażał, że podróżuje jako wolny i światły cudzoziemiec. Czym była ta koszmarna podróż – czy to się będzie dalej w ten sposób ciągnęło?

Cisza panująca w lesie była tak intensywna, że jedyne, co słyszał, to szum krwi płynącej w jego tętnicach.

Obmacując sobie twarz, stwierdził, że pozostawiona tam sonda zniknęła i że posiada teraz troje oczu. Trzecie oko znajdowało się na czole, w miejscu, gdzie kiedyś miał *sorb*. Nie udało mu się odkryć, do czego ono służy. Wciąż miał też trzecią rękę, tyle że była bezwładna.

Przez dłuższy czas usiłował bezskutecznie przypomnieć sobie nazwę, którą na samym końcu wymienił Catice.

Wstał, zamierzając podjąć dalszą podróż. Brakowało mu toalety i nie miał nic do jedzenia. Las był ogromny. Najbliższe drzewo wydawało się mieć przynajmniej sto stóp obwodu. Inne ciemne pnie wyglądały na równie wielkie. Ale to, co nadawało scenerii wrażenie ogromu, to była rozległa przestrzeń dzieląca jedno drzewo od drugiego. Wyglądała jak jakaś gigantyczna, nadprzyrodzona hala na tamtym świecie. Najniższe gałęzie znajdowały się przynajmniej pięćdziesiąt jardów od ziemi. Nie było żadnego podszycia leśnego; ziemię pokrywała jedynie warstwa martwych, mokrych liści. Rozejrzał się, próbując ustalić kierunek, ale klify Santu, z których zszedł, były niewidoczne – każdy kierunek wyglądał jak pozostałe; nie miał pojęcia, w którą stronę ma pójść. Wystraszony, ofuknął sam siebie. Wyciągnął szyję, patrząc do góry i próbując określić kierunki kompasu na podstawie światła słonecznego, lecz to też mu się nie udało.

Gdy tak stał zaniepokojony i niezdecydowany, usłyszał bicie bębnow. Rytmiczne uderzenia dochodziły z pewnej odległości. Niewidoczny bębniarz wydawał się maszerować przez las z dala od niego.

— Surtur! — szepnął bezgłośnie. Na chwilę ogarnęło go zdziwienie, że wypowiedział to imię. Nie myślał wcale o tej tajemniczej postaci ani tym bardziej o jakimś wyraźnym związku między nią a bębnieniem.

Zaczął się zastanawiać – ale w międzyczasie dźwięk bębnow oddalił się. Automatycznie ruszył w tym samym kierunku. Bębnienie miało tę ciekawą cechę, że chociaż dziwne i tajemnicze, nie wzbudzało w nim lęku, ale wprost przeciwnie przypominało mu pewne miejsca i sposób życia doskonale mu znajomy. Jeszcze raz spowodowało, że wrażenia dostarczane przez wszystkie jego pozostałe zmysły

wydały mu się fałszywe.

Dźwięki dochodziły z przerwami. Słysząc je było przez minutę lub przez pięć minut, a potem cichły na, powiedzmy, kwadrans. Maskull kierował się nimi w miarę możliwości. Maszerował twardo pomiędzy ogromnymi, nie dającymi się odróżnić drzewami, próbując zbliżyć się do miejsca skąd dochodził dźwięk, wciąż jednak wydawało się, że dzieli go ta sama odległość. Las od tego miejsca opadał w dół. Spadek terenu był przeważnie łagodny – jedna stopa na dziesięć – ale w niektórych miejscach było bardziej stromo, a w innych zupełnie poziomo na dość dużych odcinkach. Były też wielkie bagniste moczary, w których Maskull był zmuszony brodzić. Stało mu się obojętne, jak bardzo się zamoczy, o ile tylko będzie mógł zobaczyć osobnika z bębniem. Pokonywał milę za milą i wciąż było tak samo daleko.

Mrok lasu kładł się cieniem na jego duszy. Czuł się przybity, zmęczony i wściekły. Przez jakiś czas nie było słychać bębnienia i był prawie gotów przerwać pościg.

Okrażając gigantyczny pień drzewa kolumnowego, o mało co nie wpadł na mężczyznę znajdującego się po drugiej stronie. Tamten stał, opierając się jedną ręką o pień i odpoczywał. Druga ręka spoczywała na lasce. Maskull zatrzymał się gwałtownie i zagapił na tamtego.

Mężczyzna był prawie nagi i ogromnej budowy. Przewyższał Maskulla o głowę. Jego twarz i ciało lekko fosforyzowały. Oczy – w liczbie trzech – bładozielone i błyszczące, świeciły jak lampy. Skóra była bezwłosa, tylko na głowie miał upięte wysoko jak u kobiety gęste, czarne kędziory. Jego rysy były absolutnie spokojne, ale tuż pod nimi wydawała się spoczywać straszliwa, stłumiona energia.

— To bębnienie pochodzi od ciebie? — zwrócił się do niego Maskull.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Jak się nazywasz?

Mężczyzna odpowiedział coś, co zabrzmiało dziwnie i pokrętnie. Jego imię Maskull zrozumiał jako „Dreamsinter”.

— Co to za bębnienie?

— To Surtur — odpowiedział Dreamsinter.

— Powinienem pójść za nim?

— Po co?

— Może on chce tego? Ściągnął mnie tutaj z Ziemi.

Dreamsinter przytrzymał go, pochylił się i spojrzał mu prosto w twarz.

— Nie ciebie — powiedział. — Nightspore'a.

Maskull, po raz pierwszy od przybycia na tę planetę, usłyszał wtedy imię Nightspore'a. Był tym tak zdumiony, że nie mógł wykrztusić więcej żadnego pytania.

— Zjedz to — powiedział Dreamsinter. — A potem razem pogonimy za tym dźwiękiem. — Podniósł coś z ziemi i podał Maskulłowi. Ten nie był pewien, co to jest, ale wyglądało jak twardy, okrągły orzech wielkości pięści.

— Nie mogę rozgnieść — powiedział.

Dreamsinter ścisnął orzech w dłoniach i rozkruszył na kawałki. Maskull zjadł trochę bardzo niesmacznej miazgi ze środka.

— Więc co ja tu robię, na Tormance? — zapytał.

— Przybyłeś, by wykraść „Ogień Muspelu” i obdarzyć ludzi głębszym życiem... nie zastanawiając się, czy twoja dusza będzie mogła znieść jego palący blask.

Maskull ledwo zdołał zrozumieć jego stłumione słowa.

— Muspel... Tę nazwę próbuję sobie przypomnieć od chwili, gdy się obudziłem.

Dreamsinter nagle odwrócił głowę i zdawał się czegoś nasłuchiwać. Gestem nakazał Maskulłowi być cicho.

— To bębny?

— Ciii! Idą.

Dreamsinter patrzył w las pod górę. Znów było słycać znajome bębienie – tym razem towarzyszył mu tupot nóg.

Maskull ujrzał między drzewami trzech mężczyzn maszerujących jeden za drugim w odległości jarda, lub coś koło tego, od siebie. Szybkim krokiem szli w dół wzgórza w ich kierunku, nie rozglądając się na prawo ani na lewo. Byli nadzy. Ich ciała na czarnym tle lasu świeciły bladym, nienaturalnym blaskiem – zielono i widmowo. Gdy znaleźli się na jego wysokości, jakieś dwadzieścia stóp dalej, Maskull rozpoznał ich. Na przedzie szedł on sam – Maskull. Drugi był Krag. A trzeci – Nightspore. Twarze mieli srogie i zastygłe.

Źródło dźwięku było niewidoczne. Bębienie wydawało się wydobywać z jakiegoś punktu przed nimi. Maskull i Dreamsinter ruszyli chcąc dotrzymać kroku szybko poruszającym się piechurom. W tej samej chwili rozległa się cicha muzyka.

Jego rytm współgrał z biciem bębnow, tyle że w przeciwieństwie do tych ostatnich, wydawał się nie być związany z żadnym szczególnym kierunkiem w lesie. Przypominało to urojoną muzykę słyszaną w snach, towarzyszącą śniącemu wszędzie, jako coś w rodzaju naturalnej atmosfery zabarwiającej emocjonalnie wszystkie jego wrażenia. Muzyka wydawała się pochodzić od jakiejś nieziemskiej orkiestry i była mocno niepokojąca, patetyczna i tragiczna. Maskull szedł i słuchał, a w miarę jak się w nią wsłuchiwał, stawała się coraz głośniejsza i bardziej burzliwa. Bicie bębnow przenikało wszystkie inne dźwięki, jak cichy rytm rzeczywistości.

Jego emocje pogłębiły się. Nie był stanie określić, czy minęły minuty czy godziny. Widmowa procesja wciąż maszerowała – nieco w przodzie – ścieżką równoległą do tej, którą szedł on i Dreamsinter. Muzyka pulsowała gwałtownie. Krag podniósł rękę i pokazał długi morderczo wyglądający nóż. Rzucił się do przodu i unosząc go nad plecami widmowego Maskulla, dźgnął dwa razy, zostawiając w ranie za drugim razem. Maskull wyrzucił ręce do góry i upadł martwy. Krag skoczył w las i zniknął. Nightspore szedł dalej samotnie, srogie i nieporuszony.

Muzyka zabrzmiała crescendo. Ryknął cały zamglony, gigantyczny las. Dźwięki dochodziły ze wszystkich stron – również z góry i z ziemi pod nogami. Były w tym tak ogromne emocje, że Maskull poczuł, jak dusza obrusza mu się w cielesnym opakowaniu.

Wciąż szedł za Nightsporem. Przed nimi pojawiła się dziwna jasność. Nie było to światło dzienne, lecz jakieś promieniowanie, którego nigdy wcześniej nie widział i nie mógłby nawet sobie wyobrazić. Nightspore szedł prosto w tamtym kierunku. Maskull poczuł, że rozsadza mu klatkę piersiową. Światło rozbłysło wyżej. Straszliwe frazy muzyki następowały ostro jedna za drugą, jak fale dzikiego, magicznego oceanu... Jego ciało nie było w stanie znieść takiego szoku i nagle stracił przytomność, padając jak martwy.

Rozdział 14

Polecrab

Dzień przemijał powoli. Maskull szarpnął się konwulsyjnie kilka razy, po czym otworzył oczy. Usiadł, mrugając. Las wyglądał sennie i cicho. Dziwne światło zgasło, muzyka ucichła. Dreamsinter zniknął. Maskull pogłaskał się po brodzie posklejanej krwią Tydomin i głęboko się zamyślił.

Według Panawe i Catice'a w tym lesie byli jacyś mędrcy. Być może jednym z nich był Dreamsinter. Być może ta wizja, którą właśnie miał, była przejawem ich mądrości. To było prawie jak odpowiedź na jego pytanie. Nie powinien był pytać o siebie, lecz o Surtura. Otrzymałby inną odpowiedź. Czegoś by się dowiedział. Może by go zobaczył.

Przez jakiś czas siedział cicho i apatycznie.

Nie mogłem znieść tego okropnego blasku – rozpamiętywał. Rozsadzał moje ciało. Był również ostrzeżeniem. Tak więc Surtur rzeczywiście istnieje i moja podróż ma jakiś sens. Dlaczego jednak jestem tutaj? I co mogę zrobić? Kim jest Surtur? Gdzie go szukać?

W jego oczach pojawiło się coś dzikiego.

Co ten Dreamsinter miał na myśli, mówiąc: „Nie ty, Nightspore?” – zastanawiał się. Ja jestem postacią drugoplanową? On jest ważny, a ja nie? Gdzie jest Nightspore? Co robi? Mam czekać, aż mu się coś zachce? Niczego nie mogę sam rozpocząć?

Wciąż siedział, wyciągnawszy nogi.

Powinienem zdawać sobie sprawę z tego, że ta podróż jest dziwna i czekają mnie tutaj najdziwniejsze rzeczy. Nie ma sensu niczego planować, bo nie da się niczego przewidzieć – wszystko jest tajemnicą. Jedno jest oczywiste: jedynie najdziksza zuchwałość pozwoli mi przez to przejść, a wszystko inne powinienem w tym celu poświęcić. A zatem, jeśli Surtur znów się pokaże, pójdę mu na spotkanie, nawet jeśli to oznacza śmierć.

Mroczne, ciche przestrzenie lasu znów wypełniły się odgłosem bębnow. Dźwięki były bardzo odległe i bardzo słabe. Brzmiały jak ostatni pomruk pioruna po ciężkiej burzy. Maskull słuchał, nie wstając. Bębny słychać było coraz słabiej, po czym całkowicie zamilkły.

Uśmiechnął się krzywo i głośno powiedział:

— Dzięki ci, Surtur! Uznaję to za omen.

Gdy miał już wstawać, zobaczył, że pomarszczona skóra jego trzeciej ręki kołysze się kłopotliwie przy każdym ruchu ciała. Porobił paznokciami otwory dookoła niej, jak najbliższej klatki piersiowej, po czym ostrożnie ją ukręcił. Był przekonany, że w tym świecie szybkiego wzrostu i zaniku kikut wkrótce zniknie. Potem wstał i wpatrzył się w ciemność.

Las w tym miejscu opadał dość stromo, więc nie myśląc wiele, obrał kierunek w dół zbocza, nie wątpiąc, że dokądś go to zaprowadzi. Gdy tylko ruszył, poczuł się ponury i przygnębiony – był wstrząśnięty, zmęczony, brudny i osłabiony z głodu. Zdał sobie sprawę, że nie będzie to najkrótszy spacer. Bez względu na wszystko obiecał sobie, że nie usiądzie już więcej, dopóki cały ten posepny las nie zostanie z tyłu.

Szedł, mijając jedno za drugim cieniste, podobne domom drzewa. Daleko przed sobą wciąż widział jaśniejącą niewielką łatę nieba. Gdyby nie to, nie miałby pojęcia, jaka jest pora dnia. Kontynuował swoją wędrówkę w dół stoku, pokonując wiele podmokłych, śliskich mil – czasami wręcz bagien. Kiedy w końcu zmrok wydał mu się jaśnieć, zrozumiał, że otwarty teren jest już niedaleko. Las stał się bardziej szary i namacalny; widział teraz lepiej jego majestat. Pnie drzew były jak okrągłe wieże, a odstępy między nimi takie, że przypominały naturalne amfiteatry. Nie był w stanie określić koloru kory. Wszystko, co widział, zdumiewało go, lecz jego podziw był raczej czymś w rodzaju skąpego pomrukiwania. Różnica oświetlenia między lasem z tyłu i z przodu stała się tak znacząca, że nie miał już wątpliwości, iż jest na skraju.

Przed sobą zobaczył prawdziwe światło; oglądając się do tyłu, spostrzegł, że ma cień. Pnie drzew nabrały czerwonego koloru. Przyspieszył kroku. Po kilku minutach jasna łąka przed nim stała się świetlista i żywa. Była w odcieniu błękitu. Wydało mu się także, że słyszy huk przyboju.

Cały las wokół niego nabierał żywych kolorów. Pnie drzew miały kolor głębokiej, ciemnej czerwieni; liście, wysoko nad głową, były *ulfirowawe*, a te co opadły na ziemię były w kolorze, którego nie potrafił nazwać. Wtedy właśnie odkrył do czego służy trzecie oko. Dodając do wzroku trzecie ujęcie, widział wszystkie obiekty bardziej przestrzennie. Świat był mniej płaski – bardziej realistyczny i wyrazisty. Otoczenie stało się bardziej atrakcyjne, a on wydawał się jakoś tracić swój egotyzm, by stać się wolny i życzliwy.

Teraz za ostatnimi drzewami ujrzał pełne światło dnia. Od granicy lasu dzieliło go mniej niż pół mili. Nie mogąc się doczekać tego, co jest dalej, rzucił się do biegu. Hałas przyboju stawał się coraz głośniejszy. Był to dziwny syczący dźwięk, który mógł pochodzić jedynie od wody, chociaż nie przypominał szumu morza. Wkrótce w zasięgu jego wzroku pojawił się bezkresny obszar roztańczonych fal, który, jak sądził, był Morzem Topielnym. Przeszedł w szybki marsz, wciąż mocno się wpatrując. Wiatr wiejący z przeciwka był gorący, świeży i słodki.

Gdy dotarł do skraju lasu przechodzącego płasko w szeroki pas piasku wybrzeża, oparł się plecami o wielkie drzewo i stojąc bez ruchu, napawał się tym, co leżało przed nim. Piaski ciągnęły się w prostej linii na wschód i na zachód przerywane jedynie gdzieś tam strumieniami. Ich kolor był jaskrawo pomarańczowy z łętami fioletu. Las zdawał się stać na straży wybrzeża na całej jego długości. Poza tym było jedynie niebo i morze – nigdy nie widział tyle wody. Półokrąg horyzontu był tak szeroki, że można by wyobrazić sobie, że jest to płaski świat, gdzie zasięg wzroku jest ograniczony jedynie jego siłą. Morze nie przypominało żadnego morza ziemskiego. Wyglądało jak ogromny ciekły opal. Na tle wspaniałej, głębokoszmaragdowej zieleni pojawiały się wszędzie i znikwały czerwone, żółte i błękitne odbłaski. Ruch fal był niezwykle. Ich wierzchołki rosły powoli, dopóki nie osiągnęły wysokości dziesięciu czy dwudziestu stóp, po czym gwałtownie zapadały się do dołu i na boki, tworząc podczas rozpadu serie koncentrycznych kręgów rozchodzących się daleko dookoła. Jak rzeki w morzu widać było szybko poruszające się prądy rozbiegające się od ładu; odznaczały się ciemniejszą zielenią i brakiem rozbryzgów. Tam gdzie morze dotykało ładu, fale wybiegały daleko na piasek z niemal złowieszczą szybkością, czemu towarzyszył niesamowity, syczący odgłos jakby spluwania. Zielone języki wody toczyły się bez piany.

Na wprost niego, w odległości, jak sądził, dwudziestu mil wystawała z morza niska, długa wyspa – czarna i nierozpoznawalnego kształtu. Wyspa Swaylone'a. Maskull był nią mniej zainteresowany niż poświatą zachodzącego za nią niebieskiego słońca. Alppain zaszedł, ale wciąż całe północne niebo było w tonacji minorowej – skąpane w jego blasku. Branchspell, w zenicie, był biały i obezwładniający. Dzień był bezchmurny i straszliwie gorący, ale tam, gdzie zaszło błękitne słońce, świat wydawał się być przesłonięty ponurym cieniem. Maskull miał poczucie jakiegoś rozpadu – jakby na komórki jego ciała działały jednocześnie dwie oddzielne, aktywne chemiczne siły. Ponieważ w ten sposób działała na niego poświata Alppaina, pomyślał sobie, że najprawdopodobniej nigdy nie będzie mógł stanąć twarzą do tego słońca i przeżyć. Wciąż jednak mogły mu się przydarzyć jakieś modyfikacje, które to umożliwią.

Morze kusiło. Zdecydował się na kąpiel i ruszył od razu w stronę brzegu. Gdy tylko wyszedł z cienia leśnych drzew, osłepiające promienie słońca uderzyły z taką dziką siłą, że przez kilka minut czuł mdłości i kręciło mu się w głowie. Szybko przeszedł po piasku. Łachy zabarwione na pomarańczowo wydały mu się gorące niemal jak jedzenie z grilla, te fioletowe natomiast były jak żywy ogień. Wszedł na taką łacę nie zdając sobie z tego sprawy i natychmiast wyskoczył w górę wrzeszcząc zaskoczony.

Morze było zmysłowo ciepłe. Nie utrzymywało go na powierzchni, postanowił więc popływać. Przede wszystkim zdjął ubranie, wyprał dokładnie wodą i piaskiem, po czym położył na słońcu, aby wyschło. Następnie sam się wyszorował, najdokładniej jak się dało, oraz umył włosy i brodę. Potem wszedł do wody dość daleko, aż sięgnęła mu do piersi i popłynął, unikając rozbryzgów jak tylko to było możliwe. Nie znalazł w tym żadnej przyjemności. Woda nie wszędzie miała tę samą gęstość. W niektórych miejscach mógł płynąć, w innych ledwo mu się udawało nie utonąć, w jeszcze innych nie mógł się wcale zanurzyć poniżej powierzchni. Nie było żadnych zewnętrznych znaków pozwalających rozpoznać jaką woda znajduje się przed nim. Cała sprawa wydawała się być bardzo niebezpieczna.

Wyszedł z wody, czując się czysty i orzeźwiony. Przez jakiś czas chodził po piasku tu i tam, susząc się w gorącym słońcu i rozglądając. Był nagim cudzoziemcem w wielkim, obcym, tajemniczym świecie i w którą stronę by się nie obrócił, raziły w niego nieznane i niebezpieczne siły. Ogromny, biały i parzący

Branchspell, straszliwy, przemieniający Alppain, piękne, śmiertelne, zdradzieckie morze, mroczna i baśniowa Wyspa Swaylone'a, pozbawiający ducha las, z którego właśnie się wydostał – w jaki sposób mógł się przeciwstawić tym wszystkim potężnym siłom, by uniknąć całkowitego unicestwienia – on, słaby, nieświadomy podróżnik z małej planety po drugiej stronie kosmosu?... Uśmiechnął się do siebie. Jestem tu już od dwóch dni, pomyślał, i wciąż żyję. Mam szczęście – a z tym można się przeciwstawić całemu wszechświatowi. Tylko co to jest szczęście – jakieś słowne wyrażenie czy może coś rzeczywistego?

Gdy wkładał swoją skórę, która zdążyła już wyschnąć, w jego głowie pojawiła się odpowiedź. Surtur mnie tu sprowadził, pomyślał tym razem poważnie, i to Surtur mnie strzeże. To jest moim szczęściem... Tylko kim jest Surtur w tym świecie? W jaki sposób jest w stanie chronić mnie przed ślepyimi i niesfornymi siłami przyrody? Jest silniejszy niż Natura?

Dręczył go głód, ale jeszcze bardziej był spragniony kontaktu z ludźmi, chcąc ich wypytać o te wszystkie sprawy. Zastanowił się, gdzie teraz powinien się skierować. Miał tylko dwie drogi do wyboru – na wschód lub na zachód – wzdłuż brzegu. Najbliższy strumień płynął na wschód od niego, przecinając piasek jakąś milę dalej. Poszedł w tamtym kierunku.

Niegościnna ściana lasu wznosiła się niezwykle wysoko. Była tak zdecydowanie skierowana ku morzu, że sprawiało to wrażenie celowej konstrukcji. Maskull poszedł wzdłuż niej, w cieniu drzew. Strumień, gdy do niego dotarł, okazał się być szeroki i z płaskimi brzegami. Nie był rzeką, ale głęboką zatoką. Jej spokojne, ciemnozielone wody tworzyły zakole i znikwały w lesie za zakrętem. Drzewa po obu stronach przewieszały się nad wodą, zacinając ją całkowicie.

Poszedł do zakrętu, za którym ukazało się następne zakole. Na wąskiej półce brzegu z nogami w wodzie siedział mężczyzna. Ubrany był w siermiężny, kiepsko uszyty strój, okrywający jedynie tułów. Był niski, gruby i silny, miał krótkie nogi i długie, silne ręce zakończone niezwykle dużymi dłońmi. Był już nie pierwszej młodości. Jego twarz, otwarta, płaska i bez wyrazu była pomarszczona i orzechowa w kolorze. Zarówno twarz, jak i głowa były łyse, a skóra twarda, skórzasta. Wydawał się być jakiegoś rodzaju wieśniakiem lub rybakiem; na jego twarzy nie było widać śladu troskliwości czy delikatności uczuć. Miał troje oczu w różnych kolorach – nefrytowej zieleni, niebieskie i *ulfire*.

Na wodzie przed nim unosiła się przycumowana do brzegu prymitywna tratwa wykonana z gałęzi drzew powiązanych niezgrabnie linami.

— Czy jesteś jeszcze jednym z mędrców Lasu Wombflash? — zwrócił się do niego Maskull.

— Jestem rybakiem — odpowiedział tamten gburowatym, ochryłym głosem, spoglądając w górę.
— Nic nie wiem o żadnych mądrościach.

— Jak cię nazywają?

— Polecrab. A ciebie?

— Maskull. Jeśli jesteś rybakiem, to musisz mieć ryby. Zgłodniałem.

Polecrab chrząknął i milczał jakąś minutę.

— Jest dość ryb — odpowiedział. — Mój obiad gotuje się właśnie w piachu. Bez problemu dołożysz jeszcze trochę.

— Długo to zajmie? — zapytał Maskull. Bardzo mu się spodobało to, co tamten powiedział.

Mężczyzna złożył razem dłonie i wydał przenikliwy, drżący pisk. Wyjął nogi z wody i wdrapał się na brzeg. Po minucie lub dwóch dziwne małe stworzenie wyczołgało mu się do nóg, unosząc do góry pysk i spoglądając z uczuciem, jak pies. Było jakieś dwie stopy długie i w pewien sposób przypominało małą fokę, tyle że miało sześć nóg zakończonych silnymi pazurami.

— Arg, bierz rybe! — polecił chrapliwie Polecrab.

Zwierzę natychmiast zeskoczyło do wody. Popłynęło wdzięcznie na środek zatoki, obróciło się i dało nurka, pozostając pod wodą przez dłuższą chwilę.

— Prosty połów — zauważył Maskull. — A po co tratwa?

— Żeby wypływać na morze. Najlepsze ryby są w morzu. Te tutaj są zaledwie jadalne.

— Ten arg wydaje się być wysoce inteligentnym stworzeniem.

Polecrab znów chrząknął.

— Wytresowałem ich prawie setkę — powiedział. — Wielkogłowe są najbardziej pojętne, ale wolno pływają. Wąskogłowe pływają jak węgorze, ale nie można ich niczego nauczyć. Ostatnio zacząłem je krzyżować, ten jest jednym z nich.

— Mieszkasz tu sam?

— Nie. Z żoną i trzema synami. Moja żona gdzieś tu śpi, a chłopcy... Shaping wie.

W obecności tej nieskomplikowanej istoty Maskull poczuł się jak w domu.

— Ta tratwa jest całkiem wariacka — zauważył, przyglądając się. — Musisz mieć więcej ikry niż ja, jeśli wypływasz na tym daleko w morze.

— Byłem na niej w Matterplay — powiedział Polecrab.

Arg wynurzył się i popłynął do brzegu, ale tym razem dość niezgrabnie, gdyż pod powierzchnią wody ciągnął duży ciężar. Gdy wylądował u stóp swego pana, zobaczyli, że w każdej łapie trzyma pazurami rybę – razem sześć sztuk. Polecrab wziął je od zwierzęcia, podniósł ostro zakończony kamień, obciął nim rybie głowy i ogony, rzucił argowi, a ten pożarł je natychmiast, nie grymasząc.

Polecrab skinął, by iść za nim i niosąc ryby, pomaszerował ku plaży, tą samą drogą, którą przyszedł Maskull. Gdy tam doszli, pokroił ryby i usunął wnętrzności, po czym wykopał w fioletowym piasku płytki dołek, w którym umieścił i zakopał tuszki. Potem odkopał własny obiad. Nozdrza Maskulla zadrgały pod wpływem smakowitego zapachu, ale to jeszcze nie było przeznaczone dla niego.

Polecrab, trzymając w dłoniach pieczone ryby, odwrócił się i poszedł z powrotem.

— To jest dla mnie, nie dla ciebie — powiedział, odchodząc. — Kiedy twoje będą gotowe, możesz przyjść i przyłączyć się do mnie... o ile potrzebujesz towarzystwa.

— Długo to potrwa?

— Około dwudziestu minut — odpowiedział rybak przez ramię.

Maskull schronił się cieniu lasu i czekał. Kiedy upłynął przybliżony czas, odkopał jedzenie, a chociaż jedynie powierzchnia piasku była tak intensywnie gorąca, poparzył sobie palce podczas tej operacji. A potem wrócił do Polecraba.

W ciepłym, spokojnym powietrzu, w rozkosznym cieniu skrywającym zatokę, zjedli w milczeniu, patrząc to na jedzenie, to na płynącą leniwie wodę. Z każdym kęsem Maskull czuł powracające siły. Skończył wcześniej niż Polecrab, który jadł jak człowiek, dla którego czas nie ma znaczenia.

— Chodź, napijemy się — zaproponował ochryplym głosem Polecrab, wstając po jedzeniu.

Maskull spojrzał na niego zaintrygowany. Mężczyzna zaprowadził go niezbyt daleko do lasu i podszedł do jakiegoś drzewa. Na wygodnej wysokości w pniu znajdowała się dziura zatkana kołkiem. Polecrab wyciągnął kołek i przyłożył usta do otworu, ssąc przez dłuższy czas jak dziecko z piersi matki. Przyglądając się temu, Maskull odniósł wrażenie, że oczy tamtego błyszczą coraz mocniej.

Kiedy nadeszła jego kolej, stwierdził, że sok drzewa smakiem przypomina nieco mleko kokosowe i jest napojem wysokowym. Było to upojenie całkiem nowego rodzaju, gdyż ani jego wola, ani emocje nie zostały pobudzone, a jedynie intelekt – i do tego tylko w pewien określony sposób. Jego myśli i wyobrażenia nie zostały uwolnione ani poluzowane, ale wprost przeciwnie, boleśnie zmobilizowane i pobudzone aż do osiągnięcia pełni piękna *aperu*, które rozpało jego świadomość, błysnęło i znikło. Zaraz potem cały proces rozpoczął się od nowa. Nie było w tym jednak chwili, w której nie byłby absolutnie chłodny i panujący nad swoimi zmysłami. Kiedy obaj napili się dwukrotnie, Polecrab zatkał otwór i powrócili na brzeg.

— Czy to już *blodsombre*? — zapytał Maskull, rozciągając się z zadowoleniem na ziemi.

Polecrab siadł w tej samej wyprostowanej pozycji co przedtem, zanurzając nogi w wodzie.

— Właśnie się zaczyna — odpowiedział chrypliwie.

— Muszę więc tu poczekać... Może porozmawiamy?

— Czemu nie — odpowiedział tamten bez entuzjazmu.

Maskull spojrzał na niego przez przymknięte powieki, zastanawiając się, czy Polecrab jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje. Wydało mu się, że widzi w jego oczach błysk wysokiej inteligencji.

— Dużo podróżowałeś, Polecrab? — zapytał.

— Nie w sposób, który ty nazwałbyś podróżowaniem.

— Mówiłeś, że byłeś w Matterplay. Co to za kraina?

— Nie wiem. Byłem tam tylko po krzemień.

— A za Matterplay, co tam jest dalej?

— Dalej na północ leży Threal. Mówią, że to kraina mistyczna... nie wiem.

— Mistyczna?

— Tak mi powiedziano... Jeszcze dalej na północ jest Lichstorm.

— Zbaczasz z tematu.

— Tam są góry... w sumie musi to być niebezpieczne miejsce, zwłaszcza dla pełnokrwistych ludzi, takich jak ty. Uważaj na siebie.

— To raczej przedwczesne, Polecrab. Skąd wiesz, że tam pójde?

— Skoro przybyłeś z południa, to przypuszczam, że pójdziesz na północ.

— No cóż, chyba masz rację — powiedział Maskull, wpatrując się w niego. — Tylko skąd wiesz, że przyszedłem z południa?

— Nie wiem, może nie przyszedłeś... Ale jest wokół ciebie jakaś aura Ifdawn.

— Jaka aura?

— Taka tragiczna — powiedział Polecrab. Przez cały czas bez mrugnięcia okiem wpatrywał się w to samo miejsce na wodzie i nawet nie spojrzał na Maskulla.

— A co leży za Lichstormem? — zapytał Maskull po jakiejś minucie czy dwóch.

— Barey. Tam są już dwa słońca zamiast jednego. Ale to jedyne, co wiem na ten temat... Jeszcze dalej jest ocean.

— A po drugiej stronie oceanu?

— To już musisz sprawdzić sam, bo wątpię czy ktokolwiek powrócił, z tych co tam kiedykolwiek dotarli.

Maskull milczał przez krótką chwilę.

— Jak to się dzieje, że wasi ludzie są tacy zasiedziali? Mam wrażenie, że tylko ja podróżuję z ciekawości.

— Co masz na myśli, mówiąc: wasi ludzie?

— Prawda, Polecrab, ty nie wiesz, że ja nie jestem wcale z waszej planety. Przybyłem z innego świata.

— I czego tu szukasz?

— Przybyłem z Kragiem i Nightsporem na wezwanie Surtura. Musiałem zemdleć w chwili przybycia. Gdy się ocknąłem, była noc, a tamci zniknęli. Od tej pory podróżuję, gdzie nogi poniosą.

Polecrab podrapał się po nosie.

— I wciąż nie znalazłeś Surtura?

— Słyszę często jego bębny. Rano, w lesie byłem całkiem blisko niego. A dwa dni temu na Równinie Żłudeń miałem wizję istoty wyglądającej jak człowiek i nazywającej siebie Surturem.

— Kto wie, może to i był Surtur.

— Nie, to niemożliwe — odpowiedział, zastanawiając się, Maskull. — To był Crystalman. I to nie jest kwestia mojej podejrzliwości, ja to wiem.

— Skąd?

— Bo to jest świat Crystalmana, a świat Surtura jest czymś zupełnie innym.

— No tak, to dziwne — powiedział Polecrab.

— Od czasu jak wyszedłem z lasu — ciągnął Maskull na wpół do siebie — zmieniłem się i teraz widzę rzeczy inaczej. Wszystkie rzeczy tutaj wyglądają w moich oczach na tyle solidniej i realniej niż w innych miejscach, że nie mogę mieć żadnej wątpliwości co do ich istnienia. Ten świat nie tylko wygląda na prawdziwy, ale jest prawdziwy... dałbym za to głowę. A przy tym będąc prawdziwym, jest nieprawdziwy.

— Jak we śnie?

— Nie. Wcale nie jak we śnie. To właśnie chciałbym wyjaśnić. Wasz świat – a może, zresztą, również i mój – w żaden sposób nie sugeruje, że to jest sen lub złudzenie czy cokolwiek innego w tym rodzaju. Wiem, że naprawdę tu jest w tej chwili i że jest dokładnie taki, jakim go widzimy – ty i ja. A przecież jest nieprawdziwy. Jest nieprawdziwy, Polecrab, w tym sensie, że obok niego istnieje inny świat i ten inny świat jest tym prawdziwym, a ten jest całkiem nieprawdziwy i sfalszowany do cna. I z tego wynika dla mnie, że rzeczywistość i nierzeczywistość to dwa słowa na określenie tego samego.

— Być może jest taki inny świat — powiedział zachrypłym głosem Polecrab. — A ten inny świat również wydawał ci się rzeczywisty i nierzeczywisty?

— Bardzo rzeczywisty, ale nie nierzeczywisty i dlatego nic z tego nie rozumiem. Skoro jednak był on rzeczywisty, to nie mógł należeć do Surtura, bo on nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

— A dźwięki tych bębnow nie wydawały ci się rzeczywiste?

— Słyszałem je na własne uszy, więc dla mnie były rzeczywiste. Niemniej w jakiś sposób były inne i z pewnością pochodziły od Surtura. Jeśli coś źle usłyszałem, to moja wina, a nie jego.

Polecrab mruknął coś niezrozumiale, po czym powiedział:

— Jeśli Surtur wybiera taki sposób zwracania się do ciebie, to chyba próbuje ci dać coś do zrozumienia.

— Też mi się tak wydaje. A ty, Polecrab, co o tym myślisz? Powołuje mnie do życia po śmierci?

Starzec zakreślił się niespokojnie.

— Ja jestem rybakiem — powiedział po dłuższej chwili. — Żyję z zabijania, tak jak każdy. To życie wydaje mi się samym złem. Może wszelkie życie jest złem, a świat Surtura wcale nie jest światem żywych, ale czymś innym.

— Tak, ale czy śmierć zaprowadzi mnie do niego, czymkolwiek by on nie był?

— Pytaj umarłych — powiedział Polecrab — a nie żywego człowieka.

— W lesie — ciągnął Maskull — słyszałem muzykę i widziałem światło, które mogło nie należeć do tego świata. Okazały się zbyt mocne dla moich zmysłów i chyba zemdlałem na dłuższy czas. Miałem również wizję, w której zobaczyłem, jak zostaję zabity, podczas gdy Nightspore kroczy samotnie ku światłu.

Polecrab chrząknął po swoim.

— Masz sporo do przemyślenia — powiedział.

Nastąpiła chwila ciszy, którą przerwał Maskull.

— Wrażenie nieprawdy w tym obecnym życiu jest u mnie tak silne, że może doprowadzić mnie do samobójstwa.

Polecrab milczał, pozostając bez ruchu. Maskull położył się na brzuchu i oparłszy twarz na rękach, przyglądał się rybakowi.

— Jak sądzisz, Polecrab — zapytał — znajdzie się jakiś człowiek, wciąż żywy, który miałby bliższy wgląd do tego innego świata ode mnie?

— Jestem człowiekiem nieuczonym, cudzoziemcem, więc ci tego nie mogę powiedzieć. Pewnie jest wielu takich jak ty, którzy się tą wiedzą cieszą.

— Gdzie oni są? Chciałbym się z nimi spotkać.

— Myślisz, że jesteś zrobiony z czegoś innego niż reszta ludzkości?

— Aż taki zarozumiały nie jestem. Pewnie wszyscy ludzie dążą do Muspelu – w większości przypadków nieświadomie.

— I w złym kierunku — dodał Polecrab.

— Jak to? — Maskull spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— To nie jest moja wiedza — zastrzegł Polecrab — bo takiej nie posiadam. Ale właśnie przypomniało mi się, co powiedział mi raz Broodviol, gdy jeszcze byłem młody, a on był już starcem. Powiedział, że Crystalman stara się przemienić wszystkie rzeczy w jedność i że jakąkolwiek drogą, chcąc mu umknąć, jego formy by nie podążały i tak prędzej czy później znajdują się twarzą w twarz z Crystalmanem i zostają przemienione w nowe kryształy. Ten marsz form (my nazywamy to „różnicowaniem”) ma źródło w nieświadomym pragnieniu, żeby znaleźć Surtura, co jest kierunkiem przeciwnym do prawidłowego. Bo świat Surtura nie leży po tej stronie jedności, która jest początkiem życia, ale po przeciwnej i żeby się tam dostać musimy przejść przez jedność. A to można zrobić jedynie wyrzekając się naszej indywidualności i jednocząc się z całym światem Crystalmana. I gdy to zostanie dokonane, zakończy się jedynie pierwszy etap podróży; chociaż wielu porządnym ludzi wyobraża sobie, że jest to cała podróż... O ile pamiętam, Broodviol tak to właśnie powiedział, ale może będąc młodym i nieuczonym człowiekiem, opuściłem jakieś jego słowa, które mogłyby wyjaśnić sens tego lepiej.

Maskull, który wysłuchiwał tego wszystkiego z uwagą, zamyślił się.

— To jest wystarczająco jasne — powiedział — ale co on rozumiał przez połączenie się ze światem Crystalmana? Jeśli ten świat jest nierzeczywisty, mamy stać się również nierzeczywiści?

— Nie pytałem go o to, więc masz równie dobre kwalifikacje jak ja, by na to odpowiedzieć.

— Musiał rozumieć to w ten sposób, że każdy z nas żyje w nierzeczywistym, własnym, osobistym świecie, świecie snów, pragnień i przekłamanym obserwacji. Akceptując wielki świat z pewnością nie tracimy niczego z prawdy i rzeczywistości.

Polecrab wyciągnął nogi z wody, wstał, ziewnął i przeciągnął się.

— Powiedziałem ci wszystko, co wiem — rzekł stanowczo. — Pozwól mi się teraz przespać.

Maskull wciąż wpatrywał się w niego, ale nic nie powiedział. Starzec położył się sztywno na ziemi i zaczął przygotowywać do snu. Wciąż się układał według swoich upodobań, gdy z tyłu usłyszeli kroki dochodzące od strony lasu. Maskull obejrzał się i zobaczył zbliżającą się kobietę. Domyślił się od razu, że jest to żona Polecraba. Usiadł, natomiast rybak nawet się nie poruszył. Kobieta podeszła i stanęła przed nimi, spoglądając w dół ze sporej, jak się okazało, wysokości.

Jej ubranie było podobne do tego, w co ubrany był jej mąż, tyle że kończyny miała bardziej zakryte. Była młoda, wysoka, szczupła i uderzająco postawna. Skórę miała lekko opaloną i wyglądała na silną, ale wcale nie jak chłopka. W całej jej postaci widać było wyrafinowanie. Piękna nie była – jak na kobietę jej twarz była zbyt wyrazista. Potrójne oczy promieniały blaskiem. Ciężka masa pięknych, złotych włosów, zwinięta i spięta była tak niedbale, że całe pasma zwisały jej na plecach.

Jej głos – gdy się odezwała – był raczej słaby, ale pełen światła i cieni oraz jakiejś głębokiej namiętności wydającej się nigdy jej nie opuszczać.

— Upraszam o wybaczenie, że słuchałam waszej rozmowy — powiedziała zwracając się do Maskulla. — Odpoczywałam wśród drzew i słyszałam wszystko.

— Jesteś żoną Polecraba? — Maskull wstał powoli.

— Jest moją żoną — powiedział Polecrab. — Na imię ma Gleameil. Siądź z powrotem cudzoziemcze. Ty, żono, również, skoro już tu jesteś.

Oboje posłuchali.

— Słyszałam wszystko — powtórzyła Gleameil. — Ale nie słyszałam, Maskull, gdzie się udasz, gdy nas opuścisz.

— Wiem o tym nie więcej niż ty.

— To posłuchaj. Jest tylko jedno miejsce, gdzie możesz pójść – Wyspa Swaylone'a. Przeprowadzę cię

tam osobiście, zanim słońce zajdzie.

— I co tam znajdę?

— On może tam popłynąć — wtrącił chrapliwie starzec — ale tobie nie pozwolę. Sam go tam zabiorę.

— Nie! Zawsze mnie powstrzymujesz — powiedziała Gleameil nieco nerwowo. — Tym razem postanowiłam popłynąć. W nocy, gdy świeci Teargeld, a ja siedzę tutaj na brzegu, słuchając dochodzącej słabo przez morze muzyki Earthrida, czuję się jak na torturach... Nie mogę znieść tego... Tęsknię za tym od czasu, gdy postanowiłam dostać się na wyspę i sprawdzić, co to za muzyka. Jeśli jest zła, jeśli zabije mnie... Trudno.

— Gleameil, co ja mam zrobić z tym człowiekiem i jego muzyką? — zapytał Maskull.

— Myślę, że muzyka odpowie na wszystkie twoje pytania lepiej niż Polecrab i pewnie w sposób dla ciebie zaskakujący.

— Co to za muzyka, która może przebyć tyle mil na drugą stronę morza?

— To szczególny rodzaj muzyki; tak nam powiedziano. Nie jest przyjemna, lecz bolesna. A człowiek, który by potrafił zagrać na instrumencie Earthrida, mógłby wyczarować najbardziej zdumiewające ciała, które nie byłyby złudzeniem, ale rzeczywiste.

— Może i tak — warknął Polecrab. — Ja byłem na tej wyspie w dzień i co tam znalazłem? Kości ludzkie, nowe i stare. Ofiary Earthrida. Żono, ty tam nie popłyniesz.

— I ta muzyka będzie tej nocy? — zapytał Maskull.

— Tak — odpowiedziała Gleameil, przypatrując mu się uważnie. — Gdy wszędzie Teargeld, nasz księżyc.

— Jeśli Earthrid przygrywa ludziom do śmierci, to wydaje mi się, że on też zasługuje na śmierć. Tak czy owak chciałbym usłyszeć te dźwięki na własne uszy. Natomiast co do tego, Gleameil, żebyś to ty zabrała mnie tam, to kobiety zbyt łatwo umierają na Tormance. Dopiero co zmyłem z siebie krew innej kobiety.

Gleameil roześmiała się, ale nic nie powiedziała.

— Prześpij się teraz — powiedział Polecrab. — Przeprowadzę cię tam, gdy nadejdzie pora.

Po czym położył się i zamknął oczy. Maskull poszedł za jego przykładem, natomiast Gleameil wciąż siedziała wyprostowana z podwiniętymi nogami.

— Maskull, kim była ta kobieta? — zapytała w końcu.

Maskull nie odpowiedział, udając, że śpi.

Rozdział 15

Wyspa Swaylone'a

Gdy się obudził, dzień nie był już taki jasny i wyglądał na późne popołudnie. Polecrab i jego żona byli już na nogach, a ryba na kolejny posiłek była ugotowana i czekała na niego.

— Zdecydowaliście już, kto popłynie ze mną? — zapytał, zanim usiadł.

— Ja — powiedziała Gleameil.

— Zgadzasz się, Polecrab?

Rybak charczał przez chwilę, po czym zażądał gestem, by usiedli. Zanim odpowiedział, ugryzł kęs.

— Nie mogę jej powstrzymać, coś ją tam silnie przyciąga. Nie sędzę, żebym cię znów zobaczył, żono, niemniej chłopcy są już wystarczająco dorośli, by zadbać o siebie.

Gleameil nie jadła.

— Nie bądź czarnowidzem — odpowiedziała poważnie. — Wrócę i ci to wynagrodzę. To tylko jedna noc.

Maskull spoglądał na nich z zakłopotaniem.

— Popłynę sam — zaproponował. — Będę się czuł winny, jeśli coś się stanie.

Gleameil potrząsnęła głową.

— Nie traktuj tego jak kobiecy kaprys — powiedziała. — Nawet gdybyś się tutaj nie pojawił, i tak wkrótce usłyszałabym tę muzykę. Pragnę tego.

— A na ciebie, Polecrab, to nie działa?

— Nie. Kobiety są stworzeniami szlachetnymi i wrażliwymi, a natura tego uroku jest zbyt subtelna dla mężczyzn. Weź ją ze sobą, skoro tego chce. Może ma rację. Może muzyka Earthrida odpowie na twoje pytania, a także na jej.

— Jakie są twoje pytania, Gleameil?

Kobieta uśmiechnęła się dziwnie.

— Możesz być pewien, że pytań, które wymagają muzyki w odpowiedzi, nie da się ubrać w słowa.

— Jeśli nie wrócisz do rana — zaznaczył jej mąż — będę wiedział, że nie żyjesz.

Dokończyli posiłek w krępującym milczeniu. Polecrab wytarł usta i wyciągnął muszlę z czegoś w rodzaju kieszeni.

— Pożegnasz się z chłopcami? — zapytał. — Zawołać ich?

Gleameil zastanawiała się przez chwilę.

— Tak. Powinnam ich zobaczyć.

Polecrab przyłożył muszlę do ust i zadał. Niski, ponury dźwięk poniósł się w powietrzu.

Kilka minut później rozległ się pośpieszny tupot i z lasu wybiegli chłopcy. Maskull przyjrzał się z ciekawością pierwszym dzieciom, jakie ujrzał na Tormance. Najstarszy z chłopców niósł najmłodszego na barana, podczas gdy trzeci dreptał trochę z tyłu. Dziecko zostało postawione na ziemi i cała trójka utworzyła półokrąg przed Maskullem, stojąc i wytrzeszczając na niego szeroko otwarte oczy. Polecrab popatrzył na nich obojętnie, ale Gleameil odwróciła wzrok, unosząc dumnie głowę z wyrazem zakłopotania na twarzy.

Maskull ocenił wiek chłopców odpowiednio na około dziewięć, siedem i pięć lat – licząc według ziemskiej rachuby czasu. Najstarszy był wysoki, szczupły, ale silnie zbudowany. Podobnie jak bracia był nagi, a jego skóra od góry po palce u nóg była w kolorze *ulfire*. Rysy twarzy wskazywały na dziką, śmiałą naturę, a jego oczy błyszczały jak zielone ogniki. Średni zapowiadał się na krępego i silnego człowieka.

Miał dużą i ciężką, opuszczoną głowę, rumianą skórę na twarzy i ciele, a oczy trochę zbyt posępne i przenikliwe jak na dziecko.

— Ten — powiedział Polecrab, chwytając chłopca za ucho — być może wyrośnie na drugiego Broodviola.

— Kto to był Broodviol? — zapytał chłopiec, pochylając głowę do przodu, żeby lepiej usłyszeć odpowiedź.

— Wielki, stary człowiek o cudownej mądrości. Został mędrce, gdyż postanowił nigdy nie pytać o nic, ale samemu szukać odpowiedzi.

— Gdybym się nie zapytał, nigdy bym się o nim nie dowiedział.

— To nie ma znaczenia — odpowiedział ojciec.

Najmłodsze dziecko było bledsze i drobniejsze od swoich braci. Twarz chłopca była w zasadzie spokojna i bez wyrazu, ale miała przy tym tę właściwość, że co kilka minut, bez jakiegokolwiek oczywistej przyczyny, marszczyła się i sprawiała wrażenie zakłopotania. W takich chwilach jego oczy w kolorze ciemnego złota wydawały się ukrywać tajemnice trudne do skojarzenia z kimś w jego wieku.

— A ten mnie intryguje — powiedział Polecrab. — Ma duszę głupka i niczym się nie interesuje. Może się okazać, że to on będzie najbardziej godny uwagi z całej bandy.

Maskull objął dziecko ręką i podniósł do góry na wysokość swojej twarzy. Przyjrzał mu się dobrze i postawił z powrotem. Chłopiec nie zmienił wyrazu twarzy.

— I co o nim myślisz? — zapytał rybak.

— Miałem to już na końcu języka, ale mi uciekło. Muszę się znów napić, to mi się przypomni.

— No to się napij.

Maskull podeszedł do drzewa, napił się i powrócił.

— W starszym wieku — powiedział z namysłem — on będzie wspaniałym i straszliwym wieszczem. Jasnowidzem, a może nawet prorokiem. Dbaj o niego.

— A ja nie chcę być nikim takim — powiedział najstarszy chłopiec, spoglądając z pogardą. — Chcę być jak ten wielki facet — dodał, wskazując palcem na Maskulla.

Maskull roześmiał się, pokazując na tle brody swoje białe białe zęby.

— Dzięki za komplement, stary wojowniku! — powiedział.

— Jest wielki i masykularny — ciągnął chłopiec — i potrafi postawić na swoim. Mnie też podniesiesz jedną ręką, jak to dziecko?

Maskull spełnił jego prośbę.

— Oto jest mężczyzna! — wykrzyknął chłopiec.

— Dosyć! — powiedział niecierpliwie Polecrab. — Wezwałem was tutaj, chłopcy, żebyście pożegnali się z matką. Wyjeżdża z tym człowiekiem. Myślę, że może nie wrócić, choć tego wciąż nie wiadomo.

Twarz średniego syna zapłonęła nagłą czerwienią.

— Idzie z własnej woli? — zapytał.

— Tak — odpowiedział ojciec.

— Jest niedobra — wyrzucił te słowa z taką emfazą, że zabrzmiały jak uderzenie bicia.

Starzec uderzył go dwa razy w twarz.

— Mówisz tak o swojej matce?

— Chłopiec nic nie powiedział, ale nie zmienił wyrazu twarzy, obstając przy swoim.

— Mama nie wróci. Umrze tańcząc — po raz pierwszy odezwał się najmłodszy.

Polecrab i jego żona spojrzeli na siebie.

— Gdzie ty idziesz, mamó? — zapytał najstarszy.

Gleameil pochyliła się i pocałowała go.

— Na wyspę — powiedziała.

— W takim razie, jeśli nie wrócisz do rana, popłynę tam i poszukam cię.

Maskull czuł się coraz bardziej nieswojo.

— Wydaje mi się, że to jest wyprawa dla mężczyzn — powiedział. — Myślę, Gleameil, że byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś została.

— Nie odwiedzisz mnie od tego — odpowiedziała.

Maskull z zakłopotaniem pogładził się po brodzie.

— Czy już jest czas, by ruszać — zapytał.

— Trzeba wyruszyć cztery godziny przed zachodem słońca. Tyle nam to zajmie.

Maskull westchnął.

— Gleameil, będzie się chciała pożegnać — powiedział. — Pójdę do ujścia zatoki i tam zaczekam na tratwę. Żegnaj, rybaku! — Poklepał Polecraba po plecach.

— Ładnie mi się odpłaciłeś za moje odpowiedzi — stwierdził gburowato starzec. — Ale to nie twoja wina, w świecie Shapinga gorsze rzeczy się zdarzają.

Najstarszy chłopiec podszedł blisko do Maskulla.

— Żegnaj, wielkoludzie! — powiedział, marszcząc brwi. — Pilnuj dobrze mojej matki, najlepiej jak potrafisz, bo jak nie, to znajdę cię i zabiję.

Maskull powędrował powoli brzegiem zatoki. Minął zakręt i ponownie ujrzał wspaniały blask słońca oraz skrzące się, połyskliwe morze. Opuściło go całe przygnębienie. Doszedł do samego brzegu i wyszedłszy z cienia lasu, wszedł na piasek. Usiadł w pełnym słońcu. Promieniowanie Alppaina już dawno zniknęło. Wciągnął gorące, orzeźwiające powietrze i wsłuchał się w szum fal, spoglądając na barwne morze z jego grzywaczami, prądami i wyspą Swaylone'a.

Co to za muzyka, która odrywa żonę i matkę od wszystkiego, co kocha – zastanawiał się. Brzmi szatańsko. Powie mi to, co chcę wiedzieć? Potrafi?

Po jakimś czasie poczuł ruch za plecami. Obejrzał się i zobaczył tratwę płynącą po zatoce w kierunku otwartego morza. Polecrab stał wyprostowany na tratwie i napędzał ją prymitywną tyczką. Nie patrząc, minął Maskulla i bez słowa podążył ku morzu.

Maskull wciąż się zastanawiał nad jego zachowaniem, gdy pojawiła się Gleameil z chłopcami idąca brzegiem zatoki. Najstarszy trzymał ją za rękę i coś mówił, pozostali dwaj szli z tyłu. Gleameil była spokojna i uśmiechnięta, ale jakaś roztargniona.

— Co twój mąż robi z tratwą? — zapytał Maskull.

— Prowadzi ją na pozycję, dojdziemy tam i wsiądziemy — odpowiedziała swoim niskim głosem.

— A jak dopłyniemy do wyspy bez wioseł i żagli?

— Nie widzisz prądu biegnącego od lądu? Zobacz, płynie do samej wyspy. Zabierze nas tam.

— A jak wrócisz?

— Jest na to sposób; ale nie ma potrzeby teraz o tym rozmawiać.

— Dlaczego ja nie mogę popłynąć? — zapytał najstarszy syn.

— Bo tratwa nie uniesie trojga. Maskull jest za ciężki.

— No to co — powiedział chłopiec. — Wiem, gdzie jest drewno na drugą tratwę. Jak tylko odpłyniecie, wezmę się do roboty.

W międzyczasie Polecrab wymanewrował swoją niezgrabną tratwę na żadaną pozycję kilka jardów od prądu, który w tym miejscu ostro skręcał ze wschodu. Krzyknął coś do żony i Maskulla. Gleameil pocałowała nerwowo dzieci, sprawiając wrażenie nieco załamanej. Najstarszy syn przygryzł wargi aż do krwi, a z oczu trysnęły mu łzy; natomiast młodsze dzieci wytrzeszczały oczy, nie okazując żadnych

emocji.

Potem Gleameil weszła do wody, a Maskull podążył za nią. Woda najpierw sięgnęła im do kostek, potem do kolan, a blisko tratwy prawie do pasa. Polecrab wskoczył do wody i pomógł żonie wdrapać się z boku. Gdy już się tam znalazła, pochyliła się i pocałowała go. Nie padło ani jedno słowo. Maskull wspiął się na przód tratwy. Kobieta usiadła z tyłu ze skrzyżowanymi nogami i chwyciła za drąg.

Polecrab popychał ich w kierunku prądu, podczas gdy jego żona odpychała się drągiem dopóki nie znaleźli się w nurcie. Tratwa natychmiast zaczęła szybko odpływać od lądu gładkim kołyszącym ruchem.

Chłopcy machali im z brzegu. Gleameil odmachiwała, natomiast Maskull odwrócił się w drugą stronę i patrzył do przodu. Polecrab brodził w kierunku brzegu.

Przez następne cztery godziny Maskull nie zmienił swojej pozycji nawet na cal. Panowała absolutna cisza, jeśli nie liczyć plusku dziwnych fal wokół nich i ciurkającego szumu prądu, który wiódł ich gładko po rozkołysanym, wzburzonym morzu. Z ich bezpiecznego szlaku piękno otaczającej grozy było radosnym doświadczeniem. Powietrze było świeże i czyste, a żar Branchspella – teraz, o zachodzie – osłabł i stał się w końcu znośny. Burza kolorów na morzu już dawno wypędziła wszelki smutek i niepokój z serca Maskulla. Niemniej, za egoistyczne porzucenie tych, którzy powinni być dla niej najdrożsi, odczuwał do tej kobiety taką urazę, że nie mógł się zmusić do nawiązania jakiegokolwiek rozmowy.

Kiedy jednak powyżej zwiększającego się konturu ciemnej wyspy dostrzegł długi łańcuch odległych, wyniosłych gór, jaśniejących łososioworóżową poświatą wieczoru, poczuł się zmuszony przerwać ciszę i zapytać, co to jest.

— To jest Lichstorm — powiedziała Gleameil.

O nic więcej nie zapytał, ale gdy się odwrócił w jej kierunku, jego oczy spoczęły na szybko oddalającym się Lesie Wombflash. Przeplłynęli już około ośmiu mil i teraz mógł lepiej ocenić ogromną wysokość drzew. W oddali, górujący nad lasem, widniał Sant. Maskullowi wydało się, chociaż nie był tego całkiem pewien, że odróżnia również Disscourn.

— Teraz, gdy już jesteśmy sami w obcym miejscu — powiedziała Gleameil, odwracając głowę i spoglądając w dół na wodę za burtą tratwy — powiedz mi, co myślisz o Polecrabie.

Maskull przez chwilę się zastanawiał, po czym odparł:

— Zrobił na mnie wrażenie góry otoczonej obłokami. Widzisz podnóże i myślisz, że to wszystko. I nagle, wysoko ponad chmurami, pojawia widok góry i nawet wtedy nie jest to jeszcze szczyt.

— Znasz się na ludziach i jesteś spostrzegawczy — stwierdziła cicho Gleameil. — Powiedz mi, w takim razie, kim ja jestem.

— W miejscu ludzkiego serca masz dziką harfę i tyle, co wiem o tobie.

— A o co chodziło z tymi dwoma światami, o których mówiłeś mojemu mężowi?

— Słyszałaś?

— Tak, słyszałam. Ja również jestem świadoma dwóch światów. Mój mąż i chłopcy są dla mnie prawdziwi i bardzo ich kocham. Ale dla mnie, podobnie jak dla ciebie, istnieje jeszcze inny świat i dlatego mój świat jawi mi się jako nierzeczywisty i pospolity.

— Może szukamy tego samego. Czy to jednak w porządku zaspokajać swoje wewnętrzne potrzeby kosztem innych ludzi?

— Nie, to nie jest w porządku. To jest złe i nikczemne. Ale w tym innym świecie te słowa nie mają żadnego znaczenia.

Zapadła cisza.

— Dyskusja na ten temat jest bezprzedmiotowa — powiedział Maskull. — Teraz i tak nie mamy już wyboru, musimy podążać tam, gdzie nas niesie. Porozmawiałbym raczej o tym, co nas czeka na wyspie.

— Nie mam o tym pojęcia. Wiem jedynie, że na wyspie znajdziemy Earthrida.

— Kto to jest Earthrid i dlaczego wyspa jest nazywana Wyspą Swaylone'a?

— Mówią, że Earthrid przybył z Threalu, ale nic więcej o nim nie słyszałam. A o Swaylonie, jeśli sobie życzysz, mogę opowiedzieć ci legendę.

— Gdybyś była tak uprzejma — poprosił Maskull.

— W dawnych czasach — zaczęła Gleameil — gdy morza były gorące, a chmury zwieszały się nisko nad ziemią i życie obfitowało w przemiany, na tę wyspę, na której nigdy wcześniej nie stanęła noga człowieka, przybył Swaylone i zaczął grać muzykę – pierwszą muzykę na Tormance. Co noc, gdy księżyc świecił, ludzie zbierali się na brzegu, tym za nami, i słuchali cichych, słodkich rytmów płynących zza morza. Pewnej nocy Shaping (ten, którego ty nazywasz Crystalmanem) przechodził tędy w towarzystwie Kraga. Słuchali przez chwilę muzyki, a potem Shaping powiedział: „Słyszałeś kiedy piękniejsze dźwięki? To jest mój świat i moja muzyka.” Krag tupnął nogą i roześmiał się. „Jeśli chcesz, żebym to podziwiał” – rzekł – „to musisz się lepiej postarać. Chodźmy tam i zobaczmy tego partacza w akcji.” Shaping zgodził się i przenieśli się na wyspę. Swaylone nie zdawał sobie sprawy z ich obecności. Shaping stanął za nim i tchnął myśli w jego duszę, tak że muzyka stała się dziesięć razy wspanialsza, a ludzie stojący na brzegu oszaleli z zachwyty. „Czy mogą być szlachetniejsze rytmy?” – zapytał Shaping. Krag wyszczerzył zęby i powiedział: „Jesteś prawdziwie zniewieściały. Pozwól, że teraz ja spróbuję.” Stanął za Swaylonem i szybko wrzucił mu do głowy brzydkie dysonanse. Instrument Swaylone'a tak się rozstroił, że nigdy już nie dało się na nim zagrać prawidłowo. Od tego czasu Swaylone mógł grać jedynie fałszując; niemniej przemawiało to do ludzi o wiele bardziej niż inne dźwięki. Wielu przeprawiało się na wyspę podczas jego życia, by posłuchać zdumiewających tonów, ale nikt nie mógł ich znieść – wszyscy umierali. Po śmierci Swaylone'a jego rolę przejął inny muzyk i tak płomień był przekazywany z pochodni na pochodnię, aż do dzisiaj – gdy robi to Earthrid.

— Ciekawa legenda — skomentował Maskull. — A kto to jest Krag?

— Mówią, że kiedy narodził się świat, wraz z nim narodził się Krag, duch złożony z tych pozostałości Muspelu, których Shaping nie przekształcił, bo nie wiedział jak. Później nic nie szło na świecie, tak jak powinno, gdyż Krag podążał wszędzie śladem Shapinga i psuł wszystko, co tamten zrobił. Do miłości przyłączył śmierć; do płci – wstyd; do rozumu – szaleństwo; do cnoty – okrucieństwo; a do ładnej powierzchowności – krwawe wnętrze. Tak działa Krag i dlatego ci, co miłują świat, nazywają go „diabłem”. Oni nie rozumieją, Maskull, że bez Kraga świat straciłby swoje piękno.

— Krag i piękno! — wykrzyknął Maskull z cynicznym uśmiechem.

— Tak, tak. To samo piękno, które teraz razem płyniemy odkryć. Piękno, dla którego porzuciłam męża, dzieci i szczęście... Uważasz, że piękno ma być przyjemne?

— Jasne!

— To przyjemne piękno jest mdłym komponentem Shapinga. Żeby ujrzeć piękno w całej jego przerażającej krasie, musisz odrzec je z wszelkiej przyjemności.

— Gleameil, tylko mi nie mów, że ja poszukuję piękna. Ten pomysł jest bardzo daleki od moich zamierzeń.

Gleameil nic na to nie odpowiedziała. Maskull czekał kilka minut, a potem znów odwrócił się do niej plecami. Przed dotarciem na wyspę już więcej nie rozmawiali.

Gdy zbliżyli się do brzegu, powietrze stało się chłodne i wilgotne. Branchspell zniżył się do punktu, w którym dotykał morza. Wyspa wydawała się mieć trzy do czterech mil długości. Przede wszystkim była tam szeroka plaża, a dalej niskie, ciemne klify, za którymi rozciągała się dzicz niepokąźnych, kopulastych wzgórz całkowicie pozbawionych roślinności. Prąd doniósł ich na niecałe sto jardów od brzegu, po czym ostro zakręcił i płynął dalej wzdłuż łądu.

Gleameil wyskoczyła za burtę i popłynęła do brzegu. Maskull poszedł w jej ślady, a tratwa, porzucona, szybko została zniesiona przez prąd. Wkrótce dotknęli gruntu i resztę drogi pokonali brodząc. Słońce zaszło, zanim jeszcze wyszli na brzeg.

Gleameil ruszyła prosto na wzgórze, a Maskull, rzuciwszy okiem na niski, ciemny pasek Lasu Wombflash, podążył za nią. Wkrótce pokonali klify. Dalsze podejście było łatwe i łagodne, gdyż żyzna, sucha, brązowa gleba była wygodna do marszu.

Niebawem po lewej błysnęło coś białego.

— Nie chodź tam — powiedziała kobieta. — Tam nie może być nic innego tylko jeden z tych szkieletów, o których mówił Polecrab. O, spójrz, tam jest jeszcze jeden.

— O tak, to na pewno jest dowód — zauważył Maskull, uśmiechając się.

— Nie ma nic śmiesznego w tym, że ktoś umarł dla piękna — powiedziała Gleameil, marszcząc brwi.

Kiedy jednak, idąc dalej, zobaczył niezliczoną ilość ludzkich kości – od połyskliwe białych do brudnożółtych, porozrzucanych dookoła, jak gdyby było to odkryte cmentarzysko między wzgórzami – przyznał jej rację i wpadł w przygnębiający nastrój.

Gdy osiągnęli najwyższy punkt wyspy, było jeszcze widno i mogli spojrzeć na drugą stronę. Morze po północnej stronie nie różniło się od tego, które przepłynęli, tyle że jego żywe kolory szybko stawały się niewidoczne.

— To jest Matterplay — powiedziała kobieta, wskazując palcem jakiś niski ląd na horyzoncie, wydający się nawet bardziej odległy niż Wombflash.

Ciekawe, jak Digrung się przeprowadził – zastanawiał się Maskull.

Nieopodal, w zagłębieniu pomiędzy niskimi wzgórzami, dostrzegli niewielkie, okrągłe jezioro nie większe niż pół mili średnicy. Kolory zachodu odbijały się w jego wodzie.

— To musi być Irontick — stwierdziła Gleameil.

— Co to takiego?

— Słyszałam, że to jest instrument Earthrida.

— Nie jest daleko — stwierdził Maskull. — Zobaczmy, co tam jest.

Gdy podeszli bliżej, ujrzeni po drugiej stronie mężczyznę spoczywającego w pozycji jak do snu.

— Jeśli to nie on, to kto inny mógłby to być? — zapytał Maskull. — Chodźmy przez wodę. Jeśli nas utrzyma, zaoszczędzimy czasu.

Teraz on wziął na siebie prowadzenie i ruszył biegiem w dół stoku, wprost na brzeg jeziora po tej stronie. Gleameil podążała za nim z większą godnością, wpatrując się z fascynacją w leżącego człowieka. Gdy Maskull dotarł do wody, postawił stopę na powierzchni, by sprawdzić, czy woda utrzyma ich ciężar. Coś niezwykłego w jej wyglądzie sprawiło, że ogarnęły go wątpliwości. Był to spokojny, ciemny i pięknie połyskujący spłachetek wody. Przypominał lustro z ciekłego metalu. Stwierdziwszy, że jest w stanie utrzymać go i że nic się nie dzieje, postawił na powierzchni drugą nogę. W tym samym momencie został gwałtownie porażony, jak gdyby prądem elektrycznym dużej mocy, i rzucony bezwładnie z powrotem na brzeg.

Pozbierał się, otrząpał z brudu i ruszył wokół jeziora. Gleameil przyłączyła się i razem pokonali półokrąg. Podeszli do mężczyzny i Maskull trącił go nogą. Tamten obudził się, mrugając oczami na ich widok.

Twarz miał bladą, zmęczoną i bezmyślną, o niemiłym wyrazie. Na głowie i na brodzie rosły mu wątle kępki czarnych włosów. Na czole, w miejscu trzeciego oka, miał perfekcyjnie okrągły narząd pofałdowany w skomplikowany sposób, podobnie jak ucho. Nieprzyjemnie śmierdział. Z wyglądu był we wczesnym wieku średnim.

— Obudź się, człowieku — powiedział ostro Maskull — i powiedz nam: ty jesteś Earthrid.

— Która godzina? — odpowiedział tamten pytaniem na pytanie. — Daleko do wschodu księżyca?

Nie okazując żadnej troski o odpowiedź, usiadł i odwróciwszy się od nich, zaczął wydłubywać ręką kawałki gleby i jeść je bez entuzjazmu.

— Zaraz, zaraz — zakrzyknął zdegustowany Maskull — jak ty możesz jeść ten brud?

— Nie złość się, Maskull — powiedziała Gleameil, kładąc mu rękę na ramieniu i rumieniąc się trochę. — To jest Earthrid, człowiek, który ma nam pomóc.

— Wcale tego nie powiedział.

— Ja jestem Earthrid — powiedział tamten słabym i stłumionym, niemniej, co nagle uderzyło Maskulla, autokratycznym głosem. — Czego chcecie? A właściwie, to lepiej się stąd wynoście

najszybciej jak możecie, bo jak wszędzie Teargeld, będzie za późno.

— Możesz nam tego nie wyjaśniać — oświadczył Maskull. — Znamy twoją reputację i przybyliśmy tutaj posłuchać twojej muzyki. Powiedz mi tylko, co to za narząd jest na twoim czole?

Earthrid popatrzył na niego świdrującym wzrokiem, po czym uśmiechnął się i jeszcze raz spojrzał ostro.

— To służy do utrzymania rytmu, czyli tego, co zmienia hałas w muzykę. Nie stójcie i nie dyskutujcie, tylko uciekajcie. To żadna przyjemność zaludniać tę wyspę trupami. Nic nie robią, a jedynie psują powietrze.

Ciemności szybko ogarniały okolicę.

— Dość gadatliwy z ciebie człowiek — powiedział chłodno Maskull. — Posłuchamy jak grasz, a potem może ja spróbuję coś wykonać.

— Ty? Jesteś muzykiem? Czy ty w ogóle wiesz, co to muzyka?

W oczach Gleameil pojawiły się ogniki.

— Maskull uważa, że muzyka jest zawarta w instrumencie — powiedziała z tą swoją emfazą. — Tymczasem muzyka jest w duszy Pana.

— Tak — zgodził się Earthrid — tyle że to nie wszystko. W Threalu, gdzie się urodziłem i wychowałem, znana jest tajemna rola Trójcy w przyrodzie. Świat wokół nas ma trzy kierunki. Długość jest odległością, która dzieli to, co jest, od tego, czego nie ma. Szerokość jest powierzchnią, która ukazuje nam w jaki sposób rzecz, która jest, współistnieje z drugą rzeczą. Głębokość jest ścieżką, która wiedzie od tego, co jest, do naszego ciała. Z muzyką jest nie inaczej. Ton jest istnieniem, bez którego zupełnie nie ma niczego. Harmonia i nuty są sposobem, w jaki tony współistnieją ze sobą. Emocja, to ruch naszej duszy ku cudownemu światu, który jest stwarzany. Ludzie tworzący muzykę przyzwyczaili się do układu pięknych tonów, ponieważ wywołują one zachwyt. A zatem ich świat muzyki bazuje na przyjemności; jego symetria jest regularna i urzekająca, a emocje słodkie i miłe... Natomiast moja muzyka jest oparta o tony bolesne; jej symetria jest przez to dzika i trudna do zauważenia, a emocje gorzkie i przerażające.

— Nie przybyłbym tutaj, gdybym nie oczekiwał, że jest taka oryginalna — powiedział Maskull. — Musisz mi jednak wyjaśnić, dlaczego szorstkie tony nie mogą mieć prostej symetrii? I dlaczego nieuchronnie wywołują głębsze emocje u słuchających?

— Bo przyjemności mogą ze sobą współgrać. Tymczasem ból musi uderzać, a symetria musi do tych uderzeń pasować. Z tej szorstkiej i żarliwej muzyki rodzą się emocje.

— Możesz to nazywać muzyką — stwierdził Maskull w zadumie — choć dla mnie jest to bardziej podobne do prawdziwego życia.

— Gdyby plany Shapinga poszły jak należy, życie byłoby podobne do tamtej muzyki. Ten co szuka, może znaleźć w świecie przyrody ślady jego intencji. Okazało się jednak, że rzeczywiste życie przypomina moją muzykę i to moja muzyka jest prawdziwą muzyką.

— A zobaczymy żywe twory?

— Nie wiem, jaki będę miał nastrój — odpowiedział Earthrid. — Ale gdy skończę, ty będziesz mógł wykonać swoją melodię i wytworzyć, co tylko sobie zażyczysz. O ile faktycznie twoje wielkie ciało wytworzy tę muzykę.

— Doznania, które przygotowujesz, mogą nas zabić — powiedziała cicho Gleameil z napięciem w głosie. — Jednak umrzemy, widząc piękno.

Earthrid popatrzył na nią z godnością.

— Ani ty, ani żadna inna osoba nie zniesie idei zawartych w mojej muzyce. Swoją drogą, to ty musisz odbierać to jakoś po swojemu. Tylko kobieta mogła to nazwać „pięknem”. No bo jeśli to jest piękno, to co to jest brzydota?

— Mogę ci to powiedzieć, Panie — odpowiedziała Gleameil, uśmiechając się do niego. — Brzydota to stare, nieświeże życie, natomiast twoje co nocy rodzi się świeże z łona natury.

Earthrid przyglądał się jej w milczeniu.

— Teargeld wschodzi — oświadczył w końcu. — Zaraz będziecie to oglądać. Choć niezbyt długo.

Gdy wymawiał te słowa, na tle ciemnego wschodniego nieba zza wzgórz wychynał księżyc. Obserwowali w milczeniu, jak wyłania się w całości. Był większy niż ziemski Księżyc i wydawał się być bliżej. Zacienione obszary dawały wygląd głębokiego reliefu, w jakiś sposób nie wywołując u Maskulla wrażenia martwego świata. Branchspell oświeślał go całego, podczas gdy Alppain tylko część. Obszerny półksiężyc odbijający tylko światło Branchspella był biały i błyszczący, natomiast część oświetlona obydwojma słońcami świeciła zielonkawym blaskiem z niemal słoneczną energią – a mimo to zimno i ponuro. Wpatrując się w to zmieszane światło, Maskull poczuł to samo uczucie dezintegracji, które zawsze wywoływała u niego poświata Alppaina, chociaż teraz odczucie nie było fizyczne, a jedynie estetyczne. Ten księżyc nie wydawał mu się wcale romantyczny, lecz niepokojący i mistyczny.

Earthrid wstał i przez jakąś minutę pozostawał nieruchomy. W jasnym świetle księżyca jego twarz wydawała się zmieniać. Straciła swój niedbały, wątpliwy i niemiły wygląd, i nabrała pewnego rodzaju chytrego dostojęstwa. Złożył dwa czy trzy razy ręce jak do medytacji, po czym zaczął chodzić w te i wte. Stali oboje, obserwując go.

W końcu usiadł na brzegu jeziora i pochyliwszy się, położył prawą rękę otwartą dłonią na ziemi, wyciągając jednocześnie prawą nogę tak, że stopa dotknęła wody.

Obserwując zarówno jego jak i jezioro, Maskull poczuł coś, jakby ułkucie prosto w serce – jak gdyby został przebitý rapierem. Ledwo powstrzymał się przed upadkiem. W tym samym momencie zobaczył, jak woda tryska do góry, a potem opada. Chwilę później jakaś niewidzialna ręka silnym uderzeniem w usta rzuciła go na ziemię. Pozbierał się, widząc jednocześnie, jak tworzy się drugi wytrysk. Nie zdążył się dobrze podnieść, gdy łupnął go potworny ból wewnątrz mózgu, jakby za przyczyną złośliwego guza. Zatoczył się z bólu i ponownie upadł; tym razem na rękę skaleczoną przez Kraga. Upadek prawie go ogłuszył, sprawiając, że zapomniał o wszystkich innych nieszczęściach, które mu się przydarzyły. Trwało to tylko chwilę, a potem przyszła nagle ulga i stwierdził, że szorstka muzyka Earthrida straciła nad nim swoją władzę.

Earthrid leżał rozciągnięty wciąż w tej samej pozycji. Jezioro było w żywym ruchu, pokrywając się szybko licznymi wytryskami. Gleameil już nie stała. Leżała na ziemi bezwładna i nieruchoma. Jej pozycja nie wróżyła niczego dobrego; Maskull przypuszczał, że jest martwa. Podeszedł do niej i stwierdził, że rzeczywiście umarła. Nie potrafił ocenić, w jakim stanie umysłu to się stało, gdyż na jej twarzy malował się wulgarny grymas Crystalmana. Cała tragedia trwała nie dłużej niż pięć minut.

Podeszedł do Earthrida i siłą oderwał go od jego instrumentu.

— Byłeś rzeczywiście tak dobry, jak zapowiadałeś, muzyku — powiedział. — Gleameil jest martwa.

Earthrid spróbował zebrać swoje rozkojarzone zmysły.

— Ostrzegalem ją — odpowiedział, siadając. — Czyż nie prosiłem jej, żeby odeszła? Bardzo łatwo umarła. Nie czekała na piękno, o którym mówiła. Nie usłyszała tej pasji ani nawet rytmu. Ty również.

Maskull popatrzył na niego z oburzeniem, ale nic nie powiedział.

— Nie powinienes mi przerywać — mówił dalej Earthrid. — Nic nie jest ważniejsze, gdy gram. Mogłem utracić wątek moich myśli. Szczęśliwie nigdy nie zapominam. Zaczne jeszcze raz, od początku.

— Jeśli muzyka ma być kontynuowana w obecności zmarłej, to teraz ja zagram.

Earthrid rzucił mu krótkie spojrzenie.

— W żadnym wypadku — powiedział.

— Tak musi być — oświadczył stanowczo Maskull. — Wolę grać niż słuchać. A poza tym, ty masz każdą noc, a ja mam tylko dzisiejszy wieczór.

Earthrid zacisnął i otworzył dłoń, a jego twarz zaczęła blednąć.

— Twój brak rozważi prawdopodobnie zabije nas obu. Ironick jest moje i dopóki nie nauczysz się grać, możesz tylko zepsuć instrument.

— Cóż, w takim razie go zepsuje. Niemniej mam zamiar spróbować.

Muzyk poderwał się na nogi i spojrzał mu w twarz.

— Zrobisz to siłą?

— Uspokój się! Masz ten sam wybór, który oferowałeś nam. Dam ci czas na oddalenie się.

— A co mi z tego przyjdzie, gdy zepsujesz mi jezioro? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co robisz.

— Idziesz, nie idziesz! — odpowiedział Maskull — masz czas dopóki woda się nie wygładzi. Potem zacznę grać.

Earthrid przelknął ślinę. Spojrzał na jezioro, a potem na Maskulla.

— Obiecujesz?

— Wiesz lepiej ode mnie, jak długo to potrwa i do tego czasu jesteś bezpieczny.

Earthrid rzucił mu wściekle spojrzenie, przez chwilę się wahał, a potem ruszył i zaczął wspinać na najbliższe wzgórze. W pół drogi obejrzał się bojaźliwie przez ramię, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Po minucie czy dwóch zniknął za granią, zmierzając prosto do brzegu leżącego naprzeciw Matterplay.

Gdy woda się już wygładziła, Maskull zasiadł na brzegu, w pozycji podpatrzonej u Earthrida. Nie miał pojęcia, jak wykreować swoją muzykę ani co z tego wyjdzie, niemniej w jego głowie pojawił się zuchwały projekt, pragnienie stworzenia tworów fizycznych, a przede wszystkim jednego – Surtura.

Zanim włożył swą stopę do wody, spróbował sobie trochę to wszystko przemyśleć.

— Twory w tej muzyce są tym — powiedział do siebie — czym temat w zwykłej muzyce. Kompozytor nie znajduje tematu dodając pojedyncze nuty, lecz dzięki natchnieniu w jego głowie pojawia się od razu cała melodia. Tak samo musi być z tworami. Gdy zacznę grać, o ile jestem coś wart, całościowe idee przemieszczą się z mojej podświadomości do jeziora, a potem zostaną odbite z powrotem w wymiary rzeczywistości, gdzie zapoznam się z nimi po raz pierwszy. Tak to musi wyglądać.

Gdy tylko jego stopa dotknęła wody, poczuł wypływające z niego myśli. Nie znał ich treści, ale sam akt ich przepływu wywoływał uczucie radosnej potęgi. Wraz z nim pojawiła się ciekawość, czym się okażą. Na jeziorze w coraz większej liczbie tworzyły się wytryski, ale bólu nie doświadczał. Myśli, które uważał za muzykę, nie wypływały z niego równomiernym, nieprzerwanym strumieniem, ale ogromnymi, burzliwymi falami, przerywanymi okresami bezruchu. W czasie tych wylewów całe jezioro aż kipiało od wytrysków.

Zorientował się, że wypływające z niego idee nie powstają z intelektu, ale ich źródło leży w bezdennej głębi jego jaźni. Nie mógł decydować o ich charakterze, ale mógł je zmusić do wypłynięcia lub zatrzymać siłą woli.

Z początku nic się wokół niego nie zmieniało. Potem księżyc ściemniał, krajobraz rozświetlił się jakimś nowym, dziwnym blaskiem, narastającym tak niedostrzegalnie, że minął jakiś czas, zanim rozpoznał w tym światło Muspelu, które widział w Lesie Wombflash. Nie był w stanie określić, jaki to jest kolor ani go nazwać, niemniej napełniło go to jakąś surową, religijną bojaźnią. Odwołał się do zasobów swojej potężnej woli. Wytryski zrobiły się gęste jak las, a wiele z nich osiągnęło dwadzieścia stóp wysokości. Teargeld wyglądał słabo i blado; jego światło stało się intensywne, ale nie rzucało cienia. Zerwał się wiatr, chociaż tam, gdzie siedział Maskull, trwała cisza. Krótco potem rozległy się piski i gwizdy jak w czasie prawdziwej wichury. Nie widział żadnych tworów, więc zdwoił wysiłki.

Idee wlewały się do jeziora z taką furją, że cała jego dusza została przepełniona radosnymżywieniem i buntowniczym nastrojem. Wciąż jednak nie rozumiał ich natury. Na jeziorze wystrzelił wielki wytrysk i w tym samym momencie wzgórze zaczęły pękać i rozpadać się. Wielkie masy luźnej gleby zostały wyrzucone z ich trzewi, a gdy się uspokoiło, zobaczył, że krajobraz uległ zmianie. Tajemnicze światło wciąż narastało. Księżyc zniknął całkowicie. Hałas niewidocznej burzy stał się przerażający, a Maskull wciąż bohatercko grał, próbując przyspieszyć idee, które miały stać się tworami. Zbocza zostały zryte szczelinami. Woda z wytrysków przyskała, zwilżając okolice – chociaż tam, gdzie siedział, było sucho.

Blask wzmógł się straszliwie. Ogarnął wszystko równomiernie, chociaż Maskullowi wydawało się, że w jednym szczególnym miejscu jest dużo jaśniejszy. Pomyślał, że następuje tam koncentracja, przygotowanie do stężenia w ciało stałe. Wyteżał się i wyteżał...

Chwilę później dno jeziora zapadło się. Woda opadła i instrument się zepsuł.

Blask Muspelu zniknął. Znów zaświecił księżyc, chociaż Maskull tego nie widział. Po niezmiernym

blasku, zdawało mu się, że jest teraz w totalnej ciemności. Świszczący wiatr ucichł i nastąpiła grobowa cisza. Jego myśli przestały spływać do jeziora, a stopa zwisała w powietrzu, nie dotykając już wody.

Był zbyt oszołomiony nagłą zmianą, by myśleć lub czuć cokolwiek. Wciąż jeszcze leżał oszołomiony, gdy potężna eksplozja rozdarła świeżo rozwarte głębie na dnie jeziora. Woda, spływając w dół, napotkała ogień. Maskull został wyrzucony na wiele jardów w górę, po czym ciężko opadł i stracił przytomność.

Gdy doszedł do siebie, widział już całkiem dobrze. Teargeld świecił jasno. On sam leżał na brzegu dawnego jeziora, z tym że teraz był to już tylko krater, którego dna nie było widać. Otaczające go wzgórza były zryte, jakby ciężkim ostrzałem artyleryjskim. Kilka chmur burzowych płynęło na niezbyt dużej wysokości, zasypując nieustannie okolice krzaczastymi błyskawicami z towarzyszącymi im niepokojącymi i osobliwymi grzmotami.

Maskull wstał i rozejrzył się. Stwierdziwszy, że jest cały, najpierw obejrzał krater z bliższej odległości, a potem ruszył z wysiłkiem w kierunku północnego wybrzeża.

Wydostawszy się na grań ponad jeziorem, stwierdził, że teren opada łagodnie w kierunku morza odległego o jakieś dwie mile. Wszędzie napotykał ślady swojej ciężkiej pracy. Teren był zryty rozpadlinami, skarpami, kanałami i kraterami. Dotarł do linii niskich klifów zwieszających się nad plażą i stwierdził, że również one zostały częściowo zamienione w osuwiska ziemi. Zszedł na piasek i zatrzymał się, patrząc na oświetlone księżycem, wzburzone morze i zastanawiając się, w jaki sposób mógłby się wydostać z tej nieszczęsnej wyspy.

Nagle zobaczył leżące w pobliżu ciało Earthrida. Mężczyzna leżał na plecach. Ciało było w okrutny sposób pozbawione obu nóg; samych nóg nigdzie nie udało mu się dostrzec. Zęby były zatopione w prawym przedramieniu, wskazując, że mężczyzna umarł cierpiąc niezrozumiały ból fizyczny. Skóra w świetle księżyca połyskiwała zielenią i była poplamiona ciemniejszymi odbarwieniami, którymi okazały się być rany. Piasek dookoła zabarwiony był kałużami krwi, która już dawno zdążyła wsiąknąć.

Maskull, skonsternowany, odszedł i ruszył wzdłuż słodko pachnącego brzegu. Usiadł na kamieniu, żeby poczekać na świt.

Rozdział 16

Leehallfae

O północy, gdy Teargeld znalazł się na południu, rzucając cienie w kierunku morza i rozświetlając wszystko prawie tak jasno jak w dzień, Maskull zobaczył ogromne drzewo unoszące się na wodzie niezbyt daleko od niego. Drzewo wystawało z wody pionowo na trzydzieści stóp w górę i było żywe; jego korzenie musiały sięgać głęboko i być niezwykle rozległe. Dryfowało wzdłuż brzegu po wzburzonym morzu. Maskull przyglądał mu się przez kilka minut z ciekawością. Pomyślał, że dobrze byłoby zbadać jego naturę. Nie zastanawiając się dłużej nad niebezpieczeństwem, popłynął w kierunku drzewa, chwycił się najniższej gałęzi i wciągnął na górę.

Spojrzawszy wzwyż, zobaczył, że główny pień jest gruby do samego czubka i kończy się gałąką przypominającą nieco ludzką głowę. Zaczął się w tamtym kierunku wspinać po niezliczonych konarach pokrytych twardymi, śliskimi liśćmi podobnymi do morskich wodorostów. Dotarłszy na koronę drzewa, stwierdził, że jest tam rzeczywiście coś w rodzaju głowy wyposażonej w rozmieszczone dookoła błony przypominające prymitywne oczy, co wskazywało na istnienie jakiejś formy niewielkiej inteligencji, .

W tym momencie drzewo, mimo że do brzegu był wciąż jeszcze pewien dystans, otarło się o dno i zaczęło mocno kołysać. Żeby złapać równowagę, Maskull wyciągnął rękę, a robiąc to, zakrył przypadkowo niektóre z błon. Drzewo, jak gdyby intencjonalnie, ruszyło w stronę przeciwną do brzegu. Gdy już przestało się kiwać, Maskull cofnął rękę. Drzewo podryfowało z powrotem w kierunku brzegu. To dało mu do myślenia, więc zaczął eksperymentować z oczopodobnymi błonami. Było tak, jak przypuszczał – oczy były stymulowane światłem księżyca, a drzewo wędrowało w kierunku skąd padało światło.

Dość przekorny uśmieszek pojawił się na twarzy Maskulla, gdy zrozumiał, że istnieje możliwość pożeglowania na tym ogromnym zwierzodrzewie co najmniej do Matterplay. Nie tracąc czasu wprowadził ten zamysł w czyn. Narwał długich, twardych liści i osłonił wszystkie błony oprócz tych skierowanych na północ. Drzewo natychmiast oddaliło się od wyspy i ruszyło zdecydowanie na pełne morze – prosto na północ. Płynęło nie szybciej niż cztery mile na godzinę, podczas gdy Matterplay leżało jakieś czterdzieści mil dalej.

Ogromne, wzburzone fale biły z potężnym łoskotem o pień, załamując się z sykiem na niższych gałęziach. Maskull, znajdując się wysoko, pozostawał suchy, ale bardziej niż trochę zaniepokojony powolnym postępem. Dostrzegł naraz prąd morski skierowany ku północnemu zachodowi i to podsunęło mu nowy pomysł. Zaczął ponownie manipulować błonami i wkrótce wmanewrował drzewo w szybko płynący nurt. Gdy tylko znaleźli się w jego środku, całkiem oślepił zwieńczenie drzewa i odtąd prąd działał w podwójnej roli – drogi i rumaka. Resztę nocy przespał, przywiązawszy się do gałęzi.

Gdy znów otworzył oczy, wyspy nie było już widać. Teargeld zniknął w morzu na zachodzie. Wschodnie niebo jaśniało kolorami nadchodzącego dnia. Powietrze było chłodne i świeże; światło nad morzem było piękne, połyskliwe i tajemnicze. Łąd – prawdopodobnie Matterplay – leżał na wprost, może z milę od niego, ciągnąc się długą, ciemną linią niskich klifów. Prąd nie płynął już w kierunku ładu, lecz opływał wybrzeże nie zbliżając się do niego. Gdy Maskull zorientował się w tym, zaczął manewrować drzewem, by wyjść z nurtu i podryfować do brzegu. Wschodnie niebo rozbłysło nagle gwałtownymi kolorami, a zewnętrzny skrawek Branchspella wychynał z morza. Księżyc tymczasem zdążył już się schować.

Brzeg zbliżał się coraz bardziej. Z wyglądu przypominał wybrzeże Wyspy Swaylone'a – te same rozciągające się szeroko piaski, niewielkie klify, w głębi kopulaste wzgórza i brak roślinności. Niemniej w porannym słońcu wyglądał romantycznie. Gdy tylko drzewo dotknęło dna, Maskull, z zapadniętymi oczami, zły na wszystko, szybko zsunął się po gałęziach i wskoczył do wody. Zanim dopłynął do brzegu, ogromne białe słońce wzniosło się wysoko ponad horyzont.

Nie zastanawiając się specjalnie, przeszedł po piasku całkiem spory dystans, kierując się na wschód. Pomyślał, że może iść tak, dopóki nie natknie się na jakiś strumień lub dolinę i wtedy dopiero skręci w głąb ładu. Promienie słońca dodawały mu otuchy, sprawiając, że ciężący mu po nocy zły nastrój zaczął

go opuszczać. Przeszedł w ten sposób wzdłuż plaży jakąś milę, gdy zagroził mu drogę wpadający do morza szeroki strumień, wypływający ze swego rodzaju naturalnej bramy w barierze klifu. Wypełniona bąbelkami woda była w kolorze pięknej klarownej zieleni. Lodowato zimna, napowietrzona i tak zachęcająca, że rzucił się twarzą na ziemię i pociągnął spory łyk. Gdy w końcu wstał, oczy zaczęły mu sprawiać psikusy – na zmianę obraz mu się rozmazywał, to znów widział wyraźnie. Pewnie była to czysta wyobraźnia, ale wydało mu się, że w jego wnętrzu porusza się Digrung.

Poszedł brzegiem rzeczki w kierunku przerwy w skałach i tam po raz pierwszy zobaczył prawdziwe Matterplay. Dolina pojawiła się jak klejnot otoczony nagimi skałami. Wszystkie wzgórza dookoła były nagie i jałowe, a leżąca pomiędzy nimi dolina aż kipiała od życia. Nigdy jeszcze nie widział takiej bujności. Dolina wiła się wśród wzgórz i to, co widział, to był jej szeroki wylot. Jej dno rozciągało się wszcz na około pół mili. Płynąca środkiem rzeczka miała szerokość niemal sto stóp i była bardzo płytka – w niektórych miejscach nie głębsza niż kilka cali. Zbocza doliny wznosiły się na jakieś siedemdziesiąt stóp i były ostro nachylone; od samej góry do dołu pokryte były niskimi drzewami o błyszczących liściach, ale nie w różnych odcieniach jednego koloru – jak na Ziemi – lecz w szerokim wyborze różnych barw, w większości jaskrawych i zdecydowanych.

Dno sprawiało wrażenie czarodziejskiego ogrodu. O miejsce walczyły gęsto pomieszczone drzewa, krzaki i pasożytnicze pnącza. Ich formy były dziwne i groteskowe, a każda wydawała się inna; kolor liścia, kwiat, organy rozrodcze i łodygi były równie osobliwe – występowały tu chyba wszystkie kombinacje pięciu podstawowych kolorów Tormance, co u Maskulla skutkowało migotaniem w oczach. Zarośla były tak gęste, że miał problem z przedzieraniem się przez nie i został zmuszony, by pójść łożyskiem strumienia. Kontakt z wodą powodował u niego dziwne łaskotanie, jak gdyby łagodne wstrząsy elektrycznym prądem. Nie było żadnych ptaków, chociaż ponad doliną polatywało między wzgórzami kilka dziwnie wyglądających niewielkich skrzydlatych gadów. Szykując się do kąsania, zbierały się wciąż nad nim roje latających owadów. Do kąsania jednak nie dochodziło, gdyż w końcu zawsze okazywało się, że jego krew jest dla nich niezdatna. Na brzegach strumienia mrowiły się miriady wstrętnych pełzających stworzeń przypominających stonogi, skorpiony, węże i tym podobne, niemniej gdy je mijał wchodząc do wody, nie próbowały zrobić użytku ze swych broni na jego gołych łydkach i stopach. Gdy był już na środku strumienia napotkał szkaradne monstrum wielkości kucyka, kształtem przypominające – o ile mogło w ogóle coś przypominać – morskiego skorupiaka. Zatrzymał się. Wpatrywali się w siebie – bestia złymi oczami, a Maskull z opanowaniem i uwagą. Gdy tak patrzył, przydarzyło mu się coś osobliwego.

Znów mu się rozmazał obraz. Po minucie czy dwóch, gdy zamglenie minęło i zaczął widzieć wyraźnie, okazało się, że jego sposób widzenia zmienił swój charakter. Widział na wskroś przez ciało zwierzęcia i mógł odróżnić jego wewnętrzne narządy. Zewnętrzny pancerz i wszystkie zwarte tkanki zrobiły się mgliste i półprzezroczyste, natomiast połyskliwa sieć krwawoczerwonych żył i tętnic była zdumiewająco wyraźna. Zwarte części po chwili zniknęły całkiem, pozostawiając goły system krwionośny. Nie pozostał nawet skrawek ciała. Widoczna była jedynie naga krew płynąca tu i tam jak ognisty, ciekły szkielet o kształcie stwora. Nagle i to zaczęło się zmieniać. Zamiast ciągłego, ciekłego strumienia Maskull dostrzegał teraz składające się na niego miliony pojedynczych punktów. Czerwony kolor był złudzeniem wynikającym z ich szybkiego ruchu; widział wyraźnie, że w swojej roziskrzonej jasności przypominają one mikroskopijne słońca. Sprawiały wrażenie płynącego w przestrzeni podwójnego strumienia gwiazd. Jeden z nich płynął w kierunku stałego punktu w środku, a drugi w przeciwnym kierunku. Maskull rozpoznał ten pierwszy jako żyły bestii, a ten drugi jako tętnice; stały punkt był sercem.

Wpatrywał się w to zatracony w podziwie, gdy nagle gwiazdzista sieć rozpląnęła się jak gasnący płomień. W miejscu skorupiaka nie było teraz niczego. Chociaż... ta „nicość” przesłaniała mu widok. Było tam coś, co pochłaniało światło, mimo że nie posiadało kształtu, koloru ani substancji. Obiekt, którego nie można już było dostrzec oczami, stał się dla niego wyczuwalny emocjonalnie. Cudowne, wiosenne uczucie wzbierających soków, przyspieszających rytmów miłości, przygody, tajemnicy, piękna i kobiecości wzięło w posiadanie całe jego jestestwo, a wiązał to – co było dość dziwne – z tym potworem. Całkowicie opanowany przez to uczucie nie zastanawiał się, w jaki sposób to niewidzialne bydlę sprawiało, że czuł się młody, seksowny i zuchwały. Czuł się tak, jakby ciało, kości i krew zostały odrzucone, a on stanął twarzą w twarz z samym Życiem w nagiej postaci i to Życie powoli przenikało do jego ciała.

Wrażenie rozwiał się. Nastąpiła krótka przerwa, po której płynący, gwiaździsty szkielet znów się wyłonił z przestrzeni. Przemienił się w system krwionośny. Tkanki zwarte pojawiły się, stając się coraz bardziej wyraźne, a jednocześnie zniknęły naczynia krwionośne. W końcu wewnętrzne części zostały całkiem przesłonięte pancerzem i całe stworzenie stanęło przed Maskullem w swojej uprzedniej cudownej brzydocie – namacalne, barwne i solidne.

Zdegustowany w jakiś sposób Maskullem, skorupiak odwrócił się i poruszając mozolnie i odrażająco, odmaszerował niezgrabnie na swoich sześciu nogach w kierunku drugiego brzegu strumienia.

Po tej przygodzie Maskulla opuściła apatia. Stał się podniecony i zaaferowany. Wyobraził sobie, że zaczyna widzieć rzeczy oczami Digrunga i że czekają go dziwne kłopoty. Gdy jego oczy kolejny raz zaczęły się mglić, zwalczył to siłą swojej woli i nic się nie wydarzyło.

Dolina wznosiła się zakosami w kierunku wzgórz. Znacznie się zwężyła, a jej lesiste zbocza po obu stronach stały się bardziej strome i wysokie. Strumień skurczył się do około dwudziestu stóp, ale zrobił się głębszy – płynął żywo, dźwięcznie bulgocząc. Wstrząsy elektryczne powodowane przez wodę stały się wyraźniejsze i prawie nieznośne – innej drogi jednak nie było. W ogłuszającym hałasie odgłosów niezliczonych stworzeń dolina jawiła się jako rozległa sala konwersatoryjna Natury. Życie było tu jeszcze bardziej płodne niż wcześniej; każda stopa kwadratowa przestrzeni była gmatwaniną ścierających się bytów, zarówno roślinnych jak i zwierzęcych. Dla przyrodnika byłby to raj; nie było nawet dwóch podobnych kształtów, a wszystkie były fantastyczne i całkowicie odmienne.

Wyglądało to tak, jakby Natura stwarzała je tak szybko, że brakowało dla nich miejsca. Jednym słowem zupełnie inaczej niż na Ziemi, gdzie setki nasion rozsiewa się po to, aby jedno z nich wykiełkowało. Tutaj młode formy wydawały się przeżywać, podczas gdy stare ginęły, by zrobić dla nich miejsce; gdzie nie spojrzeć wędły i umierały bez istotnej przyczyny – były po prostu zabijane przez nowe życie.

Niektóre stworzenia rozwijały się na jego oczach tak żywiołowo, że jawiły się jako odrębne „królestwa”. Na przykład owoc rozmiaru i kształtu cytryny, lecz z twardszą skórą, leżał na ziemi. Maskull podniósł go, mając zamiar skosztować miąższu; jednakże wewnątrz było w pełni uformowane młode drzewko, właśnie mające skruszyć swoją skorupę. Odrzucił je w górę strumienia. Popłynęło z powrotem w jego kierunku, ale zanim do niego dotarło, zatrzymało się i ruszyło pod prąd. Pochwyciwszy je, spostrzegł, że wypuściło sześć prymitywnych odnóży.

Maskull był daleki od wygłaszania peanów na temat tej wspaniałej, tłocznej doliny. Wprost przeciwnie, ogarnął go głęboki cynizm i przygnębienie. Pomyślał, że ta niewidzialna siła – bez względu na to, jak ją nazywać: Naturą, Życiem, Popędem czy Bogiem – tak gorączkowo praca do przodu i opanowująca ten niewielki, nieistotny świat, nie mogła mieć wielkiego celu przed sobą i nie była wiele warta. Ocena, czy te nikczemne zmagania o godzinę czy dwie fizycznego istnienia mogłyby kiedykolwiek być zaliczone do głęboko zasadniczych i poważnych zjawisk, leżała poza jego rozumieniem. Atmosfera dusiła go, tęsknił za powietrzem i przestrzenią. Skręcił na skraj jaru i lawirując od drzewa do drzewa, zaczął się wspinać na strome zbocze.

Gdy dotarł na szczyt, Branchspell naparł na niego z taką brutalną intensywnością, że zrozumiał, iż nie może tu pozostać. Rozejrzał się, by zorientować się w okolicy. Znajdował się jakieś dziesięć mil od morza lotem ptaka. Nagie pofałdowane pagórki opadały w tamtym kierunku, a w dali błyszczała woda; na horyzoncie można było dostrzec Wyspę Swaylone'a. Od północy, tak daleko, jak dało się sięgnąć wzrokiem, teren cały czas się wznosił. Za grzbietem – czyli jakieś kilka mil dalej – widniała czarna linia fantastycznie ukształtowanych skał o całkiem innym charakterze. Najprawdopodobniej był to Threal. Za nim, z pięćdziesiąt, a może nawet ze sto mil dalej, na tle nieba widać było szczyty Lichstormu pokryte w większości zielonkawym błyszczącym w słońcu śniegiem.

Kontury gór były niesamowite i oszałamiająco wysokie. Większość z nich ukształtowana była stożkowato, ale na samych szczytach wielkie masy górskie piętrzyły się pod nieprawdopodobnymi kątami, zwieszając się bez widocznego podparcia. Łąd obiecujący coś nowego, nadzwyczajni mieszkańcy – pomyślał Maskull. Pojawiła się myśl, żeby się tam udać, iść najszybciej jak można; być może mógłby tam dotrzeć jeszcze przed zachodem słońca. Same góry interesowały go mniej niż leżąca za nimi kraina i możliwość zobaczenia błękitnego słońca, o którym sądził, że będzie największym cudem na Tormance.

Najprostsza droga prowadziła przez wzgórze, lecz to było poza dyskusją z uwagi na zabójczy upał i brak cienia. Doszedł jednak do wniosku, że doliną nie zboczy za bardzo z drogi, więc zdecydował się iść

nią przez jakiś czas, choć również nie lubił i bał się jej. Zsunął się więc z powrotem do tej wylegarni.

Już na dole, trzymał się przez kilka mil krętej doliny, idąc w słońcu i w cieniu. Droga stawała się coraz trudniejsza. Klify zbliżały się do siebie, aż w końcu odległość między nimi zrobiła się mniejsza niż sto jardów, a jar jednocześnie został zablokowany głazami, wielkimi i małymi, w taki sposób, że niewielki potok, do którego rozmiarów zmniejszyła się rzeczka, przeciskał się jak mógł pomiędzy nimi. Formy życia stały się jeszcze dziwniejsze. Stuprocentowe rośliny i zwierzęta stopniowo zniknęły, a ich miejsce zajęły osobliwe stwory wydające się mieć pośredni charakter. Miały kończyny, twarze, wolną wolę i inteligencję, ale przez większość czasu pozostawały z wyboru zakorzenione w gruncie i pobierały pokarm jedynie z gleby i powietrza. Maskull nie zauważył u nich żadnych organów płciowych i nie mógł zrozumieć, skąd się biorą młode.

Nagle zobaczył zdumiewającą rzecz. Duże i dojrzałe roślino-zwierzę wychynęło przed nim niespodziewanie z niczego. Nie mógł uwierzyć własnym oczom; przez dłuższy czas gapił się w zdumieniu na stwora. Stworzenie zaczęło spokojnie poruszać się i zagrzebywać przed nim, jak gdyby było tam od zawsze. Maskull zrezygnował z rozwiązywania tej zagadki i podjął dalszą wędrówkę w górę wąwozu, od skały do skały, a wtedy – spokojnie i bez ostrzeżenia – to samo zjawisko wystąpiło ponownie. Nie mógł już dłużej wątpić, że widzi cuda – że Natura dostarcza swoje twory na świat bez pośrednictwa procesów rozrodczych. Żadne inne rozwiązanie problemu nie przychodziło mu do głowy.

Potok również zmienił swój charakter. Z zielonej wody promieniowało drżące iskrzenie, jakby jakaś uwięziona siła wyrwała się na wolność. Od jakiegoś czasu szedł suchym brzegiem, ale teraz wszedł do wody, by sprawdzić to zjawisko. Poczul nowe życie wstępujące w jego ciało, od stóp w górę; przypominało to raczej powoli narastającą tklivość niż wyłącznie ciepło. Uczucie to było dla niego całkiem nowym doświadczeniem, chociaż instynktownie wiedział, co to takiego. Energia emitowana przez strumień wstępowała w jego ciało nie jako przyjaciel czy wróg, ale po prostu dlatego, że było jej po drodze do celu znajdującego się gdzieś indziej. I chociaż nie miała wrogich intencji, mogła się łatwo okazać nieprzyjemnym towarzyszem; rozumiał dobrze, że jej przejście przez jego ciało groziło jakąś fizyczną transformacją, o ile nie uda mu się temu zapobiec. Wyskoczywszy szybko z wody, oparł się o skałę, naprężył mięśnie i natężył się, oczekując zbliżającego się ataku. W tym momencie jego wzrok znów dosięgło zmętnienie i w czasie, gdy się z tym zmagał, jego czoło pokryło się całą galaktyką nowych oczu. Sięgnął ręką i naliczył sześć w dodatku do swoich własnych.

Niebezpieczeństwo minęło i Maskull roześmiał się, gratulując sobie, że wyszedł z tego tak łatwo. Zaciekawilo go, do czego mu posłużą te nowe organy – czy to dobrze, czy źle, że je posiada. Nie uszedł dalej nawet dziesięciu kroków, gdy wszystko stało się jasne. Akurat zeskakiwał z głazu, gdy jego sposób widzenia zmienił się. Odruchowo stanął. Odbierał teraz dwa światy równocześnie. Własnymi oczami widział wąwóz taki jak przedtem – skały, potok, roślino-zwierzęta, blask słońca i cienie. Nowymi oczami natomiast widział co innego. Wszystkie szczegóły doliny były widoczne, ale światło jakby przygasło i wszystko wydawało się niewyraźne, ciężkie i bez koloru. Słońce było przesłonięte masą chmur zakrywających całe niebo. Kłębiły się gwałtownymi, prawie żywymi ruchami. Opary te stanowiły grubą warstwę, choć dość rzadką, ale istniały też miejsca różniące się znacznie gęstością, w których cząsteczki zostały ściśnięte lub rozrzedzone ruchem. Zielone iskry ze strumienia – teraz, jeśli się dobrze przypatrzył, mógł je zobaczyć pojedynczo – polatywały w górę, w kierunku chmur, ale w chwili, w której już w nie wpadły, zaczynały się jakby straszliwe zmagania. Iskry starały się uciec powyżej chmur, a te zagęszczały się na ich drodze, próbując utworzyć na tyle gęstą pułapkę, żeby uniemożliwić dalszy ruch. O ile Maskull mógł to stwierdzić, większości iskiek udawało się w końcu przedrzeć po szaleńczych staraniach, niemniej zaobserwował jedną, która została schwytana. Chmury otoczyły ją pełnym kręgiem i iskra – pomimo gwałtownych skoków i rzucania się we wszystkich kierunkach jak schwytane w sieć żywe, dzikie stworzenie – nie mogła znaleźć wyjścia. Gdzie by nie poleciała, ciągnęła za sobą otaczającą ją materię chmur. Opary wciąż nie przestawały zbierać się wokół niej, aż w końcu zaczęły przypominać czarne, skompresowane masy niebieskie przed ciężką burzą. Wówczas zielona iskra, która była wciąż widoczna wewnątrz, zaprzestała wysiłków i przez jakiś czas zachowywała się całkiem biernie. Chmury nie przestawały się zagęszczać, aż stały się niemal sferyczne; robiąc się coraz grubsze i bardziej nieruchome, zaczęły opuszczać się powoli na dno doliny. Gdy znalazły się naprzeciw Maskulla, tylko o kilka stóp od ziemi, ich ruch zanikł. Spokój trwał przynajmniej przez dwie minuty. Nagle, jak uderzenie błyskawicy, wielka chmura implodowała, stała się mała, wklęsła i kolorowa, po czym już jako roślino-zwierzę zaczęła chodzić na nogach i ukorzeniać się w glebie w poszukiwaniu jedzenia. Finalny etap tego procesu Maskull zobaczył już swoimi normalnymi oczami. Poznał sposób cudownego pojawiania się stworzeń z niczego.

Zjawisko wstrząsnęło nim. Cynizm opuścił go i został zastąpiony przez ciekawość i podziw. To jest dokładnie jak ucieleśnienie myśli – powiedział do siebie. Tylko czyjej? Jakiś wielki Żywy Umysł pracuje w tym miejscu. Jest inteligentny, bo przecież te wszystkie formy różnią się od siebie. I ma charakter, bo wszystkie są tego samego typu... O ile się nie mylę i jeśli to jest moc zwana Shapingiem lub Crystalmanem, to widziałem już dość, aby chcieć dowiedzieć się czegoś więcej o nim... Byłbym śmieszny szukając innych zagadek, nie rozwiązawszy wcześniej tej.

Z tyłu dobiegł go jakiś głos. Odwrócił się i w pewnej odległości w dole wąwozu zobaczył ludzką sylwetkę zmierzającą pospiesznie w jego kierunku. Postać wyglądała bardziej na mężczyznę niż kobietę. Dość wysokiego, zwinnego mężczyznę ubranego w czarne ubranie podobne do sukni od szyi do kolan. Jego głowa była owinięta turbanem. Maskull zatrzymał się, a gdy tamten podszedł bliżej, zrobił kilka kroków w jego kierunku.

I wtedy znów poczuł się zaskoczony, gdyż osoba ta, chociaż bez wątpliwości ludzka istota, nie była ani mężczyzną, ani kobietą, ani niczym pośrednim. Była to trzecia, całkowicie odmienna płeć – co było godne uwagi, choć trudne do zrozumienia. Żeby ubrać w słowa wrażenia związane z płcią tamtego, powstałe w umyśle Maskulla na widok fizycznych cech przybysza, konieczne stało się stworzenie nowego zaimka, gdyż żaden z używanych na Ziemi nie ma tu zastosowania. Zamiast „on”, „ona” czy „ono” będziemy więc używać „one”.

Z początku Maskull nie był w stanie pojąć dlaczego osobliwości cielesne tej istoty miałyby upewniać go w tym, że wynikają z płci, a nie z różnic rasowych, chociaż sam ten fakt nie budził w nim żadnych wątpliwości. Ciało, twarz i oczy nie były z pewnością ani męskie, ani kobiece, ale w jakiś sposób całkiem inne. Dokładnie tak samo jak można, bez względu nawet na kształt ciała, odróżnić na pierwszy rzut oka kobietę od mężczyzny po pewnych niezdefiniowanych różnicach w wyrazie twarzy i zachowaniu, tak samo przybysz odróżniał się wyglądem od obojga. Podobnie jak kobiety i mężczyźni całą postacią wyrażał utajoną zmysłowość nadającą figurze i twarzy specyficzny charakter. To musi być miłość, zdecydował Maskull. Tylko jaka? Do kogo? Nie była to ani wstydliva namietność mężczyzny, ani głęboko zakorzeniony instynkt kobiety poddającej się przeznaczeniu. Było to równie prawdziwe i nieodparte jak tamte, ale całkowicie inne.

Gdy tak wpatrywał się w te dziwne, nieprawdopodobnie stare oczy, intuicyjnie poczuł, że kochankiem tamtego jest nie kto inny, ale tylko sam Shaping. Zrozumiał, że charakter tej miłości nie ma na celu zapewnienia ciągłości rasy, ale nieśmiertelności jednostce na ziemi. Dzieci z tego nie będzie – to *one* było wiecznym dzieckiem. Co więcej *one* brało jak mężczyzna, ale dawało jak kobieta. Wszystko to było mętnie i myląco uzewnętrzniane przez tę niezwykłą istotę, wydającą się przybywać z innego czasu, gdzie procesy stwórcze były odmienne.

Ze wszystkich dziwnych osobowości, które Maskull spotkał na Tormance, ta jedna uderzyła go jako nieskończenie najbardziej obca – a właściwie najdalej oddalona od niego w duchowym charakterze. Nawet gdyby mieli żyć razem przez sto lat, nigdy nie mogliby zostać kumplami.

Maskull ocknął się z transu tej medytacji i przyglądając się przybyszowi dokładniej, spróbował ze zrozumieniem wykorzystać cudowne rzeczy podpowiadane mu przez intuicję. Szerokie ramiona, grube kości i brak kobiecego biustu – na tyle przypominało *one* mężczyznę. Ale kości były tak płaskie i kanciaste, że ciało miało w sobie coś z kryształu – gładkie powierzchnie w miejsce krzywizn. Ciało nie wyglądało na takie, któremu bezmiar czasu wygładził i zaokrąglił wszystkie regularności, ale na takie, co wyrosło już kanciaste i płaskie jako wynik pojedynczej, raptownej idei. Twarz również była pomarszczona i nieregularna. Maskull, ze swoimi uprzedzeniami rasowymi, widział w tym niewiele urody, chociaż uroda była, ale ani męska, ani kobieca. Posiadało jednak trzy jej najistotniejsze cechy: osobowość, inteligencję i wewnętrzny spokój. Skórę miało koloru miedzi, dziwnie błyszczącą, jakby podświetlaną, twarz była bez zarostu, ale włosy na głowie miało długie jak u kobiety i zaplecione w pojedynczy warkocz, opadający z tyłu prawie do kostek. I tylko dwoje oczu. Część turbanu osłaniająca czoło odstawała tak bardzo, że musiała zakrywać jakiś narząd.

Określenie jego wieku Maskull uznał za niemożliwe. Ciało wydawało się prężne, sprawne i zdrowe, skóra czysta i błyszcząca; oczy bystre i żywe – mogło być bardzo młode. Niemniej im dłużej Maskull się mu przyglądał, tym bardziej miał wrażenie niewiarygodnej starości – jego prawdziwa młodość wydawała się być tak odległa, jak widok obserwowany przez odwróconą lunetę.

W końcu jednak odezwał się do przybysza, chociaż było to tak, jakby rozmawiał z kimś we śnie.

— Jaka jest twoja płeć — zapytał.

Głos, który usłyszał w odpowiedzi, nie był ani męski, ani kobiecy, ale miał dziwnie sugestywne, mistyczne brzmienie leśnego rogu słyszanego z dużej odległości.

— W obecnych czasach są kobiety i mężczyźni, ale dawno temu świat był zaludniony przez „phaeny”. Wydaje mi się, że jestem ostatnim z tych wszystkich istot, które przewinęły się przez umysł Faceny'ego.

— Faceny'ego?

— To ten, którego teraz fałszywie nazywa się Shapingiem lub Crystalmanem. Banalne imiona nadane mu przez banalne istoty.

— A ty, jak masz na imię?

— Leehallfae.

— Jak?

— Leehallfae. A ty jesteś Maskull. Czytam w twoim umyśle, że wydarzyły ci się właśnie cudowne przygody. Wydajesz się posiadać niesamowite szczęście. Jeśli to potrwa wystarczająco długo, być może uda mi się to wykorzystać.

— Uważasz, że moje szczęście jest dla twojej korzyści?... Zresztą, dajmy sobie z tym spokój. Interesuje mnie twoja płeć. W jaki sposób zaspokajasz swoje żądze?

— Przy pomocy tego. — Leehallfae wskazał narząd ukryty powyżej brwi. — Kolekcjonuję życie ze strumieni płynących we wszystkich stu dolinach Matterplay. Strumienie biją wprost z Faceny'ego. *Spędziłem* całe życie próbując go odnaleźć. *Polowałem* tak długo, że gdybym *powiedziało* ci, ile to lat, to byś pomyślał, że kłamię.

Maskull spojrzał przeciągle na *phaen*.

— Spotkałem w Ifdawn kogoś z Matterplay – młodego człowieka imieniem Digrung. Wchłonałem go.

— Nie masz się czym chwalić.

— To była straszna zbrodnia. Coś z tego wyniknie?

Leehallfae zmarszczyło się w zagadkowym uśmiechu.

— W Matterplay będzie ci się wiercił w środku, bo wyczuwa tutejszą atmosferę. Już masz jego oczy... Znałem go... Ale uważaj na siebie, bo może ci się przydarzyć coś jeszcze bardziej zdumiewającego. I trzymaj się z dala od wody.

— Ta dolina wydaje mi się straszna, wszystko się tu może wydarzyć.

— Nie zwracaj sobie głowy Digrungiem. Ta dolina właściwie należy do *phaenów*. Ludzie są tutaj intruzami. Dobrze by było usunąć ich stąd.

— Oczywiście, ale widzę, że powinienem być ostrożny — skonkludował Maskull. — A co masz na myśli, mówiąc, że moje szczęście może być dla ciebie użyteczne?

— Twoje szczęście szybko słabnie, ale wciąż może być wystarczające, żebym *mogło* je spożytkować. Razem poszukamy Threalu.

— Poszukamy Threalu? A dlaczego? Tak trudno go znaleźć?

— *Mówiłem* ci już, że całe moje życie *spędziłem* na poszukiwaniach.

— Ale *mówiłeś* o Facenym.

Phaen zmierzyło go swoimi dziwnymi, starymi oczami i znów się uśmiechnęło.

— Ten strumień, Maskullu, jak wszystkie strumienie życia w Matterplay, ma swoje źródło w Facenym. Ale wszystkie te strumienie wypływają z Threalu, to w Threalu musimy szukać Faceny'ego.

— A co ci przeszkadza w znalezieniu Threalu? Z pewnością jest to bardzo znana kraina.

— Ta kraina leży pod ziemią. Niewiele jest przejść do świata na górze i nikt, z kim kiedykolwiek rozmawiałem, nie wie, gdzie one są. *Schodziłem* już wzgórze i doliny. *Byłem* u samych bram Lichstormu. Jestem tak stare, że wasi starcy przy mnie wydaliby się noworodkami i wciąż jestem tak samo daleko od

Threalu, jak wtedy, gdy *byłam* żółtodziobem, żyjącym w tłumie *phaenów*.

— W takim razie, jeśli ja mam szczęście, to ty go nie masz wcale. A co zrobisz, gdy już znajdziesz Faceny'ego?

Leehallfae popatrzyło na niego w milczeniu. Uśmiech spętał mu z twarzy, a jego miejsce zajął wyraz takiej nieziemskiej boleści i smutku, że Maskull już o nic nie pytał. *Phaen* było opanowane żalem i tęsknotą za kochankiem na wieczność odseparowanym od kochającego; za kochankiem, którego woń i ślady są cały czas obecne. Ta pasja odcisnęła się na jego naturze dzikim, surowym, duchowym pięknem daleko przewyższającym piękno jakiegokolwiek kobiety czy mężczyzny.

To wrażenie zniknęło nagle i gwałtowny kontrast ukazał Maskullowi prawdziwe Leehallfae. Jego zmysłowość była niepowtarzalna, lecz pospolita – coś jak heroizm samotnika o zwierzęcych pragnieniach i niespożytym uporze.

Spojrzał na *phaen* sceptycznie i poklepał się po udach.

— No dobrze — powiedział — pójdziemy razem. Może coś znajdziemy. Tak czy owak nie będę żałował rozmowy z taką niezwykłą osobą jak ty.

— Muszę cię jednak ostrzec, Maskull, że ty i ja jesteśmy różnymi stworzeniami. Ciało *phaenów* zawiera całość życia, a ciało mężczyzny tylko połowę; druga połowa należy do kobiety. Faceny może być zbyt mocny do przełknięcia i twoje ciało może tego nie wytrzymać... Nie będziesz się czuł z tym źle?

— Już zobojeźniałem na te różne uczucia. Muszę uważać na to, na co mogę, a resztę brać na los szczęścia. — Maskull schylił się, chwycił rąbek cienkiej, szorstkiej togi *phaen*, oddarł od niej szeroki pas i owinał sobie kilka razy czoło. — Pamiętam o twojej radzie, Leehallfae. Nie chciałbym wyruszyć w drogę jako Maskull, a wrócić jako Digrung.

Phaen skrzywiło się w uśmiechu i ruszyli w górę strumienia. Droga była uciążliwa. Musieli skakać z głazu na głaz, co okazało się męczące. Od czasu do czasu pojawiały się trudniejsze przeszkody, które dawało się pokonać jedynie wspinaczką. Przez dłuższy czas nie rozmawiali ze sobą. Maskull, o ile to było możliwe, trzymał się rady swego towarzysza i unikał wody, chociaż tu i tam był zmuszony zamoczyć stopę. Za drugim czy za trzecim razem poczuł nagły ból w ramieniu, tym skaleczonym przez Kraga. Oczy zaświeciły mu radośnie, strach zniknął i zaczął z rozmysłem wchodzić do strumienia.

Leehallfae podrapało się po brodzie i zaczęło obserwować go spod oka, próbując zrozumieć, co się dzieje.

— O co chodzi, Maskull — zapytało — czy twoje szczęście przemówiło do ciebie?

— Słuchaj, masz prastare doświadczenie, więc kto jak kto, ale ty musisz to wiedzieć. Co to jest Muspel?

Twarz *phaen* nie zmieniła wyrazu.

— Nie znam tej nazwy — odpowiedziało.

— To coś w rodzaju jakiegoś innego świata.

— Niemożliwe. Jest tylko jeden świat, świat Faceny'ego.

Maskull podszedł i chwycił go za rękę.

— Cieszę się, Leehallfae — powiedział — że jestem tu z tobą, gdyż ta dolina i wszystko, co się z nią łączy, wymaga mnóstwa wyjaśnień. Na przykład w tym miejscu pozostało niewiele form organicznych; dlaczego one zniknęły? Nazywasz ten strumień „strumieniem życia”, a przecież czym bliżej jesteśmy jego źródeł, tym mniej życia się w nim pojawia. Milę czy dwie w dół były te roślino-zwierzęta pojawiające się spontanicznie z niczego, a jeszcze niżej, w kierunku morza, rośliny i zwierzęta kłębiły się jedno na drugim. Teraz, jeśli połączyć to wszystko w ten czy inny sposób z twoim tajemniczym Facenym, wydaje mi się, że musi on mieć jakąś bardzo paradoksalną naturę. Jego siła stwórcza nie tworzy form, dopóki gruntownie nie osłabnie i nie namięknie... A zresztą, chyba oboje gadamy głupstwa.

— To wszystko się zazębia — Leehallfae potrząsnęło głową. — Strumień jest życiem i wyrzuca przez cały czas iskry życia. Gdy iskra zostaje przechwycona przez materię, staje się żywym organizmem. Im bliżej źródła strumienia, tym niewyobrażalnie większa jest jej żywotność. Sam zobaczysz, gdy dotrzemy już do krańca doliny, że nie występują tam już żadne formy życia. To oznacza, że nie ma tam takiej

materii, która byłaby wystarczająco gęsta, żeby przechwycić i zatrzymać którąś z tych mocarnych iskier tam występujących. Niżej, w dole strumienia, większość iskier jest wystarczająco szybka, żeby uciec w górne warstwy atmosfery, ale niektóre z nich są zatrzymywane dość nisko i te natychmiast oblekają się ciałem. Ja właśnie jestem tego typu. Jeszcze dalej w dół, ku morzu, strumień traci większą część swojej siły vitalnej i iskry stają się leniwe i ospałe. Pryskają raczej na boki niż do góry. A materii, na tyle delikatnej, żeby nie była zdolna do przechwycenia tych słabowitych iskier, jest tam niewiele, więc są chwytane w wielkiej ilości, co skutkuje tym, że mogłeś zobaczyć te niezliczone formy życia. Ale to nie tylko dlatego; iskry przechodzą z jednego ciała do innego drogą prokreacji i nigdy nie należy oczekiwać końca ich bytu, dopóki nie zużyją się i nie rozpadną. Na samym dole jest Morze Topielne. Tam zdegenerowane i osłabione życie ze strumieni Matterplay ma dla swoich form cały przestwór wód. Ich siła jest jednak tak słaba, że zupełnie nie są w stanie wytworzyć jakiegokolwiek formy życia, chociaż w ujściach można zobaczyć nieustanne, bezowocne próby dokonania tego.

— Czyli powolny rozwój kobiet i mężczyzn jest spowodowany słabością ich zarodków życia?

— Dokładnie. Nie są one w stanie zaspokoić wszystkich żądz jednocześnie. Rozumiesz więc niezmierną wyższość phaenów, które wyrastają spontanicznie z bardziej naładowanych i żywotnych iskier.

— A skąd się bierze materia, która wiąże te iskry?

— Gdy życie umiera, staje się materią. Sama materia też umiera, ale jej miejsce zajmuje nieustannie nowa materia.

— No, ale jeśli życie pochodzi od Faceny'ego, to jak może w ogóle umrzeć?

— Życie to myśli Faceny'ego i poza jego umysłem, gdy już go opuszczają, są niczym. Wyłącznie stygającym popiołem.

— Niezbyt radosna filozofia — powiedział Maskull. — A kim jest, w takim razie, sam Faceny i po co w ogóle myśli?

Leehallfae ponownie skrzywiło się w uśmiechu.

— To również ci wyjaśnię. Faceny to tutejsza przyroda. Stawia czoło Nicości we wszystkich kierunkach. Nie ma tyłu, nie ma boków, cały jest twarzą, a ta twarz jest jego ciałem. Taki być musi, gdyż nic więcej nie może zaistnieć między nim a Nicością. Jego twarz to sam wzrok, którym nieustannie kontempluje Nicość. Stamtąd czerpie on swoje inspiracje; tylko w ten sposób czuje, że jest. Z tego samego powodu *phaeny*, a nawet ludzie, lubią przebywać w pustych miejscach i rozległych samotniach, gdyż każdy jest po trochu Facenym.

— To brzmi wiarygodnie — powiedział Maskull.

— Myśli płyną nieustannie z twarzy Faceny'ego do tyłu. A ponieważ jego twarz jest ze wszystkich stron, płyną do wnętrza. Ciąg myśli płynie więc bez przerwy z Nicości do wewnątrz Faceny'ego, który jest światem. Myśli stają się ciałami i zaludniają świat. Ten zewnętrzny świat zatem, ten, który rozciąga się wokół nas, nie jest wcale na zewnątrz, jak na to wygląda, ale wewnątrz. Widzialny wszechświat jest jak gigantyczny żołądek, a prawdziwego zewnątrz świata nigdy nie zobaczymy.

Maskull przez chwilę zastanawiał się głęboko.

— Leehallfae, wciąż nie udało mi się zrozumieć, czego ty osobiście oczekujesz, będąc jedynie odrzuconą, umierającą myślą?

— Nigdy się nie kochałeś z kobietą? — zapytało chłodno *phaen*.

— Przypadkiem zdarzało mi się.

— A gdy się kochałeś, nie miałeś chwil uniesienia?

— Pytasz o to samo, tylko innymi słowami.

— W tych chwilach byłeś blisko Faceny'ego. Gdybyś mógł zbliżyć się jeszcze bardziej, nie zrobiłbyś tego?

— Zrobiłbym, bez względu na konsekwencje.

— Nawet gdybyś osobiście niczego nie oczekiwał?

— Przecież oczekiwałam właśnie tego.

Leehallfae szło dalej w milczeniu.

— Mężczyzna jest połową życia — odezwało się nagle — a kobieta drugą połową, natomiast *phaen* jest całym życiem. Co więcej, gdy życie rozpada się na połówki, coś jeszcze odpada od niego – coś, co należy tylko do całości. Twojej miłości nie można porównywać z moją. Skoro nawet twoja ospała krew ciągnie cię do Faceny'ego, to pomijając już tego efekty, jak myślisz, co się dzieje ze mną.

— Ja nie kwestionuję prawdziwości twojej namiętności — odpowiedział Maskull. — Żałuję tylko, że nie widzisz sposobu zabrania tego na tamten świat.

Leehallfae uśmiechnęło się niewyraźnie, wyrażając w ten sposób bóg wie jakie emocje.

— Mężczyźni myślą to, co chcą, a *phaeny* są tak skonstruowane, że widzą świat takim, jakim jest on naprawdę.

To kończyło dyskusję.

Słońce stało wysoko na niebie. Wyglądało na to, że zbliżają się do krańca wąwozu. Jego ściany wciąż się zbliżały do siebie i jeśli nie liczyć tych chwil, kiedy Branchspell był dokładnie z tyłu, szli cały czas w głębokim cieniu; niemniej wciąż było spokojnie i nieznośnie gorąco. Życie zanikło całkowicie. Powierzchnia skał, kamienisty grunt, głazy blokujące jar na całej szerokości, wszystko to stwarzało piękną, fantastyczną scenerię. Śnieżnobiałe wapienie poprzecinane były gęstą siatką błyszczących, jasnoniebieskich żył. Rzeczka nie była już zielona, lecz kryształowo przezroczysta. Szumiała melodyjnie i wszystko razem wyglądało uroczo i romantycznie. Leehallfae wydawało się jednak widzieć w tym coś jeszcze – jego rysy coraz bardziej się wyostrzały i wzbierały bólem.

Jakieś pół godziny po tym, gdy zniknęły ostatnie formy życia, na ich oczach zmaterializowało się kolejne roślino-zwierzę. Było wysokie jak Maskull i miało wspaniały, pełen wigoru wygląd, jaki powinno mieć stworzenie przybyłe wprost z kuźni przyrody. Stwór ruszył z miejsca, ale ledwo to zrobił, eksplodował bezgłośnie. Nic z niego nie zostało – całe ciało zmieniło się błyskawicznie w tę samą niewidzialną mgłę, z której powstało.

— To potwierdza to, co mówiłeś — skomentował Maskull, nieco zbladłszy.

— Tak — odrzekło Leehallfae — wkraczamy w rejon potężnego życia.

— No to skoro w tym masz rację, to powinienem uwierzyć we wszystko, co powiedziałeś.

Gdy wypowiadał te słowa, mijali właśnie zakręt jaru. Przed nimi wyłoniło się pionowe urwisko zbudowane z białej skały mające prawie trzysta stóp wysokości. To był początek doliny i koniec ich drogi.

— W zamian za moje mądrości — powiedziało *phaen* — użyczysz mi teraz swojego szczęścia.

Podeszli do podstawy urwiska. Maskull popatrzył na nie z zadumą. Można było się wspiąć na górę, ale byłoby to trudne. Strumień, obecnie bardzo wąty, tryskał z dziury w skale kilka stóp powyżej. Oprócz jego melodyjnego szumu panowała całkowita cisza. Dno jaru znajdowało się w cieniu, ale od połowy wysokości w górę ściana była oświetlona słońcem.

— Co chcesz, żebym zrobił? — zapytał Maskull.

— Wszystko jest w twoich rękach. Ja nie mam żadnych sugestii. Teraz musi nam pomóc twoje szczęście.

Maskull przez chwilę gapił się do góry.

— Leehallfae, odłóżmy to lepiej na popołudnie. Prawdopodobnie będę musiał się wspiąć na szczyt, ale na razie jest zbyt gorąco, a poza tym jestem zmęczony. Muszę złapać kilka godzin snu. Potem zobaczymy.

Leehallfae wydawało się być tym poirytowane, ale nie zgłosiło sprzeciwu.

Rozdział 17

Corpang

Gdy Maskull się obudził, było już długo po *blodsombre*. Leehallfae stało nad nim i przyglądało mu się. Wątpił, czy w ogóle spało.

— Która godzina? — zapytał, siadając i przecierając oczy.

— Dzień przemija — padła mętna odpowiedź.

Maskull wstał i spojrzał na ścianę urwiska.

— Wejdę na górę — powiedział. — Nie ma potrzeby, żebyśmy oboje ryzykowali, więc poczekaj tutaj. Jeśli coś tam znajdzie, to cię zawołam.

Phaen spojrzało na niego dziwnie.

— Tam nie ma nic oprócz nagich zboczy — powiedziało. — Chodzę tam często. Chyba że masz coś specjalnego na myśli?

— Wysokości często mnie inspirują. Usiądź i poczekaj.

Odświeżony snem, Maskull od razu zaatakował ścianę i pierwsze dwadzieścia stóp pokonał, nie zatrzymując się. Potem ekspozycja wzrosła i wspinaczka zaczęła wymagać większej ostrożności i rozważań. Niewiele było chwytów dla rąk czy stóp; musiał się zastanawiać nad każdym krokiem. Z drugiej strony to była przyzwoita ściana, a on nie był nowicjuszem w tej dziedzinie. Branchspell oświetlał skałę tak mocno, że odbłyски niemal go oślepiały.

Po wielu wątpliwościach i postojach dotarł pod sam szczyt. Był zgrzany, mocno spocony i nieco oszołomiony. By dostać się na gzyms, chwycił oboma rękami dwa występy skalne, próbując jednocześnie znaleźć nogami oparcie między nimi. Lewy występ, większy z nich, oberwał się pod jego ciężarem i jak ogromny cień przeleciał mu obok głowy, po czym rąbnął z okropnym hukiem u stóp ściany. Za nim posypała się lawina mniejszych kamieni. Maskull chwycił się najlepiej, jak mógł, ale minął jakiś czas, zanim ośmielił się spojrzeć w dół za siebie.

W pierwszej chwili nie był w stanie zlokalizować Leehallfae. Potem zobaczył nogi i dolną część ciała na ścianie kilka stóp powyżej gruntu. Domyślił się, że *phaen* trzyma głowę w wyżłobieniu, sprawdzając tam coś. Czekał więc, dopóki znów nie będzie widoczne.

— Wejście jest tutaj! — zawołało *phaen* swoim dźwięcznym głosem, spoglądając na Maskulla, gdy już wydostało się z wyżłobienia.

— Schodzę! — krzyknął Maskull. — Czekaj na mnie!

Schodził szybko, nie dbając zbyt o bezpieczeństwo, gdyż uznał, iż jego „szczęście” potwierdziło się w tym odkryciu i w niecałe dwadzieścia minut był już na dole.

— Co się stało? — zapytał.

— Skała, którą oberwałeś, uderzyła w występ skalny tuż na źródłem. Wybiła go ze ściany. I spójrz, tu jest wejście!

— Nie podniecaj się tak! — powiedział Maskull. — To istotne wydarzenie, ale mamy mnóstwo czasu. Daj mi popatrzeć.

Zajrzał w otwór, który był wystarczająco duży, by zmieścić się w nim nawet rosły mężczyzna. W porównaniu ze światłem dnia na zewnątrz w środku było ciemno, niemniej wewnątrz przenikała osobliwa poświata pozwalająca widzieć wystarczająco dobrze. W zasięgu wzroku skalny tunel prowadził prosto do wnętrza góry. Płynący doliną strumień nie spływał dnem tunelu, jak tego oczekiwał, ale wybijał jako źródło tuż przy wejściu.

— No dobrze, Leehallfae, chyba nie ma tu o czym dyskutować, co? Zauważ jednak, że twój strumień porzuca nasze towarzystwo. — Odwrócił się, oczekując odpowiedzi i zauważył, że jego towarzysz drży

na całym ciele. — Ej, co się stało? — zapytał.

Leehallfae położyło sobie rękę na sercu.

— Strumień nas opuszcza, ale to, co sprawia, że jest on tym, czym jest, wciąż pozostaje z nami. Tam jest Faceny.

— No... chyba nie spodziewasz się spotkać go osobiście? Czemu się tak trzęsiesz?

— To może się okazać zbyt wiele, jak dla mnie.

— Dlaczego? Tak to wpływa na ciebie?

Phaen chwyciło Maskulla za ramię i przytrzymało na wyciągnięcie ręki, próbując go przejrzeć rozbieganymi oczami.

— Myśli Faceny'ego są nieprzeniknione. Ja jestem jego kochankiem, ty jesteś kochankiem kobiet, a mimo to on daje tobie to, czego odmawia mnie.

— A cóż on mi daje?

— Pozwala ci zobaczyć siebie i żyć. A ja umrę. To zresztą nieistotne. Jutro i tak obaj będziemy martwi.

Maskull stracił z niecierpliwością rękę *phaen*.

— Twoje wrażenia mogą się odnosić do ciebie, skąd jednak wiesz, że ja umrę?

— Życie w tobie się rozpala — odpowiedziało Leehallfae, potrząsając głową — a gdy osiągnie punkt kulminacyjny, być może już dziś w nocy, wypali się raptownie i jutro umrzesz. A co do mnie, to jeśli dostanę się do Threalu, nigdy już stamtąd nie powrócę. Z tej dziury wieje dla mnie zapachem śmierci.

— Mówisz jak przerażony mężczyzna. Ja niczego nie czuję.

— Nie jestem przerażone — powiedziało cicho Leehallfae, stopniowo odzyskując spokój — ale gdy ktoś żyje tak długo jak ja, umieranie jest poważną sprawą. Każdy rok pozostawia swoje korzenie.

— Zdecyduj się więc, co masz zamiar zrobić — powiedział Maskull z odcieniem pogardy w głosie — bo ja zaraz idę.

Phaen rzuciło dziwne, zamyślane spojrzenie na wawóz, po czym bez słowa weszło do jaskini. Maskull podrapał się po głowie i poszedł deptać mu po piętach.

Gdy tylko minęli bulgoczące źródło, powietrze się zmieniło. Nie będąc zastale ani przykre, ochłodziło się, stało się bardziej przejrzyste i czyste oraz w jakiś sposób narzucające ponure i grobowe myśli. Światło dzienne zniknęło za pierwszym zakrętem tunelu. Potem Maskull już nie mógł określić skąd pochodzi światło. Samo powietrze musiało świecić, gdyż światło było tak jasne jak księżyc na Ziemi, ale ani on, ani Leehallfae nie rzucali cienia. Inną osobliwością tego światła było to, że obie ściany tunelu, a także ich ciała wydawały się nie mieć koloru. Wszystko było czarno-białe jak krajobraz na Księżycu. To jeszcze pogłębiało żalobny nastrój wytwarzany w tym miejscu.

Po jakichś dziesięciu minutach tunel zaczął się poszerzać. Sześciu mężczyzn mogłoby teraz iść obok siebie, a sklepienie podniosło się wysoko ponad głowy. Leehallfae wyraźnie słabło. Wlokło się z opuszczoną głową, smętnie i powoli.

— Nie możesz tak iść dalej — powiedział Maskull, podtrzymując je. — Zabiorę cię z powrotem.

Phaen uśmiechnęło się i zatoczyło.

— Umieram — powiedziało.

— Nie mów takich rzeczy. To tylko przejściowa niedyspozycja. Zabiorę cię na światło dzienne.

— Nie, pomóż mi iść dalej. Chcę zobaczyć Faceny'ego.

— Z chorymi się nie dyskutuje — powiedział Maskull. Objął Leehallfae ramieniem i pomaszerował szybko do przodu. Jakies sto jardów dalej wyszli z tunelu i zobaczyli świat nieporównywalny z niczym, co oglądali wcześniej.

— Posadź mnie tu! — zażądało Leehallfae słabym głosem. — Tutaj umrę.

Maskull posłuchał i położył *phaen* płasko na skalistym gruncie. Uniosło się z bolesnym trudem na

jednej ręce i wpatrzyło szybko szklącym się wzrokiem w tajemniczy krajobraz.

Maskull również się rozejrzał i zobaczył rozległą, pofałdowaną równinę oświetloną jakby światłem księżyca – chociaż księżyca tam oczywiście nie było i nie było też cieni. W dali dojrzał płynące strumienie. Poza tym były tu osobliwe drzewa; zakorzenione były w ziemi, ale ich gałęzie również były napowietrznymi korzeniami i nie miały liści. Innych roślin nie widział. Gleba była miękką, porowatą skałą przypominającą pumeks. Jakąś milę czy dwie we wszystkich kierunkach światło mieszało się z ciemnością. Z tyłu natomiast ciągnęła się w obie strony ogromna skalista ściana; nie był to jednak prosty mur, lecz pełna wnęk i występów postrzępiona linia podobna do morskich klifów. Sklepienie tego ogromnego, podziemnego świata było poza zasięgiem wzroku. Tu i tam piętrzył się w mroku fantastycznie skorodowany potężny słup nagiej skały służący bez wątpliwości jako podpora dachu. Brak było kolorów – każdy szczegół krajobrazu był czarny, biały lub szary. Sceneria wydawała się tak niewzruszona, masywna i religijna, że wszystkie emocje Maskulla opadły do poziomu absolutnego spokoju.

Leehallfae upadło nagle. Maskull rzucił się na kolana i bezsilnie obserwował ostatnie chwile życia *phaen* gasnącego jak świeca w zużytym powietrzu. Przyszła śmierć... Maskull zamknął mu oczy. Okropny grymas Crystalmana natychmiast zestał rysy *phaen*.

Maskull wciąż klęczał, gdy poczuł obok czyjąś obecność. Nie wstając, spojrzał szybko do góry i zobaczył mężczyznę.

— Jeszcze jedno martwe *phaen* — powiedział przybysz monotonnym i bezbarwnym, niemniej inteligentnym głosem.

Maskull wstał.

Mężczyzna był niski i przysadzisty, ale wychudzony. Jego czoło nie było zniekształcone żadnymi narządami. Był w średnim wieku. Rysy miał energiczne i raczej prostackie – mimo to Maskullowi wydawało się, że uczciwe, ciężkie życie w jakiś sposób próbowało je wyszlachetnić. Pełne optymizmu oczy spoglądały pokrętnie i zagadkowo; jakiś nierozwiązywalny problem musiał zawładnąć jego umysłem. Twarz miał gładko wygoloną, włosy na głowie obcięte krótko, po męsku i szerokie brwi. Ubrany był w czarną togę bez rękawów, a w ręku trzymał długą laskę. Wokół siebie roztaczał jakąś pociągającą atmosferę czystości i powagi.

— Wszystkie znajdują w końcu przejście, by tu umrzeć. Przychodzą z Matterplay. Dożywają tam nieprawdopodobnego wieku. Częściowo z tego powodu, a częściowo z powodu swoich samoistnych narodzin, uważają się za ulubione dzieci Faceny'ego. Ale gdy poszukując go, trafiają tutaj, natychmiast umierają — ciągnął dalej obojętnym tonem, gładząc się refleksyjnie ręką po brodzie i policzkach.

— Wydaje mi się, że ten jest ostatnim ze swojej rasy. A kim ty jesteś?

— Jestem Corpang. A ty? Skąd przybywasz i co tutaj robisz?

— Nazywam się Maskull. Mój dom jest po drugiej stronie wszechświata. A co tu robię? Towarzyszyłem Leehallfae... temu *phaen*... z Matterplay.

— Człowiek nie towarzyszy *phaen* z przyjaźni. Czego szukasz w Threalu?

— Więc to jest Threal?

— Tak.

Maskull milczał. Corpang z zaciekawieniem studiował jego twarz surowym wzrokiem.

— Maskull, jesteś taki tępy czy jedynie małomówny?

— Przybyłem tu, żeby pytania zadawać, a nie na nie odpowiadać.

Bezruch panujący w tym miejscu był wprost przytłaczający. Żadnego powiewu ani dźwięku rozchodzącego się w powietrzu. Rozmawiali przyciszonymi głosami, jakby przebywali w katedrze.

— No to chcesz mego towarzystwa czy nie? — zapytał Corpang.

— Jeśli dopasujesz się do mojego nastroju, czyli nie będziemy rozmawiać o mnie, to tak.

— Musisz mi jednak przynajmniej powiedzieć dokąd zmierzasz.

— Chcę zobaczyć to, co jest tutaj, a potem pójść do Lichstormu.

— Jeśli tylko to, to mogę cię poprowadzić. Chodźmy!

— Najpierw jednak, jeśli to możliwe, spełnijmy nasz obowiązek wobec zmarłego i pogrzebmy go.

— Spójrz za siebie — polecił Corpang.

Maskull obejrzał się szybko. Ciało Leehallfae zniknęło.

— Co to znaczy? Co się stało?

— Ciało obróciło się w to, z czego powstało. A ponieważ tutaj nie ma miejsca dla takich rzeczy, więc zniknęło. Pogrzeb nie jest potrzebny.

— Więc *phaen* było tylko iluzją?

— A skądże znowu.

— Tak? No to wyjaśnij mi w takim razie szybko, co się stało. Ja chyba zwariowałem.

— W tym nie ma nic niezrozumiałego, wysłuchaj mnie jedynie uważnie. *Phaen* ciałem i duszą należało do zewnętrznego, widzialnego świata – do Faceny'ego. Ten świat, tu pod ziemią, nie jest światem Faceny'ego, tylko Thire'a, i stworzenia Faceny'ego nie mogą oddychać w jego atmosferze. A że to odnosi się nie tylko do całych ciał, ale również do wszystkich cząsteczek składających się na te ciała, *phaen* rozpuściło się w Nicości.

— A czyż my obaj także nie należymy do świata zewnętrznego?

— My należymy do wszystkich trzech światów.

— Jakich trzech światów? Co masz na myśli?

— Istnieją trzy światy — powiedział Corpang z opanowaniem. — Pierwszy świat należy do Faceny'ego, drugi do Amfuse'a, a trzeci do Thire'a. To od niego Threal bierze swoją nazwę.

— Ale to są jedynie nazwy. W jakim sensie są to trzy światy?

Corpang potarł ręką czoło.

— Możemy o tym porozmawiać idąc. Stanie w miejscu jest dla mnie męczące.

Maskull, całkiem oszołomiony niezwykłym zniknięciem Leehallfae, popatrzył na miejsce, w którym leżało jego ciało. Miejsce to było tak tajemnicze, że nie mógł się oderwać od niego. Dopiero, gdy Corpang zawołał go po raz drugi, zdecydował się pójść za nim.

Ruszyli rozjarzoną równiną, pozostawiając za sobą skalną ścianę i kierując się ku najbliższym drzewom. Przyćmione światło, brak cieni, masywne słupy, szarobiałe, wyrastające ze smolistego gruntu, fantastyczne drzewa, brak nieba, martwa cisza, świadomość, że jest pod ziemią – połączenie tego wszystkiego nastawiło umysł Maskulla mistycznie i przygotowało go, z pewnym niepokojem, do wysłuchania wyjaśnień Corpanga dotyczących tej krainy i jej cudów. Zaczynał już dostrzegać, że rzeczywistość tego świata i rzeczywistość świata na zewnątrz są czymś zupełnie innym.

— W jakim sensie są to trzy światy? — zapytał, powtarzając pytanie.

Corpang uderzył w ziemię końcem laski.

— Przede wszystkim, Maskull, jaki jest cel twoich pytań? Jeśli to jest wyłącznie intelektualna ciekawość, to powiedz mi to, bo nie wolno igrać ze świątobliwymi sprawami.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział spokojnie Maskull. — Nie jestem studentem, a moja podróż nie jest wakacyjną wycieczką.

— Czy twoja dusza nie jest splamiona krwią? — zapytał Corpang, przyglądając mu się uważnie.

Krew napłynęła Maskullowi do twarzy, ale w tym oświeceniu okazała się czarna.

— Niestety jest. I to niemało.

Twarz tamtego cała się pomarszczyła, ale nic nie powiedział.

— No i jak widzisz — ciągnął Maskull, krótko się roześmiawszy — jestem w bardzo dobrej kondycji do otrzymania twoich instrukcji.

Corpang wciąż milczał.

— Pod twoimi zbrodniami dostrzegam człowieka — powiedział po kilku minutach. — Z tego powodu i dlatego że przyszło nam pomagać sobie nawzajem, nie mogę cię teraz opuścić, chociaż nie myślałem, że będę wędrował z mordercą... A co do twoich pytań, Maskull... Kiedykolwiek człowiek widzi coś oczami, widzi to w trzech aspektach – długości, szerokości i głębokości. Długość to egzystencja, szerokość to relacje, a głębokość to emocje.

— Coś w tym rodzaju mówił mi Earthrid, muzyk przybyły z Threalu.

— Nie znam go. Co ci jeszcze mówił?

— On to stosował do muzyki. Ale mów dalej, przepraszam, że ci przerwałem.

— Te trzy stany postrzegania są trzema światami. Egzystencja jest światem Faceny'ego, relacje należą do Amfuse'a, a emocje do Thire'a.

— Nie możemy przejść do twardych faktów? — zapytał Maskull, marszcząc brwi. — W dalszym ciągu nie wiem, co rozumiesz przez trzy światy.

— Nie ma żadnych twardych faktów oprócz tych, które ci przedstawiam. Światem pierwszym jest widzialna, namacalna przyroda. Została stworzona przez Faceny'ego z nicości i dlatego nazywamy ją Egzystencją.

— To rozumiem.

— Drugim światem jest miłość, która bynajmniej nie jest rozumiana jako żądza. Bez miłości każdy osobnik byłby całkowicie egocentryczny i niezdolny do świadomego działania na rzecz innych. Bez miłości nie byłoby współczucia, a nawet nienawiści, gniewu czy odwetu. Są to wszystko niedoskonałe, zniekształcone formy czystej miłości. Mamy więc Relacje, czyli świat miłości Amfuse'a wzajemnie się przenikający ze światem przyrody Faceny'ego.

— Na jakiej podstawie zakładasz, że ten tak zwany drugi świat nie jest zawarty w pierwszym?

— Bo są ze sobą sprzeczne. Człowiek natury żyje dla siebie, a człowiek miłości dla innych.

— Być może, chociaż brzmi to dość mistycznie. Ale mów dalej. Kto jest Thire?

— Długość i szerokość razem, bez głębokości, są płaskie. Życie i miłość bez uczuć dają płytkie i powierzchowne osobowości. A człowiek potrzebuje uniesień, żeby sięgnąć do swego stwórcy.

— Masz na myśli modlitwę i pobożność?

— Mam na myśli zażyłość z Thirem. Tych emocji nie da się znaleźć ani w pierwszym, ani w drugim świecie i po to jest trzeci świat. Tak jak głębokość prowadzi od przedmiotu do podmiotu, tak emocja jest miarą odległości między Thirem i człowiekiem.

— A sam Thire czym jest?

— Thire jest „tamnym światem”.

— Wciąż nie rozumiem — powiedział Maskull. — Wierzysz w trzech osobnych bogów, czy są to trzy różne sposoby traktowania Boga?

— To trzej bogowie, dlatego że są wzajemnie antagonistyczni. Niemniej w jakiś sposób są zjednoczeni.

Maskull zastanawiał się chwilę.

— A jak doszedłeś do tych konkluzji?

— Tu, w Threalu, żadne inne nie są możliwe.

— W Threalu? Cóż tak osobliwego jest tutaj?

— Wkrótce ci pokażę.

Szli w milczeniu więcej niż milę. Maskull przetrwał to, co usłyszał. Gdy doszli do pierwszych drzew rosnących wzdłuż brzegu niewielkiego strumienia czystej wody, Corpang zatrzymał się.

— Ta opaska na czole od dawna nie jest ci już potrzebna — zauważył.

Maskull zdjął ją i stwierdził, że linia jego brwi jest gładka i nieprzerwana, jak nigdy od chwili przybycia na Tormance.

— Jak to się stało? Skąd wiedziałeś?

— To były narządy Faceny'ego. Zniknęły tak samo jak ciało *phaena*.

Maskull potarł czoło.

— Bez nich czuję się bardziej ludzki. Dlaczego reszta mojego ciała nie została też tak potraktowana?

— Bo w jego woli życia zawarta jest część Thire'a.

— Czemu się zatrzymaliśmy?

Corpang odłamał z drzewa czubek jednego z napowietrznych korzeni i podał Maskullowi.

— Zjedz to — zaproponował.

— To ma być jedzenie czy coś innego?

— Jedzenie dla ciała i dla duszy.

Maskull wgryzł się w korzeń. Był biały, twardy i wyciekał z niego biały sok. Nie miał smaku, ale po zjedzeniu go Maskull doświadczył zmian w percepcji. Krajobraz, bez zmian w oświetleniu czy konturach, stał się o kilka stopni bardziej surowy i święty. A gdy spojrzał na Corpanga został oszołomiony widokiem jego gotyckiej surowości, chociaż w oczach tamtego wciąż widniał ów zakłopotany wyraz.

— Corpang, czy ty spędzasz tutaj cały swój czas?

— Wychodzę czasami na górę, ale niezbyt często.

— Co trzyma cię w tym ponurym świecie?

— Poszukiwanie Thire'a.

— Wciąż poszukujesz?

— Chodźmy już.

Gdy podjęli dalszą podróż przez ciemną, stopniowo wznoszącą się równinę, rozmowa nabrała jeszcze poważniejszego charakteru.

— Chociaż nie urodziłem się tutaj — mówił Corpang — żyję tu już dwadzieścia pięć lat i przez cały ten czas — jak mam nadzieję — coraz bardziej zbliżałem się do Thire'a. Jest w tym jednak pewna osobliwość — początki są bardziej owocne niż okres późniejszy. Im dłużej człowiek szuka Thire'a, tym bardziej wydaje się on nieobecny. Na początku jest znany i wyczuwany, czasem jako kształt, czasem głos, a czasem obezwładniające uczucie. Później wszystko robi się suche, ciemne i cierpkie dla duszy. Wtedy myślisz, że Thire jest miliony mil stąd.

— I jak to tłumaczysz?

— Może on jest najbliżej wtedy, gdy wokół panuje największa ciemność.

— I to cię martwi?

— Każdy mój dzień to cierpienie.

— Ale nie rezygnujesz? Może teraz jest już najciemniej?

— Dostanę odpowiedź na moje pytania.

Zapadła cisza.

— Co chcesz mi pokazać? — zapytał Maskull.

— Teren zaraz stanie się dziksz. Zaprowadzę cię do Trzech Posągów, wyrzeźbionych i ustawionych przez poprzednią rasę ludzi. Tam się pomodlimy.

— A co potem?

— Jeśli będziesz mi wiernym towarzyszem, ujrzysz rzeczy, których się łatwo nie zapomina.

Szli lekko pod górę czymś w rodzaju koryta pomiędzy dwoma równoległymi osypującymi się stokami. Dolina zrobiła się głębsza, a zbocza po obu stronach stały się bardziej strome. Droga wznosiła się coraz wyżej, a że wila się to w tę, to w tamtą stronę, krajobraz zniknął przesłonięty. Dotarli do niewielkiego źródła bijącego spod ziemi. Tworzył się z niego ciurkający strumyk, różniący się tym od wszystkich

innych strumyków, że płynął w górę doliny, a nie w dół. Wkrótce połączył się z innymi drobnymi strugami, tak że w końcu stał się sporym strumieniem. Maskull popatrzył na to i zmarszczył czoło.

— Wygląda na to, że przyrodę tutaj obowiązują inne prawa.

— Nic, co nie jest związkiem trzech światów, nie może tutaj istnieć.

— Niemniej ta woda dokądś płynie.

— Nie potrafię tego wytłumaczyć. Wiem jedynie, że ma potrójną wolę.

— A nie ma takich rzeczy, które przynależą jedynie do Thire'a.

— Thire nie może istnieć bez Amfuse'a, a Amfuse bez Faceny'ego.

Maskull zastanawiał się nad tym przez jakieś dwadzieścia minut.

— To musi być tak — powiedział w końcu — bez życia nie ma miłości, a bez miłości nie ma uczuć religijnych.

W panującym półmroku szczyty otaczających dolinę wzgórz osiągnęły obecnie taką wysokość, że nie było ich widać. Zbocza były strome i skaliste, podczas gdy dno doliny zwężało się z każdym krokiem. Nie było widać żadnych żywych organizmów. Wokół panowała nienaturalna, cmentarna atmosfera.

— Czuję się tak, jakbym był martwy i wędrował po tamtym świecie — powiedział Maskull.

— A ja wciąż nie wiem, co ty tutaj robisz — odpowiedział Corpang.

— Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Szukam Surtura.

— Słyszałem to imię... Ale w jakich okolicznościach?...

— Nie pamiętasz?

Utkwiwszy oczy w ziemi, Corpang szedł dalej, w oczywisty sposób, zakłopotany.

— Kto to jest Surtur? — zapytał.

Maskull tylko potrząsnął głową i nic nie odpowiedział.

Wkrótce potem dolina zwężyła się tak bardzo, że dwaj mężczyźni, dotykając się palcami w środku, mogli położyć wolne ręce na skalnych ścianach po obu stronach. Wyglądało na to, że skończy się ślepo, ale w chwili, gdy droga wydawała się już nie dawać żadnej nadziei, a skalne ściany otaczały ich ze wszystkich stron, niewidoczny wcześniej zakręt wyprowadził ich nagle na otwartą przestrzeń. Szczelina, którą wyszli, nie była niczym więcej niż tylko pęknięciem w ścianie urwiska.

Coś w rodzaju ogromnego naturalnego korytarza biegło dalej pod kątem prostym do drogi, którą przyszli; oba końce ginęły w mroku po kilkuset jardach. Dokładnie środkiem tego korytarza biegła rozpadlina o pionowych ścianach; jej szerokość wahała się od trzydziestu do stu stóp, natomiast dno było niewidoczne. Po obu stronach rozpadliny, naprzeciw siebie, były skalne półki, o szerokości jakichś dwudziestu stóp; one również ciągnęły się w obie strony poza zasięg widoczności. Maskull i Corpang wyszli na jedną z nich. Półka po drugiej stronie leżała kilka stóp wyżej niż ta, na której stali. Całość ograniczały z obu stron skalne ściany wysokich, niezdojanych klifów o niewidocznych szczytach.

Strumień, który im towarzyszył, wypływał ze szczytów prosto do przodu, ale zamiast spływać po ścianie rozpadliny jako wodospad, przecinał ją jak ciekły most. Potem zniknął w skalnej szczelinie po drugiej stronie.

Dla umysłu Maskulla bardziej godny podziwu, niż to nienaturalne zjawisko, był brak cienia, który bardziej rzucał się w oczy tutaj niż na otwartej równinie. Sprawiał, że miejsce wyglądało jak sala duchów.

Corpang, nie czekając, skierował się w lewą stronę. Gdy przeszli około mili, rozpadlina poszerzyła się do dwustu stóp. Po drugiej stronie, na występie skalnym majaczyły trzy ogromne głazy. Przypominały trzech wyprostowanych olbrzymów stojących nieruchomo obok siebie na skraju rozpadliny. Podeszli bliżej i wtedy Maskull zobaczył, że są to posągi. Każdy z nich miał trzydzieści stóp wysokości i był dość grubo wyciosany. Posągi przedstawiały nagich mężczyzn; kształt ich kończyn i tułowi był ledwo zaznaczony, a jedynie na twarzach widać było więcej starania, chociaż im również nadano wyłącznie ogólny kształt. Było oczywiste, że jest to praca prymitywnych artystów. Posągi stały wyprostowane ze złączonymi kolanami i rękami opuszczonymi luźno wzdłuż ciała. Wszystkie trzy były całkowicie takie

same.

Gdy tylko znaleźli się naprzeciw nich, Corpang zatrzymał się.

— To jest wyobrażenie twoich trzech Bytów? — zapytał Maskull ogarnięty zgrozą mimo swojej wrodzonej zuchwałości.

— O nic nie pytaj, tylko klęknij — odpowiedział Corpang, padając na kolana.

Maskull pozostał na stojąco.

Corpang zasłonił sobie oczy ręką i cicho się modlił. Po kilku minutach światło zaczęło wyczuwalnie się ściemniać. Wówczas Maskull również uklęknął, ale nie przestawał obserwować.

Robiło się coraz ciemniej, aż wszystko zakryła najczarniejsza noc. Wzrok i słuch przestały istnieć; pozostał sam ze swoim duchem.

Nagle jeden z kolosów stopniowo zaczął znów się wyłaniać. Nie był to już jednak posąg, lecz żywa postać. Z czerni, jak górski szczyt skąpany we wschodzącym słońcu, wychynęła ogromna głowa i tułów okryte tajemniczą, różową poświatą. Gdy światło pojaśniało, Maskull zobaczył, że postać jest przezroczysta, a poświata pochodzi z wnętrza. Kończyny zjawy otulała mgła.

Wkrótce rysy twarzy zrobiły się wyraźne. Była to gładko wygolona twarz młodzieńca w wieku około dwudziestu lat. Odznaczała się dziewczęcą urodą i zuchwałą siłą mężczyzny; przyozdabiał ją sztuczny, zagadkowy uśmiech. Maskull poczuł świeży, tajemniczy dreszcz stanowiący mieszaninę udręki i rozkoszy człowieka obudzonego w środku zimy z głębokiego snu i oglądającego blask ciemnych, delikatnych kolorów przedświt. Zjawa uśmiechnęła się i stojąc w bezruchu, spoglądała poza niego. Przeszedł go dreszcz zachwyty... i ogromnego wzruszenia. Gdy tak gapił się, jego poetyczna wrażliwość nabrała takiego nerwowego i nieokreślonego charakteru, że nie mógł tego już znieść i wybuchnął płaczem.

Gdy spojrzał ponownie, obraz prawie zniknął i po kilku dalszych minutach znów pogрузił się w całkowitej ciemności.

Zaraz potem pojawiła się druga figura. Ta również została przekształcona w żywą postać, ale Maskull nie był w stanie zobaczyć szczegółów twarzy i ciała z powodu jaskrawości promieniującego z niej światła. Blask, który pojawił się kolorze jasnego złota, skończył się jako złote płomienie. Rozświetlił cały podziemny krajobraz. Skalne półki, klify, sam Maskull, klęczący Corpang i dwa ciemne posągi – wszystko to ukazało się jak w blasku słońca, a cienie pojawiły się czarne i mocno zarysowane. Światło niesło ze sobą ciepło – było to jednak jakieś osobliwe ciepło. Maskull nie zauważył żadnego wzrostu temperatury, ale poczuł, że serce topi mu się do kobiecej miękkości. Jego męska arogancja i egotyzm niedostrzegalnie odpłynęły; jego osobowość wydawała się zanikać. To co pozostało nie było już wolnością ducha ani niefrasobliwością, ale pełnym pasji i prawie dzikim stanem umysłu ogarniętego żalem i strapieniem. Poczuł dręczącą go potrzebę służenia. Wszystko to było za sprawą ciepła figury i nie było skierowane na żaden obiekt.

Maskull rozejrzał się dookoła z niepokojem i utkwiał wzrok w Corpangu. Położył mu rękę na ramieniu i wytrącił z modlitewnego transu.

— Corpang, muszę ci powiedzieć, co czuję.

Corpang uśmiechnął się słodko, ale nic nie odpowiedział.

— Już więcej nie dbam o moje własne sprawy — mówił dalej Maskull. — Co mogę zrobić dla ciebie?

— To bardzo dobrze, Maskull, że reagujesz tak szybko na niewidzialne światy.

Gdy to mówił, statua zaczęła znikać, a okolica pogružala się w mroku. Emocje Maskulla powoli opadały, ale panem samego siebie stał się dopiero wówczas, gdy znalazł się ponownie w całkowitej ciemności. Poczuł wtedy wstyd z powodu swego chłopięcego wybuchu entuzjazmu i pomyślał ze smutkiem, że musi mieć jakieś braki w charakterze. Wstał.

Gdy tylko się wyprostował, z odległości nie dalszej niż jard od jego uszu dobiegł go męski głos. Był tylko trochę głośniejszy od szeptu, niemniej dało się odróżnić, że nie jest to głos Corpanga. Słuchając, nie mógł powstrzymać się od fizycznego drżenia.

— Maskull, czeka cię śmierć — przemówił niewidzialny mówca.

— Kto mówi?

— Zostało ci tylko kilka godzin życia. Nie zmarnuj tego czasu.

Maskulla zamurowało.

— Pogardzasz życiem — kontynuował cichy głos. — Naprawdę wyobrażasz sobie, że ten bogaty świat nie ma znaczenia, a życie to żart?

— Co mam robić?

— Żałować za swoje morderstwa, nie popełniać nowych, oddawać cześć...

Głos zamarł. Maskull czekał w ciszy na dalszy ciąg. Nic się jednak nie działo, a mówca, jak się okazało, odszedł. Maskulla opanowała nadnaturalna groza i ogarnęło go coś w rodzaju katalepsji.

W tym momencie dostrzegł, że jedna z figur ciemnieje, że jej blada, biała poświata zanika i przechodzi w czerń. Nie zauważył wcześniej, żeby się rozjaśniała.

W ciągu kilku minut powróciło normalne oświetlenie okolicy. Corpang wstał i wytrącił go z tego transu.

Maskull rozejrzał się, ale nikogo trzeciego nie zobaczył.

— Czyja figura była ostatnia? — zapytał. — Słyszałeś coś.

— Słyszałem ciebie, ale nic poza tym.

— Właśnie przepowiedziano mi śmierć, więc przypuszczam, że nie pożyję długo. Leehallfae też mi to prorokowało.

Corpang potrząsnął głową.

— Dużą wartość przykładasz do życia? — zapytał.

— Niezbyt. Ale to i tak jest przerażające.

— Śmierć?

— Nie. To ostrzeżenie.

Umilkli. Zapanowała głęboka cisza. Żaden z nich nie wydawał się wiedzieć, co robić dalej, gdzie iść. I wtedy obaj usłyszeli bicie bębnow. Było powolne, zdecydowane i robiące wrażenie – odległe i niezbyt głośne, ale w ciszy, bardzo wyraźne. Wydawało się dochodzić z jakiegoś niewidocznego miejsca po lewej stronie i na tej samej skalnej półce. Serce Maskulla zabiło szybko.

— Co to za dźwięki? — zapytał Corpang, wpatrując się w ciemność.

— To Surtur.

— A kim jest Surtur, że zapytam ponownie.

Maskull chwycił go za rękę i ścisnąwszy, nakazał milczeć. Od strony bębnow powietrze wypełniło się dziwnym światłem. Wzmacniało się coraz bardziej i stopniowo zalało całą scenę. Okolicy nie oświetlało już światło Thire'a, tylko to nowe. I nie rzucało cieni.

Nozdrza Corpanga rozszerzyły się.

— Co to za ogień? — zapytał, prężąc się jeszcze zuchwalej.

— To „Ogień Muspelu”.

Odruchowo spojrzeli obaj na posągi. W dziwnej poświacie figury zmieniły się. Ich twarze przybrały nikczemną i straszną maskę Crystalmana.

Corpang krzyknął i zasłonił sobie oczy.

— Co to ma znaczyć? — jęknął po chwili.

— To pewnie oznacza, że życie jest złem, tak samo jak jego stwórca. I nie ma znaczenia, czy jest to jedna osoba czy trzy.

Corpang spojrział ponownie, jak człowiek chcący przywyknąć do szokującego widoku.

— I to ma być naszą wiarą? — zapytał.

— Dla ciebie musi — odpowiedział Maskull. — Zawsze służyłeś najwyższemu i powinieneś to robić dalej. Po prostu okazało się, że Thire nie jest najwyższym.

Twarcz Corpanga nabrzmiała czymś w rodzaju gniewu.

— Życie jest czystym oszustwem. Szukałem Thire'a przez całe życie i co znalazłem? To!

— Nie masz sobie co wyrzucać. Crystalman miał całą wieczność, by dojść do takiej przebiegłości, nie ma się więc co dziwić, że człowiek się w tym gubi nawet przy najlepszych chęciach. Co teraz zrobisz?

— Te bębny chyba się oddalają. Pójdiesz za nimi, Maskull?

— Tak.

— I gdzie one nas doprowadzą?

— Pewnie poza Threal.

— To wydaje mi się bardziej rzeczywiste niż rzeczywistość — powiedział Corpang. — Powiedz mi, kim jest Surtur?

— Wiadomo, że świat Surtura, czyli Muspel, jest pierwowzorem według którego powstał ten świat jako zniekształcona kopia. Crystalman jest życiem, natomiast Surtur jest czymś odmiennym od życia.

— Skąd to wiesz?

— Tak jakoś mi się to złożyło do kupy – z inspiracji, z doświadczenia, z rozmów z mędrkami twojej planety. Z każdą godziną utwierdzam się w tej wiedzy i przyjmuje ona bardziej zdefiniowany kształt.

Corpang stanął wyprostowany i popatrzył cierpko, z ożywieniem na trzy posągi, a wzrok miał nacechowany stanowczością.

— Wierzę ci Maskull. Nie potrzebuję lepszego dowodu. Thire nie jest najwyższym; a nawet w pewnym sensie jest najniższym. Jedynie krańcowa obłuda i podłość mogła zniżyć się do takich oszustw. Pójdę z tobą, ale nie po to, by odegrać rolę zdrajcy. Te sygnały mogą mnie w ogóle nie dotyczyć i być przeznaczone wyłącznie dla ciebie, więc jeśli mnie zostawisz...

— Nic nie obiecuję. Nie proszę, żebyś szedł ze mną. Jeśli wolisz zostać w tym swoim małym świecie albo masz jakieś wątpliwości, to lepiej zostać.

— Daj spokój! Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Pospieszmy się, bo zgubimy te dźwięki.

Corpang ruszył bardziej niecierpliwie niż Maskull. Szli szybko w kierunku odgłosu bębnow. Przez ponad dwie mile ścieżka prowadziła poziomo wzdłuż skalnej półki. Tajemnicze światło stopniowo zanikało, zastępowane przez normalne oświetlenie Threalu. Rytmiczne uderzenia nie ustawały, ale były bardzo odległe. Nie byli w stanie zmniejszyć dystansu.

— Jakiego rodzaju człowiekiem jesteś? — Corpang nagle przerwał milczenie.

— W jakim znaczeniu?

— W jaki sposób wszedłeś w taką komitwę z Niewidzialnym? Jak to się stało, że ja, mimo moich nieustannych modłów i umartwień, nigdy nie miałem takich doświadczeń przed spotkaniem z tobą? W czym jesteś lepszy ode mnie?

— Chyba nie da się zostać profesjonalistą w słyszeniu głosów — odpowiedział Maskull. — Ja mam umysł prosty i nieskrępowany... może dlatego czasem słyszę rzeczy, których ty dotychczas nie słyszałeś.

Corpang spochmurniał i zamilkł – upewniło to Maskulla co do jego dumy.

Półka skalna zaczęła się wznosić. Znaleźli się wysoko ponad półką po drugiej stronie rozpadliny. Droga skręciła ostro w prawo, po czym przeszli, jak po moście, nad otchłanią i drugą półką, wychodząc na szczyt przeciwnego klifu. Natychmiast stanęli przed szeregiem nowych urwisk. Szli za dźwiękiem bębnow wzdłuż podstawy tych wyniosłości. Gdy mijali wejście do wielkiej jaskini, okazało się, że bębnienie dochodzi z jej wnętrza. Weszli do środka.

— Ta droga prowadzi do zewnętrznego świata — stwierdził Corpang. — Czasami tędy wychodziłem.

— Niewątpliwie więc tam nas zaprowadzi. Wyznam, że nie będzie mi przykro zobaczyć jeszcze raz słońce.

— Masz teraz czas, żeby myśleć o słońcu? — zapytał Corpang ze zgryźliwym uśmiechem.

— Kocham blask słońca i raczej nie mam w sobie ducha fanatyzmu.

— A jednak, mimo wszystko, możesz się znaleźć tam przede mną.

— Nie bądź taki zgorzkniały — powiedział Maskull. — Powiem ci coś. Muspel nie może być obiektem pragnień z takiego prostego powodu, że w Muspelu nie ma pragnień. Pragnienia to atrybut tego świata.

— To po co ta twoja podróż?

— Iść ku przeznaczeniu, nie spiesząc się, to jedno, a biec tam najszybciej jak można, to całkiem coś innego.

— Myślisz, że mnie to można tak łatwo oszukać — powiedział Corpang, znów się uśmiechając.

Jaskinia była również oświetlona. Ścieżka zwęziła się i zaczęła wznosić. Nagle skręciła w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni – zaczęli się wspinać. Tunel stał się tak wąski, że Maskull przypomniał sobie klaustrofobiczne sny z dzieciństwa.

Wkrótce potem pojawiło sięienne światło. Przyspieszyli, żeby zakończyć ostatni etap. Maskull wydostał się pierwszy do zewnętrznego świata kolorów i mrugając – cały brudny i krwawiący z licznych skaleczeń – stanął na zboczu skąpany w jaskrawym popołudniowym słońcu. Corpang, który deptał mu po piętach, tak odwykł od oślepiających promieni Branchspella, że musiał na kilka minut osłonić oczy rękami.

— Bębny ucichły — wykrzyknął nagle.

— Chciałbyś, żeby cały czas była muzyka? — powiedział sucho Maskull. — Nie wymagajmy zbytniego luksusu.

— Ale teraz nie mamy przewodnika. Nie jesteśmy w lepszej sytuacji niż poprzednio.

— No cóż, Corpang, Tormance to duży obszar. Ale ja mam niezawodną zasadę – idąc z południa, zawsze kieruję się na północ.

— W ten sposób dotrzemy do Lichstormu.

Maskull popatrzył na skały piętrzące się fantastycznie wokół nich.

— Widziałem te skały z Matterplay. Góry wyglądają teraz tak samo daleko, jak stamtąd, a zbyt dużo dnia nam nie pozostało. Jak daleko jest do Lichstorm?

Corpang spojrzał w dal.

— Nie wiem, ale jeśli nie zdarzy się jakiś cud, przed wieczorem tam nie dojdziemy.

— Czuję, że nie tylko dotrzemy tam przed wieczorem — powiedział Maskull — ale że ta noc będzie najważniejszą w moim życiu.

I usiadł, żeby odpocząć.

Rozdział 18

Haunte

Podczas gdy Maskull siedział, Corpang chodził nieustannie w tę i z powrotem, wymachując rękami. Zgubił swoją laskę. Twarz miał rozplamioną, z wyrazem niecierpliwości, który podkreślał jego naturalną gruboskórność. W końcu zatrzymał się tuż przed Maskullem i spojrzał na niego.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytał.

Maskull spojrzał na niego i leniwie machnął ręką w kierunku odległych gór.

— Skoro nie możemy iść, musimy poczekać — odpowiedział.

— Na co?

— Nie wiem... Słuchaj, jak to jest? Te szczyty zmieniły kolor z czerwonego na zielony.

— Tak, wieje stamtąd trupi wiatr.

— Trupi wiatr?

— Powietrze Lichstormu. Zwykle zalega w górach, ale gdy wiatr wieje z północy, dociera nawet do Threalu.

— To jakiś rodzaj mgły?

— Osobliwy rodzaj, gdyż rozpala seksualne namiętności.

— Będziemy więc uprawiać miłość — powiedział Maskull, śmiejąc się.

— Z pewnością nie okaże się to dla ciebie takie radosne — powiedział Corpang nieco ponuro.

— Powiedz mi więc, jak te góry zachowują równowagę?

Corpang spojrzał na wypiętrzone szczyty zanikające szybko w oddali.

— Namiętność powstrzymuje je od upadku — odpowiedział.

Maskull znów się roześmiał; odczuwał dziwne zaburzenia umysłu.

— Tak? Miłość skały do skały?

— Śmieszne, ale prawdziwe.

— No cóż, wkrótce przyjrzymy się im dokładniej. A za tymi górami leży Barey, tak?

— Tak.

— A potem ocean. Jak się nazywa ten ocean?

— Tego dowiadują się tylko ci, co umierają w jego pobliżu.

— Taka cenna tajemnica?

Branchspell zbliżał się na zachodzie do linii horyzontu; pozostało trochę ponad dwie godziny światła dziennego. Powietrze wokół nich ściemniało. Była to rzadka mgła – ani wilgotna, ani zimna. Pasma Lichstormu było już jedynie niewyraźnym zarysem na niebie. Nasycone elektrycznością powietrze wywoływało mrowienie i wprowadzało w stan podniecenia. Maskulla opanowało coś w rodzaju emocjonalnej gorączki – czuł się tak, jak gdyby nawet bardzo łagodna zewnętrzna przyczyna mogła go teraz wyprowadzić z równowagi. Corpang stał cicho z buzią na kłódkę.

Maskull popatrzył na wielkie usypisko kamieni w pobliżu.

— To wydaje mi się dobrym punktem obserwacyjnym — powiedział. — Może coś będzie widać z wierzchołka.

Nie czekając na opinię towarzysza, zaczął gramolić się na wzniesienie i po kilku minutach stanął na szczycie. Corpang dołączył do niego.

Ujrzeni stamtąd całą krainę opadającą w dół do morza, które widoczne było jedynie jako odległy blask lśniącej wody. Ignorując to wszystko, wzrok Maskulla natychmiast zatrzymał się na odległym o jakieś dwie mile od nich małym obiekcie w kształcie łodzi, zawieszonym zaledwie kilka stóp nad ziemią i zbliżającym się szybko w ich kierunku.

— A cóż to takiego? — zapytał ze zdumieniem.

Corpang tylko potrząsnął głową i nic nie powiedział.

W ciągu dwóch minut latający obiekt, cokolwiek to było, zbliżył się do nich o połowę odległości. Coraz bardziej przypominał łódź, ale jego lot był raczej chwiejny niż gładki; dziób nieustannie podrygiwał to dół to w górę, a także na boki. Maskull dojrzał teraz człowieka siedzącego na rufie i coś, co wyglądało jak duże martwe zwierzę, leżące na śródkręciu. Gdy latający pojazd przybliżył się, dostrzegł pod nim gęsty, niebieski obłok, oraz taki sam z tyłu. I tylko z przodu, od ich strony, powietrze było przejrzyste.

— Corpang, to musi być to, na co czekamy. Ale cóż, na boga, go unosi? — podrapał się po brodzie w zamyśleniu, a potem, obawiając się, że nie zostali dostrzeżeni, wszedł na najwyższy kamień, wrzasnął głośno i zaczął dziko wymachiwać rękami. Latająca łódź, która była już tylko kilkaset jardów od nich, nieznacznie zmieniła kurs, lecąc teraz ku nim w taki sposób, że nie było wątpliwości, iż sternik wykrył ich obecność.

Łódź zwalniała do chwili, gdy jej prędkość stała się nie większa od prędkości piechura, niemniej jej ruch wciąż pozostawał nieregularny. Miała dość dziwny kształt: około dwadzieścia stóp długości i proste boki zwężające się od płaskiego, szerokiego na cztery stopy dziobu do ostro zakończonej rufy. Płaskie dno było nie dalej niż dziesięć stóp od ziemi. Nie było pokładu i niosła jedynie jednego żywego użytkownika; ten drugi obiekt, który zauważyli, był rzeczywiście zwierzęcą tuszą wielkości dużej owcy. Błękitny obłok ciągnący się za łodzią okazał się wydobywać z błyszczącego końca krótkiego, prostego pręta zamocowanego do stewy. Gdy pojazd znalazł się nie dalej niż kilka stóp od nich i mogli go podziwiać z góry, mężczyzna usunął pręt i osłonił jasno świecący koniec kołpakiem. Ruch do przodu ustał całkowicie i łódź zaczęła dryfować to tu to tam, niemniej wciąż unosiła się w powietrzu, a obłok pod nią nie zniknął. W końcu szeroki bok dotarł łagodnie do stosu kamieni, na którym stali. Sternik wyskoczył na brzeg i natychmiast wdrapał się im na spotkanie.

Maskull wyciągnął do niego rękę, ale tamten odmówił z lekceważeniem. Był to młody człowiek średniego wzrostu. Nosił dopasowane ubranie z futer. Kończyny miał zupełnie normalne, natomiast tułów nieproporcjonalnie długi oraz największą i najpojemniejszą klatkę piersiową, jaką Maskull kiedykolwiek widział u mężczyzny. Bezwłosa twarz był ostra, szpiczasta i brzydka, z wystającymi zębami i złośliwym grymasem na twarzy. Jego oczy i brwi były uniesione do góry. Na czole miał narząd, który wyglądał tak, jak gdyby został okaleczony – był to wyłącznie szpetny kikut. Włosy miał krótkie i rzadkie. Maskull nie potrafił nazwać koloru jego skóry, który wydawał się pozostawać w takim samym stosunku do *jale*, jak zielony do czerwonego.

Dostawszy się na górę, przybysz stał minutę czy dwie, przyglądając się badawczo obu towarzyszom spod półprzymkniętych powiek i beczelnie się przy tym przez cały czas uśmiechając. Maskull pragnął ogromnie porozmawiać z nim, ale nie chciał być tym, który odezwie się pierwszy. Corpang, w złym humorze, stał nieco z tyłu.

— Co wy za ludzie? — zapytał w końcu lotnik. Jego ekstremalnie głośny głos miał wyjątkowo nieprzyjemny tembr. Dla Maskulla brzmiał tak, jakby duża objętość powietrza próbowała sforsować wąski otwór zbiornika.

— Nazywam się Maskull, a mój przyjaciel to Corpang. On pochodzi z Threalu, a skąd ja jestem, nie pytaj.

— A ja jestem Haunte, z Sarclash.

— Gdzie to jest?

— Pół godziny temu mógłbym wam pokazać, ale teraz jest już za ciemno. To góra w Lichstormie.

— Wracasz tam teraz?

— Tak.

— Ile czasu ci to zajmie w tej łodzi?

— Dwie, trzy godziny.

— Damy radę się zabrać?

— Co? Wy również wybieracie się do Lichstormu? Po co?

— Pooglądać widoki — odpowiedział Maskull z błyskiem w oczach. — Ale przede wszystkim zjeść coś. Nie pamiętam już, kiedy jadłem. Zdaje się, polowałeś w pewnym celu, więc żywności nam nie zabraknie.

Haunte popatrzył na niego kpiąco.

— Zuchwałości ci z pewnością nie brakuje — powiedział. — Ale ja wolę takich, bo sam jestem człowiekiem tego typu. Twój przyjaciel natomiast wolałby pewnie głodować niż poprosić obcego o jedzenie. Sprawia na mnie wrażenie oszołomionej ropuchy wyciągniętej z ciemnej dziury.

Maskull przytrzymał Corpanga za ramię i zmusił do milczenia.

— Gdzie polowałeś, Haunte? — zapytał.

— W Matterplay. Nie miałem szczęścia. Zakłuję leśnego konia. Leży w łodzi.

— Jak tam jest w Lichstormie?

— Są mężczyźni i są kobiety, ale nie ma tam takich chłopobab jak wy.

— Kogo ty nazywasz chłopobabą?

— Osoby o mieszanej płci, jak ty. W Lichstormie płeć jest czysta.

— Zawsze uważałem się za mężczyznę.

— Może jesteś; jest na to test. Czy nienawidzisz i boisz się kobiet?

— Dlaczego miałbym? A ty?

Haunte uśmiechnął się, pokazując zęby.

— W Lichstormie jest inaczej... Chcesz więc zobaczyć widoki?

— Przyznaję, jestem ciekaw waszych kobiet, zwłaszcza po tym, co powiedziałaś.

— No, to przedstawię cię Sullenbode.

Zrobiwszy tę uwagę, Haunte zamilkł na chwilę, a potem wybuchnął nagle gromkim, basowym śmiechem, tak że aż mu się klatka piersiowa zatrzęsała.

— Pozwól i nam się pośmiać z tego dowcipu — powiedział Maskull.

— Och, zrozumiesz to później.

— Jeśli będziesz ze mną grał w hocki-klocki, to ja również mogę nie być grzeczny.

Haunte znów się roześmiał.

— Nie będę w tym osamotniony. Sullenbode będzie mi głęboko zobowiązana. Nie odwiedzam jej tak często, jakby sobie tego życzyła, ale zawsze chętnie usłużę jej w inny sposób. No dobrze, macie swój transport.

Maskull potarł nos z powątpiewaniem.

— Czy to, że płcie w twoim kraju nienawidzą się nawzajem, wynika z tego, że namiętność jest tam słabsza czy że silniejsza?

— W innych miejscach na świecie namiętność jest miękka, a w Lichstormie namiętność jest twarda.

— A co nazywasz twardą namiętnością?

— Gdy mężczyznę przyzywa do kobiety ból, a nie przyjemność.

— Chciałbym to zrozumieć, zanim będę gotowy.

— Jasne — odpowiedział Haunte, spoglądając drwiąco. — Szkoda byłoby stracić taką okazję, skoro już wybierasz się do Lichstormu.

Teraz z kolei Corpang chwycił Maskulla za rękę.

— Ta podróż źle się skończy — powiedział.

— Dlaczego?

— Całkiem niedawno wybierałeś się do Muspel, a teraz celem jest kobieta.

— Daj mi spokój — powiedział Maskull. — Szczęście musi mieć trochę luzu. Skąd by się wzięła ta łódź tutaj?

— Mówiliście coś o Muspel? — zapytał Haunte.

Corpang złapał go mocno za ramię i spojrzał mu prosto w oczy.

— Co o tym wiesz? — zapytał.

— Niewiele, ale coś... może... Zapytaj mnie przy kolacji. Teraz już najwyższy czas wyruszyć. Wierz mi, latanie nocą w górach nie jest dziecinną zabawą.

— Nie omieszkam zapytać — powiedział Corpang.

Maskull spojrzał w dół, na łódź.

— Mamy wsiadać? — zapytał.

— Ale ostrożnie. To tylko konstrukcja z trzciny i skór.

— Może mógłbyś przedtem oświecić mnie, w jaki sposób udaje ci się unikać praw grawitacji?

Haunte uśmiechnął się sarkastycznie.

— Maskull, to tylko dla twoich uszu. Wszystkie prawa są żeńskie. A prawdziwy mężczyzna jest wyrzutkiem, poza prawem.

— Nie rozumiem.

— Wielka bryła ziemi nieustannie emituje żeńskie cząsteczki, a męska część skał i żywych organizmów również nieustannie próbuje je przechwycić. To jest grawitacja.

— A jak poruszasz swoją łódź?

— Całą pracę wykonują moje dwa męskie kamienie. Ten pod spodem powstrzymuje łódź od upadku, a ten na stewie odcina ją od ciał stałych z tyłu. Jedyną częścią łodzi przyciąganą przez jakiekolwiek miejsce na ziemi jest dziób, gdyż tylko na niego nie pada światło męskich kamieni. Dlatego łódź porusza się w tym kierunku.

— A z czego są te cudowne kamienie?

— Po prostu męskie kamienie. Nie ma w nich nic żeńskiego; tryskają męskimi iskrami przez cały czas. Te iskry pochłaniają wszystkie żeńskie cząsteczki unoszące się z ziemi. Nie pozostaje ani jedna żeńska cząsteczka, by przyciągnąć męskie części łodzi i w ten sposób nie są one w najmniejszym stopniu przyciągane w tym kierunku.

Maskull przeżuwał to przez minutę.

— No tak, Haunte, polujesz, budujesz łodzie – z tymi umiejętnościami wydajesz się być bardzo zręcznym i uzdolnionym facetem... Ale słońce zachodzi, więc lepiej ruszajmy.

— Zejdź więc pierwszy i przesun tę tuszę dalej do przodu. Wtedy ty i twój przyjaciel będziecie mogli usiąść na śródokręciu.

Maskull natychmiast zszedł na dół i wskoczył do łodzi, gdzie spotkała go niespodzianka. W chwili, gdy wciąż przytrzymując się skały, stanął na kruchym dnie, nie tylko zniknął całkowicie jego ciężar – jak gdyby został zanurzony się w ciężkim płynie, takim jak słona woda – lecz jeszcze skała, której się trzymał, przyciągała go jakby łagodnym prądem elektrycznym, tak że z trudnością zdołał oderwać od niej rękę.

Po pierwszym szoku, spokojnie zaakceptował nowy porządek rzeczy i zabrał się za przesuwanie tuszy. Ponieważ w łodzi nic nie ważyła, udało mu się to bez zbytniego wysiłku. Potem zszedł Corpang. Zdumiewająca zmiana fizyczna nie zdołała zakłócić jego zastałego opanowania opartego na moralnych ideach. Haunte zszedł ostatni, pochwycił drąg z górnym kamieniem męskim i zdjawszy kołpak, zaczął go

ustawiać. Maskull po raz pierwszy zobaczył z bliska tajemnicze światło, które przeciwdziałając siłom natury, służyło pośrednio nie tylko jako podnośnik, ale i siła poruszająca. W ostatnim czerwonym błysku wielkiego słońca jego blask został przytłumiony i był niewiele bardziej okazały niż bardzo jasne, iskrzące się niebieskobiałe klejnoty, niemniej jego moc można było ocenić poprzez widzialną, kolorową mgłę rozsiewaną na wiele jardów dookoła.

Sterowanie odbywało się za pomocą przesłony przymocowanej sznurkiem do końca pręta, którą można było manipulować, przesłaniając zgodnie z życzeniem – w części lub w całości – dowolny segment męskiego promieniowania kamienia. Gdy tylko pręt został podniesiony, powietrzny statek łagodnie odbił od przyciągającej go skały i ruszył wolno naprzód w kierunku gór. Branchspell zapadł poniżej horyzontu. Zbierające się mgły przesłoniły wszystko, co znajdowało się dalej niż w promieniu kilku mil. Powietrze zrobiło się zimne i świeże.

Wkrótce skalne rumowisko zostało na wielkiej wznoszącej się równinie. Haunte usunął przesłonę całkowicie i łódź osiągnęła pełną prędkość.

— Mówiłeś, że żegluga w górach nocą jest trudna — zawołał Maskull. — Uważałbym, że to jest raczej niemożliwe.

Haunte odchrząknął.

— Trzeba ryzykować i uważać się za szczęściarza, jeśli wróciło się z niczym gorszym od stłuczonej czaszki. Ale powiem ci jedną rzecz, jeśli będziesz mi przeszkadzał swoim paplaniem, to nie dotrzemy tak daleko, żeby znaleźć się w górach.

Od tej chwili Maskull milczał.

Zmierzch zapadał, zmrok gęstniał. Nie było nic do oglądania, ale wiele się dało wyczuć. Ruch łodzi, który zależał od niekończących się zmagających między męskimi kamieniami i siłą grawitacji, przypominał w przesadny sposób gwałtowne miotanie małą łodzią na wzburzonym morzu. Obaj pasażerowie nie czuli się najlepiej. Haunte ze swego miejsca na rufie zerkał na nich sardonicznie jednym okiem. Gwałtownie zapadła ciemność.

Po jakichś dziewięćdziesięciu minutach od rozpoczęcia podróży dotarli do podnóża Lichstormu. Zaczęli się wznosić. Nie pozostało nic z dziennego światła, żeby coś widzieć. Krajobraz pod nimi był jednak zarówno z obu stron jak i od rufy oświetlony na znacznej odległości żywym, błękitnym promieniowaniem obu męskich kamieni. Do przodu promieniowanie nie sięgało, więc Haunte kierował się dzięki świecącym właściwościom skał, traw i drzew. Wszystko lekko fluoryzowało, a roślinność świeciła silniej niż podłoże.

Księżyc nie było i nie było widać gwiazd, z czego Maskull wywnioskował, że niebo zakryte jest chmurami. Raz czy dwa razy poczuł niedostatek powietrza i pomyślał, że wlecieli w jakąś gęstą mgłę dziwnego rodzaju. Opar ten miał właściwość zdwajania intensywności wszystkich światel przed nimi i jednocześnie powodował, że ogarniało go wrażenie nocnego koszmaru – chwilami doświadczał nieuzasadnionego strachu i atmosfery grozy.

Znaleźli się wysoko ponad doliną oddzielającą podnóże od samych gór. Łódź rozpoczęła liczącą wiele tysięcy stóp wspinaczkę, a że skalne ściany były blisko, Haunte musiał ostrożnie manipulować rufowym światłem, żeby je wymijać. Maskull nie bez podziwu obserwował delikatność jego ruchów. Minał dłuższy czas. Zrobiło się znacznie zimniej; powietrze było wilgotne i stwarzało wrażenie przeciągu. Mgła zaczęła osadzać na nich coś w rodzaju śniegu. Maskull wciąż się pocił ze strachu – nie dlatego że groziło mu niebezpieczeństwo, ale dlatego że nie przestawał otaczać ich mgielny obłok.

Pokonali pierwszą linię urwisk. Wciąż pnąc się w górę – ale tym razem jednocześnie poruszając się do przodu, co można było ocenić po pozostawianych w tyle oparach oświetlanych przez męskie kamienie – wkrótce całkiem stracili z oczu stały grunt. Nagle i całkiem nieoczekiwanie przebił się księżyc. W górze widać było jak gęste masy mgieł, pocięte w wielu miejscach wąskimi szczelinami nieba, w których pokazywał się Teargeld, przepływający w powietrzu z jednego miejsca w drugie. Poniżej nich, po lewej pojawiał się na kilka sekund, a potem znów znikał gigantyczny szczyt błyszczący zielonym lodem. Cały pozostały świat zakrywała mgła. Znów ukazał się księżyc. Maskull zobaczył dosyć, żeby zatęsknić za końcem tej powietrznej podróży.

Światło męskich kamieni ukazało kolejną skalną ścianę. Była ogromna, poszarpana i pionowa. W dół,

w górę i na boki ginęła w mroku. Lecieli przez jakiś czas wzdłuż tej ściany, gdy ukazała się wystająca z niej skalna półka. Była płaska i mierzyła tuzin stóp w każdą stronę. Pokrywający ją zielony śnieg miał kilka cali grubości. Bezpośrednio za nią widniała w skale ciemna szczelina wyglądająca na wejście do jaskini.

Haunte umiejętnie posadził łódź na półce. Wstał, podniósł pręt emitujący światło pod kilem i opuścił ten drugi, a potem wyjął z nich oba męskie kamienie. Jego twarz podświetlona żywym, jaskrawobłękitnym światłem trzymany w ręku kamieni zmieniała się w głęboki relief. Wyglądała raczej gburowato.

— Wsiadamy? — zapytał Maskull.

— Tak. Tu mieszkam.

— Dzięki ci za szczęśliwe zakończenie tej niebezpiecznej podróży.

— Tak, to była podróż po omacku.

Corpang zeskoczył na platformę.

— Jakie niebezpieczeństwo? — powiedział, uśmiechając się prostacko. — Nie było żadnego. Nasze przeznaczenie leży gdzie indziej. Ty, Haunte, byłeś jedynie przewoźnikiem.

— Naprawdę? — zapytał Haunte, śmiejąc się w bardzo nieprzyjemny sposób. — Myślałem, że wiozę ludzi, a nie bogów.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał Maskull. Mówiąc to, wysiadł, podczas gdy Haunte pozostał jeszcze przez chwilę w łodzi.

— To jest Sarclash — powiedział Haunte. — Druga, co do wysokości, góra w tej krainie.

— A która jest najwyższa?

— Adage. Między Sarclash i Adage jest długi grzbiet, miejscami bardzo trudny. Gdzieś w połowie odległości, w najniższym punkcie, leży przełęcz Mornstab, prowadząca do Barey. No to znasz już położenie okolicy.

— A ta kobieta, Sullenbode, mieszka gdzieś w pobliżu?

— Wystarczająco blisko — skrzywił się Haunte.

Wyskoczył z łodzi, przepchnął się bezceremonialnie obok nich i pomaszerował prosto do jaskini.

Maskull pospieszył za nim z Corpangiem depczącym mu po piętach. Kilka stopni prowadziło do wejścia zasłoniętego skórą jakiejś ogromnej bestii. Ich gospodarz odchylił ją i wszedł do wnętrza, nie proponując, że przytrzyma skórę z boku. Maskull nie komentował tego, tylko chwycił ją dłonią i zerwał z mocowań na ziemię. Haunte popatrzył na skórę, ale nic nie powiedział, tylko spojrzał ostro na Maskulla, niesympatycznie się uśmiechając.

Miejsce, w którym się znaleźli, było dużą, owalną grota z ścianami, podłogami i sklepieniem z naturalnej skały. Były tu dwa wejścia: to którym weszli i drugie mniejsze dokładnie po przeciwnej stronie. Grota była zimna i ponura; wilgotny przeciąg ciągnął od drzwi do drzwi. Wiele skór dzikich zwierząt leżało porozrzucone po ziemi. Pewna liczba suszonych na słońcu kawałków mięsa wisiała na sznurze wzdłuż ściany, a w kącie spoczywało kilka pełnych bukłaków. Wszędzie poniewierały się kły, rogi i kości. Oparte o ścianę stały dwie krótkie myśliwskie włócznie z pięknymi kryształowymi grotami.

Haunte położył oba męskie kamienie na ziemi w pobliżu tych drugich drzwi; ich światło oświetliło całą grota. Potem podszedł do mięsa, oderwał duży kawałek i zaczął gryźć zachłannie.

— Jesteśmy zaproszeni na tę ucztę? — zapytał Maskull.

Haunte, nie przestając żuć, wskazał mu wiszące mięso i napełnione bukłaki.

— A gdzie są filizanki? — dopytywał się Maskull, podnosząc jeden z bukłaków.

Haunte wskazał mu glinianą czarę leżącą na podłodze. Maskull podniósł ją, rozwiązał szyjkę bukłaka i trzymając go pod pachą, napełnił czarę. Smakując napój, stwierdził, że jest to surowy spirytus. Wlał trunek do gardła i zaraz poczuł się lepiej.

Nalał ponownie i zaoferował Corpangowi. Ten wypił jeden łyk, przełknął, po czym bez słowa oddał

naczynie i już do końca pobytu w jaskini odmawiał dalszego picia. Maskull dopił i przestał się przejmować.

Podszedł do wiszącego mięsa, oderwał sobie spory kawał i usiadł na stosie skór, by zjeść wygodnie. Mięso było twarde i surowe, ale nigdy przedtem nie jadł niczego smaczniejszego. Nie mógł skojarzyć smaku, co nie było niczym zaskakującym w tym świecie dziwnych zwierząt. Jedli w milczeniu. Corpang jadł oszczędnie, stojąc, a potem położył się na pęczku skór. Jego zuchwałe oczy obserwowały wszystkie ruchy obu pozostałych. Haunte, jak na razie, nic nie pił.

Kiedy w końcu Maskull zakończył posiłek, opróżnił kolejną czarę, westchnął z zadowoleniem i przygotował się do rozmowy.

— No to, Haunte, wyjaśnij mi teraz, jak to jest z tymi waszymi kobietami.

Haunte wziął inny bukłak i drugą czarę. Oderwał sznurek zębami, nalał sobie i wypił kilka czarek, jedną po drugiej. Potem usiadł, skrzyżował nogi i odwrócił się do Maskulla.

— No co?

— Co im się zarzuca?

— Są zabójcze.

— Zabójcze? W jakim sensie są zabójcze?

— Dowiesz się. Obserwowałem cię w łodzi. Miałeś jakieś złe odczucia, co?

— Nie ukrywam tego. Były chwile, kiedy czułem się, jakbym walczył z koszmarem sennym. Co było tego przyczyną?

— Kobięcy nastrój Lichstormu. Namiętność seksualna.

— Nie czuję żadnej namiętności.

— Ale to była namiętność, jej pierwszy etap. Was natura małżeństwem zabawia, a nas torturuje. Poczekaj, aż wyjdiesz na zewnątrz. Te wrażenia wrócą, tyle że dziesięć razy gorsze. To, co wypileś, się już o to postara. Czym, według ciebie to wszystko się skończy?

— Gdybym wiedział, to bym się nie pytał.

— Sullenbode — powiedział Haunte, śmiejąc się głośno.

— Masz na myśli, że będę pożądał Sullenbode?

— Myślę o tym, co z tego wyniknie, Maskull? Co ona ci da? Słodką, omdlewającą, czułą, kobiecą zmysłowość?

Maskull chłodno wypił następną czarę.

— Czemu miałyby dawać to wszystko przechodniowi? — zapytał.

— No cóż, w istocie ona nie ma tego po to, by rozdawać. Nie. To co ci da i to co od niej przyjmiesz, gdyż nie będziesz mógł nic na to poradzić, to udręka, szaleństwo i być może śmierć.

— Może to, co mówisz, ma sens, ale dla mnie brzmi jak brednie. Dlaczego miałbym przyjąć szaleństwo i śmierć?

— Bo namiętność cię do tego zmusi.

— A ty? — zapytał Maskull, niecierpliwiąc się.

— Och, ja mam męskie kamienie. Jestem zabezpieczony.

— I to wszystko, co cię chroni przed byciem jak inni mężczyźni?

— Tak. Ale, Maskull, nie próbuj ze mną żadnych numerów.

Maskull pił dalej spokojnie i nic nie mówił przez jakiś czas.

— Czy to znaczy, że mężczyźni i kobiety są tutaj wrogo nastawieni do siebie, a miłość jest nieznana? — zapytał w końcu.

— Magiczne słowo... Mam ci powiedzieć, Maskull, co to jest miłość? Miłość między mężczyzną i kobietą jest niemożliwa. Gdy Maskull kocha kobietę, to znaczy, że to żeńscy przodkowie Maskulla ją

kochają. Natomiast tutaj, w tej krainie, mężczyźni są czystymi samcami. Niczego nie dziedziczą po żeńskiej stronie.

— Skąd się biorą te męskie kamienie?

— Och, to nie są żadne dziwne rzeczy. Gdzieś musi być tego całe źródło. To ono zabezpiecza świat, żeby nie stał się światem czysto żeńskim. Inaczej byłaby to jedna wielka masa ciężkiej słodyczy, bez żadnej indywidualności.

— I ta sama słodycz stanowi torturę dla mężczyzn?

— Życie absolutnego samca jest dzikie. Nadmiar życia jest niebezpieczny dla ciała. Jak może więc być czymś więcej niż torturą?

Corpang usiadł nagle i zwrócił się do Hauntego:

— Przypominam ci twoją obietnicę, że opowiesz nam o Muspel.

Haunte obdarzył go niechętnym spojrzeniem.

— Ha! Człowiek spod ziemi powrócił do życia.

— Tak, tak! Opowiedz nam — dodał bez troski Maskull.

Haunte napił się i roześmiał cicho.

— No cóż, historia jest krótka i niewarta opowiadania, ale jeśli jesteście zainteresowani... Pięć lat temu pojawił się tutaj jakiś obcy, dopytując o „Ogień Muspelu”. Nazywał się Lodd. Przywędrował ze wschodu. Przyszedł do mnie w lato pewnego słonecznego poranka, na zewnątrz tej tu jaskini. Jeśli chcecie, żebym go opisał... Nie wyobrażam sobie drugiego takiego człowieka jak tamten. Wyglądał tak dumnie, szlachetnie, wspaniale, że moja własna krew wydała mi się brudna w porównaniu z nim. Jak się domyślacie, nie odczuwam czegoś takiego przy każdym. Teraz, gdy go sobie przypominam, to był nawet nie tyle wspaniały, co inny. Byłem pod takim wrażeniem, że wstałem i rozmawiałem z nim na stojąco. Pytał się o drogę na górę Adage. Zaczął mówiąc: „Podobno stamtąd widać czasami światło Muspelu. Wiesz coś o tym?” Powiedziałem mu prawdę, że nic o tym nie wiem, a wtedy on powiedział: „Dobrze, idę na Adage. Powiedz tym, którzy tu przyjdą po mnie z tą samą sprawą, że będzie lepiej, jak zrobią to samo.” I To była cała rozmowa. Poszedł swoją drogą i już nigdy więcej go nie widziałem ani o nim nie słyszałem.

— Więc nie byłeś ciekaw na tyle, by pójść za nim?

— Nie, bo w chwili, gdy się odwrócił do mnie tyłem, całe moje zainteresowanie tym człowiekiem jakoś jakby zniknęło.

— Pewnie dlatego, że był dla ciebie bezużyteczny.

Corpang spojrzał na Maskulla.

— To mamy wyznaczoną drogę — powiedział.

— Na to wygląda — stwierdził obojętnie Maskull.

Rozmowa zamarła na jakiś czas. Cisza przytłoczyła Maskulla i zaczął być niespokojny.

— Haunte, jak się nazywa kolor twojej skóry? Taki, jaki widziałem przy świetle dziennym. Wydał mi się dziwny.

— *Dolm* — odpowiedział Haunte.

— Mieszanina *ulfire* i niebieskiego — wyjaśnił Corpang.

— Rozumiem. Te kolory są zadziwiające dla obcego.

— A jakie kolory są w waszym świecie? — zapytał Corpang.

— Tylko trzy podstawowe, a tutaj macie chyba pięć, chociaż nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest możliwe.

— Mamy dwa zestawy kolorów podstawowych — powiedział Corpang — ale jeden z nich, niebieski, jest taki sam w obu zestawach, tak że razem jest ich pięć.

— A po co dwa zestawy?

— Są wytwarzane przez dwa słońca. Branchspell wysyła niebieski, żółty i czerwony, a Alppain: *ulfire*, niebieski i *jale*.

— Ciekawe, że nigdy wcześniej nie słyszałem tego wyjaśnienia.

— Masz tutaj jeszcze jeden przykład nieodzownej troistości w przyrodzie. Niebieski jest egzystencją. Jest ciemnością ogladaną poprzez światło; kontrastem między egzystencją a nicością. Żółty jest relacją. W żółtym świetle najwyraźniej widać wzajemny stosunek obiektów. Czerwony to emocje. Odbijają się od niego nasze osobiste uczucia. A co do kolorów Alppaina... niebieski znajduje się w środku, więc nie jest egzystencją tylko relacją. To *ulfire* jest egzystencją; musi to być więc jakiś inny rodzaj egzystencji.

Haunte ziewnął.

— Macie tam, w tej podziemnej dziurze, wspaniałych filozofów — powiedział.

Maskull wstał i rozejrzał się.

— Dokąd prowadzą te drzwi? — zapytał.

— Sam sprawdź — odpowiedział Haunte.

Maskull wziął go za słowo i ruszył przez jaskinię, odsunął zasłonę i zniknął w ciemności. Haunte poderwał się i pospieszył za nim.

Corpang również podniósł się na nogi. Podeszedł do pełnych bukłaków ze spirytusem, porozwiązywał szyjki i pozwolił, żeby zawartość wyciekła na podłogę. Potem wziął myśliwskie włócznie i poodrywał groty. Zanim zdążył wrócić na miejsce, pojawili się Haunte i Maskull. Gospodarz natychmiast zauważył, co się stało. Uśmiechnął się i zbladł.

— Nie próżnowałeś przyjacielu — wykrzyknął.

— Uznałem, że lepiej pozbawić cię zębów — odrzekł Corpang, przygważdżając go swoim zuchwałym, ciężkim spojrzeniem.

— Haunte, ropucha wyszła na światło w jakimś celu — powiedział Maskull wybuchając śmiechem. — Kto by to przypuszczał?

Haunte mierzył Corpanga przez jakiś czas wzrokiem, po czym wrzasnął okropnie, jak zły duch, i rzucił się na niego. Zaczęli walczyć ze sobą jak dzikie koty. Tarzali się po ziemi, walczyli na stojąco – tak gwałtownie, że Maskull nie mógł zdecydować, który z nich jest górą. Nie próbował ich rozdzielić. Zastanawiał się chwilę, a potem pochwycił oba męskie kamienie i śmiejąc się, uciekł przez górne drzwi w noc na otwartą przestrzeń.

Drzwi wychodziły na czeluść po drugiej stronie góry. W prawo wzdłuż urwiska wiła się wąska półka pokryta zielonym śniegiem. Była to jedyna dostępna ścieżka. Rzucił kamienie poza krawędź rozpadliny. Mimo że ciężkie i twarde w jego dłoni, opadły bardziej jak piórka niż kawałki skały, pozostawiając za sobą długi ślad oparów. Wciąż spoglądał za nimi, jak znikają, gdy z groty wybiegł Haunte, a za nim Corpang. Haunte chwycił gwałtownie Maskulla za rękę.

— Coś ty uczynił, w imię Kraga? — wykrzyknął.

— Zniknęły za burtą — odpowiedział Maskull, znów się śmiejąc.

— Ty przekłety wariacie — krzyknął Haunte. Luminescencja jego skóry zniknęła i pojawiała się, tak jakby jego wewnętrzne światło oddychało. Potem nagle się uspokoił za sprawą wielkiego wysiłku swojej woli. — Wiesz, że to oznacza moją śmierć?

— Czyż ty nie robiłeś wszystkiego w ostatnim czasie, bym dojrzał dla Sullenbode? No więc ciesz się teraz i przyłącz do zabawy!

— Traktujesz to jak żart, a to jest tragiczna rzeczywistość.

Szydercza nieżyczliwość Hauntego całkowicie zanikła. Wyglądał teraz jak chory człowiek; chociaż jego twarz jakoś wyszlachetniała.

— Żałowałbym cię, Haunte, gdyby to nie łączyło się również z żalem za mnie. Teraz wszystkich nas czeka to samo, choć ty chyba jeszcze tego nie zrozumiałeś.

— A dlaczego w ogóle mamy to zrobić? — zapytał cicho Corpang. — Czy wy ludzie nie możecie

kontrolować się, dopóki nie minie niebezpieczeństwo?

Haunte wbił w niego dziki wzrok.

— Nie! Widma już zaczynają mnie ścigać. — Usiadł markotnie, ale po chwili już znowu wstał. — Nie mogę już czekać... gra się rozpoczęła.

Wkrótce potem, przy cichej zgodzie wszystkich, ruszyli ścieżką – Haunte na przedzie. Półka była wąska, wznosząca się i śliska, tak że potrzebna była najwyższa ostrożność. Droga była oświetlona przez fosforyzujący śnieg i skały.

Gdy przeszli już około pół mili, Maskull, który szedł jako drugi z kolei, zachwiał się, oparł o klif i w końcu usiadł.

— Drinki działają — powiedział. — Powróciły tamte koszmary, tyle że są jeszcze gorsze.

— No to jesteś skazany — powiedział Haunte, odwracając się.

Maskull – przy pełnej świadomości zarówno sytuacji jak i obecności swoich towarzyszy – poczuł że jest napastowany przez czarną, bezkształtną, nadprzyrodzoną istotę próbującą go objąć. Zdjęty grozą trząśł się gwałtownie i nie był w stanie poruszyć żadną kończyną. Pot ściekał mu po twarzy wielkimi kroplami. Ten koszmar na jawie trwał przez dłuższy czas, to nasilając się, to jakby ustępując. Chwilami wizja słabła, a zaraz potem stawała się tak silna, że był przekonany o swojej śmierci. Nagle wszystko się skończyło – był wolny. Świeży powiew owiał mu twarz. W uszach rozbrzmiały słodkie ptasie trele, a wraz z nimi jego duszę ogarnął poetycki nastrój. Nigdy wcześniej nie doświadczył takiej nagłej, rozdzierającej serce radości! To również prawie natychmiast ustało.

Wciąż siedząc i kołysząc się, przetarł ręką oczy jak ktoś, komu właśnie ukazał się anioł.

— Zrobiłeś się całkiem biały — powiedział Corpang. — Co się stało?

— Przebyłem drogę od tortur do miłości — odparł po prostu Maskull, wstając.

— Nie opowiesz nam, jak było? — zapytał Haunte, spoglądając na niego ponuro.

— Gdy byłem w Matterplay — odpowiedział z namysłem Maskull — widziałem gęste chmury pozbywające się ładunku i zmieniające w kolorowe, żywe zwierzęta. W ten sam sposób moje mroczne, chaotyczne spazmy wydawały się łączyć i tworzyć razem nowy rodzaj radości – radości niemożliwej bez wcześniejszego koszmaru. To nie przypadek. Natura do tego dąży. Olśniło mnie wtedy... Wy, mężczyźni z Lichstormu, nie docieracie wystarczająco daleko. Poprzestajecie na spazmach. Nie zdajecie sobie sprawy, że to są tylko bóle porodowe.

— Jeśli to prawda, to jesteś wielkim prekursorem — mruknął Haunte.

— W czym to się różni od zwykłej miłości? — dopytywał się Corpang.

— To jest wszystko, co zawiera miłość, pomnożone przez dzikość.

Corpang drapał się jakiś czas po brodzie.

— Mężczyźni z Lichstormu nigdy jednak nie osiągną tego etapu — powiedział — bo są zbyt męscy.

— Dlaczego tylko my mamy cierpieć? — zapytał Haunte, blednąc.

— Natura jest kapryśna i okrutna, i nie stosuje się do zasad sprawiedliwości... Idź z nami, Haunte. Uciekaj od tego.

— Zobaczę — mruknął Haunte. — Może tak zrobię.

— Daleko jeszcze do Sullenbode? — zapytał Maskull.

— Nie, jej dom jest pod przewieszką czapy Sarclashu.

— I cóż się dzisiaj wydarzy? — Maskull mówił to do siebie, ale Haunte i tak mu odpowiedział.

— Biorąc pod uwagę to, co się właśnie wydarzyło, nie powinienś oczekiwać niczego przyjemnego. To nie jest kobieta, to hałda czystego seksu. Twoje namiętności nadadzą jej ludzki kształt, ale tylko na chwilę. Gdyby zmiana zaszła na stałe, obdarzyłbyś ją duszą.

— Może te zmiany mogą być na stałe.

— Żeby tego dokonać, nie wystarczy jej pożądać, ona musi również pożądać ciebie. Dlaczego jednak

miałaby ciebie pożądać?

— Nic nie dzieje się zgodnie z oczekiwaniami — powiedział Maskull, potrząsając głową. — Może lepiej już chodźmy.

Ruszyli dalej. Półka wciąż się wznosiła, ale za zakrętem Haunte porzucił ją i zaczął się wspinać stromym wąwozem, prowadzącym wprost pod górę. Zostali zmuszeni do używania rąk i nóg. Maskull cały czas nie myślał o niczym innym, jak tylko o słodkich chwilach, których doświadczył.

Płaski grunt na szczycie był suchy i sprężysty. Śniegu nie było, za to pojawiły się świecące rośliny. Haunte skreślił ostro w lewo.

— Musimy już być pod tą czapą — powiedział Maskull.

— Masz rację. Za pięć minut zobaczysz Sullenbode.

Gdy tamten to mówił, wargi Maskulla uwarściły się w zaskakujący sposób. Ich wzajemny dotyk przyprowadził go o dreszcz na całym ciele.

Trawy świeciły mgliście. Przed nimi pojawiło się wielkie drzewo z jaśniejącymi gałęziami. Wisiało na nim mnóstwo czerwonych owoców wyglądających jak wiszące latarnie i nie było żadnych liści. Pod drzewem siedziała Sullenbode. Jej cudowna poświata – połączenie *jale* i bieli – połyskiwała miękko w ciemności. Kobieta siedziała wyprostowana ze skrzyżowanymi nogami i spała. Ubrana była w osobliwe skórzane ubranie składające się z okrycia przerzuconego przez jedno ramię i zakończonych luźnymi spodniami sięgającymi do kolan. Ręce złożyła razem. W jednej z nich trzymała na wpół zjedzony owoc.

Maskull stanął nad nią i spojrzał z dużym zainteresowaniem. Pomyślał, że nigdy nie widział niczego nawet w połowie tak kobiecego. Jej ciało prawie rozlewało się w swojej miękkości. Narządy twarzy były tak słabo rozwinięte, że ledwo przypominały ludzkie; jedynie wargi były pełne, wydętne i wyraziste. W swojej obfitości były jak rozprysk zmaterializowanej woli na tle drzemiącej protoplazmy. Włosy miała nieuczesane. Ich koloru nie był stanie odróżnić – były długie, potargane i dla wygody wsunięte z tyłu pod ubranie.

Corpang wyglądał na spokojnego i poważnego, ale pozostali dwaj byli wyraźnie wstrząśnięci. Serce biło Maskullowi w piersiach jak młot. Haunte pociągnął go za ramię.

— Czuję się tak, jakby moja głowa została zerwana z ramion — powiedział.

— To znaczy?

— Przecież w tym jest straszliwa radość — dodał, niezdrowo się uśmiechając i położył rękę na ramieniu kobiety.

Sullenbode obudziła się spokojnie, spojrzała na nich i wróciła do jedzenia swojego owocu. Maskull nie sądził, że może być na tyle inteligentna, by rozmawiać. Haunte nagle upadł na kolana i pocałował ją w usta.

Kobieta nie protestowała. W czasie trwania pocałunku, Maskull zauważył ze zdumieniem, że jej twarz ulega zmianie. Jej rysy uwydatniły się, stały bardziej ludzkie i niemal twarde. Uśmiech spełził, a jego miejsce zajął grymas niezadowolenia. Odepchnęła Hauntego i wstała, popatrzyła spod wygiętych brwi na trójkę mężczyzn, na każdego z osobna. Maskull był ostatni. Studiowała jego twarz przez dłuższą chwilę, niemniej nic nie sugerowało, jakie może mieć myśli.

W międzyczasie, chwiejąc się i szczerząc zęby, podszedł do niej Haunte. Znosiła go spokojnie, ale gdy wargi ich zetknęły się ponownie, Haunte został odrzucony do tyłu, krzycząc z zaskoczenia, jak gdyby został potraktowany prądem elektrycznym. Uderzył tyłem głowy w ziemię i leżł bez ruchu.

Corpang skoczył do przodu, by mu pomóc. Kiedy jednak zobaczył, co się stało, pozostawił go w spokoju.

— Maskull, chodź szybko — zawołał.

Gdy Maskull się pochylił, poświata skóry Hauntego gasła już w dostrzegalny sposób. Mężczyzna był martwy. Twarz była nierozpoznawalna. Głowa, jak gdyby straszliwie uderzona siekierą, została rozszczepiona od góry do dołu na dwie połowy, zalewając się krwią w dziwnym kolorze.

— To nie może być skutek upadku — powiedział Maskull.

— Nie, to zrobiła Sullenbode.

Maskull odwrócił się szybko i spojrzał na kobietę. Siedziała na ziemi jak przedtem. Wyraz chwilowej inteligencji zniknął z jej twarzy i znów się uśmiechała.

Rozdział 19

Sullenbode

Goła skóra Sullenbode świeciła łagodnie w ciemności, ubrane części jej ciała były niewidoczne. Maskull spojrział na jej bezmyślną, uśmiechniętą twarz i zadrżał. Dziwne uczucia ogarnęły jego ciało.

— Wygląda jak zły duch wypełniony śmiercią — odezwał się Corpang w ciemności.

— To było tak, jakby z rozmysłem pocałował błyskawicę.

— Był oszalały z namiętności.

— Tak, jak i ja — powiedział cicho Maskull. — Moje ciało wydaje się być pełne trących o siebie kamieni.

— Tego się obawiałem.

— Chyba też muszę ją pocałować.

— Straciłeś całą męskość? — zapytał Corpang, chwytając go za ramię.

Maskull niecierpliwie stracił jego rękę, poskubał się w brodę i zapatrzył na Sullenbode. Wargi mu drżały. Trwał tak kilka minut, po czym postąpił do przodu i pochylił się nad kobietą. Ujął ją dłońmi, posadził prosto, opierając o chropowate drzewo, i pocałował.

Zimny, bolesny szok ogarnął jego ciało. Pomyślał, że to już śmierć i stracił przytomność.

Gdy powróciły mu zmysły, Sullenbode przytrzymała go za ramię na odległość ręki i badała jego twarz posępnym wzrokiem. Z początku jej nie poznał; to nie była kobieta, którą pocałował, lecz jakaś inna. Stopniowo zorientował się jednak, że jej twarz jest identyczna z tą, którą do istnienia powołał Haunte. Ogarnął go ogromny spokój, a złe samopoczucie zniknęło.

Sullenbode została przekształcona w żywą duszę. Jej skóra była jędrna, rysy silne, a oczy błyszczały siłą świadomości. Była wysoka i szczupła, ale oszczędna w gestach i ruchach. Jej twarz nie była piękna – była pociągła i blada, jedynie na dole przekreślały ją usta jak język ognia. Wargi pozostały tak zmysłowe jak przedtem. Brwi były gęste. Nie było w niej nic wulgarного – wyglądała najbardziej królewsko ze wszystkich kobiet. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Wyraźnie zmęczwszy się tym badaniem, odepchnęła go nieco i pozwoliła opaść swojej ręce, wyginając jednocześnie swe usta w długim, łukowatym uśmiechu.

— Komu zawdzięczam ten dar życia? — zapytała.

Głos miała dźwięczny, cichy i dziwny. Maskullowi wydawało się, że śni.

— Nazywam się Maskull — powiedział.

Ruszyła w jego kierunku, by być o krok bliżej.

— Posłuchaj Maskull — powiedziała. — Jeden mężczyzna za drugim wciągał mnie do świata, ale żaden nie potrafił mnie tutaj zatrzymać, gdyż sobie tego nie życzyłam. A teraz ty wciągnąłeś mnie do niego na stałe, na dobre i na złe.

Maskull pokazał ręką na niewidocznego obecnie nieboszczyka i zapytał spokojnie:

— A co powiesz o nim?

— Kto to był?

— Haunte.

— Więc to był Haunte. Wieści rozchodzą się szeroko i daleko. To był sławny człowiek.

— Straszna sprawa. Nie mogę uwierzyć, że zabiłaś go z rozmysłem.

— My, kobiety, jesteśmy obdarzone straszliwą siłą. I to jest nasza jedyna ochrona. Nie pragniemy tych wizyt, nienawidzimy ich.

— Ja też mogłem umrzeć.

— Przyszlście razem?

— Było nas trzech. Corpang wciąż tam stoi.

— Widzę słabo przeświecającą postać. Czego chcesz ode mnie, Corpang?

— Niczego.

— To odejdź i zostaw mnie z Maskullem.

— Nie ma potrzeby, Corpang. Idę z tobą — powiedział Maskull.

— Czyżby to jednak nie była ta przyjemność? — cichym, poważnym głosem padło pytanie z ciemności.

— Nie, ta przyjemność już nie powróciła.

Sullenbode chwyciła go mocniej za rękę.

— O jakiej przyjemności mówicie? — zapytała.

— O przeczuciu miłości, jakie miałem niedawno.

— A co czujesz teraz?

— Spokój i wolność.

Twarz Sullenbode wydała mu się bladą maską skrywającą powolnie nabrzmiewające morze prostych namiętności.

— Nie wiem, jak to się skończy, Maskull, ale przez jakiś czas będziemy jeszcze trzymać się razem. Gdzie chcesz iść?

— Na Adage — powiedział Corpang, postępując naprzód.

— Po co?

— Idziemy śladem Lodda, który poszedł tam wiele lat temu szukać światła Muspelu. To światło innego świata.

— Wspaniała wyprawa. A kobietom nie wolno oglądać tego światła?

— Wolno. Pod jednym warunkiem — powiedział Corpang. — Muszą zapomnieć o swojej płci. Kobiecość i miłość należą do życia, podczas gdy Muspel jest ponad życie.

— Oddam ci wszystkich innych mężczyzn — powiedziała Sullenbode. — Ale Maskull jest mój.

— Nie. Nie po to tutaj jestem, by zapewnić Maskulłowi kochankę, ale by przypominać mu o szlachetniejszych sprawach.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Corpang, ale we dwóch, samotnie nigdy nie pokonacie drogi na Adage.

— A ty ją znasz?

Kobieta znów chwyciła Maskulla za ramię.

— Czymże jest miłość?... Czym Corpang tak pogardza? — zapytała. A gdy Maskull popatrzył na nią z zainteresowaniem, dodała: — Miłość to absolutna gotowość do zatracenia się i odejścia w niebyt dla ukochanego.

— Wspaniałomyślna kochanka to dla mnie coś całkiem nowego — stwierdził Corpang, marszcząc czoło.

Maskull odepchnął go ręką.

— Rozważasz poświęcenie? — zapytał.

Sullenbode spuściła wzrok i uśmiechnęła się.

— Czy to ma jakieś znaczenie, co ja myślę? — zapytała. — Powiedz mi, chcecie najpierw odpocząć czy ruszacie od razu? Droga na Adage nie jest łatwa.

— Co masz na myśli? — zapytał Maskull.

— Poprowadzę was trochę. I chyba się wrócę, gdy dotrzemy na grzbiet łączący Sarclash i Adage.

— A potem?

— Jeśli będzie świecił księżyc, to być może dojdziecie przed świtem, ale w ciemności raczej wam się nie uda.

— Nie o to mi chodziło. Co ty zrobisz, gdy się od nas odłączysz?

— Gdzieś wrócę. Pewnie tutaj.

Maskull podszedł do niej, chcąc lepiej przyjrzeć się jej twarzy.

— Znów zapadniesz w ten... stan? — zapytał.

— Och nie, Maskull, dzięki bogu już nie.

— To jak będziesz żyła?

Sullenbode łagodnie zsunęła jego rękę ze swego ramienia. W jej oczach pojawiły się jakieś wirujące ogniki.

— A kto mówi, że będę wciąż żyła?

Maskull zamrugał oszołomiony. Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwał.

— Wy, kobiety, lubicie się poświęcać. Wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić.

Ich oczy spotkały się, ale żadne nie odwróciło wzroku. Żadne również nie czuło się zakłopotane.

— Maskull, ty już zawsze pozostaniesz najwspaniałomyślniejszym z mężczyzn. Chodźmy więc... Corpang jest człowiekiem prostolinijnym i my, którzy nie jesteśmy tak prostolinijni jak on, nie możemy dla niego zrobić mniej, niż pomóc mu dojść do celu. Nie powinniśmy zastanawiać się, czy cele prostolinijnych ludzi są z zasady warte realizacji.

— Co jest dobre dla Maskulla, będzie dobre i dla mnie — powiedział Corpang.

— No cóż, żadne naczynie nie zmieści więcej niż wynosi jego pojemność.

— Okazuje się, że podczas tego swojego długiego snu udało ci się zaczerpnąć mądrości — powiedział Corpang, uśmiechając się złośliwie.

— Masz rację, Corpang, spotkałam mnóstwo mężczyzn i badałam wiele umysłów.

Gdy ruszali, Maskull przypominał sobie o Hauntem.

— Może byśmy pogrzebali tego biedaka? — zapytał.

— Jutro o tej porze sami będziemy potrzebowali pogrzebu. Oczywiście nie mam tu na myśli Corpanga.

— Nie mamy narzędzi, więc niech będzie po twojemu. Ty go zabiłaś, ale to ja jestem prawdziwym mordercą. To ja ukradłem mu to światło, które go chroniło.

— Z pewnością życie, które podarowałaś mnie, równoważy tę śmierć.

Opuścili to miejsce w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyszli przedtem trzej mężczyźni. Po kilku krokach znów pojawił się zielony śnieg. Jednocześnie skończył się płaski teren i ruszyli na przełaj, trawersując strome, górskie zbocze. Śnieg i skały migotały, a ich własne ciała świeciły – inaczej wszędzie byłoby ciemno. Mgły wirowały wokół nich, niemniej Maskull nie miał już więcej koszmarów. Wiało jednostajnie chłodnym i czystym powietrzem. Szli jedno za drugim, Sullenbode prowadziła. Jej ruchy było nieśpieszne i fascynujące. Corpang szedł na końcu. Swoim surowym wzrokiem nie widział z przodu niczego, poza uwodzicielską dziewczyną i na wpół zadurzonym mężczyzną.

Przez dłuższy czas pokonywali dziki, skalisty stok, utrzymując kierunek lekko pod górę. Nachylenie było tak strome, że każdy fałszywy krok mógł stać się fatalnym. Po prawej teren był wysoki. Po jakimś czasie zbocze po lewej zrobiło się płaskie, jak gdyby łącząc się z innym pasmem górskim. Wznoszący się stok po prawej ciągnął się jeszcze kilkaset jardów. Sullenbode odbiła ostro w lewo i znaleźli się na płaskim terenie.

— Jesteśmy na grzbiecie — oznajmiła kobieta, zatrzymując się.

Pozostali dwaj podeszli do niej i w tej samej chwili księżyc wyszedł zza chmur, oświetlając całą scenię.

Maskull jęknął. Dzikie i odludne, szlachetne piękno tego widoku było zupełnie nieoczekiwane. Teargeld stał po lewej wysoko na niebie, świecąc na nich z tyłu. Wprost przed nimi, jak niezwykle szeroka, lekko wznosząca się droga, leżał rozległy grzbiet prowadzący na Adage, chociaż samego Adage nie było widać. Grzbiet miał nie mniej niż dwieście jardów szerokości. Pokrywał go zielony śnieg – w niektórych miejscach całkowicie, w innych, jak czarne zęby, wystawały z niego nagie skały. Z miejsca, w którym stali, nie mogli zobaczyć zboczy grzbietu ani niczego, co leżało poniżej. Po prawej ręce, gdzie była północ, krajobraz był niewyraźny i nie dający się odróżnić. Nie było tam szczytów; był to daleki, nizinny ląd Bareyu. Natomiast po lewej pojawił się cały las potężnych wierzchołków, bliskich i dalekich, ciągnących się w świetle księżyca jak okiem sięgnąć. Wszystkie połyskiwały zielenią i wszystkie posiadały niezwykle czapy charakterystyczne dla gór Lichstormu. Czapy te miały fantastyczne kształty i każda z nich była inna. Dolinę przed nimi wypełniała kłębiąca się mgła.

Sarclash był potężnym górskim masywem w kształcie podkowy. Oba końce skierowane były na zachód i oddzielone od siebie milą lub więcej pustej przestrzeni. Północny koniec przechodził w grzbiet na którym stali. Południowy, w postaci długiego szeregu skał, był tą częścią góry, w której znajdowała się jaskinia Hauntego. Oba łączyła krzywa, którą stanowił strawersowany przez nich stromy stok. Główny szczyt Sarclashu był niewidoczny.

Na południowym zachodzie wznosiły swoje wierzchołki liczne góry. W dodatku, kilka szczytów o nadzwyczajnej wysokości pojawiło się powyżej południowego ramienia podkowy.

Maskull odwrócił się, żeby zapytać o coś Sullenbode, ale gdy po raz pierwszy zobaczył ją w świetle księżyca, słowa zamarły mu na wargach. Usta – przedtem jak cięcie nożem – nie dominowały już w jej rysach, a twarz – blada jak kość słoniowa i bardzo kobieca w kształcie – stała się prawie piękna. Wargi były długą krzywizną kobiecego różu i czerwieni. Włosy były ciemno kasztanowe. Maskull, mocno zmieszany, pomyślał, że przypomina raczej ducha niż kobietę.

— Coś cię zaskakuje? — zapytała z uśmiechem.

— Nie. Ale chciałbym zobaczyć cię w blasku słońca.

— Wątpię, czy ci się to uda.

— Musisz być bardzo samotną kobietą.

Jej czarne, lekko połyskujące oczy wpatrzyły się w niego badawczo.

— Maskull, dlaczego ty się boisz mówić o swoich uczuciach?

— Bo to wszystko jawi mi się nagle, jak wschód słońca, i nie wiem, co oznacza.

— Zapewne nie oznacza nadejścia nocy — roześmiała się szczerze Sullenbode.

— Maskull, dalej droga jest prosta. Jak chcesz, to pójde sam — wtrącił nagle Corpang, który wpatrywał się w grzbiet przed nimi.

— Nie. Pójdziemy wszyscy razem. Sullenbode będzie nam towarzyszyła.

— Przez jakiś czas — powiedziała kobieta. — Ale na Adage, żeby przeciwstawiać mą siłę niewidzialnym mocom, nie pójde. To światło nie jest dla mnie. Wiem, jak się wyrzec miłości, ale nigdy jej nie zdradzę.

— Kto wie, co znajdziemy na Adage i co się tam wydarzy? Corpang, tak jak i ja, nic na ten temat nie wie.

Corpang spojrzał mu prosto w twarz.

— Maskull, dobrze wiesz, że w towarzystwie pięknej kobiety nigdy nie dotrzesz w pobliże tego straszliwego ognia.

Maskull roześmiał się z zakłopotaniem.

— Sullenbode, Corpang nie powiedział ci, że ja jestem daleko lepiej zaznajomiony ze światłem Muspelu niż on i że gdyby nie przypadkowe spotkanie ze mną, on w dalszym ciągu by odprawiał swe modły w Threalu.

— Niemniej to, co powiedział, musi być prawdą — odpowiedziała, spoglądając to na jednego, to na drugiego.

— I dlatego nie wolno mi...

— Dopóki będę z tobą, Maskull, będę cię przynaglać, a nie powstrzymywać.

— Niepotrzebnie się kłócimy — stwierdził Maskull, uśmiechając się z przymusem. — Wszystko na pewno się samo wyjaśni.

Sullenbode kopnęła nogą śnieg.

— Corpang, w czasie mego snu dowiedziałam się jeszcze jednej rzeczy.

— Tak? Czego?

— Ludzie, którzy żyją z praw i zasad są pasożytami. To inni poświęcają swoje siły – nie dla siebie nie zdobywając – by te prawa wydobyte zostały z nicości na światło dzienne, a ci, co ich przestrzegają, żyli w pokoju.

— Niektórym jest dane odkrywać, a innym chronić i udoskonalać. Nie możesz mnie potępiać za to, że życzę dobrze Maskullowi.

— Nie, ale dziecko nie może przewodzić burzy.

Ruszyli dalej środkiem grzbietu. Szli obok siebie, Sullenbode w środku.

Droga opadała lekko i na dłuższej odległości była relatywnie gładka. Punkt zamarzania wydawał się być nieco wyższy niż na Ziemi, gdyż kilkucalowy śnieg, po którym z mazołem wędrowali, dał się czuć jako niemal ciepły dla ich nagich stóp. Podeszwy Maskulla pokryte były teraz twardą skórą. Oświetlony światłem księżyca śnieg był zielony i raził w oczy. Ich ukośne, skrócone cienie były ostro zaznaczone i czerwono-czarne w kolorze. Maskull, który szedł z prawej strony Sullenbode, spoglądał co chwila w lewo na galaktykę odległych wspaniałych szczytów.

— Maskull, ty chyba nie należysz do tego świata — powiedziała kobieta. — Takich mężczyzn jak ty, tutaj się nie znajdzie.

— To prawda, przybyłem z Ziemi.

— Jest większa niż nasz świat?

— Chyba mniejsza. Jest mała i zatłoczona. Przy tylu ludziach byłby tam straszny bałagan, gdyby nie prawa porządkowe i dlatego te prawa muszą być żelazne. A ponieważ przygoda stała się niemożliwa bez ich łamania, duch przygody wśród Ziemian zanikł. Wszystko jest bezpieczne, pospolite, wulgarne i zrealizowane do końca.

— A czy kobiety i mężczyźni nienawidzą się wzajemnie?

— Nie. Spotkania płci są słodkie, chociaż wstydlive. Słodycz jest tak wzruszająca, że towarzyszący jej wstyd jest otwarcie ignorowany. Nienawiści nie ma albo występuje tylko wśród niewielu ekscentrycznych osób.

— U podstaw naszych namiętności w Lichstormie z pewnością leży wstyd. Ale powiedz mi, po co tu przybyłeś?

— Chyba po nowe doświadczenia. Te stare już mnie nie interesowały.

— Jak długo już jesteś w naszym świecie?

— Kończy się właśnie mój czwarty dzień.

— I co widziałeś, co robiłeś przez te cztery dni? Musiałeś coś robić.

— Och, to były same nieszczęśliwe wydarzenia.

Maskull pokrótce zrelacjonował wszystko, co miało miejsce od chwili, gdy po raz pierwszy obudził się na szkarłatnej pustyni. Sullenbode słuchała z przymkniętymi oczami, kiwając głową od czasu do czasu i tylko dwa razy mu przerwała. Gdy opisywał śmierć Tydomin, powiedziała cicho: — Dzięki prawom natury, żadnej z nas, kobiet, nie powinno zabraknąć takiego poświęcenia jak Tydomin. Prawie ją pokochałam za ten jeden czyn, mimo że przyniosła zło pod twoje drzwi. — A gdy mówił o Gleameil, stwierdziła: — Wielkoduszną dziewczyną, którą podziwiam najbardziej ze wszystkich. Słuchała swojego

wewnętrznego głosu i niczego poza tym. Kto z nas jest na to wystarczająco silny?

— Nie uderza cię, Maskull — zapytała, gdy skończył — że kobiety, które spotkałeś, były szlachetniejsze niż mężczyźni?

— Przyznaję — odparł Maskull — że my, mężczyźni, często się poświęcamy, ale tylko w konkretnych przypadkach. Dla was, kobiet, prawie każda przyczyna jest dobra. Lubicie się poświęcać same z siebie, dlatego że jesteście z natury szlachetne.

Odwróciwszy głowę nieco w jego kierunku, obdarzyła go uśmiechem tak dumnym, a przy tym tak słodkim, że zamilkł.

Przez jakiś czas wędrowali w ciszy.

— Rozumiesz teraz jakim jestem mężczyzną — powiedział Maskull. — Dużo brutalności, więcej słabości, nikłe współczucie dla innych... Och, co za koszmarna podróż!

— Wiesz, ja bym nie chciała nawet mniej koszarnej — powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Tak, o moich zbrodniach nie da się powiedzieć nic dobrego.

— Dla mnie, Maskull, jesteś jak samotny olbrzym poszukujący czegoś... Tej najwspanialszej rzeczy w życiu... No, przynajmniej nie masz żadnego powodu, by podziwiać kobiety.

— Dzięki, Sullenbode! — odpowiedział Maskull, krzywiąc się w zakłopotaniu.

— Ludzie uważajcie, Maskull idzie. Zrzuca wszystkich ze swej drogi. Maskull, ty przesz do przodu, nie patrząc ani w lewo, ani w prawo.

— Uważaj, żebyś ty również nie została zepchnięta — wtrącił poważnie Corpang.

— Maskull robi ze mną, co zechce, stary mądralo! I cokolwiek by zrobił, będę mu wdzięczna... A ty zamiast serca masz worek kurzu. Ktoś ci opisał miłość... Poznałeś ją z opisu. Usłyszałeś, że jest to egoistyczna, napawająca lękiem, drobna przyjemność. To nie tak... Że jest nieludzka, lekceważąca, ośmieszająca, cholerna... Skąd ty to możesz wiedzieć.

— Egoizm ukrywa się pod zbyt wielu postaciami.

— Jeśli kobieta chce zrezygnować ze wszystkiego, to gdzie tu jest egoizm?

— Lepiej się nie oszukuj. Nie zwlekaj, bo los może się okazać dla was obojga zbyt szybki.

Sullenbode spojrzała na niego spod oka.

— Masz na myśli śmierć? Jego i moją?

— Corpang, posuwasz się za daleko — powiedział Maskull, ciemniejąc na twarzy. — Nie prosiłem cię, byś osądzał nasze szczęście.

— Jeśli uczciwa rada jest dla ciebie nie do przyjęcia, to pozwól mi odejść.

Kobieta powstrzymała go swoim delikatnym palcem.

— Chcę, żebyś został — powiedziała.

— Dlaczego?

— Bo może wiesz o czym mówisz. Nie chcę przynieść Maskullowi nieszczęścia. To ja was opuszczę.

— Tak będzie najlepiej — zgodził się Corpang.

— Ja o tym zdecyduję — rozłożył się Maskull. — Sullenbode, czy pójdziesz dalej, czy zawrócisz — ja zostanę z tobą. Już zdecydowałem.

Mimo starań, by to ukryć, jej twarz rozbłysła radością.

— Maskull, dlaczego się na mnie złościł? — zapytała.

Maskull nie odpowiedział. Szedł dalej, marszcząc brwi. Po kilkunastu krokach zatrzymał się gwałtownie.

— Sullenbode, zaczekaj! — zawołał.

Pozostała dwójka zatrzymała się. Corpang sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale kobieta uśmiechała

się. Maskull bez słowa pochylił się i pocałował ją w usta. Potem odstał od niej i odwrócił się do Corpanga.

— Jak ty, w swojej wielkiej mądrości, interpretujesz ten pocałunek? — zapytał.

— Maskull, interpretacja pocałunku nie wymaga wielkiej mądrości.

— Od tej chwili, Corpang, nie ośmielaj się wchodzić między nas. Sullenbode jest moja.

— W takim razie już nic więcej nie powiem, a ty jesteś przegrany — powiedział Corpang i więcej się już do nich nie odezwał.

Oczy kobiety mocno rozbłysły.

— No, Maskull, teraz to już co innego. Dokąd mnie zabierasz? — zapytała.

— Sama zdecyduj.

— Mężczyzna, którego kocham musi dopełnić swej podróży. Nie chcę, żeby było inaczej. Nie możesz być gorszy od Corpanga.

— Gdzie ty, tam ja.

— A ja, dopóki trwa twoja miłość, będę szła za tobą choćby na Adage.

— Wątpisz w jej trwanie?

— Wolalabym nie... Powiem ci teraz to, czego nie chciałam powiedzieć wcześniej. Kres twojej miłości, to kres mojego życia. Gdy przestaniesz mnie kochać, umrę.

— Dlaczego? — zapytał cicho Maskull.

— Bo taką odpowiedzialność wzięłam na siebie, całując mnie po raz pierwszy. Nigdy nie miałam zamiaru ci tego wyznać.

— Chcesz powiedzieć, że gdybym poszedł sam, ty byś umarła.

— Nie mam innego życia, oprócz darowanego przez ciebie.

Popatrzył na nią markotnie, nie próbując nic odpowiadać, a potem powoli objął ją ramionami. Trzymając ją w objęciach, pobałdł mocno, a ona zrobiła się biała jak kreda.

Kilka minut później znów podjęli swą podróż ku Adage.

Maszerowali dwie godziny. Teargeld był coraz wyżej na niebie i coraz bliżej południa. Zeszli w dół wieleset stóp i charakter grzbietu zaczął zmieniać się na gorsze. Cienki śnieg zniknął pozostawiając mokry, błotnisty grunt. Dookoła były trawiaste pagórki i wrzosowiska. Zaczęli się ześlizgiwać i oblepiać błotem. Rozmowa zamarła; Sullenbode prowadziła, a mężczyźni szli jej śladem. Południowa część krajobrazu robiła się wyższa. Zielonkawe światło jasnego księżyca oświetlające multum ośnieżonych na zielono szczytów nadawało okolicy wygląd widmowego świata. Najbliższa góra wznosząca się wysoko ponad nimi znajdowała się po drugiej stronie doliny w odległości jakichś pięciu mil na południe. Była to smukła, niedostępna, oszałamiająca iglica z czarnej skały o stokach zbyt stromych, żeby utrzymać śnieg. Jej najwyższym punktem był wielki, wykręcony do góry róg skalny. Przez długi czas stanowiła najbardziej charakterystyczny element krajobrazu.

Cały grzbiet stał się stopniowo przesiąknięty wilgocią. Powierzchnia ziemi była gąbczasta i spoczywała na nienasiąkliwej skale; wchłaniała wilgoć mgieł w ciągu nocy i wydzielala ją z powrotem w dzień pod wpływem promieni Branchspella. Marsz stał się najpierw nieprzyjemny, potem trudny, a w końcu niebezpieczny. Nikt z nich nie potrafił odróżnić twardego gruntu od trzęsawiska. Sullenbode wpadła po pas w dziurę błota. Maskull ją wyciągnął, ale po tym incydencie postanowił iść pierwszy. Corpang następny popadł w kłopoty. Szukając dla siebie nowej ścieżki, wpakował się w rzadki muł aż po ramiona i ledwo uszedł wstrętnej śmierci. Po tym, jak Maskull go wyratował, sam się przy tym mocno narażając, zrobił to jeszcze raz. Później droga zmieniła się ze złej na gorszą. Każde stąpienie musiało być dokładnie sprawdzone zanim doszło do obciążenia i nawet wtedy często okazywało się błędne. Każdy z nich zapadał się tyle razy, że w końcu nie przypominali już istot ludzkich, lecz chodzące słupy pokryte od stóp do głów czarnym brudem. Najcięższa praca przypadła Maskullowi. Miał nie tylko wyczerpujące zadanie przecierania szlaku, ale był ciągle wzywany, by pomóc swoim towarzyszom wydostać się z kłopotów. Bez niego nie byłiby w stanie się przedostać.

Po szczególnie ciężkim odcinku zatrzymał się, by odzyskać siły. Corpang oddychał z trudnością, a Sullenbode była cicha, apatyczna i przygnębiona.

Maskull popatrzył na nich z powątpiewaniem.

— Długo tak będzie? — zapytał.

— Chyba nie — odpowiedziała kobieta. — Powinniśmy być już blisko przełęczy Mornstab. Później znów zaczniemy iść pod górę i wtedy droga może się poprawić.

— Byłaś tu już?

— Byłam raz na przełęczy, ale nie było tak źle jak teraz.

— Jesteś zmęczona.

— I co z tego? — odpowiedziała, uśmiechając się nieznacznie. — Jak ktoś ma okropnego ukochanego, to musi za to płacić.

— Nie dojdziemy tam tej nocy, zatrzymajmy się w pierwszym schronieniu na jakie natrafimy.

— Ty decydujesz.

Tamci siedzieli, podczas gdy Maskull chodził w tę i z powrotem.

— Niczego nie żałujesz? — zapytał nagle.

— Nie, Maskull, niczego. Niczego nie żałuję.

— Wciąż jesteś pewna swoich uczuć?

— Miłości nie można odwołać. Miłość może się tylko rozwijać.

— Tak, tak! Po wieczne czasy.

— Nie, nie to miałam na myśli. Osiąga szczyt, ale gdy go już osiągnie i wciąż chce się rozwijać, musi się zwrócić ku poświęceniu.

— Przerazające credo — powiedział cicho, blednąc pod warstwą błota.

— Chyba moja natura jest sprzeczna... Jestem zmęczona. Nie wiem, co czuję.

Po kilku minutach byli już na nogach i kontynuowali podróż. W ciągu pół godziny dotarli na przełęcz Mornstab.

Grunt tutaj był bardziej suchy; zapadły teren na północy przysłużył się do drenażu wilgoci z gleby. Sullenbode poprowadziła ich do północnego skraju grzbietu, żeby pokazać charakter tej krainy. Przełęcz nie była niczym więcej niż tylko gigantycznym osuwiskiem po obu stronach grzbietu, w miejscu, w którym był on najniższy w stosunku do leżącego w dole terenu; opadała ku Barey seriami ogromnych, poszarpanych teras z ziemi i skał. Terasy porastała skarłowaciała roślinność. Zejście tędy w dół na niziny, chociaż dość trudne, było całkiem możliwe. Po obu stronach osuwiska, na wschód i na zachód, grzbiet opadał w dół długim ciągiem gołych, przerażających urwisk. Nisko ścieląca się mgła przesłaniała widok na Barey. W powietrzu panowała całkowita cisza przerywana jedynie odległym grzmotem niewidocznego wodospadu.

Maskull i Sullenbode przysiedli na głazie, spoglądając na rozpościerającą się krainę. Księżyc był wysoko w górze, dokładnie za nimi. Było prawie tak jasno jak w dzień na Ziemi.

— Ta noc jest jak życie — powiedziała Sullenbode.

— Tak?

— Jest tak pięknie nad nami i dookoła nas, i tak plugawie pod nogami.

— Biedna dziewczyno — westchnął Maskull — jesteś nieszczęśliwa.

— A ty? Ty jesteś szczęśliwy?

Zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

— Nie. Nie jestem szczęśliwy. Miłość nie jest szczęściem.

— A czym jest, Maskull?

— Niepokojem, rozlanymi łzami, myślami zbyt wielkimi do pojęcia dla naszych dusz...

— Masz rację — zgodziła się Sullenbode. — Po co nas stworzono? — zapytała po jakimś czasie.

— Czy po to, żebyśmy pożyli parę lat i odeszli?

— Powiedziano, że zmartwychwstaniemy.

— Tak?

— Być może w Muspelu — dodał w zadumie.

— I jakie będzie tam nasze życie?

— Z pewnością znów się spotkamy. Miłość jest zbyt cudowną i tajemniczą rzeczą, by pozostawać niespełnioną.

Sullenbode zadrżała lekko i odwróciła się od niego.

— To marzenie jest nieprawdziwe — powiedziała. — Miłość dopełnia się tutaj.

— Jak to możliwe, skoro wcześniej czy później zostaje brutalnie przerwana przez Los?

— Dopełnia ją cierpienie... Och, czy zawsze to musi być przyjemność? Możemy przecież pocierpieć — możemy cierpieć przez wieczność? Maskull, dopóki miłość łamie nam ducha, ostatecznie i bezpowrotnie, nie możemy czuć się dobrze.

Maskull popatrzył na nią w zakłopotaniu.

— Czyż wspomnienie miłości może być warte więcej niż sama miłość?

— Nie rozumiesz — wpadła mu w słowo. — Te spazmy są cenniejsze niż cała reszta. Och, gdybyś ty, Maskull, mógł zajrzeć do mego umysłu! Zobaczyłbyś dziwne rzeczy... Nie potrafię tego wyjaśnić. To jest takie niejasne, nawet dla mnie... Ta miłość jest czymś zupełnie innym niż się spodziewałam.

— Miłość to mocny trunek — westchnął ponownie. — Chyba za mocny dla istot ludzkich. I myślę, że różnie wpływa na naszą psychikę.

Siedzieli tak obok siebie, patrząc na wprost niewidzącymi oczami.

— To nie ma znaczenia — powiedziała w końcu Sullenbode, uśmiechnęła się i wstała. — Tak czy inaczej wkrótce wszystko się skończy. Chodźmy, miejmy to już z głowy!

Maskull również wstał.

— Gdzie jest Corpang? — zapytał apatycznie.

Spojrzeni oboje wzdłuż grzbietu, w kierunku Adage. Tu, gdzie stali, miał on przynajmniej miłą szerokości. Opadał w dostrzegalny sposób ku południowej krawędzi, nadając całemu terenowi wygląd ostrego nachylenia. Ku zachodowi grunt ciągnął się poziomo przez jakieś tysiąc jardów, a potem, niby ogromna fala na końcu przyboju, grzbiet przecinało na całej szerokości wysokie, strome trawiaste wzgórze zasłaniające wszystko, co znajdowało się za nim. Cały wierzchołek tego wzgórza zajmował długi szereg ogromnych kamiennych słupów jasno błyszczących w świetle księżyca na tle ciemnego nieba. Było ich wszystkich około trzydzieści, a ustawione były w takich regularnych odstępach, że nie było wątpliwości, iż są dziełem rąk ludzkich. Część stała pionowo, ale inne były tak mocno pochylone, że całej kolumnadzie nadawało to wygląd ekstremalnej starożytności. Pod szczytem widać było wspinającego się Corpanga.

— Śpieszno mu do celu — powiedział Maskull, przyglądając się rażonej wspinaczce z raczej cynicznym uśmiechem.

— Nieba nie otworzą się przed Corpangiem — odpowiedziała Sullenbode. — Nie musi się tak spieszyć... Czym ci się wydają być te kolumny?

— To mogłoby być wejście do jakiejś potężnej świątyni. Kto je tam ustawił?

Sullenbode nie odpowiedziała. Śledzili wzrokiem Corpanga docierającego już do szczytu i znikającego za linią kolumn.

— Teraz zostaliśmy sami w tym opustoszałym świecie — odezwał się ponownie Maskull.

Kobieta spojrzała na niego obojętnie.

— Nasza ostatnia noc na tej ziemi powinna być wspaniała. Jestem gotowa.

— Nie sędzę, żebyś była gotowa. Będzie lepiej, gdy pójde trochę w dół przełęcz i poszukam jakiegoś schronienia.

— Nie będziemy studiować naszych biednych ciał tej nocy. Miałam na myśli, że pójdziesz na Adage.

— Więc na wszelki wypadek odpocznijmy, gdyż czeka nas długa, trudna wspinaczka i nie wiadomo jakie przeszkody tam napotkamy?

Sullenbode zrobiła jeden czy dwa kroki do przodu, po czym obróciła się i wyciągnęła rękę do Maskulla.

— Chodź, Maskull!

Gdy pokonali już połowę odległości dzielącej ich od stóp wzgórza, Maskull usłyszał bicie w bębny. Dochodziło zza wzniesienia, było głośnie i ostre, niemal jak eksplozje. Maskull spojrzał na Sullenbode, ale ona jakby nic nie słyszała. Chwilę później całe niebo ponad długim łańcuchem kamiennych słupów na szczycie rozbłysło dziwnym światłem. Blask księżyca w tym kwadrancie osłabł; czarne kolumny odcinały się czernią na tle ognia. To było światło Muspelu. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej żywe, osobliwe i straszne. Nie miało koloru i nie przypominało niczego – było nadprzyrodzone i nieopisywalne. Maskull poczuł jak duch w nim wzbiera. Stał nieporuszenie z rozszerzonymi nozdrzami i wytrzeszczonymi oczami.

Sullenbode trąciła go lekko.

— Co widzisz, Maskull?

— Światło Muspelu.

— A ja nie widzę niczego.

Światło rozbłysło tak mocno, że Maskull ledwo zdawał sobie sprawę, gdzie stoi. Świeciło bardziej ognistym i dziwniejszym blaskiem niż kiedykolwiek. Zapomniał o istnieniu Sullenbode. Bębny zaczęły bić ogłuszająco. Każde uderzenie było jak wstrząs nagłego pioruna rozrywający niebo i bełtający powietrze. Naraz trzaski zlały się razem i świat wypełnił jeden ciągły przetaczający się grzmot. Ale rytm pozostał – cztery uderzenia, trzecie akcentowane, wciąż pulsowały w powietrzu, tyle że teraz na tle grzmotu, a nie ciszy.

Serce Maskulla zabiło dziko. Jego ciało było jak więzienie. Zapragnął porzucić je, wzbić się do góry i zostać wchłonięty przez podniosły wszechświat, który zaczynał się ujawniać.

Sullenbode objęła go nagle ramionami i pocałowała namiętnie raz po raz. Nie zareagował; nie był świadom tego, co ona robi. Puściła go i z opuszczoną głową, zapłakana odeszła bez słowa. Ruszyła z powrotem ku przełęcz Mornstab.

Kilka chwil później blask zaczął przygasać. Grzmot zamarł. Powrócił blask księżyca, a kamienne kolumny i stok wzgórza stały się z powrotem jasno oświetlone. W krótkim czasie nadprzyrodzone światło zniknęło całkowicie i tylko bicie bębnow było jeszcze słabo słychać – stłumiony rytm zza wzgórza. Maskull ocknął się gwałtownie i rozejrzał jak ktoś nagle obudzony ze snu.

W odległości kilkuset jardów zobaczył powoli oddalającą się Sullenbode. Jego serce zamarło na ten widok. Pobiegnął za nią, wołając. Kobieta nie rozglądała się. Gdy był już w połowie odległości od niej, zobaczył, jak nagle potyka się i upada. Nie wstała już, leżąc nieruchomo, tam gdzie upadła.

Podbiegł do niej i pochylił się nad jej ciałem. Jego najstraszliwsze obawy ziściły się. Życie ją opuściło.

Jej twarz przybrała pod warstwą błota wulgarny, demoniczny grymas Crystalmana, ale Maskull tego nie zauważał. Nigdy nie wydawała mu się tak piękna jak w tej chwili.

Kłęczał obok niej przez dłuższy czas. Łkał – ale między tymi napadami płaczu podnosił od czasu do czasu głowę i nasłuchiwał odległego dźwięku bębnow.

Minęła godzina, potem dwie. Teargeld był teraz na południowym zachodzie. Maskull podniósł martwe ciało Sullenbode i ruszył ku przełęcz. Nie dbał już o Muspel. Chciał poszukać wody, w której będzie mógł obmyć ciało swojej ukochanej i ziemi, w której będzie mógł ją pochować.

Dotarłszy do głazu nad osuwiskiem, na którym przedtem oboje odpoczywali, opuścił swoje brzemię

i złożwszy martwą dziewczynę na kamieniu, siedział jakiś czas obok niej, spoglądając w kierunku Barey.

A potem ruszył w dół z przełęczy Mornstab.

Rozdział 20

Barey

Dniało już, ale słońce jeszcze nie weszło, gdy Maskull przebudził się ze swego marnego snu. Usiadł i ziewnął apatycznie. Powietrze było chłodne i świeże. Daleko, w dole osuwiska śpiewał ptak; pieśń zawierała tylko dwie nuty, ale była tak żałosna i łamiąca serce, że ledwo mógł to znieść.

Wschodnie niebo było w kolorze delikatnej zieleni przekreślonej blisko horyzontu długim, cienkim pasmem czekoladowych chmur. Powietrze było niebieskawe, tajemnicze i mętne. Nie było widać ani Sarclasha, ani Adage.

Siodło przełęczy znajdowało się pięćset stóp powyżej niego – odległość tę pokonał w nocy. Osuwisko ciągnęło się w dół jak ogromne schody ku górnym stokom Barey leżącym jakieś tysiąc pięćset stóp poniżej. Powierzchnia przełęczy była nierówna, a nachylenie bardzo strome, choć nie urwiste. Szeroko było na jakąś milę. Po obu stronach, wschodniej i zachodniej, ciemne ściany grzbietu opadały całkiem pionowo. W miejscu, gdzie było zejście z przełęczy, miały dwa tysiące stóp od szczytu do dna, ale tam, gdzie grzbiet się wznosił – z jednej strony ku Adage, a z drugiej ku Sarclashowi – osiągały wprost niewiarygodną wysokość. Pomimo wielkiej szerokości i masywności przełęczy, Maskull czuł się, jak gdyby został zawieszony w powietrzu.

Widoczna nieopodal brązowa plama wzruszonej, żyznej gleby znaczyła grób Sullenbode. Pochował ją przy świetle księżyca z użyciem długiego, płaskiego kamienia jako szpadla. Trochę niżej wił się w półmroku biały pióropusz pary z gorącego źródła. Z miejsca, gdzie siedział, nie mógł zobaczyć sadzawki, do której woda ostatecznie spływała, ale była to ta sama sadzawka, w której ostatniej nocy obmył najpierw ciało martwej dziewczyny, a potem swoje.

Wstał, ziewnął ponownie, przeciągnął się i rozejrzał tępo. Przez dłuższy czas wpatrywał się w grób. Półmrok niedostrzegalnymi krokami przerodził się w jasny dzień; słońce miało zaraz wzejść. Niebo było niemal bezchmurne. Znajdujący się za nim cały cudowny łańcuch potężnego grzbietu zaczął się wyłaniać z porannych mgieł. Była tam część Sarclasha i lodowo-zielony grzebień samego gigantycznego Adage, który można było objąć wzrokiem jedynie odchyliwszy głowę mocno do tyłu.

Przyglądał się temu ogarnięty apatią jak stracona dusza. Wszystkie jego pragnienia odeszły na zawsze; nie chciał nigdzie chodzić ani niczego robić. Uznał, że może pójść do Barey.

Poszedł zmyć sen z oczu w ciepłym źródle. Na brzegu, obserwując bąble, siedział Krag.

Maskull pomyślał, że śni. Mężczyzna był ubrany w skórzaną koszulę i spodenki. Jego twarz była surowa, żółta i brzydka. Nie wstając, spojrzał na Maskulla bez uśmiechu.

— Krag, skąd ty się, u diabła, tutaj wziąłeś?

— Grunt, że tu jestem.

— Gdzie jest Nightspore?

— Niedaleko.

— Wydaje mi się, że minęło sto lat od kiedy się widzieliśmy. Czemu zostawiliście mnie obaj w taki paskudny sposób?

— Byłeś wystarczająco silny, żeby sam sobie dać radę.

— No i dałem, ale skąd mogliście wiedzieć... A zresztą, tak czy owak, trafiliście w sam raz. Podobno mam dzisiaj umrzeć.

— Umrzesz dziś rano — powiedział Krag, krzywiąc się.

— Trudno, jak trzeba, to umrę. A skąd ty to wiesz?

— Bo już dojrzałeś do tego. Zakończyłeś wszystkie próby. Po co masz żyć dalej?

— Po nic — powiedział Maskull, krótko się zaśmiały. — Jestem w pełni przygotowany. Zawiodłem

we wszystkich. Dziwię się tylko, skąd ty się dowiedziałeś... No dobrze, jesteś tu, by przyłączyć się do mnie. To gdzie idziemy?

— Najpierw do Barey.

— A co z Nightsporem?

Krag niezgrabnie poderwał się na nogi.

— Nie będziemy na niego czekać. Zjawi się trochę później.

— Gdzie?

— Tam, gdzie się udajemy. Chodź! Słońce wschodzi.

Gdy ruszali ramię w ramię w dół przełęczy, na nieboskłon wytoczył się ogniście ogromny, biały Branchspell. Cała delikatność świtu zniknęła i rozpoczął się kolejny pospolity dzień. Przeszli obok jakichś drzew i zarośli, których liście były pozwijane, jakby spały.

— Jak to się dzieje, że blask słońca ich nie rozwija? — zapytał Maskull, wskazując na nie palcem.

— Branchspell to dla nich druga noc. Ich dzień to Alppain.

— A kiedy wzejdzie tamto słońce?

— Za jakiś czas.

— Zdążę je zobaczyć, zanim umrę?

— A chcesz?

— Kiedyś chciałem, ale teraz jest mi to obojętne.

— No i tak trzymaj, a będzie dobrze. Powiedzmy sobie raz, nie ma nic wartego do oglądania na Tormance.

— Po co więc tu przybyliśmy? — zapytał Maskull kilka minut później.

— Podążaliśmy za Surturem.

— No właśnie. A gdzie on jest?

— Być może bliżej niż myślisz.

— Wiesz, Krag, oni tutaj uważają go za boga? Jest tu również taki nadprzyrodzony ogień, który, wydaje mi się, jest z nim jakoś powiązany... Czemu ty ze wszystkiego robisz tajemnicę? Kim lub czym jest Surtur?

— Nie zwracaj sobie tym głowy. I tak się nigdy nie dowiesz.

— A ty wiesz?

— Wiem — warknął Krag.

— Kragiem nazywają tutaj diabła — ciągnął Maskull, wpatrując się w jego twarz.

— Dopóki się będzie czuć przyjemność, Krag zawsze będzie diabłem.

— Rozmawiamy twarzą w twarz, dwaj mężczyźni... Chcesz, żebym wierzył w takie rzeczy?

— Uwierz swoim zmysłom. Prawdziwym diabłem jest Crystalman.

Wciąż schodzili w dół osuwiska. Promienie słoneczne stały się nieznośnie gorące. Daleko w dole przed nimi Maskull zobaczył ład pomieszany z wodą. Wyglądało na to, że zbliżają się do krainy jezior.

— Krag, co ty i Nightspore robiliście przez ostatnie cztery dni. Co się stało ze statkiem?

— Masz mentalność człowieka, który widząc całkiem nowy pałac, pyta, co się stało z rusztowaniem.

— A jaki pałac, w takim razie, zbudowałeś?

— Nie próżnowaliśmy — powiedział Krag. — Podczas gdy ty mordowałeś i kochałeś się, my wykonywaliśmy własne zadania.

— A w jaki sposób zapoznałeś się z moimi czynami?

— Och, ty jesteś otwartą księgą. Teraz zostałeś śmiertelnie zraniony w serce na rachunek kobiety, którą znalazłeś sześć godzin.

Maskull zbladł.

— Nie szydź, Krag! Gdybyś żył z kobietą przez sześćset lat i widział jak umiera, i tak nigdy by to nie ruszyło twego skórzanego serca. Nie masz nawet uczuć owada.

— Popatrz, dziecko broni swoich zabawek! — powiedział Krag, szczerząc lekko zęby.

Maskull zatrzymał się.

— Co ty chcesz ode mnie, po co mnie tutaj przywiozłeś?

— Zatrzymywanie się nic ci nie da, nawet jako teatralny efekt — powiedział Krag, pociągając go za sobą. — Bez względu na to ile razy będziemy się zatrzymywać, odległość i tak musi być pokonana.

Jego dotknięcie wywołało u Maskulla okropny ból przeszywający serce.

— Krag, nie mogę już dalej uważać cię za człowieka. Jesteś czymś więcej niż człowiekiem, ale dobrym czy złym – tego nie wiem.

Krag zrobił się żółty, wyglądał strasznie, ale nic nie odrzekł na uwagę Maskulla.

— Próbowaleś więc w przerwach między zabijaniem i obłapywaniem znaleźć Surtura na własną rękę? — zapytał po dłuższej chwili.

— Co to były za bębny? — odpowiedział Maskull pytaniem na pytanie.

— Niepotrzebnie oczekiwałeś czegoś poważnego. Wiemy, że trzymałeś ucho przy dziurce od klucza. Mogłeś, przyjacielu, przyłączyć się do zespołu, ta muzyka nie była grana dla ciebie.

Maskull uśmiechnął się z goryczą.

— Tak czy owak więcej nie będę nasłuchiwał przez dziurkę od klucza. Skończyłem z życiem. Od tej chwili do nikogo i do niczego nie będę należał.

— Wspaniale powiedziane, wspaniale! Zobaczymy. Może Crystalman zasadzi się jeszcze raz na ciebie. Wciąż jest jeszcze czas na jedną próbę.

— Teraz cię nie rozumiem.

— Jesteś przekonany, że całkowicie wyzbyłeś się złudzeń, prawda? No cóż, to może okazać się ostatnim i najsilniejszym złudzeniem ze wszystkich.

Zapadło milczenie. Godzinę później dotarli do stóp osuwiska. Branchspell nieustannie wspinał się na bezchmurne niebo. Zbliżał się właśnie do Sarclasha i pozostawało otwartą kwestią czy oczyści jego wierzchołek. Żar był obezwładniający. Długi, masywny grzbiet w kształcie spodka ze swoimi straszliwymi urwiskami jaśniał za nimi jaskrawymi porannymi kolorami. Adage, piętrzący się wciąż na wiele tysięcy stóp wyżej, strzegł jego krańca jak samotny kolos. Przed nimi, poczynając od miejsca, w którym stali, rozciągała się chłodna i uroczą, dzika kraina niewielkich jezior i lasów. Woda w jeziorach była ciemno zielona, a lasy uśpione w oczekiwaniu na Alppaina.

— Jesteśmy w Barey? — zapytał Maskull.

— Tak, a tam jest jeden z tubylców.

Gdy to mówił, w jego oku pojawił się brzydki błysk, czego Maskull nie dostrzegł.

W cieniu, opierając się o jedno z pierwszych drzew, stał mężczyzna, wyraźnie czekając, aż się zbliżą. Był niski, ciemny i gładko ogolony, wciąż we wczesnej męskości. Ubrany był w ciemnoniebieską, luźno opadającą togę i miękki kapelusz z szerokim rondem. Jego twarz, nie zniekształcona żadnymi specjalnymi narządami, była blada, poważna i surowa, chociaż w jakiś sposób znacząco miła.

Zanim padły jakiegokolwiek słowa, pochwycił gorąco dłoń Maskulla, ale nawet robiąc to, zerkał na Kraga, podejrzanie marszcząc brwi. Ten ostatni skrzywił się szyderczo w odpowiedzi.

Głos tego mężczyzny, gdy już otworzył usta, by coś powiedzieć, okazał się być wibrującym barytonem i jednocześnie dziwnie kobiecym w swojej modulacji i zróżnicowanym brzmieniu.

— Czekam tu na was od świtu — powiedział. — Witaj w Barey, Maskull, człowieku poddawany

przesadnym próbom! Miejmy nadzieję, że zapomnisz tu o swoich smutkach.

Maskull przyglądał mu się nie bez sympatii.

— Co cię skłoniło do czekania na nas i skąd wiesz, jak się nazywam? — zapytał.

Obcy uśmiechnął się, co spowodowało, że jego twarz stała się bardzo przystojna.

— Ja jestem Gangnet. Wiem o większości spraw — odpowiedział.

— Gangnet, a mnie nie powitasz? — zapytał Krag, wciskając swoją zakazaną fizjonomię prawie w twarz tamtemu.

— Znam cię, Krag. Niewiele jest miejsc, gdzie cię witają.

— Ja też cię znam, Gangnet, ty chłopobabo... No cóż, jesteśmy tu razem i nic na to nie poradzisz. Schodzimy do Oceanu.

Uśmiech spełził z twarzy Gangneta.

— Nie mogę cię stąd wyrzucić, Krag, ale mogę sprawić, że będziesz tym trzecim, niemile widzianym.

Krag odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim, chrapliwym śmiechem.

— Ten układ mi w zupełności odpowiada. Dopóki ja mam ciało, ty możesz zatrzymać sobie cień i życzę szczęścia.

— No, to skoro wszystko zostało tak satysfakcjonująco załatwione — stwierdził Maskull z wymuszonym uśmiechem — to pozwólcie mi powiedzieć, że nie pragnę obecnie żadnego towarzystwa. Ty, Krag, zbyt wiele rzeczy uważasz za ustalone. Już raz odegrałeś fałszywego przyjaciela. Zakładam, że jestem wolnym człowiekiem?

— Żeby być wolnym, trzeba mieć własny wszechświat — powiedział Krag, spoglądając ironicznie. — Co ty na to, Gangnet? Czy to jest wolny świat?

— Wolność od bólu i brzydoty powinna być przywilejem każdego człowieka — odpowiedział spokojnie Gangnet. — Maskull ma do tego całkowite prawo i jeśli ty się zdecydujesz odejść, ja zrobię to samo.

— Maskull może zmieniać twarz tak często, jak ma na to ochotę, Ale nie pozbędzie się mnie tak łatwo. Tym sobie nie zawracaj głowy, Maskull.

— To jest bez znaczenia — mruknął Maskull. — Kto tylko chce, może się przyłączyć do tej procesji. Za kilka godzin i tak będę ostatecznie wolny, jeśli jest prawdą to, co fama niesie.

— Będę prowadził — powiedział Gangnet. — Ty, Maskull, nie znasz oczywiście tej okolicy. Kilka mil dalej, gdy wyjdziemy na płaski teren, będziemy mogli podróżować wodą, ale teraz, obawiam się, musimy iść pieszo.

— Tak, tak, obawiasz się! Ty się obawiasz! — wtrącił Krag chrapliwym, piskliwym głosem. — Ty wieczny obiboku!

Maskull spoglądał w zdumieniu to na jednego, to na drugiego. Wyglądało na to, że między tą dwójką panowała trwała wrogość wskazująca na dawną bliską znajomość.

Szli przez las, trzymając się jego skraju, tak że po jakiejś mili zobaczyli długie, wąskie jezioro. Drzewa były niskie i cienkie; ich liście w kolorze *dolm* były wszystkie zwinięte. Pod nimi nie było podszycia – szli po gołej, brązowej ziemi. Z daleka dochodził dźwięk wodospadu. Byli w cieniu, ale powietrze było przyjemnie ciepłe. Nie było drażniących owadów. Błyszczące jezioro na zewnątrz wyglądało chłodno i poetycznie.

Gangnet czule ucisnął rękę Maskulla.

— Jeśli sprowadzenie cię z twojego świata przypadło by mnie, to sprowadziłbym cię tutaj, a nie na tę szkarłatną pustynię. Uniknąłbyś wtedy tych ciemnych plam, a Tormance okazałaby się dla ciebie piękna.

— I co wtedy, Gangnet? Ciemne plamy i tak by pozostały.

— Mógłbyś je zobaczyć później. To duża różnica, czy ogląda się ciemność przez światło czy jasność przez cień.

— Gołe oko jest najlepsze. Tormance jest brzydkim światem, a ja mocno preferuję poznanie jej taką jaką rzeczywiście jest.

— To diabeł czyni ją brzydką, a nie Crystalman. Wszystko, co widzisz dookoła, to są idee Crystalmana. On jest bezwzględny Piękny i Przyjemnością. Nawet Krag nie jest na tyle bezczelny, żeby temu zaprzeczyć.

— Bardzo tu miło — przyznał Krag, rozglądając się złośliwie. — Brakuje tylko poduszek i pół tuzina hurys do kompletu.

Maskull uwolnił się z uścisku Gangneta.

— Zeszłej nocy, gdy przedzierałem się przez błota przy widmowym świetle księżyca, myślałem sobie, że świat jest piękny.

— Biedna Sullenbode! — powiedział Gangnet, wzdychając.

— Co? Znałeś ją?

— Znam ją poprzez ciebie. Okazując żal po szlachetnej kobiecie, okazujesz swoją szlachetność. Sądzę, że wszystkie kobiety są szlachetne.

— Mogą być miliony szlachetnych kobiet, ale była tylko jedna Sullenbode.

— Jeśli mogła zaistnieć Sullenbode — powiedział Gangnet — to świat nie może być złym miejscem.

— Zmieńmy temat... Świat jest twardy i okrutny, a ja jestem wdzięczny, że go opuszczam.

— Ale z jednym przecież się zgodzicie — powiedział Krag, uśmiechając się diabolicznie. — Przyjemność jest dobra, a koniec przyjemności zły.

Gangnet spojrzał na niego zimno.

— Znamy twoje osobliwe teorie, Krag. Jesteś z nich bardzo zadowolony, ale one nie działają. Świat nie mógłby przetrwać bez przyjemności.

— Oto, myśl Gangneta! — wykrzyknął szyderczo Krag.

Doszli do skraju lasu i znaleźli się na niewysokiej skarpie. U podnóża skarpy, jakieś pięćdziesiąt stóp poniżej, zaczynał się nowy ciąg jezior i lasów. Barey okazało się być jednym wielkim zboczem górskim, stworzonym przez naturę w formie tarasów. Jezioro wzdłuż którego szli nie kończyło się, ale spływało w dół w postaci pół tuzina malowniczych, wąskich wodospadów, białych od wyrzucanego pyłu wodnego. Skarpa nie była pionowa i mężczyźni łatwo sobie z nią poradzili.

U podnóża skarpy zaczął się następny las. Był gęstszy od poprzedniego. Dookoła nich nie było niczego poza drzewami. Przez gęstwinę przedzierał się krystaliczny strumyk; poszli dalej jego brzegiem.

— Przyszło mi do głowy — powiedział Maskull, zwracając się do Gangneta — że Alppain się przyczyni do mojej śmierci. Może tak być?

— Te drzewa nie boją się Alppaina, to dlaczego ty masz się bać? Alppain jest cudownym, życiodajnym słońcem.

— Pytam dlatego, bo kiedy oglądałem jego poświatę, wyzwalała ona u mnie tak gwałtowne doznania, że niewiele brakowało, by mogło to się dla mnie okazać zbyt wiele.

— To dlatego, że siły były wówczas zrównoważone. Gdy będziesz oglądał jedynie Alppaina, on zapanuje nad wszystkim i twoje pragnienia nie będą się ze sobą ścierały.

— A ja, Maskull, mogę ci powiedzieć z góry — wtrącił Krag szczerząc zęby — że to jest karta atutowa Crystalmana.

— Co masz na myśli?

— Sam zobaczysz. Wyrzekniesz się świata tak skwapliwie, że będziesz chciał żyć jedynie, by się cieszyć swoimi doznaniem.

Gangnet uśmiechnął się.

— No widzisz, Kraga trudno zadowolić — powiedział. — Nie wolno ci ani się cieszyć, ani wyrzekać. I co zrobisz?

Maskull odwrócił się do Kraga.

— To bardzo dziwne, ale ja wciąż tego nie rozumiem. Chcesz, żebym popełnił samobójstwo?

Krag robił się coraz bardziej ziemisty na twarzy i z każdą chwilą coraz wstrętniejszy.

— A dlaczego? — wykrzyknął, śmiejąc się i pokazując poplamione zęby. — Bo przestali cię głaskać?

— Nie wiem kim jesteś ani czego chcesz — powiedział Maskull — ale wydajesz się być bardzo pewny siebie.

— Jasne, a ty wolałbyś, żebym się rumienił i jękał jak krety? Mógłby to być wspaniały sposób na pozbycie się kłamców.

Gangnet zobaczył coś u stóp jednego z drzew. Zatrzymał się i podniósł dwa czy trzy przedmioty przypominające jajka.

— Coś do jedzenia? — zapytał Maskull, przyjmując dar.

— Tak. Zjedz je. Musisz być głodny. Ja nie chcę, a Kraga byśmy obrazili, oferując mu przyjemność – zwłaszcza taką małą przyjemność.

Maskull wydłubał dziurę na końcu dwóch spośród jaj i wypił ich płynną zawartość. W smaku czuć było alkohol. Krag wyrwał ostatnie jajo z jego rąk i rzucił, rozbijając o pień drzewa. Jajo pękło, rozpryskując śluzowaty płyn.

— Nie czekam, aż mnie poproszą, Gangnet... Powiedz, czy jest wstrętniejszy widok niż zmarnowana przyjemność?

Gangnet nic nie odpowiedział, tylko pociągnął Maskulla za rękę.

Po ponad dwóch godzinach wędrówki przez lasy i urwiska krajobraz zmienił się. Dalej było stromo opadające górskie zbocze ciągnące się przynajmniej kilka mil. Równomiernie opadający teren musiał się obniżyć w tym czasie o prawie cztery tysiące stóp. Maskull nie widział nigdzie wcześniej niczego podobnego do tej ogromnej pochyłości. Na stoku wzgórza rósł gigantyczny las. Różnił się jednak od lasów widzianych dotychczas. Liście były zwinięte do snu, ale konary były tak gęste i liczne, że gdyby nie ich przezroczystość, promienie słoneczne byłyby całkowicie przesłonięte. A tak, cały las był zalany światłem, a to światło, zabarwione kolorem gałęzi, było miękkie i cudownie różowe. Iluminacja była taka radosna, kobieca – jak jutrenka – że nastrój Maskulla natychmiast się poprawił, choć wcale tego nie pragnął.

Zatrzymał się, westchnął i zadumał.

— Cóż to za miejsce dla tęsknych oczu, dla szyi z kości słoniowej — drażnił się z nim Krag. — Och, czemu tu nie ma Sullenbode?

Maskull chwycił go brutalnie i rzucił nim o pień najbliższego drzewa. Krag uwolnił się i wybuchnął gromkim śmiechem ani trochę nie zmieszany.

— A co, mówiłem nieprawdę?

Maskull spojrzał na niego ponuro.

— Wydaje się, że uważasz siebie za konieczne zło. Nie czuję się zobowiązany, by ci dalej towarzyszyć. Będzie lepiej, jak się rozdzielimy.

— A ty co na to powiesz? — Krag z udawaną powagą zwrócił się do Gangneta. — Rozdzielimy się na prośbę Maskulla? A może na moją?

— Opanuj się, Maskull — powiedział Gangnet, odwracając się tyłem do Kraga. — Znam go lepiej niż ty. Teraz, gdy przypiął się do ciebie, jest tylko jeden sposób, by się odczepił, ignorować go. Nie zwracaj na niego uwagi, nie odzywaj się do niego, nie odpowiadaj na jego pytania. Jeśli nie uznasz jego istnienia, to jakby go tutaj nie było.

— Zaczynam być już zmęczony tym wszystkim — powiedział Maskull. — Czuję się tak, jakbym miał, zanim skończę, dodać jeszcze jedno morderstwo do poprzednich.

— A ja czuję morderstwo w powietrzu — wykrzyknął Krag, udając, że węszy. — Tylko czyje?

— Maskull, zrób, jak mówię. Rozmowa z nim to dolewanie oliwy do ognia.

— Więcej się już do nikogo nie odezwę... Kiedy wyjdziemy z tego przeklętego lasu?

— Jeszcze kawałek. Ale gdy już wyjdziemy, to dalej popłyniemy; będziesz mógł wtedy odpocząć i pomyśleć.

— Podumać komfortowo nad swoim cierpieniem — dodał Krag.

Żaden z trójki nie odzywał się więcej, dopóki nie znaleźli się w otwartym terenie. Zbocze stało się tak strome, że byli zmuszeni biec zamiast iść, co przeszkadzało w jakiegokolwiek konwersacji – nawet gdyby mieli na to ochotę. Pół godziny później byli już na dole. Jak okiem sięgnąć rozciągał się przed nimi płaski, otwarty teren.

Trzy czwarte tego kraju pokryte było gładką wodą. To było następstwo dużych jezior z płaskim brzegiem, pooddzielanych od siebie wąskimi paskami porośniętego lasem łądu. Leżące na wprost nich jezioro sięgało niewielkim zakolem do lasu. Było szerokie na około jedną trzecią mili. Woda przy brzegu była w tej części płytka i gęsta od wodorostów w kolorze *dolm*, ale na środku, jakieś kilka jardów dalej, można było dostrzec prąd płynący w kierunku ich wędrówki. Z uwagi na ten prąd trudno było określić, czy to jest jezioro czy rzeka. Na płycznach osadziło się kilka małych pływających wysp.

— Stąd popłyniemy? — zainteresował się Maskull.

— Tak, stąd — odpowiedział Gangnet.

— Jak?

— Użyjemy jednej z tych wysepek. Trzeba ją tylko wypchnąć w nurt.

Maskull zmarszczył brwi.

— Gdzie to nas zaniesie?

— Wsiadaj, wsiadaj! — powiedział Krag, śmiejąc się prostacko. — Dzień ucieka, a ty masz umrzeć do południa. Wybieramy się na Ocean.

— Skoro jesteś taki wszechwiedzący, Krag, to powiedz, jak mam umrzeć?

— Gangnet cię zamorduje.

— Ty kłamco — powiedział Gangnet. — Nie życzę Maskullowi niczego oprócz dobra.

— W każdym razie to on będzie przyczyną twojej śmierci. Ale co to za różnica? Najważniejsze jest, że opuszczasz ten nieudany świat... No cóż, Gangnet, widzę, że jesteś opieszale jak zawsze. Chyba muszę sam to zrobić.

Skoczył do jeziora i chlapiąc, pobiegł po płytkiej wodzie. Gdy dotarł do najbliższej z wysepek, woda sięgała mu do ud. Wyspa była w kształcie rombu i miała piętnaście stóp od końca do końca. Zbudowana była z jakiegoś lekkiego, brązowego torfu. Na powierzchni nie było żywych form roślinnych. Krag okrążył ją i zaczął popychać ku prądowi, najwyraźniej nie mając zamiaru wysilać się nadmiernie. Gdy był już w zasięgu prądu, pozostali dwaj, brodząc, dołączyli do niego, po czym wszyscy trzej wdrapali się na wysepkę.

Podróż rozpoczęła się. Prąd płynął nie szybciej niż dwie mile na godzinę. Słońce świeciło bezlitośnie nad ich głowami i nie było żadnego cienia ani nawet jego obietnicy. Maskull usiadł na skraju i regularnie polewał głowę wodą. Gangnet przykucnął obok niego. Krag chodził w te i wewte, drobiąc jak zwierzę w klatce. Jezioro stopniowo poszerzało się, a wraz z nim poszerzył się też nurt, sprawiając wrażenie, że płyną środkiem jakiegoś rozległego estuarium.

Krag schylił się nagle i zerwał kapelusz z głowy Gangneta, zmiął go w swojej włochatej dłoni i rzucił daleko w nurt.

— Czemu zasłaniasz się jak kobieta? — zapytał, rechocząc. — Pokaż Maskullowi swoją twarz. Może już ją gdzieś widział.

Gangnet kogoś Maskullowi przypominał, ale kogo – nie mógł sobie przypomnieć. Ciemne włosy opadały mu faliście na szyję, czoło było szerokie, wyniosłe i szlachetne, a wokół całej postaci rozpościerała się aura jakiejś powagi i słodczy dziwnie pociągającej dla zmysłów.

— Niech Maskull sam osądzi, czy mam się czego wstydzić — powiedział Gangnet z dumą i opanowaniem.

— W tej głowie mogą być tylko wspaniałe myśli — mruknął Maskull, przyglądając mu się dokładnie.

— Świetna ocena. Gangnet, królem poetów. A co się dzieje, gdy poeci próbują realizować praktyczne przedsięwzięcia?

— Jakie przedsięwzięcia? — zapytał zdumiony Maskull.

— Co tam masz teraz na tapecie, Gangnet? Powiedz Maskullowi.

— Praktycznie są dwie formy aktywności — odpowiedział spokojnie Gangnet. — Można tworzyć albo niszczyć.

— Nie! Jest jeszcze trzecia. Można kraść. Nawet nie wiedząc, że się kradnie. Można wziąć portfel i zostawić pieniądze.

Maskull uniósł brwi.

— Gdzie wy dwaj spotkaliście się wcześniej?

— Maskull, dzisiaj to ja składam wizytę Gangnetowi, ale kiedyś, bardzo dawno temu, Gangnet złożył wizytę mnie.

— Gdzie?

— W moim domu, gdziekolwiek by to nie było. Gangnet to zwykły złodziej.

— Mówisz zagadkami, nie rozumiem cię. Nie znam żadnego z was, ale jeśli Gangnet jest poetą, to ty jesteś bufonem. Musisz tyle gadać? Chcę spokoju.

Krag roześmiał się, ale już nic więcej nie powiedział. Wyciągnął się jak długi twarzą do słońca i po kilku minutach zasnął mocno, chrapiąc przeraźliwie. Maskull przyglądał się jego żółtawej, odpychającej twarzy z dużą niechęcią.

Minęły dwie godziny. Brzegi po obu stronach oddaliły się na ponad milę. Przed nimi w ogóle nie było lądu. Za nimi, przez nagromadzone mgły prześwitywały góry Lichstormu. Z przodu, tuż powyżej horyzontu niebo zaczęło przybierać dziwny kolor. Był to intensywny *jalo*-niebieski. Północne przestworza zabarwiły się w całości *ulfirem*.

— Gangnet, Alppain wschodzi — powiedział Maskull, czując w głowie zamęt.

— Zaczyna ci to sprawiać kłopot? — Gangnet uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— To jest takie uroczyste... tragiczne... niemal... Jednakże przypomina mi Ziemię. Życie już nie było ważne... a to jest ważne.

— Dzień dla tego drugiego dnia jest nocą. Za pół godziny będziesz jak człowiek, który wyszedł z lasu na otwartą przestrzeń. Potem zadasz sobie pytanie, jak mogłeś być taki ślepy.

Obaj mężczyźni zaczęli obserwować błękitny wschód. Całe północne niebo w pół drogi do zenitu pokryły niezwykle kolory, w których dominowały *jale* i *dolm*. Tak jak główną cechą zwykłego świtu jest tajemnica, wyróżniającą cechą tego świtu była dzikość. Wprawiała w zakłopotanie nie rozum, lecz serce. Maskull poczuł niewyartykułowane pragnienie pochwycenia na własność i utrwalenia tego wschodu. Zamiast tego został wstrząśnięty i udręczony jak wstępnymi taktami nadprzyrodzonej symfonii.

Gdy obejrzał się na południe, dzień Branchspella utracił swój blask i można było spojrzeć w ogromne białe słońce bez mrugania. Odruchowo odwrócił się z powrotem na północ, tak jak odwracamy się od ciemności ku światłu.

— Gangnet, jeśli tamto, co mi pokazywałeś, było myślą Crystalmana, to to musi być jego uczuciem. W dosłownym sensie. To, co ja teraz czuję, on musiał czuć wcześniej.

— Maskull, nie rozumiesz? On jest w całości uczuciem.

Maskull nie odpowiedział. Nienasyconym wzrokiem wpatrywał się w spektakl przed sobą. Jego twarz zastygła jak skała, a oczy zamgliły się łzami. Niebo błyszczało coraz mocniej; było oczywiste, że Alppain wzniesie się ponad powierzchnię morza. Wysepka przez ten czas opuściła estuarium. Z trzech stron otaczała ich woda. Snujące się z tyłu mgły przesłaniały widok lądu. Krag — brzydki, pomarszczony potwór — wciąż spał.

Maskull spojrzał na płynącą wodę. Straciła swój ciemnozielony kolor i była teraz krystalicznie

przezroczysta.

— Gangnet, jesteśmy już na Oceanie?

— Tak.

— To już nic nas nie czeka, oprócz mojej śmierci.

— Nie myśl teraz o śmierci, lecz o życiu.

— Robi się coraz jaśniej... a przy tym coraz bardziej ponuro. Krag wydaje się znikać...

— Jest Alppain! — zawołał Gangnet, trącąc go w rękę.

Intensywny, rozżarzony dysk błękitnego słońca wyrzał z morza. Maskull zaniemówił. Nie tyle widział, co czuł. Jego emocje były niewypowiedziane. Dusza okazywała się być zbyt wielka dla ciała. Ogromny, błękitny krąg wznosił się szybko z wody jak śledzące go straszliwe oko. Po chwili wynurzył się z morza całkowicie i rozpoczął się dzień Alppaina.

— Co czujesz? — Gangnet wciąż trzymał go za ramię.

— Czuję, że stoję twarzą do Nieskończonego — mruknął Maskull. Niespodziewanie chaos jego namietności zlał się w jedno i cudowna myśl wraz z towarzyszącą jej intensywną radością ogarnęła całą jego istotę. — Och, Gangnet! — wykrzyknął. — Jestem nicością!

— Wcale nie! — zaprzeczył Gangnet. — Jesteś niczym.

Mgły otoczyły ich całkiem. Nie było widać niczego, oprócz dwóch słońc i kilku stóp morza. Cienie trójki mężczyzn rzucane przez Alppain nie były czarne, lecz utworzone przez białe dzienne światło.

— Więc nic nie może mnie zranić — powiedział Maskull z dziwnym uśmiechem.

— Jak mogłoby? — Gangnet również się uśmiechnął.

— Utraciłem swą wolę; czuję się tak, jak gdyby został ze mnie zdrapany jakiś wstrętny nowotwór, pozostawiając czystego i oswobodzonego.

— Czy teraz, Maskull, już rozumiesz życie?

Twarz Gangneta przeobraziła się, nabierając jakiegoś nadzwyczajnego uduchowionego piękna; wyglądał, jakby zstąpił z niebios.

— Nie rozumiem niczego, z wyjątkiem tego, że nie jestem już sobą. Ale takie jest życie.

— Czy Gangnet wywnętrza się na temat swego słynnego błękitnego słońca? — usłyszeli z góry szydercze pytanie. Zadarli głowy i zobaczyli, że Krag wstał.

Obaj również się podnieśli. W tej samej chwili gromadzące się mgły zaczęły przesłaniać dysk Alppaina, zmieniając jego kolor z błękitnego na żywy *jale*.

— Krag, czego ty od nas chcesz? — zapytał ze spokojem Maskull.

Krag przyglądał mu się dziwnie przez kilka sekund. Dookoła chlupotała woda.

— Maskull, czy ty nie rozumiesz, że twoja śmierć nadeszła? — zapytał.

Maskull nie odpowiedział. Krag położył mu lekko rękę na ramieniu. Maskull poczuł się nagle chory i słaby. Osunął się w dół tuż na skraju wysepki. Serce biło mu mocno i w dziwny sposób; jego uderzenia przypominały bicie bębnow. Popatrzył ospale na marszczącą się powierzchnię wody i wydało mu się, że gdyby mógł sięgnąć wzrokiem w głąb... daleko, daleko w dół... do dziwnego ognia...

Woda zniknęła. Oba słońca zgasły. Wyspa zmieniła się w chmurę i Maskull – samotnie – popłynął na niej w powietrzu... W dole, pod nim był jedynie ogień – „Ogień Muspelu”. Światło rozchodziło się coraz wyżej i wyżej, aż wypełniło cały świat...

Płynął w kierunku ogromnej pionowej ściany z czarnej skały bez szczytu i bez podnóża. W połowie jej wysokości Krag zawieszony w powietrzu straszliwie walił wielkim młotem w krwistoczerwoną plamę. Rytmiczne, brzękliwe dźwięki były odrażające.

W tym momencie Maskull uświadomił sobie, że te dźwięki to znane mu już bicie w bębny.

— Krag, co ty robisz? — zapytał.

Krag przerwał i odwrócił się.

— Biję w Twoje serce, Maskull — padła szydercza odpowiedź.

Skala i Krag rozplynęły się. Maskull zobaczył Gangneta szarpiącego się w powietrzu – nie, to nie był Gangnet, to był Crystalman. Chyba próbował uciec przed płomieniami ognia Muspelu, które otaczały go i lizały, gdziekolwiek by się nie obrócił. Pojękiwał... Ogień go dosięgnął. Wrzasnął straszliwie. Maskull pochwycił błysk wulgarnej, obślinionej twarzy – a potem i to zniknęło.

Otworzył oczy. Pływająca wyspa była wciąż słabo oświetlona przez Alppaina. Krag stał obok, ale Gangneta już nie było.

— Jak się nazywa ten ocean? — zapytał Maskull, z trudnością wypowiadając słowa.

— Ocean Surtura.

Maskull pokiwał głową i przez jakiś czas nie odzywał się. Oparł twarz na przedramieniu.

— Gdzie jest Nightspore? — zapytał nagle.

Krag pochylił się nad nim z poważną miną.

— Ty jesteś Nightspore.

Umierający mężczyzna zamknął oczy i uśmiechnął się.

Kilka chwil później z wysiłkiem otworzył je ponownie.

— A kim ty jesteś? — wymamrotał.

Krag zachował ponurą ciszę.

Krótko potem serce Maskulla przeszył straszliwy spazm i w tym samym momencie Maskull umarł.

— Nightspore, ta noc naprawdę w końcu minęła — powiedział Krag, odwracając głowę. — Nastął dzień.

— Czy to wszystko było konieczne? — zapytał Nightspore, spoglądając długo i poważnie na ciało Maskulla.

— Zapytaj Crystalmana — surowym tonem odrzekł Krag. — Jego świat nie jest wcale żartem. On wszystko trzyma mocno w garści... Lecz ja jestem mocniejszy. Maskull należał do niego, ale Nightspore jest mój.

Rozdział 21

Muspel

Mgła zgęstniała tak, że oba słońca całkowicie zniknęły i wszystko stało się czarne jak w nocy. Nightspore nie widział już swojego towarzysza. Woda chlupotała cicho na krawędziach pływającej wysepki.

— Powiedziałeś, że noc minęła — rzekł Nightspore — ale tutaj wciąż jest noc. Jestem martwy czy żywy?

— Wciąż jesteś w świecie Crystalmana, ale już do niego nie należysz. Zbliżamy się do Muspelu.

Nightspore poczuł silne, bezgłośnie drgania powietrza – rytmiczną pulsację na cztery czwarte.

— Są bębny — oznajmił.

— Rozumiesz je, a może zapomniałeś?

— W połowie, ale wszystko mi się miesza.

— To znak, że Crystalman dość głęboko wsadził w ciebie swoje pazury — powiedział Krag. — Dźwięk pochodzi z Muspelu, ale rytm jest wynikiem jego rozchodzenia się w powietrzu Crystalmana. Naturą Crystalmana jest rytm, jak lubi to sam określać lub tępe, martwe powtarzanie, jak ja to nazywam.

— Pamiętam — powiedział Nightspore, gryząc w ciemności paznokcie.

Drgania stały się słyszalne; brzmiały teraz jak daleki bęben. Niewielka, odległa plama dziwnego światła przed nimi rzucała słaby blask na pływającą wyspę i szkliste morze wokół niej.

— Wszyscy ludzie uciekają z tego widmowego świata, czy tylko ja... i kilku mnie podobnych? — zapytał Nightspore.

— Gdyby wszyscy uciekali, to ja bym się tak nie pocił, przyjacielu. To ciężka praca, męcząca i niosąca ryzyko totalnej śmierci czekającej nas po tamtej stronie.

Serce Nightspore'a zamarło.

— Więc to jeszcze nie koniec?

— To zależy od ciebie. Dotarłeś. Ale czy będziesz tego chciał?

Bębnienie stało się głośnie i bolesne. Światło zmieniło się w drobny owal tajemniczej jasności na gigantycznej ścianie nocy. Krag wyszczerzył zęby, a jego rysy stwardniały.

— Nie wytrzymam ponownych narodzin — powiedział Nightspore. — Okropność śmierci to przy tym nic.

— Twój wybór.

— Nic nie mogę zrobić. Crystalman jest zbyt potężny. Ledwo uciekłem z... z moją własną duszą.

— Wciąż ogłupiają cię twoje ziemskie wyziewy i niczego nie widzisz tak jak należy — powiedział Krag.

Nightspore nie odezwał się, ale chyba próbować sobie coś przypomnieć. Woda wokół nich była taka spokojna, bezbarwna i przezroczysta, że mieli wrażenie, iż wcale nie unosi ich ciekła materia. Ciało Maskulla zniknęło.

Bębnienie brzmiało teraz jak szczęk żelaza. Owalna plama światła powiększyła się; płonęła teraz ogniste i dziko. Ciemność nad nimi, pod nimi i wokół nich zaczęła nabierać kształtu przypominającego ogromną, czarną ścianę bez granic.

— To przed nami, to rzeczywiście ściana?

— Zaraz zobaczysz. To co widzisz, to Muspel, a to światło, to brama przez którą musisz wejść.

Serce Nightspore'a biło dziko.

— Zachowam pamięć? — wymamrotał.

— Tak, będziesz pamiętał.

— Krag, chodź ze mną. Inaczej się pogubię.

— Ja nie mam tam nic do roboty. Poczekam na ciebie na zewnątrz.

— Wracasz walczyć? — zapytał Nightspore, gryząc końce palców.

— Tak.

— Nie odważę się.

Grzmiący łomot rytmicznych uderzeń bił w jego głowę jak prawdziwe ciosy. Światło świeciło tak żywo, że nie mógł już dłużej na nie patrzeć. Były nie tylko zaskakujące nieregularności w jego ciągłym świeceniu, ale posiadało też inną osobliwość – w jakiś sposób wydawało się emitować nie światło jako takie, ale uczucie wizualizujące się jako światło. Zbliżali się nieustannie do ściany ciemności – wprost do bramy. Szklista woda płynęła prosto w jej kierunku, sięgając niemal progu.

Nie mogli już dłużej rozmawiać. Hałas był ogłuszający.

W ciągu kilku minut znaleźli się przed bramą. Nightspore odwrócił się tyłem i ukrył oczy w dłoniach, ale nawet wtedy światło go oślepiało. Jego uczucia były tak burzliwe, że wydawały się rozdymać ciało. Przy każdym strasliwym uderzeniu drżał gwałtownie.

W wejściu nie było drzwi. Krag wyskoczył na skalną platformę i pociągnął za sobą Nightspore'a.

Za bramą światło zniknęło. Rytmiczny łomot ucichł całkowicie. Nightspore opuścił ręce. Było ciemno i cicho jak w otwartym grobowcu. Powietrze wypełniała groźna, rozogniona namietność, mająca się do światła i dźwięku tak, jak samo światło do nieprzejrzystego zabarwienia.

Nightspore przycisnął rękę do serca.

— Nie wiem, czy dam radę to znieść — powiedział, spoglądając na Kraga. Daleko bardziej żywo i wyraźnie go wyczuwał, niż mógłby go zobaczyć.

— Wejdź już, Nightspore, nie trać czasu. Czas tutaj jest bardziej cenny niż na Ziemi. Nie możemy zmarnować ani minuty. Mamy wziąć udział w strasnych i tragicznych wydarzeniach, które nie będą na nas czekały. Wejdź natychmiast. Nie zatrzymuj się w żadnym wypadku.

— Gdzie mam wejść? — mruknął Nightspore. — Wszystko zapomniałem.

— Wejdź, wejdź! Jest tylko jedna droga. Nie zabłądzisz!

— Czemu każesz mi wchodzić, skoro mam znów wyjść?

— By uzdrowić twoje rany.

Mówiąc to, Krag zeskoczył z powrotem na pływającą wysepkę. Nightspore odruchowo ruszył za nim, ale natychmiast opanował się i pozostał na miejscu. Krag zniknął całkowicie; wszystko na zewnątrz było czarne jak noc.

W chwili, gdy tamten zniknął, serce Nightspore'a zabiło z emocji jak tysiąc trąb.

Na wprost niego, prawie u stóp, zaczynały się strome i wąskie, kręcone kamienne schody. Innej drogi nie było.

Postawił nogę na dolnym stopniu, wpatrując się jednocześnie w górę. Nic nie było widać, ale gdy posuwał się naprzód, każdy cal drogi stawał się namacalny dzięki wewnętrznemu wyczuciu. Schody były zimne, ponure i opustoszałe, niemniej jego egzaltowanej duszy wydawały się być drabiną do nieba.

Gdy pokonał już z tuzin stopni, zatrzymał się, by odetchnąć. Każdy stopień był coraz trudniejszy do wejścia; czuł się tak, jakby niósł na barkach ciężkiego mężczyznę. Poruszyło to jakąś znajomą strunę w jego umyśle. Ruszył dalej i dziesięć stopni wyżej dotarł do okna umieszczonego w wysokiej ambrazurze.

Wdrapał się na nią i wyjrzał na zewnątrz. Okno było z czegoś w rodzaju szkła, ale nie mógł nic dojrzeć. Niemniej docierające do niego z zewnętrznego świata zaburzenia atmosfery zaatakowały jego zmysły i zmroziły mu krew. W jednej chwili przypominało to cichy, sztuczny, wulgarny śmiech docierający z drugiego krańca świata, a w następnej było jak rytmiczne drgania powietrza – bezgłośnie,

nieustanne wibracje jakiegoś potężnego silnika. Oba te wrażenia były takie same i jednocześnie całkiem różne. Wydawały się być powiązane ze sobą jak dusza i ciało. Nightspore wczuwał się w nie przez dłuższy czas, po czym zeskoczył z ambrazury i ruszył dalej, co w międzyczasie stało się bardzo poważnym wyzwaniem.

Wchodzenie po schodach wymagało coraz większego wysiłku i co trzy, cztery stopnie musiał się zatrzymywać, by dać odpocząć mięśniom i odzyskać oddech. Gdy pokonał w ten sposób następne dwadzieścia stopni, dotarł do drugiego okna. Znowu nic nie zobaczył. Zaburzenie powietrza przypominające śmiech również zniknęło. Natomiast drgania słyszeć było dwa razy wyraźniej niż poprzednio, a ich rytm stał się podwójny. Były to teraz dwie oddzielne vibracje – jedna w tempie marsza, a druga w tempie walca. Pierwszą odczuwał jako gorzką i obezwładniającą, natomiast druga brzmiała żywo, pozbawiała sił i budziła wstręt.

Przy tym oknie Nightspore spędził niewiele czasu, czując, że stoi u progu wielkiego odkrycia i że coś daleko bardziej ważnego czeka na niego wyżej. Szedł w górę. Droga stawała się coraz bardziej wyczerpująca, tak że musiał często przysiadąć całkowicie przygnieciony swoim własnym martwym ciężarem. Mimo to dotarł do trzeciego okna.

Wspiął się na ambrazurę. Jego odczucia przekształciły się w wizję i ujrzał coś, co spowodowało, że zbladł. Na niebie, zajmując je niemal w całości, wisiała gigantyczna, podświetlona od wewnątrz sfera w całości złożona z dwóch rodzajów aktywnych bytów. Były tam miriady drobnych zielonych cząsteczek w różnych rozmiarach – od bardzo małych do prawie niedostrzegalnych. Właściwie nie były zielone, ale w taki sposób je jakoś postrzegał. Wszystkie podążały w tym samym kierunku – wracały do siebie, do Muspel, ale były zbyt słabe i zbyt małe, żeby zrobić jakiś postęp. Ich działanie wytwarzało wyczuwany wcześniej rytm marsza, który jednak nie był istotną cechą ich samych, lecz wynikiem napotykaných przeszkód. Te drobiny życia ze wszystkich stron otoczone były daleko większymi wirami białego światła, które wirując to tu tam, unosiły ze sobą zielone cząstki, gdziekolwiek chciały. Ich ruchowi wirowemu towarzyszył rytm walca. Nightspore'owi wydało się, że zielone drobiny nie tylko tańczą wbrew swojej woli, ale w konsekwencji cierpią straszliwy wstyd i poniżenie. Większe z nich były mocniejsze od tych całkiem małych, niektóre nawet prawie swobodne, a jedna podążała w kierunku, w którym chciała.

Odwrócił się tyłem do okna i ukrył twarz w dłoniach, szukając w niewyraźnych odmętach pamięci wyjaśnienia tego, co widział. Nic jednoznacznego nie znalazł, a jedynie przerażenie i gniew zaczęły go ogarniać.

W drodze na górę do następnego okna wydało mu się, że niewidzialne palce ściskają go za serce, wykręcając je w te i wewte; niemniej nawet nie śnił o powrocie. Nastrój miał tak ponury, że ani razu nie pozwolił sobie na przerwę. Fizyczne cierpienie stało się tak silne, że gdy już wdrapał się na parapet, przez kilka minut w ogóle niczego nie widział, a świat zdawał się szybko wirować wokół niego.

Kiedy w końcu spojrzał, zobaczył tę samą sferę, ale teraz wszystko się zmieniło. Był to świat skał, minerałów, wody, roślin, zwierząt i ludzi. Widział cały świat naraz, a wszystko było tak powiększone, że mógł odróżnić najdrobniejsze szczegóły życia. We wnętrzu każdego osobnika, każdego zbiorowiska osobników, każdego atomu mógł wyraźnie wykryć obecność zielonych cząstek. Cząstki te, w zależności od rangi danej formy życia, były albo fragmentaryczne, albo odpowiednio duże. W kryształach, na przykład, zielone, uwięzione życie było tak niewielkie, że ledwo widoczne; u niektórych ludzi było niewiele większe, choć u innych mężczyzn i kobiet było go dwadzieścia albo i sto razy więcej. Niemniej, wielkie czy małe, odgrywało ogromnie ważną rolę u każdego osobnika. Wyglądało na to, że wiry białego światła, które występowały pojedynczo i były doskonale widoczne wewnątrz opakowujących je ciał, były zachwycone swoim istnieniem i chciały jedynie się nim nacieszyć, podczas gdy zielone cząstki pozostawały w stanie wiecznego niezadowolenia i mimo że ślepe i nie znające drogi do wolności, ciągle zmieniały swoją formę, jak gdyby przecierając nowe ścieżki drogą eksperymentu. Kiedykolwiek stare dziwadło przemieniało się w nowe dziwadło, było to za każdym razem bezpośrednie działanie zielonych drobin próbujących uciec do Muspelu i napotykających bezpośrednie przeszkody. Te powstałe w wyniku ciągłych podziałów isierki żywych, impulsywnych dusz więzione były w koszmarnej papce miłąkiej przyjemności. Doprowadzane były tam do zniewieścienia i zepsucia – a mówiąc wprost – zostawały wchłonięte przez wstrętną, cherlawą formę opakowującą.

Oglądając ten spektakl, Nightspore poczuł przyprawiający o mdłości wstyd w swojej duszy. Jego egzaltacja już dawno zniknęła. Gryzł paznokcie z niecierpliwości i rozumiał dlaczego Krag czeka na niego na dole.

Wspinał się powoli do piątego okna. Napór powietrza – silny jak sztormowy wichur, ale pozbawiony gwałtowności i porywów – nie pozwalał nawet na moment ulżyć jego wysiłkom. A przy tym nawet drobny powiew nie zakłócał spokoju.

Gdy wyrzał przez okno, zaskoczył go nowy widok. Sfera wciąż tam była, ale między nią i światem Muspelu, w którym przebywał, widać było niewyraźny, lecz rozległy cień o nieokreślonym kształcie, wydzielający w jakiś sposób woń odrażającej słodkości. Nightspore wiedział, że to jest Crystalman. Cień przez cały czas był zalewany przechodzącym poprzez niego potopem intensywnego światła z Muspelu. Nie, nie światła – namietności. Wyłaniając się po drugiej stronie, którą stanowiła sfera, światło to zmieniało swój charakter. Rozszczepiało się jak w pryzmacie na dwie formy życia widziane poprzednio – zielone cząstki i wiry. To, co przed chwilą było płomienną duszą, teraz stawało się wstrętną masą płaszcących się, wijących indywiduów, z których każde było wirem woli goniącej za przyjemnością i jako jądro miało iskrę – odłamek żywego zielonego ognia. Nightspore przypomniał sobie promienie wsteczne ze Starkness i nagle olśniło go z prawdopodobieństwem bliskim prawdy, że zielone iskry są promieniami wstecznymi Muspelu, a wiry jego promieniami przednimi. Te pierwsze próbują desperacko powrócić do swojego miejsca pochodzenia, ale są obezwładniane brutalną siłą tych drugich, które chcą pozostać tam, gdzie są. Pojedyncze wiry rozpychały się, walczyły, a nawet pożerały się nawzajem. Powodowało to ból, ale niemniej jaki by ból nie czuły, to i tak zawsze poszukiwały przyjemności. Czasami zdarzał się moment, w którym zielone iskry miały wystarczająco siły, by wyruszyć w kierunku Muspelu. Wiry akceptowały wtedy ten ruch, nie tylko że bez sprzeciwu, ale z dumą i zadowoleniem, jakby to była ich własna zasługa – same jednak nigdy nie zaglądały za Cień, sądząc, że to on jest celem podróży. W chwili, w której prostoliniyny ruch, jako przeciwny ich wirowej naturze, znużył je, powracały do zabijania, tańców i miłości.

Nightspore przeczuwał, że szóste okno będzie na pewno ostatnim. Nic nie mogło go powstrzymać przed dotarciem do niego, gdyż domyślał się, że ujawni się tam natura samego Crystalmana. Każdy krok w górę był jak walka na śmierć i życie. Schody przyszpilały go do ziemi; ciśnienie powietrza sprawiło, że z nosa i uszu trysnęła mu krew; w głowie dzwonił mu żelazny dzwon. Gdy pokonał już ten tuzin stopni, znalazł się nagle na szczycie; schody kończyły się niewielkim, pustym pomieszczeniem z zimnego kamienia, z jednym oknem. Po drugiej stronie zobaczył jeszcze jedne krótkie schody prowadzące przez kłapę, najwyraźniej na dach budowli. Przed wejściem na nie Nightspore pośpiesznie zbliżył się do okna i wyrwał.

Nieokreślony cień Crystalmana przysunął się znacznie bliżej i wypełniał teraz całe niebo, tyle że nie był to już obszar ciemności, ale jasna plama. Nie miał kształtu ani koloru, a przecież w jakiś sposób sugerował delikatny odcień wczesnego poranka. Był na tyle przejrzysty, że sfera mogła być wyraźnie przez niego widoczna. W rzeczywistości jednak był gruby. Emanujący z niego słodki zapach był intensywny, wstrętny i odpychający; wydawał się wydzielać z jakiegoś półpłynnego, szyderczego śluzu, niewypowiedzianie wulgarnego i ignoranckiego.

Duchowy strumień z Muspelu mienił się złożonością i różnaitością. Nie było w nim jednak żadnego indywidualizmu. Nie była to ani Jedność, ani Wielość, ale coś jeszcze innego daleko różnego. Docierał do Crystalmana i wdierał się do jego ciała – o ile tę świetlistą mgłę można nazywać ciałem. Przechodził przez niego, sprawiając mu tym najwspanialszą rozkosz. Emanacja Muspelu była pożywieniem Crystalmana. Strumień wyłaniał się po stronie sfery – w dwoistej formie. Część z niego pojawiała się wewnętrznie niezmienną, lecz podzieloną na miliony odłamków. Były nimi zielone cząstki. Przechodząc przez Crystalmana uniknęły wchłonięcia z powodu swoich mikroskopijnych rozmiarów. Pozostalej części strumienia nie udawało się umknąć. Jego płomień zostawał wyizolowany, spoiwo wyssane, a reszta – po zapaskudzeniu i rozmiękczeniu obrzydliwą słodką gospodarza – rozbita na pojedyncze osobniki, wiry żywej woli.

Nightspore wzdrygnął się. Dotarło do niego w końcu, że cały świat jaźni został skazany na wieczną udrękę po to, by jedna Istota mogła odczuwać radość.

Wreszcie postawił stopę na schodach prowadzących na dach, mętnie zdając sobie sprawę, że to już ostatnie.

W połowie drogi zemdlał, ale gdy odzyskał przytomność, czuł się tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Gdy tylko jego głowa znalazła się powyżej włazu, odetchnął świeżym powietrzem, czując się jak człowiek wynurzający z wody. Podciągnął się na górę i stanął wyczekująco na kamiennej płycie dachu. Rozejrzał się dookoła, rzucając swoje pierwsze spojrzenie na Muspel.

Wokół była nicość.

Stał na szczycie wieży mierzącej nie więcej niż piętnaście stóp w każdą stronę. Dookoła niego panowała ciemność. Z upadającym sercem siadł na kamiennym parapecie opanowany przez bardzo złe przeczucia.

Nagle, nic nie widząc i nic nie słysząc, poczuł wyraźnie, jak ciemność dookoła niego – ze wszystkich czterech stron – szczyrzy zęby. Zrozumiał natychmiast, że jest całkowicie otoczony przez świat Crystalmana i że Muspel składa się jedynie z niego i kamiennej wieży, na której się znajduje.

W jego serce wdarł się płomień. Miliony milionów groteskowych, wulgarnych, śmiesznych, przesłodzonych indywidualności – dawnych Dusz – nawoływało w swoim upadku i udręce o ratunek z Muspelu. Na ten krzyk odpowiedzieć mógł tylko on... i Krag, czekający na dole... i Surtur. Ale gdzie jest Surtur?

Prawda napierała na niego z całą swoją zimną, brutalną rzeczywistością. Muspel nie był wszechpotężnym Wszechświatem tolerującym z czystej obojętności istnienie obok siebie innego świata – świata fałszywego, nie mającego prawa bytu. Muspel walczył o życie ze wszystkim co najwstydliwsze i przerażające, z grzechem ukrywającym się pod maską odwiecznego piękna, z podłością pod maską Natury, z Diabłem udającym Boga...

Teraz rozumiał już wszystko. Te moralne zmagania to nie zabawa, nie Walhalla, gdzie wojownicy w ciągu dnia siekają się na kawałki, a w nocy uczują, to ponura walka na śmierć i życie, w której to, co jest gorsze niż śmierć – mianowicie śmierć duchowa – czeka nieuchronnie zwyciężony Muspel. Czy mógłby się zawahać przed udziałem w tej straszliwej wojnie?

W tych chwilach udręki wszystkie myśli jego Jaźni – zepsucie, w jakim żył na Ziemi – wypaliły się z duszy Nightspore'a, być może nie po raz pierwszy.

Siedział tam dłuższy czas, po czym zaczął zbierać się do zejścia. Dziwny, żalorny krzyk przewiercił bez ostrzeżenia oblicze świata. Z początku strasznie tajemniczy, zakończył się nutą tak nikczemnego i podłego szyderstwa, że nie mógł wątpić nawet przez chwilę, skąd to pochodziło. To był głos Crystalmana.

Krag czekał na pływającej wyspie. Spojrzał surowo na Nightspore'a.

— Wszystko widziałeś? — zapytał.

— Walka jest beznadziejna — mruknął Nightspore.

— Czyż nie mówiłem ci, że jestem silniejszy?

— Możesz być silniejszy, ale on jest potężniejszy.

— Jestem silniejszy i potężniejszy. Imperium Crystalmana jest tylko cieniem na obliczu Muspelu. Niczego jednak nie można dokonać bez najkrwawszych ciosów. Co masz zamiar teraz zrobić?

— Krag, czy ty nie jesteś Surturem? — zapytał Nightspore, patrząc na niego dziwnie.

— Jestem.

— No tak — powiedział cicho Nightspore, bez zdziwienia. — A jak cię nazywają na Ziemi?

— Ból.

— To także powinienem był wiedzieć.

Milczał przez kilka minut, a potem spokojnie wszedł na tratwę. Krag odepchnął ją i odpłynęli w ciemność.

Spis treści

1. Seans
2. Na ulicy
3. Starkness
4. Głos
5. Noc wyjazdu
6. Joiwind
7. Panawe
8. Równina Złudzeń
9. Oceaxe
10. Tydomin
11. Pod Disscournem
12. Spadevil
13. Las Wombflash
14. Polecrab
15. Wyspa Swaylone'a
16. Leehallfae
17. Corpang
18. Haunte
19. Sullenbode
20. Barey
21. Muspel

Od tłumacza

Zakres angielskojęzycznego terminu „science fiction”, w skrócie „SF”, został ostatnio tak znacznie rozszerzony, że przestał już on odpowiadać swojemu polskiemu tłumaczeniu „fantastyka naukowa”, które pozostało przy starym znaczeniu obejmującym literaturę zawierającą elementy stricte naukowe.

Przyjęło się uważać, że fantastyka naukowa wiąże się ściśle z naukami przyrodniczymi. Dawniej były to głównie nauki ścisłe i ich pochodne – cudowne wynalazki, wielkie odkrycia i ich praktyczne zastosowania w postaci podróży w czasie i przestrzeni. Tego rodzaju utwory określa się najczęściej jako „hard SF”. Wraz z postępem do tej grupy dołączyła biologia i nauki medyczne, które dawniej uważano za opisowe, a które obecnie stają się coraz bardziej ścisłe. Utwory oparte na naukach jeszcze bardziej odległych od fizyki, chemii i astronomii, takich jak psychologia czy socjologia, zalicza się najczęściej do odrębnych, lecz pokrewnych gatunków (np. social fiction, historie alternatywne), chociaż są w istocie podgatunkiem fantastyki naukowej. Poza gettem natomiast pozostaje duża grupa nauk humanistycznych, takich jak nauka o literaturze, religioznawstwo, historia filozofii itp.

Czytałem ostatnio recenzję dylogii Dana Simmonsa „Ilion/Olimp”, której znaczna część poświęcona została twórczości literackiej Homera i Szekspira. Autor recenzji wyraził wątpliwość, czy można tę powieść jakoś sklasyfikować gatunkowo. Wyraźnie nie pasowały mu elementy literaturoznawcze odgrywające w powieści kluczową rolę.

Elementem determinującym przynależność gatunkową utworu literackiego jest jego fabuła. Żaden anturaż – nie wiadomo jak fantastyczny – nie sprawi, że utwór stanie się prawdziwą fantastyką. Dopiero zawarte w fabule wątki o mniejszym lub większym stopniu nieprawdopodobieństwa, nie dające się umieścić w anturażu mainstreamowym, decydują, czy dany utwór można sklasyfikować jako fantastyczny.

Utwór fantastycznonaukowy musi, w dodatku, posiadać mniej lub bardziej zakamuflowany wątek popularyzatorski zawierający odniesienia do aktualnej wiedzy w danej dziedzinie nauki i perspektyw jej dalszego rozwoju. Bez niego literatura fantastyczna przestaje być fantastyką naukową, a staje się jedynie fantastyką – fantasy, baśnią, horrorem, opowieścią przygodową – czyli „science fiction”.

Czy nie należałoby więc uznać, że marsjański Olimp Dana Simmonsa popularyzuje współczesną wiedzę na temat utworów Homera, a prowadzone tam, być może nieco wynaturzone, eksperymenty nie są próbą ukazania przyszłego rozwoju tej dziedziny nauki.

W podobny sposób można się odnieść do powieści „Podróż na Arktura” Davida Lindsaya. Utwór ten – określany najczęściej jako oniryczna alegoria filozoficzna oparta na myśli platońskiej i jej późniejszym rozwinięciu w gnostycyzm, który wywarł ogromny wpływ na rozwój filozofii poczynając od średniowiecza aż do czasów współczesnych – zaliczany jest najczęściej do gatunku fantasy. Ale choć fabuła, skoncentrowana wokół podróży bohatera po egzotycznej planecie Tormance, zawiera elementy charakterystyczne dla fantasy, to nie powinniśmy zapominać, że jest ona umieszczona nie w świecie rzeczywistym, na co w powieści jest zresztą wciąż zwracana uwaga, lecz w świecie wyobraźni gnostyków. Zawarte w powieści wątki popularyzatorskie prezentują w przygodowym anturażu to, co wiemy na temat filozofii Platona i wierzeń gnostyków. Niektórzy określają tego typu utwory mianem „fantastyki filozoficznej”, którą należy również traktować jako podgatunek fantastyki naukowej.

I.D., 2015